

Janusz Rolicki

EDWARD

GIEREK

REPLIKA

prawda do końca...

EDWARD GIEREK
REPLIKA



EDWARD GILBERT
REPLIKA



Janusz Rolicki

EDWARD GIEREK
REPLIKA
(Wywiad rzeka)

Opracowanie fotograficzne **Andrzej Machnowski** na podstawie zdjęć własnych, CAF, PA „Interpress”

Redakcja — **Marzenna Kiedrowska**

© Copyright by Janusz Rolicki

ISBN 83-85167-05-6

Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”

Warszawa 1990

Wydanie I.

Zakłady Graficzne

„Dom Słowa Polskiego”

Zam. 2740/K/90

Prolog

zamiast aneksu do *Przerwanej dekady*

— Nie wiem, czy Pan wie, że stał się Pan sprawcą i współautorem największego w historii Polski bestselleru książkowego?

— Wciąż jestem pod wrażeniem powodzenia tej książki. Jej sukces przeszedł wszelkie oczekiwania.

— Do dziś rozeszło się blisko dziewięćset tysięcy egzemplarzy. Wydawca (już drugi) zapewnia, że sprzeda w ciągu tego roku milion egzemplarzy *Przerwanej dekady*. Mówię to tym śmielej i głośniej, że wciąż pamiętam Pańskie opory podnoszone w trakcie autoryzacji.

— Czyli chce pan wydobyc z mnie stwierdzenie, że to pan miał rację?

— W jakimś sensie tak. Tym bardziej, że zdawałem sobie sprawę, że naciskami na Pana, a także kształtem przyjętych wypowiedzi, w jakimś sensie przekłamałem pański obraz.

— Protestuję! Nie byłem bezwolnym dzieckiem. W końcu ja decydowałem o kształcie książki.

— Prawda, ale jest Pan człowiekiem dalece bardziej spolegliwym i układnym, niż mogłoby to wynikać z lektury. Wzdragał się Pan wielokrotnie przed kreśleniem negatywnych sylwetek swych współpracowników. Wszystkie skrajne opinie zostały Panu wręcz wydarte. I w tym sensie książka nie oddaje prawdy psychologicznej o Panu. Mówię o tym, ponieważ sądzę, że te stwierdzenia powinny stanowić swoisty aneks do *Przerwanej dekady*. Bo jeśli powiem, że dobroduszość była jedną z głównych cech, która mnie w Panu najbardziej zaskoczyła, Czytelnicy mi nie uwierzą.

— Jeśli pan pozwoli, to trochę bardziej bym to stonował, dobrodusz-

wiały wielokrotnie mnie w irytację. Ta książka ma dwóch ojców, a nasze interesy były wielokrotnie przeciwstawne. Często musiałem się zachowywać, jak dziennikarska hiena mając na względzie w pierwszej kolejności to, co mogło stanowić o poczytności i naszej pracy.

— Doskonale to rozumiem, ale pozwoli pan, że teraz zamienimy się rolami. Niech mi pan wytłumaczy, jak to się stało, że kilka passusów usuniętych przeze mnie z książki, w czasie tak zwanej korekty szczotkowej, znalazłem później na kartach *Przerwanej dekady*?

— Wyjaśniałem to już Panu prywatnie, teraz potwierdzę te słowa publicznie. Staliśmy się wspólnie ofiarami niezwykle wręcz manipulacji ze strony pierwszego wydawcy, który część fragmentów wykreślonych na Pana życzenie — w sumie dwadzieścia — przywrócił, kierując się najwyraźniej ich czytelniczą atrakcyjnością. Dotyczyło to między innymi bardzo spektakularnego fragmentu poświęconego panu Lechowi Wałęsie. Wyznam Panu, że byłem tym zszokowany, bowiem wypadek był bezprecedensowy i nie do pomyślenia w żadnym, szanującym się wydawnictwie. *Przerwana dekada* jest moją ósmą książką i zapewniam Pana, że z podobnym przypadkiem nigdy poprzednio się nie spotkałem.

— Wydawcę pan sam wybierał.

— To prawda niech Pan jednak pamięta, że z racji tego, że książka dotyczyła Pana, a także z powodu treści w niej zawartych, nie mogłem z nią iść do żadnej renomowanej oficyny wydawniczej. Ponadto wówczas wciąż jeszcze istniała cenzura, a na jej wyrozumiałość nie mogliśmy liczyć. I dlatego potrzebny nam był ktoś taki, kto skłonny był zdecydować się na druk książki właściwie w drugim obiegu, bez imprimatur cenzury.

— Czyli można powiedzieć, że koło się zamknęło i komuniści powrócili do podziemia, a książka byłego pierwszego sekretarza ukazała się bez zgody powołanego do tego urzędu. Gdy tego słucham, buntuje się całe moje jestestwo.

— Toteż mówię Panu o tym po raz pierwszy. Aby Pana jednak zgorzzyć, przytoczę dykteryjkę zasłyszaną przeze mnie od dyrektora drukarni w Pile. Drukarnia ta zdecydowała się na druk książki w nakładzie stu tysięcy bez wymaganej pieczęci. Działo się to na przełomie marca i kwietnia i Główny Urząd Cenzury Publikacji i Widowisk jeszcze nie był rozwiązany stosowną uchwałą sejmową. W świetle prawa dyrektor był więc w momencie podjęcia decyzji druku prawdziwym przestępcą. Dyrektor był jednak nie tylko urzędnikiem, lecz przede wszystkim menadżerem, który

zwietrzył znakomity interes. W rezultacie wszystko szło dobrze, *Przerwaną dekadą* jak rarytasem handlowano już w najlepsze, gdy niespodziewanie do gabinetu dyrektorskiego w Pile zapukał cenzor z Bydgoszczy. I co Pan powie na takie dictum, że nie przyjechał wcale zaaresztować książki Gierka, lecz jedynie... po parę książeczek dla siebie i znajomych.

— Tak, był to prawdziwy amok wydawniczy. Do mnie i moich krewnych do dziś zgłaszają się bliżsi i dalsi znajomi z prośbą o książki z autografami.

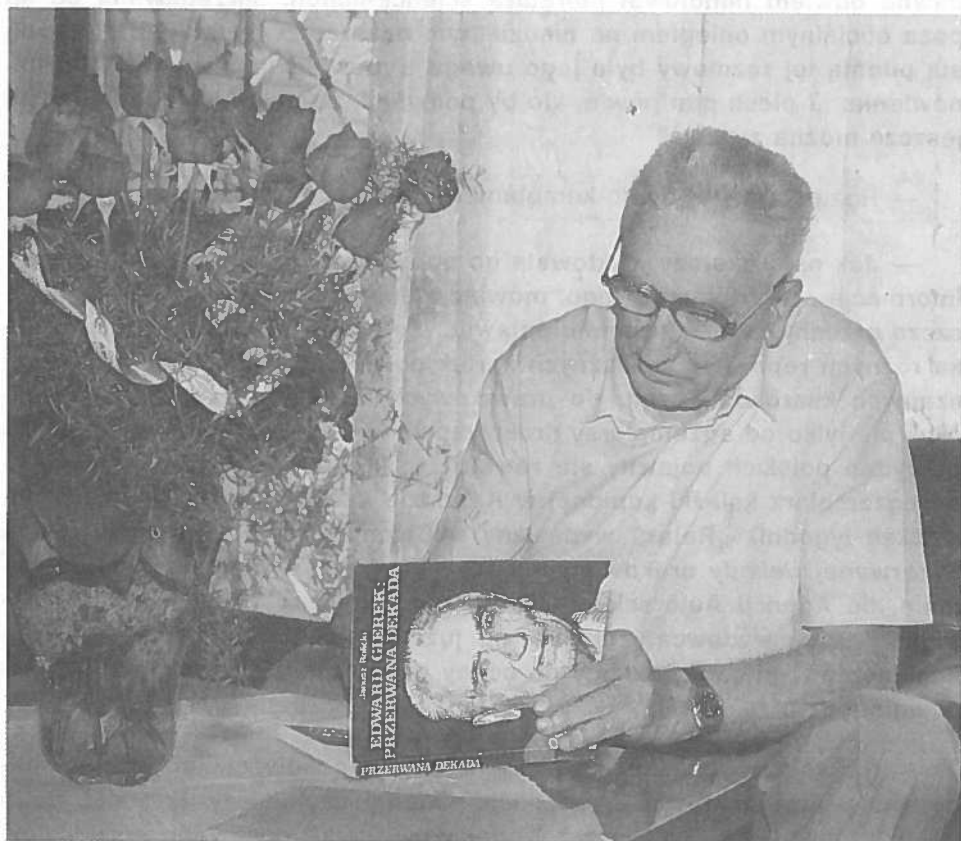
— Gwoli dalszego rozweselenia Pana, opowiem inną historyjkę. Było to kilka dni po głośnym orzeczeniu sądu. Przy książkowym straganie za-czepiłem wtedy znanego mi z widzenia chłopaka handlującego książkami i spytałem, czy będę mógł u niego jeszcze kupić Gierka. Ciekawy byłem jego reakcji. „Za kilka dni, gdy ruszy druk” — usłyszałem w odpowiedzi. „Jaki druk?” Spojrzał na mnie bacznie, ale po chwili wyjaśnił: „Chłopaki będą drukowali reprinty z tej książeczki”. Wiedziałem, że nie blefował, od dawna bowiem handlował literaturą science-fiction, sprzedawaną od lat poza oficjalnym obiegiem na niedzielnym bazarze zwanym „Skra”. Swoistą puentą tej rozmowy była jego uwaga wypowiedziana po chwili zastanowienia: „I niech pan powie, kto by pomyślał, że na komunistach będzie jeszcze można zarobić!”

— Rozumiem, że był to komplement pod moim adresem.

— Jak najszczęśliwszy, dyktowała go przecież chęć zapelnienia portfela. Informacja o reprintach owego, mówiąc eufemistycznie, bukinisty nie była czcza przechwałką. W kwietniu pojawiło się bowiem na naszym rynku kilka różnych reprintów, od luźnych kartek powielanych niechlujnie na zwy-czajnych kserokopiarkach, do prawdziwych książek nieznacznie różniących się tylko od egzemplarzy drukowanych w Pile. Co ciekawsze, reprinty wydań polskich pojawiły się również w USA i Kanadzie. Pokazywano mi egzemplarz książki kupionej w Kanadzie za 27 dolarów kanadyjskich, a także tygodnik „Relax” wydawany w Chicago, z piątym już odcinkiem *Przerwanej dekady* drukowanym bez żadnego zezwolenia... Ponadto do mnie, do Agencji Autorskiej i Oficyny Wydawniczej, „BGW”, będącej naszym drugim wydawcą, zgłosiło się już kilkunastu wydawców z trzech kontynentów. Ale... Przejdźmy do oceny odbioru książki. Czy jest Pan zadowolony?

— Ta książka całkiem różnie funkcjonuje na dwóch, nie przenikających się wzajemnie płaszczyznach. Odbiór czytelniczy jest dla mnie

Autograf dla czytelnika



— to mnie doprawdy zaszokowało. I rynek drugi, recenzencki, zdecydowanie mi nieprzychylny, więcej — wrogi. Tonacja wypowiedzi w niuansach jest, co zrozumiałe, zróżnicowana. Nikt jednak nie zdobył się na rzetelną ocenę tego prawdziwego fenomenu czytelniczego. Nigdzie nie przeczytałem, co to oznacza, że pierwsza wypowiedź Gierka, po dziesięciu latach niezawinionego milczenia, stała się tak wielką sensacją czytelniczą.

— I na tej podstawie twierdzę, że nie staliśmy się jeszcze normalnym krajem. Test z demokracji, jak stwierdziłem, prawie zdaliśmy, ale nie z normalności. Bo w każdym kraju prawdziwie demokratycznym, tak wielki sukces przegranego polityka oplutego od stóp do głów, stałby się faktem, który w sposób poważny wzięłaby na warsztat tak prasa, jak i instytucje badania opinii publicznej. U nas natomiast wzięły górę urazy wobec komunizmu i Edwarda Gierka.

— Urazy?

— Tak. Pański sukces, to coś takiego, jak wejście do salonu niepożądanego osoby. Znamienne, że najgorliwiej do krytykowania książki wzięli się dziennikarze z dawnego dziennikarskiego establishmentu. Fikus, Pas-sent schlastali Pana najmocniej. Zajęli się Pańskimi lekturami, Pańskim brakiem wykształcenia. A przecież Fikus był przez kilkadziesiąt lat Pana towarzyszem partyjnym. Przez całą dekadę lat siedemdziesiątych był sekretarzem redakcji „Polityki” i sekretarzem partii w teście „Polityce”.

— Mnie to też zdumiewa, bo doprawdy rozumiem miadzące recenzje pisane przez ludzi opozycji, przez tych, którzy walczyli ze mną w latach siedemdziesiątych. Ze swego punktu widzenia mają moralne prawo być moimi sędziami, ale ten były dziennikarz „Polityki” powinien być nieco bardziej wstrzemięźliwy. Ale zostawmy ten temat. Dla ludzi tego pokroju postawa neoficka jest bardzo właściwa...

— Wobec tego jakie wypowiedzi Pana zastanowiły i skłoniły do refleksji?

— Odwaga cywilna Wałęsy. Obok uwag krytycznych — bo, co zrozumiałe, nie wszystko w *Przerwanej dekadzie* mogło mu się podobać — potrafił stwierdzić, cytując za Polską Agencją Prasową: *Edward Gierek otworzył nam drzwi do wolności*. Dla mnie jest bowiem rzeczą bezsporną, że bez liberalizmu lat siedemdziesiątych, za który byłem besztany już na VI Plenum, a więc jeszcze w czasie mego pobytu w szpitalu, nie byłoby masowego ruchu kontestującego, a później „Solidarności”. Od początku dekady lat siedemdziesiątych, a więc od Grudnia 1970 roku zdawaliśmy so-

A więc na jednym biegunie ustawa i an wypowiedź Lecha Wałęsy, a na drugim?

— Na drugim...? Pewnie myśli pan o artykule Kani. Ale nie jego mam na myśli. Naprawdę zdumiał mnie generał Jaruzelski. *Przerwana dekada* ma swego bohatera negatywnego; jest nim bezsprzecznie generał. I przyznaję, że zaskoczył mnie swoją zręcznością. Zapytany o ocenę *Przerwanej dekady* na spotkaniu z posłami Klubu Lewicy Parlamentarnej, oświadczył, że z wieloma sądami Edwarda Gierka nie zgadza się, a zainteresowanych jego opinią odesłał do artykułu Kani. Dzięki temu dokonał ekwilibrystycznego wręcz uniku, polegającego na bardzo korzystnym dla siebie uchyleniu się przed merytoryczną polemiką z Gierkiem. A każda taka polemika byłaby dla niego niezwykle obciążająca. Zresztą najzręczniejsze nawet manewry generała nie uchronią go przed prawdziwie merytoryczną oceną jego postępowania w dekadzie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

— Generał zdaje się na to czekać. Ulubionym jego zwrotem jest przecież odwoływanie się do osądu historii.

— Przychylności tego osądu nie byłbym na jego miejscu tak pewien, skoro nawet Paweł Bożyk, człowiek, który na początku lat osiemdziesiątych sprawiał wrażenie mocno przestraszonego, zdobył się na wypowiedzenie niezależnej opinii na łamach „Trybuny”: *Stosunek Edwarda Gierka do Stanisława Kani i Wojciecha Jaruzelskiego jest w jakimś sensie jego odwetem za krzywdy, jakich doznał. W latach siedemdziesiątych byli to przecież jego najbliżsi koledzy z najwyższego kierownictwa. Przesadą byłoby stwierdzenie, że ostrzegali oni Gierka przed grożącym kryzysem, choć znali raporty, które im przekazywałem. W latach osiemdziesiątych, gdy Gierek był poniewierany, oni byli u władzy, mogli więc przynajmniej zapobiec nachalnemu mówieniu nieprawdy.*

— Sądzę, że książka ta stanowi przysłowiowy czubek góry lodowej...

— Zgadzam się z panem. Swoją wypowiedzią przełamiałem niedobry zwyczaj, od zarania towarzyszący ruchowi komunistycznemu. Udzielając panu tak obszernego wywiadu, opublikowanego w ogromnym nakładzie, powiedziałem „nie” na wydany na mnie wyrok śmierci cywilnej. Goryczą może mnie jedynie napawać fakt, że stało się to możliwe dopiero po prawie dziesięciu latach.

— Po tej książce powstaną więc następne.

— O to właśnie chodzi i jest to świadectwem dokonania się rzeczywistych przemian demokratycznych.

— Szkada, że za Pana czasów publikowanie takich książek było niemożliwe!

— Pan kpi, czy o drogę pyta? Przecież nie napisał niczego Władysław Gomułka ani Zenon Kliszko czy inni politycy lat sześćdziesiątych. Wiele było szumu wokół tzw. pamiętników „Wiesława”, ale były to falsyfikaty. Działał system swoistej autocenzury. Nie napiszę niczego, bo mogę zaszkodzić sprawie. Nawet ja trzymałem się tej niepisanej zasady i udzieliłem panu wywiadu dopiero po rozwiązaniu partii.

Wie pan doskonale jako współautor *Przerwanej dekady*, że swego poprzednika — Władysława Gomułkę — chronilem przed autentycznym gniewem ludu wystawiając tym na szwank swój własny wizerunek. Natomiast „gniew ludu” przeciwko mnie moi następcy wręcz organizowali. Cynicznie dla korzyści politycznych ponizano mnie publicznie, a także internowano przez rok, trzymając przez pewien okres wręcz w rygorze więziennym. Dopiero śmierć Zdzisława Grudnia spowodowała poprawę naszych warunków. Jakież to usprawiedliwienie znaleźć mogą dla tej polityki? Ja tego nie widzę. Racjonalną krytykę, obiektywną analizę lat siedemdziesiątych zastąpiono inwektywami, epitetami i oszczerstwami.

— A sąźnistej wypowiedzi Kani na łamach „Polityki” nie przypisuje Pan znaczenia? Przecież stanowi ono swoiste „credo” Pańskich przeciwników z obozu postępetpeerowskiego.

— Proszę pana, czyż inne zdanie mieć mogą ci, którzy pozbawiając mnie kierownictwa, sami przejęli władzę i w ciągu 9 lat doprowadzili kraj do ruiny, naród do biedy, socjalizm do upadku, a partię do samorozwiązania? Wypowiedź Kani jest pełna przeinaczeń, półprawd i zmyśleń. Nie mam zamiaru odnosić się do nich szczegółowo, bowiem stworzyłbym gorszące widowisko, a tego chciałbym uniknąć. Dla mnie Stanisław Kania jest po prostu śmieszny, gdy przyobleka się w piórka niczym kwoka, aby skrzywdzone przez Gierka kurczątką przytulić pod swymi skrzydełkami.

— Ja, wyznam Panu, sam przyłapałem Kanię na kilku passusach, które nie były sprostowaniami, lecz świadomymi przeinaczeniami. Jedno dotyczyło polecenia Kani wydanego Szczepańskiemu — zakłócenia (dźwiękowego) mszy papieskiej na Placu Zwycięstwa. Szczegóły związane z tym incydem opisał wyczerpująco w prasie były prezes Telewizji. Drugi przypadek dotyczył Pańskiego ostatniego spotkania z kardynałem Wyszyńskim w Klarvsewie. Bowiem o niewpuszczeniu Panów do Natolina w

— Proszę pana, w tekście Kani jest kilka takich własnie sprostowań. Kolejnemu zadaje kłam cytowany już wcześniej przeze mnie Paweł Bożyk. Jego bowiem, niczym kulawe kurczątko, stara się wziąć pod swe skrzydełka mój następcą. Tymczasem Bożyk tego ani nie potrzebuje, ani nie chce i na sążnistą wypowiedź Kani, wspierającą się częściowo na jego raportach, reaguje jednoznacznie: *Szkoda, że mówi się o tym tak późno. W latach osiemdziesiątych parokrotnie występowałem do ówczesnego kierownictwa PZPR z wnioskiem o powiedzenie prawdy o mojej rzeczywistej roli. Niestety, nigdy odpowiedzi nie było. To zdecydowało o całkowitym zerwaniu jakichkolwiek moich kontaktów z aparatem partyjnym w latach 1981–1990.*” Ale przecież miałem z Kanią nie polemizować...

— **To też nie jest to polemika. Niech mi Pan jednak powie, czy opinie wyrażane o książce skłaniają Pana do zmiany, choćby częściowej, Pańskich sądów? Czy chciałby Pan jakieś własne kwestie zweryfikować?**

— O żadnej weryfikacji niema mowy. Uważam natomiast, że książkę należałoby uzupełnić o fakty poprzednio pominięte, a sądzę, że mogą one Czytelników zainteresować. Ich publikacja będzie kolejnym krokiem pozwalającym pełniej zrozumieć tak istotę systemu socjalistycznego, jak i kulisy polityki lat siedemdziesiątych.

Część pierwsza

POLSKA I ŚWIAT

Rozdział pierwszy

O spiskowej teorii dziejów...

— Zarzucano Gierkowi, że skłaniając się do spiskowej teorii dziejów, mylnie interpretuje wydarzenia z 1980 roku. W pewnych kręgach stwierdzenie, że policja, czy mówiąc bardziej swojsko — milicja była aktywna w czasie strajków bądź tuż przed nimi, zakrawa na wielki *faux pas*. Dotyczy to szczególnie wydarzeń współczesnych; wydarzenia historyczne, już zweryfikowane przez czas, nie budzą emocji, ale przypisywanie wielkiej roli policji budzi w naszych czasach protest, oburzenie i skłania do rzuca-
nia kalumnii na zgłaszającego takie tezy bądź w najlepszym razie powątpiewanie w czystość intencji.

— Nie jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów, chociaż niektórzy pragnęliby mnie tak zaszufładować. Jako komunista uznaję zasadę, że masy ludowe są twórcą historii i w każdym okresie wyłaniają swych przywódców, wartych o tyle, o ile są zdolni do realizacji dążeń tych mas. Zwróciłem jednak i zwracam uwagę na to, że w deformacjach socjalistycznego systemu, a zwłaszcza w jego wynaturzeniach centralistyczno-biurokratycznych, miejsce zdrowej rywalizacji między politykami zajmowało intryganctwo, koterie, nieformalne grupy itp. Towarzyszył temu nadmierny udział aparatu politycznego oraz aparatu przymusu w sprawowaniu władzy politycznej. I tak w czasie masowych wystąpień prowokatorów jest niewielu, giną w masie ludzkiej i każdemu, kto w szczerzej intencji bierze udział w strajku wydaje się wręcz wstrętne, że wśród nich — czystych, patriotycznych, ideowych, mogliby się znajdować prowokatorzy. Tymczasem aktywny udział w takich demonstracjach ludzi z policji jest wręcz obowiązkowy.

— Czy Pan w okresie swej działalności komunistycznej zetknął się z takimi przypadkami?

— Oczywiście, Mówiłem już panu o powodach mej ekspulsji z Francji



miast — ledwie zdążyłem się umyć — odstawiony na stację celem wywiezienia do Polski. Oczywiście, że było to dziełem prowokatorów i agentów policji francuskiej.

— **To zrozumiałe, nie budzi to protestów, czy niezrozumienia, opory natomiast wzbudza przypisywanie policji siły sprawczej w ważnych wydarzeniach historycznych.**

— Nic na to nie poradzę. Nie mogę tego traktować w kategoriach chęci bądź jego braku. Jeśli chodzi o mnie i wydarzenia sierpniowe w Polsce 1980 roku, to nie mam najmniejszych wątpliwości, że niezadowolone społecznie wykorzystana grupa Kani i Kowalczyka, by pozbyć się Gierka. Ich ludzie tak mocno rozkręcili strajki i protesty robotnicze, że wymknęły się spod kontroli służb specjalnych. To, proszę pana, nie pierwszy i nie ostatni przypadek w historii. Niech pan sobie przypomni kilkuset tysięczną demonstrację w Petersburgu, prowadzoną pod rotą kozacką przez popa Hapona. Było to już równoznaczne z igraniem z ogniem, ale z punktu widzenia określonej kamaryli dworsko-policyjnej demonstracja ta spełniła swoje zadanie. Podobnie było u nas z zamordowaniem księdza Popiełuszki. Jestem przekonany, że była to wielka prowokacja polityczna wymierzona tym razem w Jaruzelskiego. Wiele oczekuję po wznowieniu śledztwa, bo jest rzeczą pewną, że nie wszyscy winowajcy i sprawcy zostali ujawnieni na sali sądowej...

— **Ale dlaczego Pańscy przeciwnicy, tak ostrożni i tak kunktatorscy, tym razem posunęli się poza granicę bezpieczeństwa?**

— Obawiali się mojej skłonności do zamazywania kantów. Uważali, że jeśli nie docisną pedału strajkowego „do dechy”, Gierek jeszcze raz im się wywinie. System tzw. realnego socjalizmu, bardzo źle znosił wszelkie zachwiania równowagi wewnętrznej. Normalnie z każdym innym przywódcą, poza mną, musiałyby dojść do przesilenia już po trzydniowej blokadzie linii kolejowych na lubelszczyźnie, tymczasem ja uniknąłem rozliczenia się z wydarzeniami lubelskimi. W tej sytuacji moi przeciwnicy, mając już rozgrzaną atmosferę w kraju, postanowili mnie docisnąć w innym miejscu. Z góry też wiadomo było, że najlepszym miejscem będzie stocznia gdańska. Z tym że moi przeciwnicy za wszelką cenę chcieli pozostawić strajki na etapie żądań ekonomicznych. Dla nich bowiem, jak i dla całego systemu, „schody” zaczęły się w dniu pojawienia się żądań politycznych.

— **Tę interpretację wydarzeń znamy już z *Przerwanej dekady*. Dla wielu Czytelników, z powodów, które wyluszczyłem już powyżej, nie była ona jednak dostatecznie przekonująca.**



posiłkował dowodami z innych krajów socjalistycznych. A są one dla mnie, obeznanego z regułami gry politycznej, prawdziwie szokujące. Najpierw, pozwoli pan, przeczytam informację zamieszczoną w „Rzeczypospolitej” pod bulwersującym tytułem *Havel na Hrad z pomocą KGB*. A oto tekst owej informacji: *Program dokumentalny „Czech — mat” nadany przez telewizję BBC (mającą opinię niezwykle wiarygodnej) — pokazał, kto i jak przedstawiał figury w listopadowej, czeskiej partyjce szachów. Program oparto na dokumentach specjalnej komisji parlamentarnej prowadzącej śledztwo w sprawie brutalnego pobicia przez tajną policję studentów demonstrujących w Pradze 17 listopada ubiegłego roku. Autorzy programu ujawnili, że już rok wcześniej, bo pod koniec 1988 roku, grupa osób z kierownictwa KPCz postanowiła usunąć twardego ekipę Husaka, gdyż inaczej nie można było nawet śnić o pierestrojce w Czechosłowacji. Do grona spiskujących należał między innymi szef tajnej policji STB generał Alois Lorenc. Przewrót pałacowy na Hradczanach miała umożliwić operacja KLIN, która poprzez prowokację miała doprowadzić do kontrolowanego wybuchu społecznego niezadowolenia. Operację przygotowano wprawdzie w Pradze, ale za przyzwoleniem KGB. Na początku wszystko przebiegało zgodnie ze scenariuszem, Porucznik tajnej policji Ludek Žiwczak z pomocą kolegów poprowadził demonstrację w pułapkę, wprost pod pałki czekających oddziałów specjalnych. Sam padł pod ciosami tych pałek udając trupa, a koledzy zgrabnie wywieźli jego „bezwładne ciało”. Wieść o zakatowanym studencie, którego tożsamości nie można było wprawdzie ustalić, spowodowała wrzenie w całej Pradze. Ta część operacji KLIN udała się znakomicie. Później rewolucja wymknęła się już spod kontroli tajnej policji STB, a tym samym i KGB, i w pewnym momencie ciśnienie społeczne było tak wielkie, że zmiotło wszystko, co ludziom kojarzyło się z ekipą Husaka. Jeśli więc wierzyć dowodom prezentowanym w telewizji BBC, to Forum Demokratyczne i Vaclav Havel mogli zaistnieć w dużej mierze dzięki nieudolności komunistycznych służb specjalnych. Przypomnijmy ponadto, że działo się to po wielotygodniowym spektaklu ernerdowskim, a więc prawdziwym eksodusie obywateli NRD uciekających do ambasady RFN w Pradze. To niezmiernie spektakularne zjawisko niezwykle kompromitujące dla formacji realnego socjalizmu, rozgrzało bardzo atmosferę polityczną w Pradze. Czynnikiem decydującym, powodującym osuwanie się ziemi spod nóg kierownictwa czechosłowackiego, była postawa Moskwy. Brak ściany wschodniej spowodował klęskę systemu. Dobrze i sprytnie przygotowanej prowokacji — pamiętamy poszukiwania ciała zmarłego studenta, dwukrotne odnajdywanie rękoma zabitego — nikt już nie mógł ująć w sztywne ramy. Do tego doszła*

cym zwolennikiem spiskowej teorii dziejów?

— Widać uznano fakty podane przeze mnie za tak wstydlive, iż postanowiono kategorycznie je odrzucić. Ja zaś uważam, że o ile mamy wyciągać wnioski z przeszłości, to musimy to czynić bez żadnych ograniczeń. Sądzę zresztą, iż dalsze śledztwo w sprawie mordu nad księdzem Popiełuszką i wznowienie wielu innych spraw dotyczących naszych dramatów rozgrywających się w przeszłości potwierdzi moje poglądy. Chyba, że górę weźmie wrodzony nam konserwatyzm i skłonność do zamazywania kantów. Często bowiem na upór naprawdę nie ma lekarstwa, tym bardziej jeśli wynika z wygody i chciejstwa, z tego, że łatwiej jest żyć z półprawdami niż z całą prawdą.

— **Pan również przeżył podobną prowokację wymierzoną przeciwko Gierkowi w latach siedemdziesiątych. Myślę o sprawie Pyjasa. Było to, moim zdaniem, niewątpliwie morderstwo na tle politycznym, które miało zrewoltować środowisko krakowskie przeciwko władzy. A władzą, chcąc niechcąc, był zawsze pierwszy sekretarz, przeciwko niemu koncentrowało się z reguły całe niezadowolenie.**

— Sprawa Pyjasa do dziś jest dla mnie niejasna. Rozmawiałem wówczas z szefem milicji w Krakowie, pytałem o podłoże zabójstwa. Nie powiedziano mi prawdy. A sytuacja była nabrzmiała, odbyła się studencka czarna procesja. Zakazałem więc wszelkich interwencji milicyjnych. Wtedy to zasiadł pod Wawelem Barcikowski, sytuację udało się opanować i emocje opadły.

— **Nie ma Pan jasnego poglądu na tę sprawę?**

— Powtarzam, do dziś nie rozwikłałem tamtej zagadki. Z reguły, by znaleźć inspiratorów tego rodzaju wydarzeń, próbuję sobie odpowiedzieć, kto zyskuje na takiej prowokacji. W większości przypadków ta metoda prowadzi do znalezienia właściwego tropu.

— **Przykład Hayła, który na tym zyskał, wskazuje na zawodność metody.**

— Dotyczy to jedynie sytuacji, w których, jak to się mawia, dziecko wylało się wraz z kąpielą, a tym samym wydarzenia wymknęły się spod wszelkiej kontroli. Ale wracając do tak zwanej „spiskowej teorii dziejów”: ubiegła jesień dostarczyła dalszych przykładów potwierdzających bardzo poważnie zasadność tej teorii.

— **Proponuję, aby Pan spróbował zinterpretować wydarzenia we wszystkich bratnich, przynajmniej z nazwy, krajach.**

— Zgoda, ale mogę to czynić w sposób niezobowiązujący, bowiem w żadnym z nich służby specjalne nie odkryły się tak jak w Czechosłowacji.

— **Z pewnością zainteresuje to Czytelników.**

— Niech więc będzie to niezależna opinia emerytowanego polityka, który śledzi z zainteresowaniem wydarzenia rozgrywające się w świecie i korzysta z różnych źródeł informacji, tak krajowych, jak i zagranicznych. Chcę się jednak zastrzec: nie jestem furiatem i maniakiem, który wszędzie widzi jedynie ręce policji. To byłaby bzdura. Jestem generalnie wierny teorii materializmu dialektycznego, który, co zrozumiałe, nie wyklucza również współdziałania służb specjalnych. W świecie polityki od zarażania dziejów służby te odgrywały znaczącą rolę. W naszej literaturze historycznej mistrzem w odkrywaniu specjalnej roli wielkich tajniaków w grze o władzę był zmarły przed dwoma laty jakże wybitny pisarz, pan Teodor Parnicki. Jego *Koniec zgody narodów*, opisujący wydarzenia w świecie helleńskim, jest pod tym względem wręcz instruktażowy.

— **Ale wróćmy do sytuacji w krajach tak zwanej Demokracji Ludowej jesienią 1989 roku.**

— Niech pan mi wierzy, że odskocznia od dnia dzisiejszego w świat antyczny zawsze jest ożywcza. Natomiast szukając źródeł destabilizacji systemu socjalistycznego w Europie Środkowo-Wschodniej, nie odkrywam Ameryki stwierdzając ponad wszelką wątpliwość, że zasadniczą rolę odegrał Gorbaczow. Kraje te, prowadzone od kilkunastu lub kilkadziesiąt lat przez tych samych przywódców, były głęboko przeciwne pierestrojce. Dostrzegały w niej zagrożenie dla realnego socjalizmu w jego breżniewowskim wymiarze. Były też naturalnym zapleczem dla przeciwników pierestrojki w samym Związku Radzieckim. Mówiąc szczerze, Gorbaczow, aby kontynuować reformy w swym kraju, musiał rozwiązać sytuację kryzysową w krajach demokracji ludowej. Proszę przy tym pamiętać, że Gorbaczow był w Chinach w trakcie strajku studentów na placu Niebiańskiego spokoju i wkrótce po jego wyjeździe z Pekinu plac ten został zboczony krwią chińskich studentów. Powtórka tej sytuacji w Europie była dla niego, jak widać to już niedwuznacznie, nie do pomyślenia. Stąd jego zdecydowane wycofanie poparcia dla wszystkich „starych” pierwszych sekretarzy w krajach socjalistycznych i stąd popychanie ich do ustępstw, a w konsekwencji — do odejścia. Na miejsca dawnych pierwszych byli najwyraźniej szykowani nowi, bardziej ugodowi sekretarze, tacy jak Krenz w NRD, Adamec w Pradze i Mladenow w Sofii. We wszystkich krajach wyko-

— **Rzeczywiście było to prawdziwością.**

— Tak, lecz było to już spóźnione. Gdyby do zmiany doszło w okolicach polskiego „Okrągłego stołu”, sytuację prawdopodobnie udałoby się Radzieckim opanować. Tymczasem zmiany, może poza Bułgarią, dokonywały się w momencie, gdy władza była już bardzo zdestabilizowana. Na tę destabilizację wpływały walki różnych koterii na szczytach hierarchii partyjnej i państwowej oraz gra służb specjalnych, tak wewnętrznych, jak i radzieckich. Prawdopodobnie każdy z tych krajów miał własną wersję planu KLIN. Trzeba też oddać tym służbom sprawiedliwość. Ich wysocy funkcjonariusze są z reguły ludźmi o wyższym od przeciętnego ilorazie testu na inteligencję i łatwiej godzą się z nieuniknionymi zmianami niż przeciętni członkowie aparatu partyjnego. Oni to swoimi poczynaniami, jak widać wyraźnie na przykładzie Czechosłowacji, pogłębili destabilizację wewnętrzną. Z radia francuskiego słyszałem na przykład, że Honecker chciał siłą przerwać demonstracje w Lipsku, odbywające się bardzo sprawnie i z zastanawiającą regularnością, a przeszkodzili mu w tym generałowie radzieccy. Jednakże, moim zdaniem, rolę detonatora w NRD odegrała decyzja ministra spraw zagranicznych Węgier, który chyba w sposób suwerenny zgodził się na otwarcie granicy austriackiej dla turystów wschodnioniemieckich. Kto wpadł na banalny zgoła pomysł, by wschodni Niemcy szukali azylu w ambasadzie RFN w Budapeszcie, tego doprawdy nie wiem. W każdym razie pomysł najprawdopodobniej zrodził się w zachodnioniemieckim Urzędzie Ochrony Konstytucji bądź w jego pobliżu. Bo kto mi wytłumaczy, dlaczego energowcy przez lata spokojnie jeździli na urlopy na Węgry, do Bułgarii i Rumunii, a latem 1989 roku wymyślili sobie, aby te wczasy przedłużać w budynkach przedstawicielstwa Bundes Republiki w Budapeszcie? Potem lekcja została powtórzona w Warszawie i zaczęła się przyspieszona agonia NRD.

— **Nie leżało to w zamiarach Gorbaczowa?**

— Oczywiście, ale było na rękę Kohlowi, a Gorbaczow wykazał się zmysłem politycznym, godząc się z metodą faktów dokonanych. Będąc zakładnikiem pierestrojki i odprężenia, nie mógł sobie pozwolić na żadne ruchy zimnowojenne. Stawką w grze była nie tylko jego kariera polityczna, lecz także reformy polityczne w Związku Radzieckim. Nie sposób odmówić mu wielkości. Gorbaczow wielokrotnie udowodnił, że ma znakomity, że tak powiem, węch polityczny i potrafi dokonywać zaskakujących ruchów, zawsze stając na czele kierunku biorącego górę.

— **Nie za wiele wiemy o roli STASI, czyli policji politycznej, w dokonujących się późną jesienią przemianach w NRD?**

— Jak to: nie wiele? A fala oskarżeń o współpracę z tymże STASI wszystkich bez mała wybitnych przywódców politycznej opozycji! Prawdę mówiąc, kontredans spowodowany przez policję odegrał równie ważną rolę, jak same wybory. Można powiedzieć, że NRD miała podwójne wybory: jedne odbywały się przy urnach, a drugie przy konfesjonatach STASI. Niech pan sobie przypomni, że kosa tejże policji ścięła zarówno tak przywódcę enerdowskich chadeków, jak i socjaldemokratów. Ponadto chcę zwrócić pańską uwagę na charakter demonstracji poprzedzających upadek muru berlińskiego. Zostały zorganizowane z iście niemiecką dokładnością, przy pełnej neutralności służb specjalnych. Nie mogę dać za to głowy, ale w świetle informacji przynoszonych przez prasę nie zdziwiłbym się wcale, gdybym pewnego dnia usłyszał, że w tamtych dniach tajna policja zajmowała się głównie organizowaniem demonstracji.

— **Ale epilogu niewątpliwie nie przewidziała?**

— Zgoda, ale na takich właśnie niespodziankach polego „wdzięk” manipulowania tłumami. Przekroczenie pewnej nieuchwytniej granicy czyni wszystkie policje bezbronnymi. I tak, proszę pana, tamtej jesieni okazało się, że — posłużę się tu cytatem z Norwida: *Ogromne wojska, bitne generały, policje — tajne, widne i dwupłciowe...* zwyczajnie były bezradne.

— **Chyba że rzecz roźgrywa się w Chinach?**

— Mogę jeszcze wskazać co najmniej kilka krajów, w których władza zdolna jest do podobnie krwawej determinacji.

— **Nie szukając daleko: Pański poprzednik zdolny był do sprawienia podobnej łaźni w Gdańsku i Gdyni.**

— To było 20 lat temu... Należy tylko wyrazić nadzieję, że przynajmniej w Europie już się to nie powtórzy.

— **A co Pan sądzi o rewolucjach w Bułgarii i Rumunii?**

— Potwierdzają tezę, że wszystko odbywało się według opracowanego wcześniej scenariusza. W Bułgarii — jak podała prasa zachodnia — Mładenow, po powrocie z Moskwy, w sojuszu z wojskiem i milicją, zażądał ustąpienia Żiwkowa. Ten ostatni, pozbawiony wsparcia aparatu przemocy, zmuszony był podać się do dymisji. Przewrót Mładenowa był bardzo kontrolowany i pozornie mogło się wydawać, że panuje on nad sytuacją. Jednak z mego punktu widzenia Mładenow postępował obrzydliwie. Ogromnym niesmakiem napawały mnie rewolucje na temat...

ministra spraw zagranicznych do składania oświadczenia, że jego poprzednik, szef partii i prezydent kraju, był człowiekiem ograniczonym umysłowo.

— **Rewolucja bułgarska przynajmniej w wymiarze partyjno-policyjnym przypominała sierpień 80 u nas.**

— Podobieństwa dotyczą tylko rozgrywki na najwyższym szczeblu. Tam, podobnie jak i u nas, najbliżsi współpracownicy szefa partii uznali, że najlepsze alibii zapewni im spostonowanie pierwszego sekretarza. Tymczasem ta droga prowadziła do pozbawienia autorytetu całej partii. Zastanawiający w naszych krajach — gdy patrzy się *ex post* — był niedorozwój nauk społecznych. Z dystansu widać, jak wiele kosztował formację realnego socjalizmu. Potwierdza się, że Bułgarzy, i zresztą nie tylko oni, nie wyciągnęli żadnych wniosków z polskich doświadczeń.

— **Chyba zakłamanie ustrojowe zwyczajnie blokowało drogi porozumiewania się pomiędzy grupami społecznymi, drożne już od lat w systemie demokratycznym.**

— W sumie jest to bardziej złożone, a wracając do głównego wątku, chcę zatrzymać się na przykładzie rumuńskim. Causescu, moim zdaniem, został zwyczajnie wywiedziony w pole przez swoich współpracowników. Wiec, z którego salwował się ucieczką, był tak głupio zorganizowany — przy równoczesnym głębokim rozłamie wewnątrz wojska i policji — że musiał zakończyć się jego klęską.

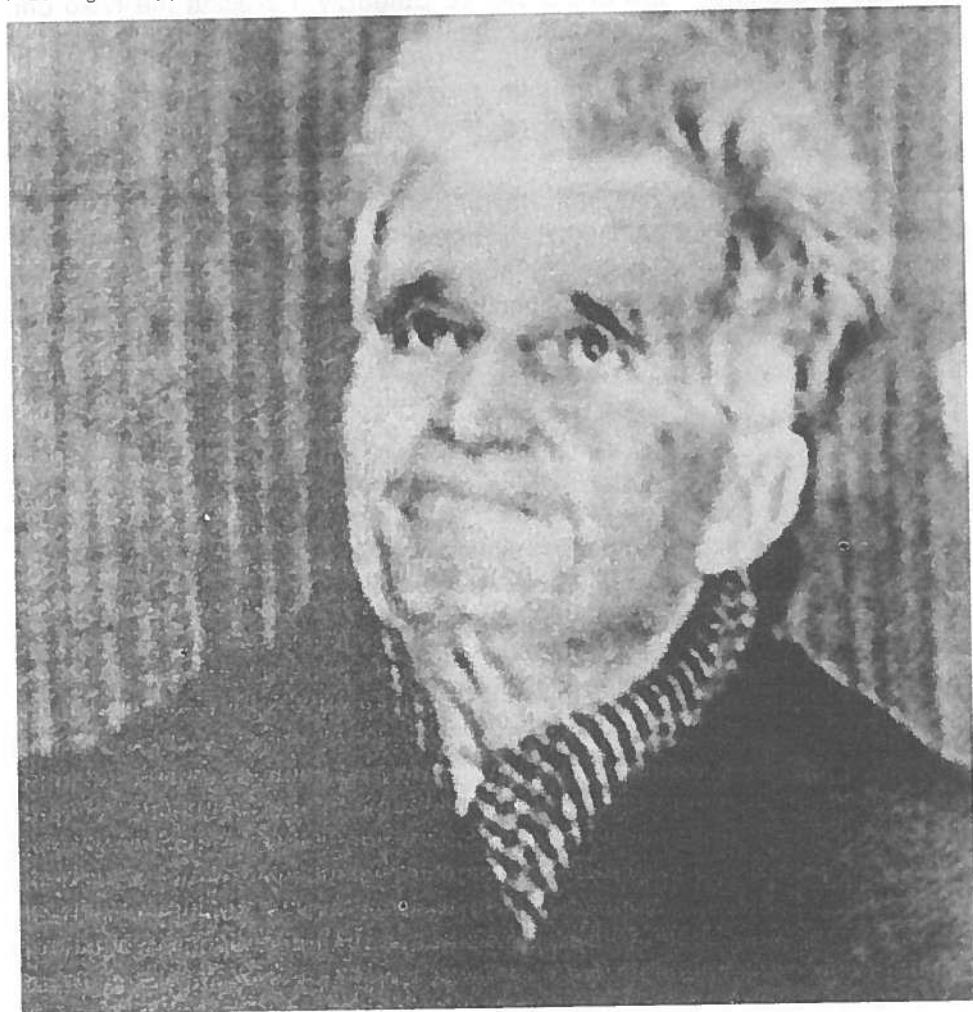
— **Nie zakłada Pan, że po Timossoarze wszyscy mogli mieć dosyć „Słoneczka Karpat?”**

— Sprawa z Timossoarą nie jest wcale taka prosta. Jak się później okazało, przeciwnikom Causescu zależało na kilkakrotnym zawyżeniu ofiar, na stworzeniu w kraju i na świecie wizji hekatombi pomordowanych. Prasa stwierdziła, że pospieszny sąd nad Causescu, który uważam za odrażający mord, był podyktowany strachem przed jego prawdziwymi zeznaniami, jakie mógłby złożyć w normalnych warunkach. Dalej, kto wie, czy walki zbrojne o telewizję, w której obradował Front Ludowy Ilescu, nie były zaaranżowaną po części maskaradą, mającą uautentyczyć ludowy charakter przewrotu.

— **Prawda, ta rewolucja kryje jeszcze wiele niewiadomych, które wyjaśni chyba tylko historia. Najbardziej zastanawiający jest epilog tej rewolucji, wzięty jakby z marca 1968 roku.**

— Myśli Pan o rozpedzeniu przez órników demonstrujących studen-

Przed egzekucją



goś rumuńskiego ORMO. Ten ponury epilog dowodzi trafności, smutnej w sumie tezy, że rewolucje nie są tylko szlachętne i piękne, niezależnie przeciwko komu byłyby organizowane. Po prostu, im dłużej żyję, tym bardziej się przekonuję, że nic nie jest ani tylko czarne, ani tylko białe.

— **A co Pan sądzi, że wrócę na nasze podwórko, o postawie ministra Kozłowskiego, który jak Rejtan sprzeciwił się żądaniom ujawniania list konfidentów „Bezpieki”?**

— Postępuje bardzo rozważnie, jak najbardziej odpowiada mi jego umiar. I cóż z tego, że dowiedzielibyśmy się kto współpracował z tymi służbami, skoro wiązałoby się z tym bardzo wiele dramatów i nieszczęść. Jestem zwolennikiem zasypywania podziałów, a nie jałowego jątrzenia. Historia dowodzi, że na wszelkich jątrzących działaniach zyskują tylko mętne siły.

— **Dlaczego wobec tego poświęca Pan tak wiele uwagi temu spiskowemu i intryganckiemu nurtowi? Czy nie prowadzi to właśnie do wywołania złych duchów przeszłości?**

— Przeciwnie. Mówiąc o tym nawołuję do rozważgi i rozsądku. Mój wywód ma udowodnić, że często włączając się bezrozumnie w jakieś gry, stajemy się bezwolnym narzędziem w obcych rękach. Niech pan pamięta, że zawsze człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. A kto może z góry przewidzieć, gdzie je poniesie. Swoją drogą, czy czytał pan ostatnio punkty „Porozumienia gdańskiego”?

— **Nie.**

— Warto, to pouczająca lektura. Mogę powiedzieć tylko jedno: wiele się do niego nie przybliżyliśmy. No, może poza jakże słusznymi postulatami dotyczącymi swobód obywatelskich. Lecz powiem, może trochę nostalgicznie, że niewiele będziemy mieli z wolności, gdy będziemy goli i bosci.

Otwarcie na Zachód

— **Dlaczego otwarcie na Zachód nastąpiło dopiero w Pańskich czasach?**

— Wytłumaczenie tego jest zgoła proste. Wynikało ono, mówiąc otwarcie, z braku moich uprzedzeń wobec kapitalistycznego Zachodu. Po prostu, w odróżnieniu od mego poprzednika, nie miałem wobec tych krajów żadnych urazów. Dla Gomułki nasza polityka zagraniczna sprowadzała się — mówiąc oczywiście skrótowo — do dwóch państw: Związku Radzieckiego i Niemiec Zachodnich. W polityce w stosunku do obu tych, niewątpliwie najważniejszych z naszego punktu widzenia, państw starał się prowadzić politykę suwerenną, stając się tym samym w stosunku do Republiki Federalnej Niemiec czynnikiem bezwzględnie wywierającym wpływ na politykę naszych sojuszników. Sądzę też, że miał on wręcz jakiś wpływ na upadek Chruszczowa. Władysław Gomułka oceniał, iż Chruszczow ulega germanofilskim Kołom w KC KPZR i pragnie porozumienia z RFN ponad, a nawet wbrew interesom Polski. Dlatego wysłał nader ostry list osobisty do Chruszczowa i Biura Politycznego po wizycie Adżubeja — jego zięcia w Bonn — czym osłabił, moim zdaniem, pozycję Chruszczowa wewnątrz kierownictwa radzieckiego. Nasz wywiad, pamiętam, nagrał jakieś wypowiedzi Adżubeja w Bonn, po których musiał się on mocno tłumaczyć przed Chruszczowem, a następnie sam Chruszczow wobec pozostałych członków Biura. Gomułka wprost zarzucał im zdradę interesów Obozu i handlowanie interesami NRD i Polski.

— **Słyszałem, że Gomułkę stać było na niezwykle niezależne gesty wobec Rosjan. Potrafił nie przyjąć u siebie sekretarza KC partii radzieckiej, Katuszewa, który po trzech dniach, jak niepyszny, musiał wracać do Moskwy.**

— Właśnie, dlatego chcę o tym mówić. Uważam bowiem, że nie można tej postawy nie doceniać. Kilkanaście lat później I sekretarz KC PZPR, niech pan zwróci na to uwagę, przyjmował już nie tylko wszystkich sekre-

tarzy radzieckich jacy odwiedzali Polskę, ale nawet zastępców kierowników wydziału.

— **Ale powróćmy do głównego nurtu naszej rozmowy...**

— Obejmowałem swą funkcję w chwili tragicznej, która nastąpiła niemal natychmiast po wielkim triumfie Gomułki, wizycie Brandta w Warszawie i podpisaniu układu o uznaniu przez RFN naszej granicy zachodniej. A trzeba wiedzieć, że był to osobisty sukces Gomułki. Rosjanie bowiem chcieli zagwarantować nam tę granicę w sensie traktatowym, poprzez dwustronne układy ZSRR–RFN. Gdy Gomułka w 1969 roku zorientował się, o co rzecz idzie, natychmiast podjął aktywne rozmowy z rządem zachodnioniemieckim i zakończył je wielkim sukcesem. Trzeba też przyznać, że udało mu się przerwać jeden z ważnych elementów gry politycznej naszych wschodnich sąsiadów, poprzez który mocno ograniczali suwerenność Polski. Już od samego Poczdamu Stalin ustawił się w roli gwaranta naszych granic. Sam zamysł „państwa na szynach”, a tak stało się z Polską, która zmuszona została po zwycięskiej wojnie do oddania 48 procent swego terytorium w zamian za Ziemie Zachodnie, słusznie nam zresztą należące się, wiązał nas, w zamyśle Stalina na zawsze ze Związkiem Radzieckim. Ten zamysł potwierdził się po raz pierwszy jedenaście lat po wojnie. Niech pan zwróci uwagę, że po Październiku 1956 czynnikiem hamującym wiele poczynań Gomułki była właśnie ta sprawa. Wtedy to dyplomacja polska próbując, bez żadnych warunków wstępnych, nawiązać kontakty dyplomatyczne z RFN, napotkała bezwzględną odmowę Adenauera. Moim zdaniem, ta postawa kanclerza Bundes Republiki definitywnie przekreśliła polską drogę do socjalizmu. Gomułka nie mógł sobie pozwolić na ostre spory ideologiczne z towarzyszami radzieckimi w sytuacji, gdy tylko oni jedni ze znaczących sił światowych nie kwestionowali przynależności do Polski jednej trzeciej naszego terytorium.

— **Czy Pan rzeczywiście sądzi, że ta sprawa miała tak istotny wpływ na upadek programu reform październikowych?**

— Ależ oczywiście. Był to kluczowy problem Polski w latach Gomułki. Dlatego nie mógł on wyjść poza zaklęty krąg pryncypiów. Niedocenianie jego zasług w walce o międzynarodowe uznanie Odry-Nysy jest ogromną niesprawiedliwością. Tak jak niesprawiedliwością jest niedocenianie zasług polskich komunistów za osiągnięcie w ciągu lat powojennych określonego statusu międzynarodowego przez państwo Polskie. Dziś mało kto w pełni rozumie czym był fakt, że po wojnie startowaliśmy z pozycji dużej zależności.

— **Czy wobec tego możemy powiedzieć, że...**

suwerenne są tylko supermocarstwa. Powszechnie twierdzi się, na przykład, że pełna suwerenność Wielkiej Brytanii i Francji skończyła się po awanturze sueskiej w 1956 roku... Mogę natomiast powiedzieć, że mieliśmy w moich latach bardzo znaczną suwerenność. Ograniczała ją tak zwana strefa interesów bezpieczeństwa ZSRR. Ale, proszę pana, tak samo jest przecież i po drugiej stronie. Jeśli ktoś ma złudzenia, że w tamtym sojuszu jest inaczej, ten jest bardzo naiwny. Jeśli sądzi pan, na przykład, że integracja ogólnoeuropejska nie pociągnie za sobą ograniczenia części suwerenności krajów do niej przystępujących, to jest pan w błędzie. Mieszkanie we wspólnym europejskim domu będzie wymagało ustępstw i koncesji w stosunku do pozostałych sąsiadów.

— Pański brak kompleksów i uprzedzeń wobec Zachodu był jedną z przyczyn otwarcia Polski na świat, a co było drugą?

— Raczej odwróciłbym to pytanie i odpowiedział, że główną przyczyną naszego otwarcia po układzie Gomułka–Brandt była potrzeba szukania oparcia na Zachodzie, żeby choć częściowo zrównoważyć z jednej strony wpływy niemieckie, a z drugiej — zwiększyć nasze usamodzielnienie się wobec towarzyszy radzieckich.

— Ten proces rozpoczął się za Gomułki; w końcu to jeszcze w 1967 roku złożył w Polsce wizytę de Gaulle.

— Wizyta tego wielkiego przywódcy państwa i narodu francuskiego była podyktowana tymi samymi względami, co nasze otwarcie na Zachód. Wie pan, odbyłem w Katowicach długą rozmowę z de Gaullem, a był on dwa dni na Śląsku, i mogę powiedzieć, że wiele się z niej nauczyłem. Zrozumiałem wszelkie analogie, z zachowaniem właściwych proporcji oczywiście, pomiędzy odczuwanym przez nich zagrożeniem amerykańskim i wszechpotężnym w naszej sytuacji uściskiem radzieckim. De Gaulle uważał, że amerykański nacisk stanowi zagrożenie nie tylko dla suwerenności Francji, ale wręcz — w dalszej perspektywie — dla jej tożsamości. Dlatego w Sejmie polskim wystąpił ze swą rewolucyjną, jak na ówczesne czasy, koncepcją Europy ojczyzn aż po Ural. Było to wystąpienie wielkie, adresowane nie tylko do nas, lecz także do całej Europy Wschodniej, w tym głównie do Rosjan. Muszę panu powiedzieć, że prawdziwie do dziś podziwiam tego wielkiego Francuza. Był godny szacunku pod każdym względem. Niech pan sobie wyobrazi, że całe swe przemówienie wygłosił z pamięci, był bowiem krótkowidzem i nie chciał sobie pozwolić na jakiegokolwiek potknięcia w czasie wystąpienia.

— Pamiętam to wystąpienie i do dziś odczuwam rozczarowanie, jakie

General de Gaulle na Śląsku



praktycznie biorąc, odrzucały ofertę de Gaulle'a.

— Zapewniam pana, że de Gaulle — wizjoner — na więcej nie liczył. Mogę tylko powiedzieć, że szczęśliwy jestem, iż po dwudziestu trzech latach dożyłem dni, w których ta wizja przynosi plony. A swoją drogą, niech pan pomyśli, czy Gomułka mógł w Sejmie przemówić inaczej? Czy mógł, nie będąc pewnym do końca trwałości naszych granic, narażać się na igranie z ogniem?

— **Ale przecież de Gaulle praktycznie uznał naszą granicę zachodnią w czasie tamtej doniosłej wizyty. Czy dla Pana jego pamiętne słowa: „Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie ze śląskich miast i najbardziej polskie z polskich miast” były zaskoczeniem?**

— Tego oczywiście protokół nie przewidywał. Pamiętam tylko, że rozmawiając ze mną w wigilię tamtego wydarzenia dopytywał się o polskość Śląska. A trzeba przyznać, że sprawy polskie nie były mu obce. Prezydent Francji, jeszcze jako młody kapitan, był przecież w Polsce w 1920 roku uczestnikiem misji generała Weyganda, w tamtym czasie, z racji powstań śląskich, sprawy Śląska były na ustach całej Europy. Ale wracając do lat siedemdziesiątych; uznałem, że musimy doprowadzić z jednej strony do pojednania z Niemcami, a z drugiej — obrócić swą aktywność polityczną na Zachód Europy i za Atlantyk. Tylko tam bowiem, budując prestiż Polski, mogliśmy trwale zabezpieczyć naszą suwerenność, a także wzmocnić pozycję Polski wewnątrz bloku socjalistycznego.

— **Czyli Pańskie układy z Honeckerem i w konsekwencji — bezprecedensowe otwarcie granic dla obywateli obu naszych państw były rezultatem wizji de Gaulle'a?**

— Nie miało to oczywiście bezpośredniego związku, ale postawa Francji, jej sposób, przyzna pan, że bezprecedensowy, zakopywania topora wojennego między narodami, zwaśnionymi od setek lat, odegrał z pewnością choćby podświadomie jakąś rolę. Oczywiście, od początku zdawałem sobie sprawę, jak każdy trzeźwo myślący człowiek, że klucz do porozumienia z Niemcami leży po drugiej stronie Łaby. A wejście tam było trudne nie tylko z racji uprzedzeń niemieckich, lecz także naszych wewnętrznych, których nigdy nie lekceważyłem i nikomu dzisiaj nie radziłbym tego czynić.

— **Dlatego zaczął Pan od złożenia wizyty Francuzom?**

— Tak, wykorzystując planowaną po wizycie de Gaulle'a rewizytę polską, odwiedziłem prezydenta Georges'a Pompidou. Był on, jak wiadomo,

wybitnym prezydentem, acz jego kadencja zakończyła się przedwcześnie. Po śmierci prezydenta okazało się, że chorował długo na nowotwór, a wiedzieli o tym tylko jego najbliżsi. Swą postawą w czasie choroby zdobył sobie szacunek całego bez mała świata. Ja, składając wizytę państwową, oczywiście nie wiedziałem o chorobie gospodarza. Nasza delegacja państwowa po raz pierwszy składała się ze znaczących w naszym życiu osobistości bezpartyjnych. Byli w jej składzie, jak pamiętam, Jarosław Iwaszkiewicz i profesor Jan Szczepański. Fakt uczestnictwa w delegacji przedstawicieli świata kultury i nauki został bardzo dobrze przyjęty przez stronę francuską. Prasa paryska — z pewną, charakterystyczną dla niej emfazą zwróciła uwagę na nowy styl „Polski gierkowskiej”. Prezydent Pompidou nie był dla mnie osobą nie znaną. Zetknąłem się z nim dwukrotnie jako przewodniczący polsko-francuskiej grupy parlamentarnej. Wzbudzał mój szacunek i uznanie swymi manierami i wykształceniem. Reprezentował wielki kapitał, sam był człowiekiem bardzo bogatym, trzeba też przyznać, że był otwarty na sprawy naszego kraju. Zresztą niczego innego nie mogłem oczekiwać od wieloletniego współpracownika prezydenta de Gaulle’a. Ze znacznie wcześniejszą moją wizytą we Francji, chyba w 1966 roku, wiąże się zabawny incydent. W czasie obiadu w Marsylii zapytano mnie, skąd znam tak dobrze język francuski. Opowiedziałem wówczas nie tylko o swym pobycie i podróżach po Francji (jak pan pamięta, z racji upodobań ojczyzna kilkunastokrotnie zmieniałem tam miejsce zamieszkania), ale także o swym ekspulsowaniu. Mer Marsylii odpowiedział na to: „Bardzo dobrze, że to słyszę, bo ten pan, który pana witał na lotnisku w Paryżu, nazywa się tak i tak, i to on przed laty podpisywał nakaz wydalenia z Francji Edwarda Gierka”.

— **Ale nie był to broń Boże, prezydent Pompidou?**

— Ależ skąd. Niemniej jednak we Francji, jak pan widzi, mogłem się czuć prawie jak w domu. Pan prezydent w rozmowach ze mną, a przeprowadziłem z nim nie tylko jedną rozmowę, mówił o sytuacji międzynarodowej, szczerze nakreślając jasne i ciemne strony stosunków francusko-amerykańskich, jak i francusko-niemieckich. Omawiając te ostatnie, zwrócił uwagę na potrzebę polsko-niemieckiego porozumienia. Potraktowałem to jako interesujący sygnał.

— **Czy prezydent Francji zgłosił jakieś szczególne propozycje dotyczące stosunków bilateralnych?**

— Sprawy polsko-francuskie prezentował w kontekście szerszym. W pewnej chwili, z właściwą Francuzom barwną stylistyką powiedział nie bez potępienia: „Dania, Gierka, Kłosa, no może, Francuzi, to jest trochę inny świat”.

cyjny wymiar”. I dodał na końcu zdanie w iście de gaullo wskim duchu: „*Dziś jeste my, co prawda, w przeciwnych ugrupowaniach, ale ta sytuacja nie bę dzie trwa ć wie cznie*”. W ca łej jego wypowiedzi pobrz miewa ła koncepcja Europy Ojczyzn.

— **Czym Pan tak ują ł swego gospodarza, że zrezygnowa ł z politycznej pow ścia ğli wo ści, charakterystycznej dla tego rodzaju spotka ń?**

— Sąd zę, że by ło to spowodowane szcze ro ścia ą mej wypowiedzi, a tak zę rzeczywistymi potrze bami politycznymi Francji. Francja przez ca łą historię poszuki wa ła po drugiej stronie Niemiec powa żnego partnera, który pozwo li ły by jej zneutralizowa ć potęgę zachodniego są siada. Rzecz w tym, czy na tradycyjne gesty sympatii byli my w stanie odpowiedzie ć. A to, wczora j i dziś, zale ża ło i zale ży w pierwszej kolejno ści od naszej si ły wewnę trznej. Dziś — g łównie gospodarczej, niegdy s tak zę militarnej. Nie stety od wielu, wielu lat nie jeste my w stanie zrównowa ży ć, my ślę łą cznie o Francji i Polsce, potę gi naszego wspól nego są siada. Wracajęc do tamtych rozmów; gospodarza ują łem z pewno ścia ą bezpo średnio ścia ą. Na kre śli łem szcze rze zasadnicze różnice w poziomie ży cia Francuzów i Polaków, w sile gospodarczej naszych kra jów, ale tak zę zwró ci łem uwagę na pozytywne przemiany, które powinny zaowocowa ć zwię kszeniem naszego potencja łu. Mówięc o blokach polityczno-ustrojowych, zwró ci łem uwagę na tradycyjną, historyczną ju ż przy ja źń Polaków z Francuzami, a tak zę na to, że mimo militarnej przyna leżno ści do Paktu Warszawskiego mamy armię, którą Polacy darzą szacunkiem. Armia ta podlega polskiemu dowództwu, a więc w pierwszej kolejno ści ma bronie ć narodowych, polskich interesów.

— **Czyli dawa ł Pan do zrozumienia, że nie jeste my, jak mawia ły pa ńscy genera łowie, wy łą cznie mocnym ogniwem Paktu Warszawskiego?**

— Nie, tego nie mówi łem, raczej stara łem się da ć do zrozumienia, że w żad nych awanturach nie bę dziemy i nie zamierzamy bra ć udziału. Chcia łem mu uświado mi ć, że tak jak Francja zmierzamy do zwię kszenia zakresu naszej suwerenno ści. Prezydent mnie rozu mi a ła, zdajęc sobie sprawę z naszych ogranicze ń, a tak zę potrzeby lojalno ści wobec partnerów. Od tej chwili jednak równie ż wiedzia ł, że jeste my kra jem otwartym na wszelkie przekształcenia prowadzące, mówięc hasłowo, do powstania w przyszło ści Europy Ojczyzn. Zresztą muszę powiedzie ć, że z prezydenta emanowa ła wręc pewno ść co do wspólnoty losu europejskiego i wspólnoty interesów, która kiedy s musi się wyrazi ć zjednoczeniem europejskim.

— **Nie odnosił się Pan do tego sceptycznie?**

— Wyznam, że byłem pod wrażeniem francuskiej argumentacji, chociaż nie sądziłem, że zmiany będą tak szybkie i tak znamienne. Ale sądzę, że nikt nie był w stanie określić przebiegu wydarzeń.

— **Czy wobec tego można powiedzieć, że w głębi ducha nie był Pan lojalnym sojusznikiem Związku Radzieckiego?**

— Ależ skąd. Mówiłem panu już w poprzednim wywiadzie, że moim celem strategicznym była renegocjacja naszej wewnętrznej pozycji wewnątrz wspólnoty państw socjalistycznych. Fundamentem korzystnych zmian zwiększających zakres naszej suwerenności było budowanie w Polsce mocnych podstaw gospodarczych. Wizja Europy Ojczyzn miała być etapem następnym.

— **Ale czy w Pana mniemaniu ta Europa miała stanowić *Pax Americana*, czy *Pax Sovietica*?**

— Sądzę, że nie będzie herezją, jeżeli wyznam, że zgodnie z duchem teorii konwergencji miało to być coś pośredniego.

— **Ze znaczącym udziałem Polski?**

— Nie, myśmy przede wszystkim zamierzali budować swobodnie swój własny dom, innym pozostawiając troskę o kontynent, zresztą zgodnie z powiedzeniem: wedle stawu grobla.

— **A wzajemne uprzedzenia klasowe? Co się z nimi stało?**

— Mówiłem Panu, że ich nie miałem. A Pompidou był zbyt dobrze wychowanym człowiekiem, aby je okazywać, nawet jeśli by je żywił.

— **Ale dla niego, absolwenta École Supérieure, człowieka od dziecka wychowywanego na bankiera bądź polityka, refleksja nad kondycją Pańców musiała być w gruncie rzeczy szokująca.**

— Co grało w duszy prezydenta, mego gospodarza, nie wiem, ale zapewniam pana, że bieg wydarzeń w naszym stuleciu odzwyczaił od dziwowania się takim karierom, jak moja. Nawet, kto wie, mogło moim gospodarzom schlebiać, że oto ja, przywódca dużego jak na europejskie stosunki państwa, byłem u nich górnikiem. W każdym razie fakt ten, a przede wszystkim moje związki z Francją, był wielokrotnie w rozmowach podkreślany.

Kiedy Pan poznał różnicowego następcę prezydenta Pompidou? W

wizyty. Był wówczas ministrem skarbu Francji i wschodzącą gwiazdą polityki francuskiej. Rozmowa nasza miała dosyć sympatyczny charakter. Pamiętam, że w imieniu Rządu polskiego zaprosiłem pana ministra Giscarda d'Estainga do złożenia wizyty w Polsce. Oczywiście, nie zdawałem sobie sprawy, że jego gwiazda rozbłyśnie tak szybko. Dwa lata później zmarł bowiem nasz gospodarz, a jego ówczesny minister skarbu odniósł pewne zwycięstwo nad późniejszym swym pogromcą, François Mitterandem.

— Czy Pan Giscard d'Estaing zdążył jeszcze złożyć wizytę w Polsce jako minister?

— Tak, podejmowaliśmy go u nas rok później, ale wówczas ja z nim się nie spotkałem. Nasze kontakty zostały odnowione przy okazji jego państwowej wizyty w Polsce, którą złożył już jako prezydent Republiki Francuskiej. Wizyta w Polsce zrobiła na przywódcy francuskim jak najlepsze wrażenie. Pokazałem mu między innymi Hutę Katowice. Przedstawiała się ona wtedy imponująco, zwłaszcza gdy goście mogli skonfrontować to, co widzieli z dalszymi zamierzeniami, to znaczy z drugim i trzecim etapem budowy. W Hucie lokowaliśmy wówczas najlepszy sprzęt z Zachodu i ze Wschodu i wyznam panu, że nie było u nas gościa z zagranicy, który by wręcz nie zazdrościł nam tego obiektu...

— Jaki cel miały takie wizyty? Bo wożenie na socjalistyczne budowy miernych często pisarzy miało jakiś sens, zawsze po wizycie mogli coś krzepiącego powiedzieć do mikrofonu i przed kamerami, ale po prezydenturze Francji nie mógł Pan tego chyba oczekiwać?

— Ironia pańska jest całkiem nie na miejscu. Mnie zwyczajnie chodziło o pokazanie znaczącym gościom z zagranicy naszych możliwości. Ponadto musi pan wiedzieć, że mieliśmy wtedy jeden z najwyższych przyrostów produkcji i dochodu narodowego w skali nie tylko europejskiej i przekroczenie barier stawianych krajom, najbardziej zaawansowanym przemysłowo, wydawało się tylko kwestią czasu. Ponadto wyznam panu, że rozmach takich gigantycznych budów sprawia na każdym wrażenie.

— Prezydentowi Francji chyba byle czym nie można było zaimponować?

— Chyba za byle co nie uważa pan największej huty w Europie. Mnie chodziło o uświadomienie Francuzom, że Polska jest krajem wielkich możliwości, że warto się z takim krajem wiązać, bo możemy być poważnym partnerem na wschodzie Europy. I to poważnym nie tylko ze względu na obszar, czy liczbę ludności, lecz także z powodu dynamiki rozwojowej.

— **Sądzi Pan, że prezydent Francji w to uwierzył?**

— Nie tylko sędzę, ale wiem z całą pewnością. Zresztą efekty polityki okrążania Niemców, wzmocnienia naszej pozycji wobec nich, dzięki specjalnym związkom z Francuzami, a później z Amerykanami i Włochami, nie dały na siebie czekać. Niebawem Zachód, chcąc nie chcąc, zaczął nas traktować serio.

— **Niech mi Pan powie, dlaczego był Pan wiarygodny dla polityków zachodnich?**

— Już starałem się to wytłumaczyć. Jeśli chce pan jakiejś reasumpcji, to powiem krótko, nie byłem doktrynerem, nie miałem uprzedzeń wobec Zachodu, szczerze mówiłem o naszych trudnościach, a także, co ważne, zwracając uwagę na wspólnotę interesów ze Związkiem Radzieckim, określałem też wyraźnie naszą odrębność. Ale zawsze zważałem by w generaliach być lojalnym wobec naszego głównego sojusznika.

— **Czy było to podyktowane rzeczywistą lojalnością, czy też może osobistym strachem? W końcu po czechosłowackim sierpniu wszystko było możliwe.**

— To prawda, niektórzy czechosłowaccy przywódcy partyjni, jak mi mówiono, zostali dostarczeni do Moskwy bez swojej zgody, ale był to specjalny przypadek, szczególnie i odosobniony.

— **Niemniej jednak czegoś, co się raz zdarzyło, nie można już na zawsze wykluczyć.**

— Prawda, ale te względy po śmierci Stalina przestały odgrywać szczególną rolę. W końcu po sierpniu 68, na który pan się powołuje, nawet Franciszek Kriegel, bardzo nie lubiany przez Breżniewa, został jednak — podobno na wyraźne życzenie Svobody — przywieziony do Czechosłowacji. Przy próbie zatrzymania go powoływano się na jego pochodzenie; urodził się w Stanisławowie. Przynajmniej tak twierdzi Zdenek Młynarz, autor interesującej autobiografii *Mróz od wschodu*.

— **Mimo wszystko są to doświadczenia mrozące krew w żyłach.**

— Z pewnością, ale ja kierowałem się rzeczywistą, polską racją stanu. Polska, czy się to komuś podoba, czy nie, skazana jest na dobre stosunki ze Związkiem Radzieckim. Każde odstępstwo od tej zasady może nam jako narodowi i państwu przynieść tylko nieszczęście. Dlatego nigdy nie spiskowałem przeciwko Związkowi Radzieckiemu, co więcej, tego nikt na Zachodzie po mnie nie oczekiwał. Oczekiwano natomiast od nas pol-

nym politykom zachodnim, z którymi się spotykałem. Więcej, mówiłem to już w poprzedniej książce, a mówiłem szczerze: nasza wysoka cena na rynku politycznym podyktowana była między innymi naszą wysoką pozycją w obozie socjalistycznym. Na kartach tej książki będę, mam nadzieję, mógł pana o tym przekonać.

— **Na czym polegały, niech Pan mi powie, specjalne stosunki Edwar-
da Gierka z Valerym Giscardem d'Estaing? W poprzedniej książce rów-
nież zadałem Panu podobne pytanie, lecz odpowiedzią, wyznam, nie by-
łem usatysfakcjonowany.**

— Proszę pana, ja nie mam na ten temat żadnych rewelacji do powie-
dzenia. Po prostu dzięki brakowi bariery językowej, mojej niezłej znajo-
mości kultury francuskiej, znalazł on we mnie niespodziewanie interesują-
cego partnera. Ponadto ponieważ ze względów politycznych, jak wszyscy
po de Gaulle'u prezydenci Francji, był zainteresowany polityką wschod-
nią, nawiązał ze mną specjalne stosunki. Ważne też było z pewnością to,
że znalazł we mnie nie tylko komunistę, lecz również polityka polskiego,
starającego się myśleć w pierwszej kolejności kategoriami interesu naro-
dowego.

— **Czy realizował Pan jakieś zadania potyktowane przez Rosjan?**

— Już panu mówiłem, że Rosjan drażniły wszelkie próby pośrednic-
twa ze strony Polski. Nie chcą widzieć w nas pomostu na Zachód bądź
pośrednika w kontaktach z drugą stroną Europy. Stąd próby pośrednictwa
w ich sporze z Litwinami, podejmowane ostatecznie, to wiedziałem, były ska-
zane na niepowodzenie. Ja dwukrotnie rzeczywiście próbowałem pośred-
niczyć w kontaktach z Breżniewem i wyznam szczerze, w obu przypad-
kach próby te zakończyły się fiaskiem. O jednej z nich, bardzo spektaku-
larnej a wiążącej się z prezydentem Francji i jego spotkaniem z Breżnie-
wem wiosną 1980 roku, szeroko już mówiliśmy w *Przerwanej dekadzie*. Z
tego spotkania, szczerze mówiąc nieudanego od samego początku, niezad-
woleni byli wszyscy uczestnicy. Mogę też śmiało powiedzieć, że w ja-
kimś stopniu zaważyło ono na moich dalszych losach. O drugiej takiej
próbie mego pośredniczenia w kontaktach z Rosjanami powiem Panu po
raz pierwszy. Ten epizod nie był nigdy odnotowany przez żadnych kroni-
karzy. Miał miejsce na pogrzebie Josipa Broz Tito.

— **A więc w tym samym mniej więcej czasie, wiosną 1980 roku, co
Konferencja w Wilanowie.**

— Co więcej, dotyczył tej samej sprawy Afganistanu. W trakcie uro-

czystości pogrzebowych, w których bierze udział wielu prezydentów i premierów, w szczególnych przypadkach załatwia się wiele politycznych problemów. Przyznaję, że nie sprzyja to kontemplacji bądź rozmyślaniu o zmarłym polityku, ale, być może, jest jakąś swoistą formą hołdu, bowiem okazję do rozmów, często poważnych, stwarza osoba zmarłego. Ja na tym pogrzebie miałem wyjątkowo wiele kontaktów i rozmów. Gdy oczekiwałem w Domu Pogrzebowym na wyprowadzenie zwłok prezydenta Jugosławii, niespodziewanie podszedł do mnie Ziaul Khak wraz z tłumaczem i oświadczył, że chce odbyć ze mną ważną rozmowę. Na jego prośbę udałem się do małej salki, jakich tam jest kilka, i wówczas prezydent Pakistanu poprosił mnie o skontaktowanie z Leonidem Breżniewem. Powiedział, że chce z nim rozmawiać na temat wojny w Afganistanie. „Z narodami Afganistanu — pamiętam, jak mi tłumaczył — wiążą nas więzy religijne i etniczne i chcielibyśmy przyczynić się do zakończenia bezsensownej wojny. Z rządem w Kabulu nie chcemy rozmawiać, bowiem jest niewiarygodny i dlatego zwracamy się do Pana z prośbą o pośrednictwo. Znamy — podkreślił to nieżyjący już dziś polityk pakistański — pańską wstrzeźliwość wobec konfliktu afgańskiego i dlatego prosimy Pana o dopomożenie w nawiązaniu kontaktów z prezydentem Breżniewem.”

— **Skąd znali Pana wstrzeźliwość wobec radzieckiej interwencji w Afganistanie?**

— Dla każdego zajmującego się polityką, brak naszych deklaracji w sprawie interwencji w Kabulu (chyba tam wtedy rezydował Babrak Karmal) był jednoznaczna wskazówką, że Polska nie tylko nie entuzjazmuje się tą wojną, ale również jej nie popiera.

— **Szybko skontaktował się Pan z Breżniewem?**

— Niemal natychmiast podszedłem do radzieckiego przywódcy i przekazałem mu wiernie wszystko to, co powiedział mi Ziaul Khak. Breżniew wysłuchał w milczeniu i jeszcze nie zdążył się do mnie odezwać, gdy do rozmowy wtrącił się minister Gromyko i nawet nie pytając o zgodę sekretarza generalnego, sam za niego udzielił odpowiedzi.

— **Czy nie było to na swój sposób szokujące?**

— Mówiłem panu w *Przerwanej dekadzie*, że w ostatnich latach Breżniew już nie rządził; decyzje w jego imieniu wydawała jakaś nie formalna grupa, bo nie sądzę, by było to całe Biuro Polityczne. Otóż Gromyko jako człowiek suwerennie kierujący polityką zagraniczną, powiedział wtedy do mnie zresztą bez sympatii: „Niech oni zwrócą się do Kabulu. Tam, chyba wicie jest suwerenny rząd i mają tam Ministerstwo Spraw Zagranicz-

przezyci. Na swój sposób było to niezwykłe.

— **Czy nie żałował Pan podjęcia się tej misji?**

— Niech pan sobie wyobrazi, że jednak nie, bo chociaż wiedziałem, że moje pośrednictwo nie przypadło im do gustu, to uważam, że nie mogłem postąpić inaczej. Zresztą wiedziałem od początku, że ta wojna będzie dla nich wielkim nieszczęściem, że stanie się ich Wietnamem i doprawdy robiłem co można, aby ich odwieść od tej awantury. Ale w powiedzeniu, że wielkie mocarstwa są zawsze aroganckie jest, niestety, wiele prawdy. Nie mieli zwyczaju konsultowania z sojusznikami tak znaczących decyzji, jak interwencja zbrojna w suwerennym kraju.

— **Przekazał Pan osobiście odpowiedź prezydentowi Pakistanu?**

— Nie miałem się już z czym śpieszyć i odpowiedź przekazałem zwyczajnymi kanałami dyplomatycznymi.

— **Daleko jednak odeszliśmy od omawianego przez Pana tematu polityki polsko-francuskiej.**

— Tak już jest z dygresjami...

— **Interesują mnie sekretne strony Pana specjalnych stosunków z przywódcami Zachodu. Jeśli chodzi o kontakty z Valerym Giscardem d'Estaing, to wieść gminna niesie, że po części zawdzięczał je Pan prezydenckim upodobaniom do polowań.**

— Prezydent Francji był rzeczywiście zapamiętałym myśliwym. Zupełnie odwrotnie niż ja. Ja lubię zwierzęta oglądać i chociaż strzelam dobrze, nie lubię zabijać. Zresztą muszę panu powiedzieć, że o swych upodobaniach myśliwskich pan Giscard d'Estaing powiedział mi w czasie naszej pierwszej rozmowy, jeszcze za prezydentury pana Pompidou. To też uznałem, że z tego upodobania francuskiego polityka należy wyciągnąć jakąś korzyść dla kraju. Jak pan pewnie wie, sport myśliwski we Francji jest bardzo popularny, ale myśliwych jest tam ponoć więcej niż zwierząt do odstrzału. Stąd Francuzom Polska wydaje się istnym łowieckim Eldorado. Oczywiście przepadają za Safari, ale polowanie w Polsce, zwłaszcza w zimie, kryje dla nich niezwykle wręcz uroki. Stąd pan prezydent przyjeżdżał do nas chętnie, choć nie za często. W sumie był chyba pięć albo sześć razy, włączając wizyty oficjalne. Trzeba przyznać że strzelcem jest znakomitym. Sam widziałem, jak z odległości 600 metrów trafił w lisa. Był to wynik, z którego byłby dumny, każdy strzelec wyborowy. Zastrzelił też kilka jeleni o wspaniałych porożach.

— **Czy połował również na żubry?**

— Tego nie pamiętam. Chociaż wiem, że uporczywie krążyła taka plotka. Może wzięła się stąd, że w czasie mojej wizyty we Francji pan prezydent, podkreślając nasze niezwykle zasługi w ratowaniu żubrów, których dziś są już w Polsce setki, a zna on wspaniałe sukcesy polskich leśników na tym polu, poprosił mnie o sprezentowanie Francji młodej pary żubrów. Chciał, by zapoczątkowała powrót żubrów na francuską ziemię, wytępionych tam już przed setkami lat. Prośba była, przyzna pan, szczególna, ale nie odpowiedziałem mu natychmiast, a jedynie oświadczyłem, że zorientuję się na miejscu, czy jest to możliwe. Po powrocie odbyłem rozmowę z ministrem leśnictwa i upewniwszy się, że można to zrobić bez uszczerbku dla naszego stada, poprosiłem o wyselekcjonowanie pary młodych żubrów, a następnie wysłanie ich do Francji. A co z tego dalej wynikło, czy żubry te są szczęśliwymi rodzicami liczного żubrzego stada gdzieś nad Sekwaną, tego już nie wiem.

— **Był to isticie królewski prezent.**

— Zapewniam Pana, że nie straciliśmy na nim. Trzeba też przyznać, że pan Giscard d'Estaing odwzajemnił się Polsce bardzo ładnym gestem. W czasie mojej kolejnej wizyty we Francji dowiedziałem się, że w jednym z banków na prowincji francuskiej zdeponowany jest tak zwany srebrny FON. Ze złotym Funduszem Obrony Narodowej do dziś jest sprawa nie wyjaśniona i nie tak dawno pojawiło się w gazetach wiele sensacyjnych artykułów, pełnych, jak to zwykle bywa, niejasności i pomówień na temat losów tych precjozów. W trakcie rozmowy poinformowałem prezydenta o historii tego skarbu, jego wartości materialnej i symbolicznej. Prosiłem również o jego zwrot, o ile informacja podana przeze mnie okaże się prawdziwa. Po trzech miesiącach dostałem potwierdzenie z ambasady francuskiej wraz z informacją, że skarb jest do odebrania. Na moje polecenie powołano specjalną komisję. We Francji przejęła ona kilka skrzyń, trzeba przyznać, nie tkniętych i dobrze przechowywanych, po czym skarby te zostały u nas zinwentaryzowane. Później nie dotarły do mnie żadne skargi na sposób załatwienia tej sprawy.

— **To doprawdy jest tak do nas nie podobne, że wzbudza podejrzenia.**

— Jak pan widzi nasze wzajemne stosunki z prezydentem osiągnęły pewną specyficzną zażyłość, którą w polityce się ceni, ma ona bowiem wartość niewymierną.

— **Za tę familiarność, nie wiem, czy Pan wie, zdaniem wielu komenta-**

— Nie sądzę, by było to możliwe.

— Uważam, że nie można tego wykluczyć, chociaż jest to supozycja kompletnie niesprawdzalna. Z drugiej strony przemawia za nią minimalna przegrana Giscarda d'Estaing wobec Mitteranda. Była to przegrana ledwie półprocentowa.

— Wie pan, w świetle bzdur i pomówień na mój temat, którymi w prasie polskiej karmili publiczność dziennikarze, przyznaję, że nawet i tego nie można wykluczyć. Jeśli byłoby prawdą, że moja klęska polityczna miała jakiś wpływ na przegraną pana Giscarda d'Estaing, byłoby mi niezmiernie przykro. Wiem natomiast, że ambasador francuski należący już do nowej, socjalistycznej ekipy, nie mógł się nadziwić owej kampanii nienawiści wobec mnie. Ostrzegał swoich polskich znajomych, że nagonka prasowa odbije się rykoszetem — trzeba przyznać, że się nie mylił. Pytał pan o jeszcze inne przykłady dowodzące naszych specjalnych stosunków. Z biegiem czasu utarł się zwyczaj, że półoficjalnymi kanałami dyplomatycznymi informowaliśmy się wzajemnie o faktach politycznych, wartych, zdaniem każdego z nas, przekazania drugiej stronie. Tak więc, jak pan widzi, nasza współpraca była naprawdę szczególna i wszechstronna...

Rodział trzeci

Niemcy przede wszystkim

— Jak doszło do nawiązania przez Polskę specjalnych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi?

— Można powiedzieć, że w tym samym mniej więcej czasie spotkały się inicjatywy obu naszych państw. Jednym z głównych problemów powojennej Europy jest obecność w niej wojsk amerykańskich. Obecność US-ARMY w zachodniej Europie Amerykanie traktowali nie bez powodu jako tamę dla radzieckiego ekspansjonizmu. W Warszawie, zawsze patrzyliśmy na ten problem z innej perspektywy. Chociaż, trzeba przyznać, ze względów doktrynalnych Gomułka prowadził politykę antyamerykańską, a w każdym razie nie własną i do żadnego zbliżenia na dalekiej trasie Warszawa–Waszyngton za jego czasów nie doszło. Natomiast wizyta wiceprezydenta Nixona w późnych latach pięćdziesiątych, pozostawiła po sobie uczucie niesmaku. Nasze władze zachowywały się z mego punktu widzenia, nieco błazeńsko zmieniając z godziny na godzinę trasy przejazdu Nixona, aby uniknąć spontanicznie gromadzących się tłumów. W późniejszych czasach, wiem to z własnych rozmów, irytował Gomułkę kult Kennedy’ego w Polsce. Jednym słowem, nasza polityka wobec tego wielkiego mocarstwa, notabene cieszącego się u nas całkiem niezastężoną popularnością — zwłaszcza gdy się oceni właściwie ich pełne hipokryzji postępowanie wobec Polski, była pełna irracjonalnych uprzedzeń.

— Dowodem tej hipokryzji jest wyrażony ostatnio przez administrację Buscha sprzeciw wobec polskiej prośby o redukcję naszego zadłużenia.

— To prawda, tyle że mnie to wcale nie zdziwiło. Wracając do czasów mej działalności politycznej; uważałem, że nie czyniąc sobie złudzeń, powinniśmy prowadzić wobec nich politykę aktywną, zgodną z naszym interesem narodowym. Amerykanie, chociażby z racji dosyć licznej Polonii, są od czasu do czasu zmuszeni do wykonywania gestów wobec Polski.

stosowałem kanałami dyplomatycznymi propozycję złożenia w Polsce wizyty przez prezydenta Nixona.

— **Czy uzgadniał Pan tę sprawę z Rosjanami?**

— Uzgadniać nie uzgadniałem, w sensie pytania ich o pozwolenie; z mego punktu widzenia byłoby to niedopuszczalne. Natomiast w którejś z rozmów z Breżniewem poinformowałem go, że taka wizyta się odbędzie. Chcę, żeby pan miał świadomość, że w stosunkach z Breżniewem nie było z mojej strony serwilizmu. Nasze kontakty były naprawdę partnerskie. Jeśli już były uwagi krytyczne dotyczące naszej polityki, to przekazywano je w bardzo zawołowanej, bezosobowej formie.

— **Jak Pan sądzi, czego mogli oczekiwać Amerykanie po wizycie prezydenta Nixona w Polsce?**

— Pamięta pan, że w poprzedniej książce oba bloki porównałem do dwóch klatek, ograniczających suwerenność partnerów wielkich supermocarstw, i to po obu stronach Łaby. Otóż w klatce zachodniej, z pewnością bardziej autonomicznej, wizyty przywódców radzieckich były na porządku dziennym, natomiast po naszej stronie wizyt amerykańskich nie było, gorset był mocniej zaciśnięty. Tymczasem w mojej dekadzie Amerykanie uznali, że należy to zmienić i że powinni zaakcentować również w naszej strefie swą obecność. W sposób naturalny wybór musiał paść na Polskę. Dlatego nasze zaproszenie poniekąd zbiegło się z ich zamierzeniami. Ponadto chcieli pełniejszej akceptacji międzynarodowej dla obecności swych wojsk w Niemczech Zachodnich. Szczerze mówiąc, myśmy przeciwko tej obecności nic nie mieli; zawsze woleliśmy, a w każdym razie z pewnością ja, by po drugiej stronie Łaby było więcej dywizji *marines* niż Bundeswehry. I takie właśnie były przesłanki do nawiązania między naszymi krajami szerszych kontaktów.

— **Już sama wizyta prezydenta Nixona była prawdziwą sensacją polityczną, i to w wymiarze światowym.**

— Bardzo mi to odpowiadało. Dla mnie była jasnym określeniem naszej suwerenności, a także podmiotowości polskiej polityki. Miała ponadto ważny wymiar wewnątrz europejski. Dowartościowywała nas wobec Niemiec, a również, w pewnym sensie, zdejmowała z nas odium kraju satelickiego.

— **A jak przebiegały same rozmowy? Czy spełniły pańskie oczekiwania?**

— Zaleta tej wizyty polegała głównie na jej stronie teatralnej, widowi-

skowej. Natomiast prawdziwych efektów politycznych za wiele nie przyniosła. Widać było gołym okiem, że administracji Nixona zależało w pierwszym rządzie na tym, aby zaznaczyć przed światem swą obecność w tej części Europy, w pełni zdominowanej przez Związek Radziecki. Wszelkie nasze próby rozmów na tematy czy to niemieckie, czy to gospodarcze, kończyły się grzecznymi, ale stanowczymi unikami. Jedyne problemy naprawdę interesujące tak Nixona, jak i Kissingera, dotyczyły praw człowieka i ich przestrzegania.

— **Pod tym względem nie miał Pan hipoteki zbyt obciążonej.**

— Powiedziałbym, że miałem ją wręcz czystą. Był to okres szybkiego wzrostu gospodarczego, tak więc z każdym miesiącem żyło się wtedy ludziom lepiej. Nasi zawodowi opozycjoniści spoglądali na świat ponuro, bowiem na agitację antysocjalistyczną nie było wówczas w Polsce zamówienia społecznego. Potwierdzają to zarówno ich wspomnienia, jak i późniejsze nasze koleje losu. Zarówno Michnik, jak i Kuroń albo uzupełniali studia, albo też oddawali się nostalgicznym rozważaniom.

— **Czy przypuszczał Pan wtedy, że na tych, jakże niewinnych, hasłach obrony praw człowieka wjedzie opozycja nie tylko w Aleje Ujazdowskie, ale także na Hrad i do Pankow?**

— Nie, takim wróżbitą naprawdę nie byłem. Będę jednak przecierał oczy, gdy opozycja zainstaluje się na Kremlu.

— **W Warszawie w dniach wizyty bardzo zabawnie komentowano wypychanie się na plan pierwszy Szlachcica, który, nadymając się jak paw, konferował z Kissingerem jako jego partner z naszej strony. Wyznam, że wtedy uznałem, iż Pana eksperyment musi się źle skończyć.**

— Na pańskie odczucia nie miałem żadnego wpływu, natomiast przyznaję: było to chyba apogeum Szlachcicowego snu o szpadzie. Wtedy to starał się sam siebie mianować, co prawda bez specjalnej uchwały KC, drugim sekretarzem partii. Wielu dziennikarzy tak już o nim pisało. Usłużnych i dyspozycyjnych, jak pan wie, w tym środowisku nigdy nie brakowało.

— **W sumie był więc Pan rozczarowany wizytą amerykańskiego prezydenta, czy też z niej zadowolony?**

— Zdecydowanie należy ją oceniać korzystnie. Mimo że nie przyniosła żadnych konkretnych efektów politycznych, zwiększyła prestiż Polski i otworzyła nam szerzej okna na świat.

zgodnie z prawdą, że w latach siedemdziesiątych międzynarodowa pozycja Polski bardzo zyskała na znaczeniu, skoro trzech prezydentów USA odwiedziło Polskę, a ja odwiedziłem Stany Zjednoczone.

— **Czy prezydent Ford, który przybył do naszego kraju dwa lata po Nixonie, był trudnym partnerem?**

— Miał zdecydowanie mniejsze doświadczenie w sprawach międzynarodowych i dlatego Kissinger, który był już wówczas sekretarzem stanu, odgrywał przy nim większą rolę niż przy Nixonie. Ford był partnerem zdecydowanie układniejszym i przez to lepiej się z nim pertraktowało. Wspominam go dobrze i z tej przyczyny, że zdołałem z nim wynegocjować sprzedaż licencji na telewizory kolorowe, a więc odniosłem z rozmów jakąś konkretną, wymierną korzyść dla kraju. Proponuję, abyśmy do sprawy tej jeszcze wrócili przy omawianiu spraw gospodarczych.

— **Nie mam nic przeciwko temu, aby sprawom tym poświęcić odrębny rozdział. W szerszym wymiarze natomiast interesuje mnie wizyta Cartera. Przyznam, że ten prezydent wzbudzał moją największą sympatię i jego pobyt, z racji bardzo spektakularnej konferencji prasowej, wszystkim chyba najbardziej utkwił w pamięci.**

— Inicjatywa złożenia wizyty w Polsce przez prezydenta Cartera wyszła z Waszyngtonu, a nie od nas. Formalnie po wizycie Forda, ja powinienem — zgodnie z protokołem — wizytować Cartera. Przyznam się jednak, że zamiast wizyty trzeciego już prezydenta USA w czasie jednej dekady sprawił mi prawdziwą satysfakcję. Propozycja była ważna jeszcze z tego względu, że dwaj poprzedni prezydenci reprezentowali administrację republikańską, natomiast Carter, jako demokrat, tworzył już niepisany zwyczaj składania wizyt w Polsce przez wszystkich kolejnych prezydentów USA. Ponadto wizyta Cartera, a nie moja rewizyta w USA, była korzystna jeszcze z jednego względu: dawała większe w wymiarze międzynarodowym nagłośniecie polskich spraw. Z prezydentem przybywali do Polski dziennikarze z całego świata i dzięki temu Polska była przez pewien czas tematem dnia. Carter był człowiekiem bardzo ujmującym, w sposobie bycia mającym wręcz sporo wdzięku. Dzięki temu rozmowy z nim przebiegały w bardzo dobrej atmosferze. On również, wzorem swoich poprzedników, mocno akcentował sprawy obrony praw człowieka.

— **Ale znajdował się, nie wiem czy Pan pamięta, pod mocnym ostrzałem ataków prasowych. Barbara Walters, znana komentatorka jednej z trzech wielkich sieci telewizyjnych USA, powiedziała na Okęciu, że Carter powinien wizytować Bukareszt, a nie Warszawę.**

— Nie wiem, czy później pani Walters „gratulowała” sobie przenikliwości, w każdym razie nonszalancja dziennikarzy wielkiej prasy światowej, gdy pisali na temat tak zwanej Europy Wschodniej, doprowadzała mnie często do białej gorączki.

— **Czy koncepcja przeprowadzenia „na żywo” w telewizji konferencji prasowej prezydenta Cartera była ceną, którą należało zapłacić za fakt wizyty tak ważnego amerykańskiego gościa?**

— Nie była to żadna szczególna cena. Mówiąc, panie Januszu, cynicznie, prezydent, jako gość rządu polskiego, nie mógł przecież zrewoltować Polski, nie mógł też powiedzieć niczego, co by przekraczało prawa gościa. Było to, przynaję, spektakularne widowisko, ale nie niosło żadnych specjalnych niebezpieczeństw.

— **Dlaczego wobec tego wytworzono wokół tej konferencji specjalną aurę? Po pierwsze utrudniano wejście na nią tak zwanej prasy opozycyjnej, a dziennikarzy z tego obozu chciała zaprosić strona amerykańska, po drugie — pierwsze rzędy obsadzono dziennikarzami oficjalnymi, których zadaniem było zablokować ludzi z niewygodnymi dla partii pytaniami.**

— Wie pan, pierwsze o tym słyszę. Może dlatego, że tym się zwyczajnie nie zajmowałem, ale, oczywiście, nie wykluczam takiego postępowania Wydziału Prasy. Uważam, że było to zbędne i wynikało zwyczajnie z asekuracji. Ponadto ludzie organizujący tę konferencję z pewnością nie chcieli być źle ocenieni. A kłopotliwe dla nas pytania, gdyby zostały zadane, wpłynęłyby na taką właśnie ocenę ich pracy. Z drugiej strony teraz stawia mi pan pytania, niech pan wybaczy, trochę jak egzaltowana pensjonarka. Przecież wszystkie takie konferencje są przygotowywane. Na konferencjach prasowych, ograniczonych w czasie, prezydenci wybierają wskazanych sobie dziennikarzy, aby uniknąć niewygodnych kwestii. Tutaj natomiast prezydent Carter mógł iść na pełną improwizację, bowiem niewygodnych dla siebie pytań zwyczajnie nie oczekiwał.

— **Nie wiem, czy Pan czytał pamiętniki Zbigniewa Brzezińskiego? W ich polskiej wersji jest dosyć szczegółowo omówiona wizyta prezydenta Cartera w Warszawie. O Panu pisze Brzeziński dosyć ciepło, podkreśla Pańską dobrą wolę. Natomiast nieco sensacyjnie opisuje wizytę Rosalyn Carter, małżonki prezydenta, u kardynała Wyszyńskiego. Czy rzeczywiście było to takie niezwykle, że pani Carter złożyła wizytę Prymasowi?**

— Proszę pana, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Gdy Pan Brzeziński powiedział mi, że ma rodzinę w Warszawie, wręcz nakłaniałem go do spotkania z kuzynami. Jeśli natomiast chodzi o wizytę u Prymasa, to

kał się z kim cnciał, kiedy cnciał i gdzie cnciał.

— **Skoro goście amerykańscy uchylali się od omawiania z Panem sprawy niemieckiej, jakie z tych wizyt wynikały dla Polski korzyści w układzie Polska–Niemcy?**

— Plusem podstawowym było to, że Polska opuściła zaścianek i wypłynęła na szerokie wody polityki międzynarodowej, mocno zaznaczyła swe istnienie. Ponadto były ważne w sensie psychologicznym: na zachodzie Europy, na mapach tam drukowanych, znikł napis: „ziemie pod tymczasowym polskim zarządem”. Natomiast w sensie politycznym nie miałem złudzeń, a dobrze by było, aby również dziś nikt ich nie miał, że wszelkie wybory pomiędzy nami i Niemcami zawsze dla Amerykanów będą jednoznacznie wyborami proniemieckimi. Co gorsza, dziś, przed bezpośrednim zjednoczeniem obu państw niemieckich, obawiam się, że dla naszych wschodnich sąsiadów ten wybór będzie podobnie jednoznaczny co dla Stanów Zjednoczonych. Natomiast wizyty amerykańskie robiły na Niemcach wrażenie. Sam pamiętam, jak kanclerz Schmidt z szacunkiem pytał mnie o treść rozmów z którymś z amerykańskich prezydentów.

— **I co Pan wtedy mówił, czy trochę Pan koloryzował?**

— Szczegółów już nie pamiętam. Ale zapewniam pana, że naszą pozycję starałem się przedstawić w jak najkorzystniejszym świetle.

— **Ale czy wobec tego można powiedzieć, że w sensie strategicznym udało się Panu spełnić swój zamiar i okrażyć Niemcy?**

— Jeśli pan tak odczytał moje słowa, to źle je pan zrozumiał. Nie, nie chciałem, bo nie mogłem okrażyć Niemiec. Ja chciałem, aby Polska przestała wisieć tylko u klamki radzieckiej. Aby w kwestiach swej suwerenności, a także trwałości swych granic, przestała być jedynie klientem radzieckim. Wyraźnie w tym miejscu chcę podkreślić, że nie było to lekceważenie bądź niedocenianie w tym względzie poparcia radzieckiego, myśmy jedynie chcieli w tych zasadniczych dla bytu państwowego sprawach stać nie na jednej nodze, lecz na dwóch. A tę drugą mocną podporę mógł nam dać jedynie świat zachodni. Na przykład fakt, że Amerykanie uchylali się od szerokiego omawiania spraw polsko-niemieckich, nie oznaczał, bym nie korzystał z okazji i nie dawał trzem kolejnym prezydentom wykładu o ważności dla Polski Ziemi Zachodnich. Moja taktyka przypominała drążenie skały kropla po kropli. Nie wiem też, oczywiście, jakie to wrażenie robiło na prezydentach amerykańskich, czy znajdowało jakies reperkusje w rozmowach przez nich prowadzonych w Bonn czy Waszyngtonie. Sądzę, że raczej niewielkie, nie przeceniałbym tego. W sensie poli-

tycznym, i to ogólnoeuropejskim, liczyło się jednak trwale całe spektrum związane z kolejnymi wizytami.

— **Oby tak było.**

— Tym razem jestem tego pewien. Wie pan, polityka to takie dziwne zajęcie, że efekty, i to bardzo spektakularne pewnych wizji czy nawet tylko posunięć, dojrzewają powoli i przynoszą owoce dopiero po latach. Mieliliśmy już okazję zatrzymać się na dłużej na wizji de gaulle'owskiej. Na czym polega jej niezwykłość? Na tym, że wybitny wielki polityk, przedstawiciel starego, znaczącego w dziejach świata państwa i narodu, powiedział głośno i ekspresyjnie, i to w zapomnianej przez świat sali polskiego Sejmu coś, o czym ludzie mogli tylko śnić. Ta idea w pierwszej chwili mogła wydawać się absolutną mrzonką, nieiziszczalnym snem starszego pana, stojącego już wówczas nad grobem, ale została wypowiedziana głośno i zapadła w umysły, a co ważniejsze — serca ludzkie. Była przeciwna nieludzkiemu i sprzecznemu z logiką dziejów sztucznemu podziałowi starego kontynentu, a została wypowiedziana tak zręcznie, że jej uniwersalizm mógł być głoszony po obu stronach linii demarkacyjnej dzielącej Europę. Ta idea stała się, nieomal w sposób podświadomy, ideą powszechną i dlatego musiała pewnego dnia zwyciężyć. I jestem szczęśliwy, że pod koniec życia doczekałem się jej realizacji. Chociaż wiem, że nie będzie to łatwe i że jej wcielanie w życie kryje wiele zagadek.

— **Mówi Pan o tym z takim przekonaniem, jakby zawsze był Pan jej zwolennikiem.**

— Proszę pana, wiele rzeczy mi się nie udało, nie tylko z mojej winy, ale jedno z pewnością mi się powiodło, a mianowicie udało mi się Polskę przybliżyć do Europy. Dzięki mojej polityce, a częściowe otwarcie granic było naprawdę moją koncepcją, miliony Polaków w ciągu tamtej dekady zetknęły się z wyższym poziomem życia, z wyższym poziomem cywilizacyjnym i technologicznym.

— **Ale może właśnie z powodu powstania tych możliwości wyjazdowych, z powodu wyjścia z zaścianka ludzie Pana odrzucili?**

— Na pewno zaważył na tym brak komplementarności efektów naszych starań i wysiłków. Poziom rozwoju sił wytwórczych i życia w Polsce nie nadążała za oczekiwaniami społecznymi. Ta sprzeczność musiała doprowadzić do eksplozji, szkoda jedynie, że tak kosztownej.

— **Wróćmy do spraw niemieckich. Jaka rolę w przybliżaniu do Europy**

widzieli Polskę ważniejszą i potężniejszą.

— I to się powiodło?

— Z pewnością tak. Z Niemcami, a konkretnie z kanclerzem Schmidtem, zintensyfikowałem kontakty w połowie lat siedemdziesiątych. Kamieniem probierczym nowej wobec Niemiec polityki stała się sprawa mniejszości niemieckiej w Polsce. Wówczas Niemcom Zachodnim nie chodziło o organizowanie tej mniejszości w Polsce, lecz raczej o ściągnięcie blisko dwustu tysięcy osób do RFN, w ramach tak zwanego łączenia rodzin. Sprawa była bardzo delikatna w wymiarze wewnętrznym. W gruncie rzeczy dotyczyła Ślązaków, czy też Warmiaków, od pokoleń raczej przyznających się do polskości. Ich odwrócenie się od Macierzy, bo tak na to trzeba patrzeć, wiąże się z całym pasmem błędów popełnionych przez władze polskie po wojnie. To tragiczny i bardzo bolesny temat. Polaków na Śląsku, na Warmii i Mazurach, a także na Opolszczyźnie spotkało wiele krzywd i upokorzeń.

Dramat zaczął się w dniach wyzwolenia. Wkraczająca na te ziemie Armia Czerwona w pierwszym impecie nie dostrzegała różnicy pomiędzy polskimi autochtonami a Niemcami. Podobnie Polacy przybywający wraz z administracją z innych regionów, w autochtonach dostrzegli jedynie sezonowych Polaków. I tak mimo prób unormowania, wyjaśnienia nieporozumień z biegiem lat pogłębiał się rachunek krzywd. Konflikt utajniony w latach twardej polityki, wybuchł z wielką siłą w okresie przygotowań do Konferencji KBWE w Helsinkach. Przed Konferencją ambasada RFN w Warszawie zgromadziła sto kilkadziesiąt tysięcy podpisów ludzi deklarujących chęć wyjazdu z Polski do RFN.

— Jakie były tego reperkusje w partii?

— W partii, zwłaszcza na Śląsku i w opolskim, była generalna tendencja nie wypuszczania *volkswagen Niemców*, jak ich z pewnością krzywdząco nazywano. Proszę pana, problem pogranicza polsko-niemieckiego na Śląsku był niezmiernie skomplikowany i do dziś, jak sądzę, jest w Polsce centralnej nierozumiany. Tutaj, w kraju węgla i stali, problemy narodowe dzieliły nie tylko całe społeczeństwo, lecz nawet rodziny. Często ojcowie przyznawali się do polskości, a dzieci do niemieckości i odwrotnie. Trzeba przyznać, że Niemcy wkraczając na nasz Śląsk w 1939 roku, problemy narodowościowe potraktowali bardzo pragmatycznie i każdemu mieszkańcowi polskiego Śląska dali kwestionariusz, w którym nie było narodowości polskiej. Były za to 22 narodowości, wśród nich takie, jak „górnos Śląska” i „wschodniogórnos Śląska”, a nawet cygańska. Z ich punktu widzenia nie było to głupie i nie wymagało zaprzęgnięcia narodo-

wego, przynajmniej ostrego, aby dopasować się do nowej rzeczywistości. Z kolei władze polskie po długich wahaniach po 1945 roku przyznały volksdeutschom z tak zwaną trzecią kategorią narodowość polską. Na marginesie powiem, że Gomułka był temu przeciwny. Trzeba wiedzieć, że status Niemca na tych ziemiach oznaczał po wojnie wysiedlenie do Niemiec. Nie miejsce tu na rozprawę o tak złożonym problemie. Sądzę jednak, że nie można nad nim przechodzić ot tak sobie bez zastanowienia i głębszej refleksji... W rezultacie wyjeżdżając na Konferencję w Helsinkach nie miałem sprecyzowanego zdania w tej sprawie. Problem w sensie wewnętrznopolskim nie był rozwiązany. Miałem pewność, że brak naszej zgody na wypuszczenie ludzi, którzy chcą wyjechać, narazi nas na potępienie przez międzynarodową opinię publiczną i stworzy ogromne problemy wewnętrzne. Zamiast granic, mówiąc wprost, musielibyśmy otworzyć bramy więzień. Innego wyjścia nie mieliśmy. Liberalizacja lat siedemdziesiątych spowodowała, że ludzie przestali się bać zgłaszania roszczeń wyjazdowych. Pozostawał jeszcze trzeci wariant, z racji doświadczeń międzywojennych trudny do zaakceptowania przez społeczeństwo polskie, polegający na przyznaniu ludziom podającym się za Niemców praw mniejszości narodowej w Polsce. Ten wariant byłby prawdopodobnie najlepiej przyjęty w RFN, dla nas jednak oznaczałby otworzenie prawdziwej puszkii Pandory. Wyjeżdżałem więc do Helsinek z niepokojem w sercu, wiedziałem bowiem, że czekają mnie trudne negocjacje.

— **Kiedy Pan znalazł czas na te negocjacje?**

— Konferencja, zakończona podpisaniem umowy ogólnoeuropejskiej, trwała trzy dni. Nie mieliśmy więc innego wyjścia i negocjacje z kanclerzem Schmidtem i ministrem Genscherem musieliśmy prowadzić w nocy. Były to rozmowy bez końca, od godziny ósmej wieczorem do piątej rano. Toczyły się nocą między pierwszym a drugim dniem Konferencji.

— **Jaki był punkt wyjścia obu stron?**

— Niemcy chcieli uzyskać naszą zgodę na wyjazd wszystkich osób znajdujących się na posiadanych przez nich listach. A było na nich 170 tysięcy nazwisk. Myśmy natomiast chcieli tę listę maksymalnie uszczuplić i nie tworzyć prawdziwego eksodusu. Wychodziliśmy więc, praktycznie mówiąc, z przeciwstawnych stanowisk. W rozmowach ze strony polskiej uczestniczyli, poza mną, premier Piotr Jaroszewicz i minister Stefan Olszowski, a ze strony niemieckiej, jak wspominałem już — kanclerz federalny i minister spraw zagranicznych. Delegacje były więc kompetentne i wiedzieliśmy, że sale możemy opuścić tylko po podpisaniu porozumienia.

wczy, natomiast kanclerz sprawiał wrażenie bardziej miękkiego w swych żądaniach.

— **Czy po stronie polskiej było podobnie?**

— Nie, tutaj główny ciężar rozmów spoczywał na mnie, bowiem z natury rzeczy znałem ten problem lepiej od innych, jeszcze z czasów mej katowickiej działalności.

— **Czy były jakieś szczególnie dramatyczne momenty?**

— Chyba ze dwa razy rozmowy zrywaliśmy, by później wrócić do nich w czasie spacerów z kanclerzem po ogrodach ambasady. Wie pan, niezwyczajnie dla tych rokowań było to, że takie rozmowy zazwyczaj przygotowywane są w czasie długich, często żmudnych, rokowań ekspertów. Tu natomiast do tych rokowań zostaliśmy po prostu zgwałceni przez Niemców. Stąd tak wysoki, w gruncie rzeczy niespotykany szczebel rozmów częściowo technicznych oraz konieczność, i to bezwzględna, doprowadzenia ich do końca, o ile nie chcieliśmy międzynarodowego skandalu. Pikanterii przydawał im jeszcze fakt, że rokowania na temat czwartego koszyka, a więc praw człowieka, a w tym wolności podróżowania, uzyskiwania paszportu itp. itd., odgrywały, z punktu widzenia Zachodu, kluczową rolę. Szczerze też mówiąc, od spełnienia tego postulatu Zachód uzależniał podpisanie protokołu końcowego. Za nic więc nie chciałem, abyśmy stali się czarnymi owcami Konferencji. Ponadto wiedziałem, że jeśli nie chcemy cofnąć się do epoki zimnej wojny, musimy wobec żądań Niemców być powolni.

— **Jak daleko mógł Pan ustąpić bez obawy rewolty w kraju?**

— Chciałem, przynajmniej w pierwszym momencie, liczbę emigrantów ograniczyć do rozsądnych rozmiarów. Niemcy natomiast byli gotowi walczyć o każdego człowieka.

— **Na jaką liczbę wyjeżdżających osób zgodziliście się w końcu?**

— O piątej nad ranem ustaliliśmy, że wyjedzie z Polski 120 tysięcy osób, a więc o 50 tysięcy poniżej oczekiwań strony zachodnoniemieckiej.

— **Jaka na te ustalenia była reakcja w kraju?**

— Po powrocie czekało mnie kilka trudnych rozmów. Największe pretensje zgłaszali sekretarze Komitetów Wojewódzkich partii w Katowicach, Opolu i Olsztynie. Odbyłem wtedy rozmowy między innymi z Grudniem i Żabińskim i spytałem ich: co zrobiliście, aby tych ludzi zachować dla Polski? Nie sztuką jest dziś protestować, sztuką było tak pokierować sprawa-

mi, aby wyjazdy nie były dla nich rozwiązaniem, o które są skłonni walczyć do końca. Rozpowiadano wtedy dosyć szeroko, że Gierek handluje ludźmi z Niemcami.

— **Jak to: handluje?**

— W Helsinkach dogadaliśmy się nie tylko co do wyjazdu 120 tysięcy osób do Republiki Federalnej Niemiec, lecz także uzgodniliśmy, że RFN, za dokonane przez Rzeszę Niemiecką eksperymenty w obozach hitlerowskich, zapłaci tytułem odszkodowania miliard marek.

— **Czy było jakieś iunctim między obiema kwestiami?**

— Nie, żadne. Ale wspólne dogadanie się w obu sprawach ubarwiało bardzo interesująco, zdaniem niektórych, cały problem. Protesty te, zwłaszcza gdy patrzy się na nie z dzisiejszej perspektywy, były przejawem ciasnego nacjonalizmu. Każdy człowiek, zgodnie z konwencjami ONZ, ma prawo wybrać sobie narodowość i obywatelstwo. Jeśli się chce, aby ludzie mieszkali w kraju swych przodków, trzeba im tworzyć jak najlepsze warunki mieszkaniowe, warunki życia, pracy i wypoczynku.

— **Czy warunki umowy zostały przez stronę polską dotrzymane?**

— Zostały nie tylko dotrzymane, lecz znacznie przekroczone, bowiem do końca lat siedemdziesiątych wyjechało jeszcze dodatkowo 100 tysięcy ludzi.

— **W sumie więc 220 tysięcy ludzi.**

— Tak. Chcę powiedzieć, że gdybyśmy złamali prawa człowieka i zamknęli przed chcącymi wyjechać granicę, problem niemiecki wyglądałby dziś znacznie poważniej, a mniejszość niemiecka w Polsce byłaby obecnie bez porównania liczniejsza.

— **Czy to polskie otwarcie — na życzenia niemieckie — było kluczem do uzyskania przez Pana najlepszych po wojnie stosunków Polski z RFN?**

— W jakimś sensie z pewnością tak. Solidna realizacja postanowień przyjętych przez Polskę w Helsinkach była dla Niemców, można to już dzisiaj śmiało powiedzieć, swoistym papierkiem lakmusowym określającym naszą rzetelność. Niemcy bardzo bacznie nam się w tym okresie przyglądali, a naszą rzetelność przyjęli z uznaniem.

— **Jakie korzyści miała z tego Polska?**

— Zwiększyło to naszą wiarygodność w Europie Zachodniej i nie tyl-

nością bezrozumnie, nie mogli mi tego długo wybaczyć. I po moim spe-
ku ponownie pojawiły się zarzuty na temat mego handlu żywym towarem.
Zintensyfikowały się te pretensje w stanie wojennym i dopiero znacznie
później bieg wypadków ogólnopolitycznych wykreślił je z porządku dzien-
nego. Pragnę jednak podkreślić to jeszcze raz, że podjęta wówczas prze-
ze mnie decyzja była słuszna i choć był to krok, jak na stosunki powojen-
ne, epokowy, doprawdy nie było żadnej sensownej alternatywy. Zresztą
zweryfikowało ją w sposób bolesny samo życie, gdy w okresie stanu wo-
jennego i bezpośrednio przed nim trwał prawdziwy eksodus z Polski, i to
już nie Niemców, lecz prawdziwych, rdzennych Polaków, marzących jedy-
nie o osiedleniu się w RFN.

— **Powróćmy do okresu wcześniejszego, do pańskich stosunków z kanclerzem Schmidtem, a tym samym, do stosunków polsko-zachodnio-niemieckich.**

— Już po Helsinkach złożyłem kilkudniową wizytę w Republice Fede-
ralnej Niemiec. Szczególnym punktem programu było podjęcie mnie —
wraz z Babiuchem, Olszowskim i ambasadorem Piątkowskim — przez
kanclerza Schmidta w jego prywatnej willi. Był to bardzo przyjacielski
gest kanclerza wobec Polski i mnie osobiście. Został szeroko odnotowany
w prasie zachodnioniemieckiej i był, obiektywnie biorąc, bardzo dla nas
korzystny. Kolejny raz spotkałem się z kanclerzem na Helu.

— **O tej spektakularnej wizycie kanclerskiej prasa światowa pisała ja-
ko o swoistym ewenemencie, to znaczy o podróży jachtem kanclerskim
do Polski.**

— Jacht nie był kanclerski, bo kanclerz RFN go nie ma. Był to jacht
przyjaciela pana Schmidta, którym kanclerz, wraz z tym przyjacielem,
przyłynął na Hel. Powitałem go wówczas w porcie wojennym, potem po-
jechaliśmy wspólnie do Juraty, gdzie kanclerz nocował. Następnego dnia
nasz gość odbył całonocną wycieczkę prywatną do Torunia, skąd powró-
cił pod wieczór do Juraty, gdzie był podejmowany kolacją, połączoną z
małym koncertem skrzypcowym. Trzeciego dnia pan Schmidt odpłynął z
Helu do Hamburga. Była to w zasadzie wizyta prywatna. Następne nasze
spotkanie miało miejsce w Belgradzie na pogrzebie Josipa Broz-Tito.
Tam spotkaliśmy się na kilkugodzinnym śniadaniu w hotelu. Spotkanie zo-
stało odnotowane przez prasę i telewizję. Kilka miesięcy później miałem
się spotkać z panem Schmidtem w Republice Federalnej Niemiec. Do
spotkania miało dojść 21 sierpnia 1980 roku. Znane wydarzenia spowodo-
wały odwołanie przeze mnie wizyty.

— **Jaki był temat tych spotkań? O czym Pan rozmawiał, a właściwie:**

na jaki temat klócił się Pan z kanclerzem? Wiemy już jak było w Helsinkach, ale co było tematem większości spotkań Panów?

— Daj Boże każdemu taką kłótnię, która kończy się solidnym i rzetelnie realizowanym porozumieniem. Rozmowy dotyczyły całego splotu spraw interesujących oba kraje. Kanclerz był gorącym orędownikiem szerokiego porozumienia pomiędzy Polakami i Niemcami. Często przy tym dowoływał się na przykład takiego porozumienia pomiędzy nimi i Francją. Ja, po umowie z Honeckerem i doświadczeniach z otwarciem naszej granicy, byłem już bardziej wstrzeźliwy. Ponadto, znając wzajemne uprzedzenia, nie chciałem, abyśmy z tej nowej, tym razem turystycznej konfrontacji wyszli za bardzo obolali. Poprzestaliśmy więc na znacznym zintensyfikowaniu ruchu turystycznego i na stworzeniu wielu ułatwień wizowych dla obywateli obu krajów. Sądzę, że było to rozwiązanie słuszne. Na więcej nie było nas wtedy stać. Kanclerz stale chciał rozszerzać te kontakty, ja byłem — ze względów wyłożonych wyżej — wyraźnie bardziej wstrzeźliwy. Tłumaczyłem swemu niemieckiemu partnerowi, że znacznych oporów uprzedzeń wobec Niemców, spowodowanych wojną i strasznymi, polskimi doświadczeniami, nie można przełamywać zbyt gwałtownie. Pan Schmidt powoływał się wtedy na głośny sprzed lat list dyskusyjny polskich: „Przebaczamy i prosimy o wybaczenie”. Na to replikowałem, że list ten, mimo że była pod nim podpisana polska hierarchia państwowa, został przyjęty przez opinię publiczną z bardzo mieszanymi uczuciami.

— Czy omawiał Pan także sprawę podręczników, map, nazewnictwa geograficznego? Uregulowanie tych spraw było istotne dla rzeczywistego porozumienia niemiecko-polskiego i vice versa.

— Oczywiście, chociaż nie zajmowaliśmy się tymi problemami szczególnie, były one bowiem wielokrotnie omawiane w tych latach i później na posiedzeniach komisji ekspertów. Wpływu bezpośredniego na te sprawy już mieć nie mogliśmy, nas raczej niepokoił powolny postęp prac. Z tego punktu widzenia najistotniejsze jednak były dysproporcje w rozwoju naszych krajów. Załamanie się naszego planu i koncepcji rozwojowych podejmowanych w tamtej dekadzie spowodowało, że dystans między nami, miast maleć, zaczął się w latach osiemdziesiątych w szybkim tempie zwiększać. W rozmowach z kanclerzem, z którym z biegiem lat, w miarę rozwoju wzajemnych kontaktów, osiągnęliśmy daleko posuniętą szczerość, tłumaczyłem, że jednym z warunków naszego pojednania, które powinno się zakończyć przekreśleniem popularnego powiedzonka: *Jak*

ze przy realizacji tego programu Niemcy powinni nam pomóc, bo zbytne dysproporcje nie są i nie mogą być korzystne dla obu stron. Kanclerz z tym się zgadzał i trzeba przyznać, że bardzo sprzyjał rozwijaniu wszechstronnych kontaktów gospodarczych między naszymi krajami. Ale moje próby zintensyfikowania tych stosunków, o czym będziemy mówili oddzielnie, były hamowane z powodu uprzedzeń narodowych wielu towarzyszy, tak z kierownictwa partyjnego, jak i państwowego.

— **Uprzedzenia były po obu stronach, czemu trudno się dziwić. Czy jednak Pan i Kanclerz Federalny byliście od nich wolni?**

— Odnoszę wrażenie, że byliśmy wzajemnie otwarci na wszelkie idee i koncepcje współpracy. Pan Schmidt był wyraźnie pozbawiony uprzedzeń antypolskich i zdecydowanie szczerze chciał realizować wszystkie wspólne podjęte ustalenia. Dla niego nie istniał problem granicy na Odrze Nysie, bowiem, co podkreślał, była to sprawa jednoznacznie zamknięta. Problem ten, co rozumiałe, jednak istniał i był rozgrywany w polityce wewnętrznej RFN, ale Schmidt nie miał już na to wpływu. Zresztą, muszę powiedzieć, że sposób ogólnego wychowania w RFN powodował, iż obywatele tego kraju, a dotyczy to przede wszystkim młodego pokolenia był generalnie otwarci na sprawy polskie.

— **Czy Pana zdaniem, na zjednoczeniu Niemiec zyska prawica?**

— Zdecydowanie tak. O tych sprawach mówił też ze mną kanclerz zwracając szczególną uwagę na terapeutyczne — w sensie społecznym — zalety wolności i demokracji.

— **Zgadzał się Pan z tym?**

— Tak, proszę pana, dwadzieścia jeden lat swego życia spędziłem w społeczeństwach demokratycznych, znacznie bardziej demokratycznych niż Polska międzywojenna, dlatego nie miałem nigdy w życiu fobii antydemokratycznej, ale stałem na stanowisku, że do demokracji każde społeczeństwo musi dorosnąć. Nie chcę być złym prorokiem, ale obawiam się że w naszej części Europy jeszcze będziemy mieli zdrową czkawkę będącą reakcją na wprowadzanie instytucji demokratycznych w naszych krajach, nie wyłączając samej Polski.

— **A czy Pański komunizm, a kanclerza — socjaldemokratyzm nie stałoby przeszkodą we wzajemnym zrozumieniu.**

— Panie Januszu skoro mogłem dogadać się z panem Giscardem wywodzącym się z zupełnie innej klasy społecznej niż moja, to tym bardziej nie mogłem mieć trudności w rozmowach z wybitnym socjalistą i działaczem Międzynarodówki Socjalistycznej.

— A czy odczuwał Pan w tym okresie zagrożenie niemieckie? Czy w kanclerzu Schmidcie widział Pan wroga?

— Rząd socjaldemokratyczny prowadzony przez pana Schmidta miał wobec naszego kraju, moim zdaniem, dobre intencje, pragnął dla dobra narodu niemieckiego jak i ogólnoeuropejskiego zasypywać podziały, a nie zwiększać je, ale, jak pan wie, w polityce nic nie jest wieczne i zawsze istnieje pokusa, aby słabego oszukać bądź wykorzystać. Taka sytuacja pojawia się zwłaszcza teraz. Przez lata krytykowaliśmy głośno lub po cichu porządek europejski, tak zwany pojałtański, licząc, że z jego upadkiem pojawi się coś lepszego. I oto na naszych oczach zawalił się ten porządek, lecz nowe zręby Europy wcale nie muszą być, przynajmniej dla nas, lepsze. Szczerze też mówiąc, jedyna szansa trwałej pacyfikacji Niemiec tkwi w Pakcie Północnoatlantyckim. Ale kto zagwarantuje, że po szybkim dołknięciu NRD, a także przetrwaniu tej części Niemiec, nie pojawią się nowe hasła powiększenia przestrzeni życiowej? Pamięć narodów, wbrew ogólnemu przekonaniu, wcale nie jest doskonała i może się zdarzyć, że z nowej Europy wyjdzie, o której tak pięknie mówił de Gaulle, wyklucze się *Pax Germanica*, w której staniemy się swoistym *Hinterlandem* Niemiec, a przed naszą dyplomacją stanie znów znany dylemat okresu międzywojennego: jak sobie radzić z sąsiadami. Do kogo jak się ustawiać i czego po nim oczekiwać. Jeśli rozwój wydarzeń doprowadzi do wycofania wojsk amerykańskich z Europy, miejsce ich potęgi będą musiały zająć Niemcy.

— A więc należałoby wzywać do powstania koalicji antyniemieckiej wewnątrz NATO.

— Ale taka koalicja — nawet gdyby była możliwa — nieuchronnie doprowadziłaby do poczucia krzywdy i zagrożenia niemieckiego, czyli powstania pożywki, na której wyrosły bakcyle dwóch wojen światowych. Niemcy napadali na sąsiadów dlatego, że we własnym mniemaniu chcieli ich wyprzedzić i zabezpieczyć się przed ich odwetem. Czyż nie jest to prawdziwa kwadratura koła?

— Profesor Brzeziński proponuje na to, jako antidotum, sojusz Polski ZSRR. Ma to być przeciwagą dla NATO po rozpadzie Paktu Warszawskiego.

— Niejednokrotnie mówiłem i mówię to raz jeszcze, że Polska, jakkolwiek by była, nie może budować swej przyszłości na antyradzieckości. Jednoczone Niemcy, będąc główną potęgą ekonomiczną Europy, wcześniej czy później uzyskają status mocarstwa politycznego. Niezależnie, czy im się to podoba, czy też nie, jest to fakt bezsporny. Dlatego...

nie. Stosunki niemiecko-radzieckie są dziś, jak twierdzą obie strony, oparte: „na wzajemnym zaufaniu, partnerstwie i poczuciu wspólnej odpowiedzialności za przyszły rozwój Europy”. Polska musi wyciągnąć wszystkie wnioski z tej nowej sytuacji. Rachuby na rozpad Związku Radzieckiego na powstanie w jego miejsce różnych niepodległych krajów, moim zdaniem, nie sprawdzą się. Związek Radziecki wyjdzie z tej dziejowej burzy jako nowoczesne federacyjne mocarstwo, skupiające suwerenne narodowe republiki. Polska — państwo pomiędzy dwoma mocarstwami dominującymi w Europie nie może i nie powinna wybierać drogi oparcia o jedno przeciw drugiemu. Winniśmy wypracować nowy model polityki, w którym ginąć będą antyniemieckie i antyradzieckie uprzedzenia. Potrzebna jest wynikająca z tego geopolitycznego położenia, nowoczesna polska polityka europejska. Natomiast jeśli chodzi o przystąpienie Polski do NATO, to jedynym rozwiązaniem leżącym rzeczywiście w interesie Polski jest układ o zbiorowym bezpieczeństwie na naszym kontynencie, który zastąpiłby aktualnie istniejące bloki wojskowe to jest: NATO i Pakt Warszawski. W ogólnym zbiorowym bezpieczeństwie Europy Polska od dawna widziała swą przyszłość, do tego celu zresztą zmierzaliśmy od wielu wielu lat upatrując w tym najlepsze z punktu widzenia polskiego rozwiązanie. Zresztą twierdzę, że zarówno udział USA, jak i Związku Radzieckiego w tym systemie jest bezspornie konieczny. Tylko bowiem takie rozwiązanie umożliwiłoby spacyfikowanie naturalnej, niemieckiej agresji na Wschód. Ponadto musimy sobie uświadomić, że Europa będzie potrzebowała swojej tarczy chroniącej ją przed Dalekim Wschodem. A tę rolę będzie mógł tylko spełnić zintegrowany z nią Związek Radziecki. Ta wizja przez autorów *science-fiction* została przedstawiona tuż po Czusimie, a więc bez mała wiek temu. Zabawne, ale jak pan widzi, na świecie wszystko już było. I jedno w tym wszystkim jest stałe, mimo kolejnych rewolucji technicznych: to, że nie zmienia się natura ludzka i mentalność. Dlatego też wciąż aktualne pozostają wszystkie nauki wynikające z historii.

— Tak więc, po dokonaniu skokowego przeglądu sytuacji jakich rad by Pan udzielił ludziom rządzącym Polską?

— Sam mam nie najlepsze doświadczenia z doradcami, dlatego tego nie zamierzam udzielać nikomu. Chociaż bardzo mi się podoba nas obecny minister spraw zagranicznych, pan profesor Skubiszewski. Jego bardzo wczesna decyzja pogodzenia się w imieniu Polski za przyłączeniem zjednoczonych Niemiec do NATO była decyzją zarazem trudną, jak głęboko trafną. W sensie moralnym była znaczącym gestem, w sensie polityki realnej natomiast nic nie znaczyła, bowiem, niestety, nie do nas należą, i to już od dobrych kilkuset lat, decyzje o kształcie Europy.

Rozdział czwarty

„Wielki Brat”

— Stosunki polsko-niemieckie od dawna były niezmiernie ważne dla bytu narodowego, sprawa Odry-Nysy od 1945 roku stała się kluczowym problemem dla Polski, ale jeszcze większe znaczenie od tych spraw przez całe 45-lecie miały stosunki na linii Warszawa — Moskwa. Czy w okresie Pańskiego urzędowania w gabinecie w Białym Gmachu na rogu Nowego Świata i Aleji Jerozolimskich czuł Pan stale oddech „Wielkiego Brata”?

— Polska Ludowa powstała w wyniku szczególnego, nie powtarzalnego w historii układu sił, uwarunkowań i stosunków między aliantami. Strasznie uboga jest prezentowana przez prawicowe siły polityczne teza, że Polskę Ludową stworzył Stalin, a rewolucję przyniosła na bagnietach Armia Czerwona.

— **Ale wszędzie, gdzie stąpnęła noga czerwoarmisty, tam powstała Republika Ludowa!**

— To prawda i nieprawda zarazem, bowiem w Austrii takiego rozwiązania nie było, mimo obecności okupacyjnych sił zbrojnych ZSRR. Przyznają jednak, że taka teza jest wygodna, pozwala bowiem zapomnieć o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i okupacyjne lata goryczy, zapomnieć o głębokim rozczarowaniu do sanacji i w kraju, i w obozie londyńskim. Pozwala też zapomnieć o zacofaniu Polski przedwrześniowej, biedzie i nędzy milionów ludzi, o analfabetyzmie i głodzie ziemi, o wszystkich plagach społecznych, które gnębiły naród. Na marginesie przypomnę, że najostrzejszym krytykiem władz przedwrześniowych był generał Sikorski, powszechnie szanowany i ceniony w kraju i na emigracji premier rządu londyńskiego. Wracając więc do meritum pytania powiem wyraźnie, że nieprawdą jest, iż nowa ludowa władza nie znalazła w kraju społecznego poparcia. Radykalizm społeczny miał w Polsce wielką bazę, byli też ludzie, którzy tego radykalizmu bronili w sposób bezwzględny.

cy ludzi.

— **A jakie były straty drugiej strony?**

— Trzeba widzieć sprawę taką, jaką ona jest. To była rewolucja. Dziś toczą się ostre dyskusje o charakterze rewolucji w ogóle. Krwawa czy bezkrwawa. Ale rewolucja charakteru sobie nie wybiera, to zależy od warunków, a zwłaszcza od siły oporu jej przeciwników. Czy sądzi pan, na przykład, że zmiany w Polsce w latach osiemdziesiątych miałyby charakter bezkrwawy, gdyby władza wystąpiła z całą mocą swej siły zbrojnej?

— **Nie zgodzę się z Panem, aby bez bagnatów radzieckich mogła w Polsce powstać formacja zwana później Polską Ludową!**

— Pozostaniemy w takim razie przy swoich zdaniach. Chcę podkreślić, że tragizm sytuacji w Polsce w latach tuż po wojnie pogłębiał fakt, że krwawa walka o władzę toczyła się wewnątrz narodu, który dopiero uniknął hitlerowskiej zagłady. W każdym razie hasło o strzelaniu do peeprowców jak do kaczek nie było mitem.

— **Tak ja mitem nie była walka z tak zwanym zbrojnym podziemiem oraz wywózki na Sybir żołnierzy AK oraz członków polskich władz cywilnych lojalnych wobec rządu londyńskiego.**

— Zapewniam pana jednak, że w owych latach przynależność do partii, w tym nawet do jej aktywu centralnego, jeszcze w 48 roku, a więc w roku mego przyjazdu do kraju, nie dawała apanaży, wymagała za to wyrzeczeń i potu. Mówię o tym, aby pokazać dowodnie, że nic nie jest ani czarne, ani tylko białe.

— **Niemniej suwerenność Polski Ludowej od początku miała ograniczony charakter. Dlatego śmiało można powiedzieć, że największym wrogiem przyjaźni polsko-radzieckiej był sam Stalin.**

— Stalin był realizatorem wizji globalnego komunizmu, zwolennikiem ze strawestuję tu MacLuhana jednej, wielkiej wioski komunistycznej. W tej wiosce globalnej Polsce z pewnością nie było pisane ważne miejsce. W centrali, czyli Moskwie, wobec zamiaru realizacji takiej wizji sprawy narodowe schodziły na plan dalszy. I komuniści polscy, a przynajmniej ich elita, z koncepcją tą z pewnością się zgadzali. Bo przecież dla prawdziwego marksisty nie było nic piękniejszego niż stworzenie z ziemi raju dla wszystkich pracujących, niezależnie od narodowości, płci czy koloru skóry.

— **W tym dziele przeszkadzali tylko źli imperialiści za miedzą. Jeśli jednak wizja przez Pana nakreślona jest prawdziwa, to jest zastanawiająca**

ce, że po raz drugi komuniści polscy byli skłonni poświęcić dla ogólnoswiatowego rajy sprawy własnego narodu. Poprzednia próba Marchlewskiego, Kona i innych z 1920 roku też była kosztowna.

— To nie tylko polscy komuniści byli skłonni poświęcić sprawy narodowe uniwersalnej idei wolności i sprawiedliwości. Taką ideę wyznawały wszystkie partie. Gdy jednak ta wizja zaczęła się oddalać, a sytuacja stabilizować, na plan pierwszy zaczęły wysuwać się sprawy państw i narodów. I wtedy i u nas wśród komunistów pojawił się permanentny, podskórny konflikt. Z każdym rokiem wszechobecni doradcy, rezydujący głównie w wojsku i bezpieczeństwie, a także w innych resortach zaczęli stawać nam kością w gardle. I można powiedzieć, że na tle realizacji idei suwerenności państwowej i narodowej, w 1956 roku po raz pierwszy doszło do pojednania partii z całym narodem. Więcej, Gomułka był niekwestionowanym przez pewien okres czasu przywódcą narodu i państwa. Niech pan przypomni sobie wybory ze stycznia 1957 roku. Jego antydemokratyczne hasło głosowania bez skreśleń i poprawek zostało powszechnie zaakceptowane, więcej — poparł je wtedy nawet Prymas Wyszyński.

— **Wtedy jednak okazało się, że częściowe rozwiązanie „Bezpieki” i odsłanie doradców do domu nie rozwiązało sprawy suwerenności.**

— Bo w dalszym ciągu pozostał prymat ideologii. A związek państw i party na wspólnej ideologii marksistowskiej i odłożonej na później, acz nie zaniechanej, koncepcji budowy owej globalnej wioski, czy raczej faryki marksistowskiej, zezwalał państwu dźwigającemu na swych barkach ciężar rywalizacji z obozem imperialistycznym na wtrącanie się w sprawy budownictwa socjalistycznego w innych krajach socjalistycznych. W rezultacie każda partia w kraju budującym socjalizm, musiała się liczyć z tym, że zostanie postawiona do raportu na forum bratnich partii. Tej topijnej koncepcji, wyrodzonej, czy jak kto woli — zdegenerowanej nieomal od zarania, śmiertelny cios zadał, jak dziś trzeba ocenić, Chruzczow. Jego rewelacje zachwiały całą konstrukcją i postawiły przed komunistami na całym świecie nie lada dylemat: czy Związek Radziecki jest rajem budującym socjalizm w skali globalnej, czy też jest opartą na norych zasadach satrapią, wstrząsaną permanentną walką o władzę pomiędzy potężnymi koteriami. Te pytania — acz działacze komunistyczni pozostali na dwie grupy: zwolenników tradycyjnego obrazu Kraju Rad i nowego, w którym się jawił tylko jako imperium gułagów — rozbiły na wałę ruch komunistyczny i spowodowały uwiądnięcie partii komunistycz-

walczącej o jej na ziemi i w niebie. Oczywiście zmiana nie dokonała się od razu i nie na wszystkich płaszczyznach.

— **Czyli jest Pan przeciwnikiem postrzegania w sposób tradycyjny naszych dziejów powojennych.**

— Smuci mnie lekceważenie dramatyzmu naszego narodowego życia w ostatnim półwieczu, a zwłaszcza uproszczone sprowadzanie go do stalinizmu i jego skutków. Przeżyliśmy i przeżywamy głęboki dramat obejmujący całe nasze życie, życie kilku generacji. Przeżyliśmy ostrą walkę wartości idei, które zdobywając świadomość ludzi, stały się siłą sprawczą i w dobrym, i złym. W tej walce ponieśliśmy niemałe ofiary. W naszej historii tak bywa, że górę często bierze nie racjonalizm myśli, lecz zwykłe emocje. Cały ten okres półwiecza czeka na wszechstronną i obiektywną ocenę. Boję się jednak, że nie ujrzę jej za swego życia. Wracając zaś do meritum pańskiego pytania powiem, że dramat nie rozgrywał się tylko w sferze związków między państwowych, w których mieliśmy do czynienia ze zniewoleniem mniejszego państwa na rzecz większego. Każdy z nas, komunistów polskich, był nie tylko członkiem polskiej partii; był także członkiem wielkiej, międzynarodowej wspólnoty. W każdym zakątku kuli ziemskiej mógł też liczyć na pomoc, przyjaźń i poparcie. Dlatego było rzeczą oczywistą, że należy zaciskać pasa, aby wspomóc towarzyszy gdzieś za granicą. Gdy imperializm się zbroił, trzeba było produkować czołgi i armaty. Gdy imperializm knuł przeciwko nam, przysyłał do Polski swoich agentów, trzeba było w sposób często brutalny być czujnym i obezwładniać plany wroga w zarodku. Proszę pana, taka była cena zimnej wojny. Taka była cena nienawiści głoszonej przez obie strony i bez zrozumienia tych prawd i reguł nie zrozumie się tamtych lat. Tylko w tej atmosferze swoistego zac zadania można było rzeczywiście wierzyć, że imperializm amerykański przysyła nam stonkę ziemniaczaną, aby nas wygłodzić i za trzymać w marszu, który może się zakończyć tylko jednym: zawieszeniem nad światem czerwonego sztandaru.

— **Po Październiku przynajmniej w Polsce nikt o zdrowych zmysłach nie chciał już zawieszać nad światem czerwonego sztandaru.**

— Toteż koncepcja polskiej drogi do socjalizmu była straszliwą herezją i Stalin, gdyby żył, wyrwałby ją z korzeniami. A u nas koncepcja ta zmarła śmiercią naturalną i niepostrzeżenie znalazła się na indeksie ulic Mysiej.

— **Czyli cenzury?**

— Tak. Odwrót od październikowych haseł był tak daleki, że w 196

Chwila relaksu



były przez Gomułkę tępione. W tych latach partia jednak w sposób jednoznaczny przekształcała się z oddziału światowej partii komunistycznej w partię polską. Nastąpił powrót do wielu narodowych tradycji. Szerzej i obiektywniej spojrzano na udział zbrojny Polaków w drugiej wojnie światowej, a także sięgnięto do ideologii i poglądów, które były ogólnonarodowymi. Zaadaptowano także dla potrzeb ideologii i polityki wszystko, co niosły w przeszłości programy swym ostrzem wymierzone w Niemcy. Strach przed bońskimi odwetowcami, nie całkiem bez racji, był swoistym lepikiem polityki państwowej. Jednak odbierało jej wiarygodność zamrożenie całego nurtu antyrosyjskiego. A na nurt ten w tradycji narodowej przypada co najmniej 60 procent narodowego etosu. W sumie więc zaczęło się modyfikowanie w Polsce czystej ideologii komunistycznej.

— Nie tylko w Polsce.

— Pozwoli mi pan na pewną dygresję. Przeżywamy w dzisiejszym świecie okres obumierania ideologii typowych dla połowy naszego stulecia. Pamięta pan, z jaką siłą promieniowała w Europie, i nie tylko w niej komunistyczna ideologia. Zaraz po wojnie miała ona mocne poparcie eli inteligenckich w całym niemal świecie, w niej upatrywano lekarstwa na choroby gnębiące ludzkość. Dziś mamy do czynienia ze swoistą dezideologizacją życia nie tylko u nas, lecz w całym świecie. Jesteśmy natomiast świadkami narastania w siłę szeregu idei, że się tak wyrażę — tradycyjnych i głównie idealistycznych. Światowy renesans przeżywa chrześcijaństwo, a zwłaszcza Kościół rzymskokatolicki, jutro może to dotyczyć prawosławia. Ogromną siłą sprawczą przemian politycznych stał się islam. Z wielką siłą odżywają regionalne nacjonalizmy. Nikt nie wie, w jakim kierunku pójdą poszukiwania idei, celu i sensu życia ludzi we współczesnym świecie wchodzącym w XXI wiek. Jak długo istnieć będzie ludzkość, istnieć będą poszukiwania idei, wartości, sensu życia, a więc celu, ku któremu dąży świat. Może te poszukiwania są sensem życia? A co one przyniosą, któż to dziś wie? W każdym razie świat w miejscu nie stanął i nie stanie, jego rozwój kształtować będą coraz to nowe siły i idee. Wracając zaś na nasze podwórko lat siedemdziesiątych, chcę z mocą powiedzieć że w procesie modyfikowania ideologii komunistycznej myśmy wśród krajów socjalistycznych byli pierwsi. Z drugiej strony ideologii komunistycznej nie mogliśmy zastąpić nacjonalistyczną, bo musiałaby ona bić jednoznacznie w ZSRR. A kraj ten miał strasliwą wobec naszego narodu historię: 17 września i zbrodnię katyńską. Katyń przecież w całym okresie powojennym zawsze był bombą z opóźnionym zapłonem. Ta sytuacja na dłuższą metę musiała prowadzić do prawdziwej kwadratury koła, nie do rozwikłania przez władzę ludową.

— **Jaką rolę w tym procesie odegrał epizod marcowy?**

— Załamanie ideologii komunistycznej było szokiem w pierwszym rządzie dla młodzieży z dobrych, komunistycznych domów. Prowadziło też do negacji wszystkiego bądź próby demaskacji systemu. Z tymi zjawiskami Gomułka walczył w sposób bezwzględny dopatrując się w nich, i słusznie, największego zagrożenia dla systemu.

— **Ale system *par excellence* ideologiczny, wspierający się na zmurszałej już ideologii, nie mógł długo istnieć.**

— Takie prawdy najlepiej widać dopiero po czasie. Wtedy wcale to nie było takie oczywiste. Ponadto istniał „Wielki Brat” ze swą straszliwą siłą militarną, zdolną zresztą do dziś obrócić świat w perzynę. Dlatego też kontestację antykomunistyczną Gomułka postrzegał jako bardzo niebezpieczne zjawisko. Ponadto zarysowało się tuż przed Marcem coś na kształt buntu elity komunistycznej. Ludzi wyrosłych w komunizmie, ba! kiedyś nawet nim zachwyconych, jak byśmy dziś powiedzieli, a teraz przeżywających wielkie rozczarowanie ideą, przez którą, jak uważali, zostali zdradzeni. Do tego wszystkiego Gomułka był oburzony reakcją towarzyszy pochodzenia żydowskiego na wojnę sześciodniową. A była ona klęską Związku Radzieckiego, który utopił w armii egipskiej miliardy dolarów i tysiące ton bezcennego sprzętu. Rozdrażniony Breżniew żądał w tej sytuacji powszechnego potępienia Izraela przez całą postępową ludzkość. Tymczasem Gomułce usłużny Moczar doniósł, że towarzysze żydowscy miast pomstować na Izrael, cieszą się bezczelnie z sukcesów zagonów cancersnych Dajana. Tego Gomułce było za wiele. W sposób logiczny wykorzystał to więc Moczar w dziewięć miesięcy później.

— **Ale Marzec tak naprawdę został zwalczony nie tylko siłami milicji i Bezpieczeństwa lecz także klasy robotniczej.**

— Klasa robotnicza miała jeszcze wtedy silne więzy z komunizmem. Przede wszystkim poczucie awansu społecznego całego pokolenia. Panięć zbiorowa tego pokolenia sięgała jeszcze wojny i czasów przedwojennych, stąd więź tych ludzi z komunizmem nie była kwestionowana. Bunt ich, dwa lata później, był podyktowany drastyczną, w ich odczuciu, obniżką stopy życiowej. Bo u nas klasa robotnicza wszystko, co się jej oferuje, bardzo chętnie bierze, nie rozumiejąc potrzeby zwiększania wykładności, ale bardzo niechętnie oddaje to, co wywalczyła. Prawdę powiedziawszy, jest to zresztą w jakimś sensie prawda uniwersalna...

zek Radziecki przekształcił się z Ojczyzny światowego proletariatu w dosyć tradycyjne Imperium, pilnujące swych interesów państwowych w sposób zgoła dziewiętnastowieczny. Ukuta wkrótce potem przez zachodnich politologów tak zwana „doktryna Breżniewa” była potwierdzeniem dokonanych zmian. Przedłużyła istnienie Imperium opartego na ideologii stalinowskiej jeszcze o dwadzieścia jeden lat. Dla Polski i dla innych socjalistycznych krajów, był to fakt bardzo niebezpieczny. Dla systemu miał natomiast dwa skutki: po pierwsze konserwował stalinizm w bardzo tradycyjnej formie i blokował głębszą reformę systemu, a tym samym krył w sobie zarzewie dzisiejszej klęski. Doktryna ta skazała też system w skali globalnej i regionalnej na definitywne wkroczenie w fazę uwiądnienia. Był to wielki błąd elity kremlowskiej, która nie pojmowała, że w dzisiejszym świecie nie reformując systemu — skazuje się go na klęskę. Gdy cały świat jest w ruchu i system kapitalistyczny od wojny podlega rozlicznym zmianom dyktowanym nie tylko przez nauki ekonomiczne, nie może istnieć gospodarka wspierająca się na prawach antyekonomicznych. Sądzę, że największym błędem socjalizmu realnego było, przyznanie za Leninem, prymatu ideologii nad gospodarką, a w konsekwencji — praktycznie zawieszenie praw rynkowych. Czyli zasady, na której opierała się cała działalność ludzka od momentu, gdy człowiek zszedł z drzewa. Dziś, gdy się trzeźwo pomyśli, trzeba stwierdzić, że cały postęp sposobów gospodarowania ludzkiego wiąże się z doskonaleniem rynku. Rynek jest też naturalnym stymulatorem postępu. Brak tego rynku prowadził do zniszczenia tradycyjnych powiązań i wyznaczników wzrostu gospodarczego. Centralny planista wstawiony w miejsce rynku byłby, być może, znakomity, gdyby kierował stacjami komputerów, a nie zespołami ludzkimi. Stąd ustawiczne w naszych warunkach odkrycia raz zalet bodźców, innym razem materialnego zainteresowania załóg wykonywaną pracą itd., itp.

— Gdy obejmował Pan władzę, nie miał Pan tej świadomości co obecnie?

— Oczywiście, nie byłem wróżbitą. Sądziłem w kierownictwie partyjnym, że dzięki zastrzykowi nowych technologii zdołamy pchnąć naprzód rozwój naszego kraju. Z tym że moi dzisiejsi krytycy, chyba nawet z życzliwości pisząc o tamtej dekadzie twierdzą, że sukcesu tak czy tak odnieść nie mogłem. Z przyczyn obiektywnych miałem być skazany na klęskę. Nie gładzam się z tym i spróbuję raz jeszcze tej tezy bronić.

— Ale powróćmy do kluczowej dla Polski sprawy jej stosunków z pierwszym mocarstwem socjalistycznym, jak to się pompatycznie w tamtych latach mawiało.

— W latach tych, inaczej niż w latach stalinowskich, a nawet sześćdziesiątych, wszyscy już zdawaliśmy sobie sprawę, że król jest nagi i że zamienienie całej kuli ziemskiej w raj komunistyczny jest nierealne. Związek Radziecki zaniechał używania pojęcia — rewolucja światowa i zastąpił je — pokojowym współistnieniem...

— **... które miało się zakończyć zwycięstwem światowego systemu socjalistycznego.**

— Te rachuby od początku były dla mnie niebezpieczne, bo mogły prowadzić do lokalnych awantur, a nawet wojny światowej. Stratedzy moskiewscy chcieli bowiem współistnienie wygrać dla siebie. To samo zresztą czynili Amerykanie, grając od początku świadomie kartą obrony praw człowieka. Gdy myślę dziś o przygotowaniach i samej Konferencji w Helsinkach, to muszę stwierdzić, że w sposób bezapelacyjny wygrał ją Zachód. Za pozornie wysoką cenę uznania czy potwierdzenia porządku pojałtańskiego, Związek Radziecki pozwolił się sadzać wraz ze swymi sojusznikami na ławie oskarżonych z powodu nieprzestrzegania praw człowieka. O ile dla nas czwarty koszyk był w dniu podpisania Aktu Końcowego KBWE w zasadzie nie groźny, to większość krajów socjalistycznych z przestrzeganiem praw człowieka właściwie cały czas była na bakier. I tak czwarty koszyk okazał się koniem trojańskim Zachodu. Trzeba przyznać, że Rosjanie po Konferencji próbowali zaostriżyć linię polityczną i na naradach ideologicznych miały miejsce buńczuczne wypowiedzi, ale w niczym to nie zmieniało stanu faktycznego.

— **Tak wyglądały założenia polityki w makroskali, a w wymiarze bilateralnym? Wszyscy, na przykład, podkreślają, że bardzo Pana wzmacniały nie tylko dobre stosunki z politykami zachodnimi, lecz również osobiście z Breżniewem.**

— To prawda. Dobre, osobiste stosunki z Breżniewem bardzo mi ułatwiały sytuację na arenie międzynarodowej, chroniły przed zwykłymi donosami niektórych współpracowników bądź przywódców bratnich partii. Taka sytuacja wzmacniała pozycję Polski wewnątrz obozu socjalistycznego i dawała nam większy niż innym zakres suwerenności.

— **Czy była to przyjaźń?**

— Sądzę, że Breżniew nie miał przyjaciół. Trzeba przyznać, że mój wybór na sekretarza przyjął z zadowoleniem. Było pewną prawidłowością, że każdy nowy sekretarz starał się zmienić sekretarzy w bratnich krajach. I tak w kilku krajach obozu sekretarze, że tak powiem, chruszczo-

mentorstwem. Towarzysz Wiesław należał bowiem jeszcze do starych komunistów i z biegiem lat zaczął się uważać za wybitnego interpretatora marksizmu, a wybitni interpretatorzy idei komunistycznej mogli być tylko na Kremlu.

— Czy Breżniew Pana szanował?

— Sądzę, że szanował mnie jako człowieka. Ponadto, i to jest paradoksalne, szanował mnie za to, że nigdy nie byłem w szkole Kominternu czy na jakichś kursach w Moskwie. Znał oczywiście mój życiorys i dla niego byłem człowiekiem Zachodu. A tym zawsze można Rosjanom zaimponować. Ponadto w jego opinii zweryfikowałem tę swoją zachodniość, że się tak wyrażę, specjalnymi stosunkami z Giscardem de Estaing i Helmutem Schmidtem.

— Czy odczuwał Pan wobec Breżniewa onieśmienie?

— Na ogół nie, choć były sytuacje, w których czułem się nieswojo, a nawet więcej — wręcz zbrzydzone. Przypominam sobie pewną sytuację jeszcze z okresu, gdy nie byłem pierwszym sekretarzem partii. W 1968 roku jako członek delegacji partii polskiej byłem wraz z Gomułką, Cyrankiewiczem i Kliszką na naradzie bratnich partii w Brnie w Czechosłowacji. Po rozmowach odbywało się prywatne spotkanie z udziałem członków delegacji radzieckiej, czechosłowackiej i naszej. Na spotkaniu takim jak zwykle w dużych ilościach serwowano radzieckie koniaki. Breżniew był rubaszny, ale także rozdrażniony problemami, jakie z sobą niosła Praska Wiosna. W pewnym momencie zaczął opowiadać dowcip, niesłychanie wręcz ordynarny i odrażający: „Pewnego razu niedźwiedź zaprosił na przyjęcie zająca. Przygotował znakomite potrawy, stworzył miłą atmosferę i zając na przyjęciu zaczął dokazywać. Gdy sobie podpił wydawało mu się chwilami, że jest równy niedźwiedziowi. Do domu wrócił dopiero nad ranem. Zajęczycza widząc, że jest znużony, przygotowała mu legowisko, nie zapomniała o butelce z ciepłą wodą, aby ogrzać mu nogi. Ale ciekawa jak to było u niedźwiedzia, zaczęła dopytywać się o wrażenia prosząc, aby opowiedział wszystko dokładnie. Gdy zając opowiedział już co zjadł i co wypił zajęczycza pyta: a dlaczego jesteś taki zmęczony? — Bo niedźwiedź kazał nam dużo pić — odpowiada zając. — A dlaczego jesteś taki brudny i tak okropnie śmierdzisz? Bo jak niedźwiedź już zjadł i popił, to załatwił się, wziął mnie potem za uszy i wytarł sobie moim futrem cztery litery”. Dowcip ten sprawił Breżniewowi niewysłowioną satysfakcję. Serdecznie też ubawił delegację radziecką.

— Was również?

— Po spotkaniu, które wkrótce się zakończyło, bowiem wymówiliśmy się od dalszej biesiady potrzebą przygotowania do rozmów następnego dnia, wszyscy członkowie naszej delegacji byli wstrząśnięci nietaktem Breżniewa. Ja po tej Konferencji miałem do Rosjan głęboki uraz. Swoisty ten dowcip opowiedziałem panu po długich wahaniach. Zdecydowałem się jednak na to, bowiem nic w lapidarnej formie nie oddaje tak całej złożoności naszej sytuacji w epoce Breżniewa. Niech mi pan wierzy, że prowadzenie polityki prawdziwie polskiej często wymagało mocnych nerwów i wielkiej determinacji...

— **Chyba nie mieliście złudzeń co do cech mentalnych jego i jego przyjaciół. Młynarz, sekretarz KPCz w swej książce *Mróz od wschodu* pisze, że w jednej z ostatnich swych rozmów z Dubczkiem Kadar ostrzegał go przed politbiurem radzieckim używając do określenia ich cech bardzo niewybrednych słów.**

— No tak, tego rodzaju spotkanie pozbawia złudzeń, co do cech tego salonu.

— **Tym bardziej, że w roli zajęcia mógł Leonid Ilicz równie dobrze wyobrazić sobie Politbiuro polskie.**

— Na tym polega odpowiedzialna polityka, aby nie znaleźć się w takiej właśnie roli, w jakiej była latem 1968 roku ekipa Dubczeka.

— **Skoro Breżniew Pana szanował, to pozwalał Panu jakby na więcej.**

— Już panu mówiłem, że nasze rozmowy nie odbywały się w kategoriach pozwalania czy nie. Takie tony mogły pojawiać się jedynie w sytuacji ostrego kryzysu. Gdy kryzysu nie było i wszystko szło w miarę dobrze, były to stosunki poprawne, a nawet można by je uznać za wyjątkowo dobre.

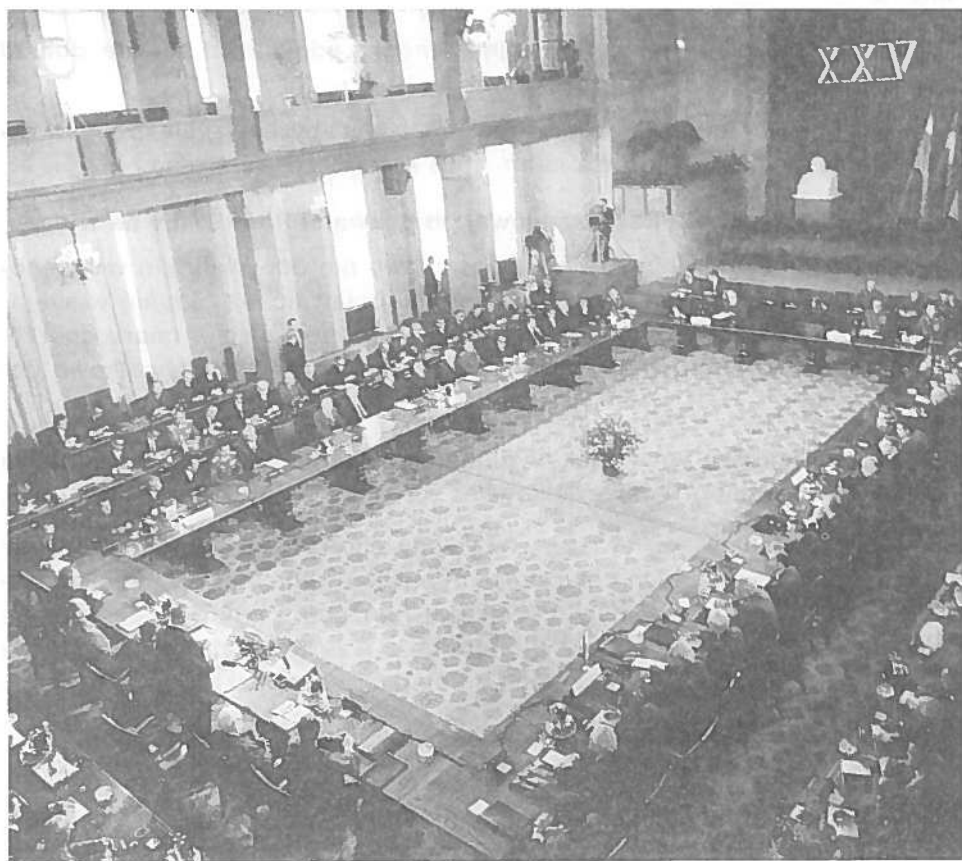
— **Niech mi Pan powie, jak wyglądały spotkania Komitetu Doradczego Państw Stron Układu Warszawskiego?**

— Na ogół były zwoływane wtedy, gdy chodziło o werbalne zatwierdzenie istotnych posunięć dotyczących polityki światowej. Wystąpienia oficjalne, mówiąc szczerze, były nieciekawe i nużące. Z politycznego punktu widzenia istotne były spotkania bilateralne z przywódcami innych partii, a z nich najważniejsze było spotkanie z delegacją radziecką.

— **Czy na takich spotkaniach nie obawiał się pan podsłuchu?**

— Tę ewentualność należy wszędzie brać pod uwagę. W średniowieczu, jak pan wie, budowano specjalne szwyby, podobne do wentylacynch.

Spotkanie w Warszawie



cy. Powiedzenie: ściany mają uszy, zrobiło karierę jeszcze w starożytności, stąd trudno się dziwić, że podsłuchiwanie polityków jest stałym elementem gry politycznej również we współczesnym świecie. Mogę panu, na przykład, powiedzieć, że uwagi na temat nietaktownego zachowania Breżniewa w Brnie wymienialiśmy w ogrodzie.

— **Czyżbyście Panowie uważali, że drzewa uszu nie mają?**

— Oczywiście że ogród wokół domu, w którym mieszkają delegacje zagraniczne przybyłe na tak ważną Konferencję, jest bardzo łakomym kąskiem. Mogę w każdym razie powiedzieć, że w czasie wizyt państwowych w trakcie wszelkich rozmów, pamiętałem zawsze o tym trzecim, o tym nieznanym.

— **Czy można powiedzieć o jakiejś ewolucji Panów wzajemnych kontaktów? Myślę o kontaktach na linii Breżniew–Gierek.**

— Już mówiłem o poprzedniej książce, że postęp choroby Breżniewa bardzo go odmienił. W początkach naszej znajomości, a nawet później, w początkach lat siedemdziesiątych, był on aktywnym politykiem o lotnym umyśle. Sprawiał wtedy na mnie wrażenie mądrego przywódcy, świadomie kierującego swym potężnym krajem. Ale pod koniec dekady był już tylko schorowanym, zmęczonym człowiekiem, chwilami przypominał wrak ludzki.

— **Ale czy wtedy w dalszym ciągu to on kierował polityką swego kraju?**

— Nie odnoszę tego wrażenia. Raczej stała za nim jakaś grupa nieformalna, wyłoniona z pewnością z Biura Politycznego, ale nie tylko, i ona kierowała polityką radziecką. Breżniew tylko ją firmował.

— **A więc Breżniew był już wtedy tylko marionetką?**

— Pewne sytuacje, gdy sobie je dziś przypominam, raczej by na to wskazywały. Mówiłem już panu o dwóch epizodach, które by to potwierdzały. Jednym z nich była jego reakcja w Belgradzie na moją informację o życzeniu Ziaul Khaka przeprowadzenia z nim rozmowy na temat wojny w Afganistanie. Zszokowała mnie wtedy bierność Breżniewa. Zachowywał się tak, jakby był nieobecny. Co dziwniejsze, Gromyko udzielając za niego kategorycznej odpowiedzi na „nie” — pobrzmiwała w niej zresztą przygana wobec mnie — kompletnie nie liczył się z sekretarzem generalnym. Była to rzecz w normalnych warunkach wręcz nie do pomyślenia. Dawniej, w takiej sytuacji, wszyscy zwracali się do sekretarza generalnego, czekając na jego odpowiedź. Głos w jego obecności zabierano donie-

szęło mi w oczy, powoli zaczął mówić. Tędy, natomiast, jak już wspominałem, nikt nie oglądał się, a więc nie zwracał uwagi na Breżniewa, jego opinia się wręcz nie liczyła. Było to doprawdy szokujące i niezwykle.

— **Kilka miesięcy wcześniej podobnie chyba wyglądała sytuacja w Berlinie?**

→ Wtedy, jak już panu mówiłem w *Przerwanej dekadzie*, jego niemoc dotyczyła trudności z samym podniesieniem się z fotela. Mimo kamer telewizyjnych przez kilkadziesiąt sekund Breżniew męczył się z własną bezsilą i wstał dopiero wtedy, gdy podałem mu rękę. Ale później, gdy już doszedł o własnych nogach do mównicy, sam, bez niczyjej pomocy, odczytał kilkustronicowe pozdrowienie.

— **Ale jednak za okazanie mu w świetle jupiterów pomocy mieli Rosjanie wyraźne pretensje do Pana.**

— Widać fakt ten był szeroko komentowany. Ponadto rzecz całą pewnie transmitowano również i do Związku Radzieckiego. Najwyraźniej ludzie rządzący wówczas w imieniu Breżniewa Krajem Rad, nie chcieli dopuścić do demystyfikacji tak samego przywódcy, jak również swej w tym wszystkim roli. I patrząc z tego punktu widzenia, można powiedzieć, że w okresach rozwoju choroby, która przecież mogła przebiegać według swojej sinusoidy, Breżniew stał się osobą bezwolną. Uważam, że zrobiono mu w ten sposób krzywdę. Był wówczas ciężko chorym człowiekiem, prawdopodobnie niezdolnym do rządzenia. Podróże sprawiały mu szalone trudności. Wiem, że nie lubił na przykład, latać samolotami, a podróże pociągami mocno go męczyły.

— **Ale wskutek choroby stawał się nieobliczalny. Swego czasu głośny był incydent z otwarciem VII Zjazdu PZPR, na którym zabawił się w dyrygenta w czasie śpiewania przez delegatów *Międzynarodówki*. Znane było też wydarzenie związane z jego powitaniem na nowo wybudowanym Dworcu Centralnym: Breżniew zaczął niezrozumiale wykrzykiwać coś do mikrofonu, po czym, rozdrażniony, odepchnął ten mikrofon od siebie. Taśma z nagraniem tej sceny została ponoć następnie komisyjnie zniszczona.**

— O zniszczeniu taśmy pierwsze słyszę, natomiast potwierdzam, że dla korzyści politycznych jakiejś grupie w kierownictwie partii radzieckiej zależało na utrzymaniu chorego Breżniewa na partyjnym i państwowym szczycie. Sądzę, że jego choroba wiązała się z zakłóceniem błędniaka. Pomyśleć, że ten sam człowiek, który jeszcze w latach sześćdziesią-



tych pasjami ludzi prowadzić samochody, w kilka lat później miał problemy z zachowaniem równowagi.

— **Tak więc zabieganie o względy Breżniewa było z punktu politycznego chybione. Skoro bowiem nie on rządził, jego względy nie były tak bardzo ważne.**

— Wie pan, z Breżniewem do końca sprawa była niejasna: nie wiadomo było, kiedy był zdrowy, a kiedy wręcz, jak to się mawia, nie kontaktował. Z nim trochę było tak, jak z człowiekiem o tzw. bardzo mocnej głowie. Zna pan pewnie takich ludzi, którzy niemal padają z nóg z powodu zatrucia alkoholowego, a mimo to do końca rejestrują wszystkie rozgrywające się wokół nich wydarzenia. Podobnie, uważam, było z Breżniewem; w tym stadium choroby, mimo stanów zapaści, był nieobliczalny i dlatego lepiej było nie stawiać wtedy poważnych problemów.

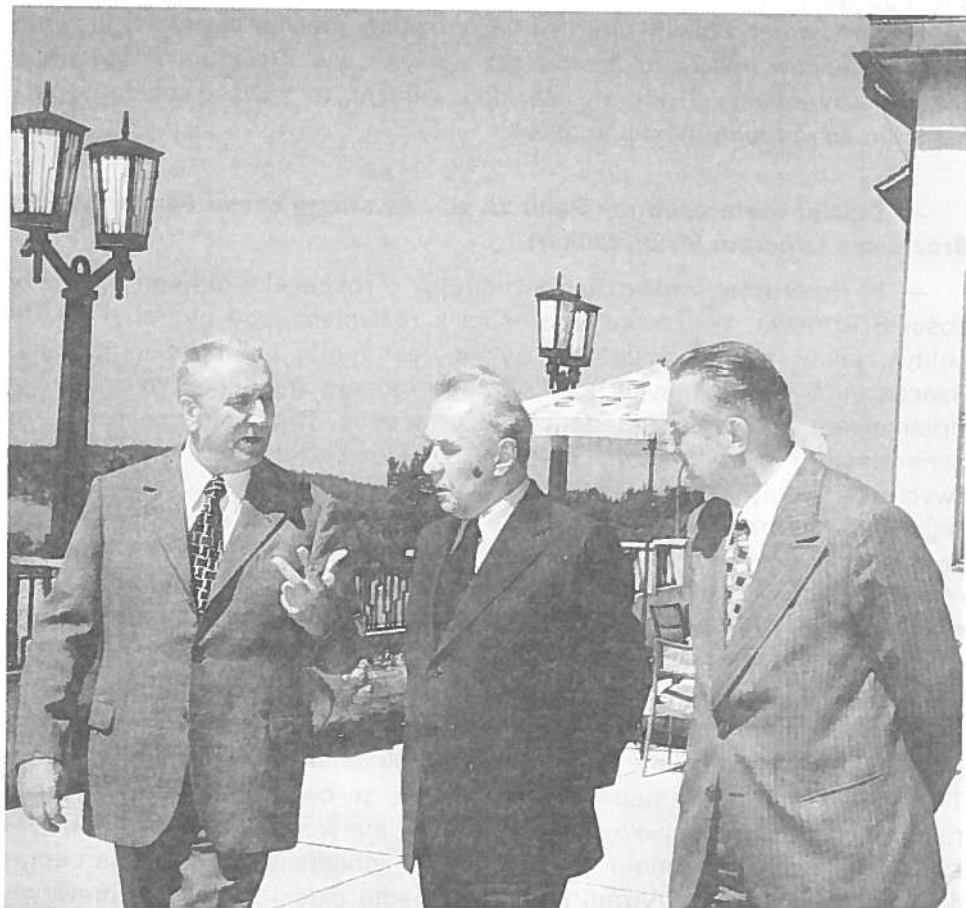
— **Opowiadano mi o jakimś spotkaniu z Breżniewem, z Pana udziałem zresztą, na którym Breżniew pochłonięty był wielokrotnym pisaniem jednego zdania: „Podgorny mieszaje”. Jak było z tym przeszkadzaniem, nie wiem, ale wkrótce został odwołany z funkcji tak przewodniczącego Rady Najwyższej Związku Radzieckiego, jak i z funkcji członka Biura Politycznego.**

— Ten fakt sprawił nam sporą satysfakcję, bowiem Podgorny należał do bardzo nieżyczliwych Polsce członków kierownictwa radzieckiego. We wszystkich rozmowach z nami starał się być na „nie”. Pamiętam taki epizod. Stałe zabiegaliśmy w rozmowach z kierownictwem radzieckim o zwiększenie dostaw surowców, a zwłaszcza ropy naftowej. I mieliśmy sytuację pozornie doskonałą. My mieliśmy ogromne nadwyżki ziemniaków, a u nich w niektórych rejonach tych ziemniaków stałe brakowało. Zabiegaliśmy więc, aby eksportować do nich polskie ziemniaki i brać za to ropę. Proponowaliśmy im nie tylko ziemniaki jadalne, lecz również sadzeniaki. Gdy przedstawiliśmy im tę koncepcję, Podgorny, obecny przy rozmowie, powiedział na to: „U nas mnogo karkoszki”. Wyznam, że wtedy ze złością już powiedziałem mu: „Mnogo, mnogo, a wy macie z hektara 85 kwintali ziemniaków, a my ponad 250”. Wtedy nieomal się obraził. Zresztą, wie pan, tego rodzaju absurdów w rozmowach z nimi było wiele. Mimo że mieli stałe problemy z owocami, warzywami, to od nas ich brać nie chcieli. Nie wiem dlaczego, zwłaszcza gdy się zważy, jak wielkie problemy polityczne stwarzał im permanentny niedobór żywności.

— **Czy w kierownictwie radzieckim dużo było osób życzliwych Polsce?**

— Bardzo nam życzliwy i bardzo rzeczowy był Kosygin. Najbardziej

Pogawędka z Kosyginem



kompetentny człowiek w tamtym kierownictwie i znanie, mgdy nacyon-
miast nie mówił „nie” na zgłoszoną propozycję.

— **Może więc był po prostu najlepiej wychowanym człowiekiem wśród kremłowskich przywódców.**

— Może i tak, gdy spojrzysz na sprawę z tego punktu widzenia. Dla nas jednak najcenniejsza była jego rzeczowość. Gdy odszedł z urzędu premiera, bardzo nam go brakowało.

— **Kogo jeszcze z głównych przywódców mógłby Pan zaliczyć do ludzi życzliwych Polsce?**

— W miarę nam życzliwy był Susłow. Zajmował się głównie ideologią, ale jego pozycja na Kremlu była bardzo mocna. Dla nas było ważne to, że zawsze wolał Polskę od NRD. Rozróżniał, mówiąc wprost „Słowian od Giermańców”. Było to istotne, bo, jak pan wie, Rosjanie mają wielki kompleks niemiecki. I gdy się ich kilku zejdzie, to zawsze jakiegoś germanofila wśród nich można spotkać.

— **Dzisiaj wiele osób ma Panu za złe, że swego czasu odznaczył Pan Breżniewa Orderem Virtuti Militari.**

— W *Przerwanej dekadzie* mówiłem już o rosnącej z biegiem lat próżności Breżniewa. Wiąże się to zresztą z rozwojem jego choroby. Każdy polityk, jak w ogóle każdy mężczyzna, jest mniej lub bardziej próżny. Rzeczą ludzi inteligentnych jest kryć tego rodzaju słabości. Tymczasem z Breżniewem pod tym względem było odwrotnie. Będąc już sekretarzem generalnym i prezydentem, został jeszcze marszałkiem i pragnął być zwycięzcą Wojny Ojczyźnianej. Laury wojenne najwyraźniej cenił najwyżej. Toteż gdy przybył po raz kolejny do naszego kraju, a było to związane z okrągłą rocznicą istnienia Polski Ludowej, postanowiliśmy go uhonorować Orderem zasługi PRL. Był to nowy order przygotowany dla głów państw. Ja uważałem, że taka dekoracja przynosi znaczne korzyści krajowi. A dla Polski życzliwość Breżniewa, a tym samym Związku Radzieckiego, miała, nie muszę chyba o tym przekonywać, naprawdę bardzo ważne znaczenie. Poinformowaliśmy więc Breżniewa, zgodnie z protokołem dyplomatycznym, że chcemy go udekorować Medalem Zasługi numer jeden. Tymczasem z Moskwy nadeszła odpowiedź, że owszem, sekretarz generalny nie ma nic przeciwko temu medalowi, ale wolałby otrzymać najwyższe odznaczenie wojenne. I tak zrodziła się koncepcja odznaczenia Leoni-da Breżniewa krzyżem Virtuti Militari. Ponadto dzięki temu, Breżniewowi, którego można oceniać oczywiście różnie, a sami Rosjanie uznają go za ojca epoki zastoju, załatwiliśmy kilka ważnych spraw, i w sumie był on

Kawaler Virtuti Militari



że po odznaczeniu go, był bardzo ciekawy, kto przed nim otrzymał Virtuti Militari. Gdy usłyszał, że marszałek Foch i Piłsudski, bardzo się ucieszył i jeszcze raz z zadowoleniem obejrzał przyznany sobie krzyż.

— **Już pytałem Pana, czy odczuwał Pan wobec Breżniewa jakieś skrępowanie, interesuje mnie także, czy spotykał się Pan z nim także na gruncie towarzyskim? U kanclerza Schmidta był pan w jego prywatnym domu i jadł potrawy przygotowane osobiście przez jego żonę. Czy podobnego zaszczytu dostąpił Pan może w domu Breżniewa?**

— W domu Breżniewa nigdy nie byłem. Zresztą, mówiąc szczerze, oni nie mieli, tak jak my to rozumiemy, domów. Dom, mieszkanie, dache, dostawali, jak to się mawia u nich — „według zasług”. Powiedzenie, że „dostawali”, nie jest zresztą adekwatne do rzeczywistości, bowiem były to dobra związane z piastowaną funkcją. Każdy funkcjonariusz partii, a tym samym państwa, jako sługa tejże partii miał określone przywileje i ułatwienia życiowe. Gdy naraził się partii, tracił wszystko, a w stalinizmie — nierzadko i swoje życie. Za następców Stalina przegrany funkcjonariusz był już „tylko” zmuszany do opuszczenia swego mieszkania i — zależnie od nowego statusu — otrzymywał lepsze lub gorsze warunki bytowe.

— **Iście diabelski pomysł.**

— Przyznaję, nieraz porównywaliśmy naszą sytuację z ich sytuacją i nie spotkałem nikogo, kto chciałby zamienić status polski na radziecki. O ile u nas byli ludzie, którzy kurczowo trzymali się władzy dla niej samej, to tam stanowiło to już życiową konieczność. Z punktu widzenia rządzących, było to jednak idealne rozwiązanie. Tam jednostka była rzeczywiście trybikiem w ogromnej, wszechpotężnej i wszechogarniającej wszystko maszynie.

— **Czy Edward Gierek, jako element tego uniwersalnego systemu, miał swoją dachę lub miejsce, w którym się zatrzymywał przyjeżdżając do Moskwy?**

— Nie, przecież nie przyjeżdżałem jako pensjonariusz. Natomiast na osiedlu koło Wzgórz Leninowskich swoje dache miały Komitety Centralne wszystkich bratnich partii. Były to stare domy dawnych kupców moskiewskich, w których, przebywając w Moskwie, oczywiście głównie nocami, każdy z nas miał zapewniony względny komfort.

— **Czy domy te stanowiły własność poszczególnych partii?**

— Nie, domy były własnością gospodarzy, z tym że zwyczajowo wynajmowano je nam i innym.

— **Czy będąc tam, nie odczuwał Pan aby fizycznego zagrożenia?**

— Panie Januszu, panu ciągle w głowie jakieś stalinowskie majaki. W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, byliśmy partnerami, a nie marionetkami. Lata sześćdziesiąte, jak i późniejsze, to znaczy moje, były okresem stałego wybijania się i naszej partii, i państwa na niepodległość. Zakres podporządkowań był coraz mniejszy. Epoka współistnienia zakładała, że jesteśmy wspólnotą suwerennych państw. Niech pan też wie, że postępowanie Rosjan było uzależnione od tego, do jakiego stopnia poszczególne kraje pozwalały sobie wejść na głowę. My, Polacy, zawsze byliśmy bardziej hardzi i od początku — nawet już w czasach Bieruta — nasza partia zabiegała o większy od innych partii zakres suwerenności. Inaczej natomiast poczynali sobie Rosjanie w krajach, które się o to wręcz prosiły. Skoro Żiwkow, na przykład, prosił o przyłączenie Bułgarii do Związku Radzieckiego, to musiało to mieć określone implikacje, istotne dla zakresu suwerenności Bułgarii. Podobnie Czesi, jeśli na ochotnika, bez przymusu, a jedynie gwoli przypodobania się „Wielkiemu Bratu” wypisywali u siebie hasła: Se Sovětským Svazem na věčné časy”, to też nie mogło to przemijać bez echa, musiało wpływać na zachowanie radzieckich towarzyszy wobec Czechów.

— **Ale, jak sam Pan wspominał, w 1944 roku delegacja KRN dyskutowała ze Stalinem o zmianie hymnu i godła państwowego. Czyli było to postępowanie nie odbiegające w sumie od wspomnianego tu zachowania Czechów czy Bułgarów.**

— Zgoda, ale ja też nigdy nie powiedziałem, że postępowanie naszej partii zawsze było nienaganne. Ja tylko jasno wyraziłem pogląd, że w ustępowaniu Rosjanom byliśmy zdecydowanie na szarym końcu. A zapewniam pana, że gdyby nie straszne obciążenie niemieckie i niejasna sprawa Odry-Nysy, nasza postawa byłaby o wiele bardziej niezależna.

— **Jak wobec tego należy patrzeć na zmiany w Konstytucji dokonane w 1976 roku? Czy zapis o sojuszu konstytucyjnym w głównym dokumencie państwowym był przejawem zbędnego, nie podyktowanego racją stanu, serwilizmu wobec „Wielkiego Brata”?**

— Byliśmy ostatnim, poza Rumunią, krajem socjalistycznym, który tego zapisu dokonał. Wyznam panu, że długo się wahałem. Istnieją bowiem dwie teorie: oddawać co cesarskie cesarzowi, czy robić swoje przy za-

zwolennikiem postawy racjonalnej, dlatego zdecydowałem się na wzięcie w biegu tej przeszkody, jak dziś przyznaję, tylko pozornie nieistotnej.

— **Nie mógł Pan postąpić jak Rumuni i nie wprowadzać takiego zapisu?**

— Proszę pana, mieliśmy wówczas poważny program gospodarczy i w nim upatrywaliśmy źródła narodowych sukcesów. Nie chcieliśmy drażnić Rosjan nieistotnymi, jak wówczas sądziłem, gestami. Dziś przyznaję, że był to błąd. Wówczas do trzech plag polskich, oczywiście z punktu widzenia Moskwy, to jest: Kościoła, indywidualnej gospodarki chłopskiej i podzielonego ruchu młodzieżowego, doszłaby sprawa czwarta: braku uwierzytelniającego zapisu w Konstytucji o trwałej przyjaźni polsko-radzieckiej. Jeśli natomiast chodzi o postawę rumuńską, to była dla nas nie do przyjęcia, wymagała bowiem dwóch rzeczy, z których pierwszej nie mieliśmy, a drugiej nie chcieliśmy. Pierwsza to brak sąsiedztwa Niemiec, a więc nie kwestionowane granice. Co prawda, mieli oni jako swoich antagonistów Węgrów, ale daj Boże każdemu taki problem; gdyby istniała taka możliwość zamieniłbym natychmiast Niemców na Węgrów.

Poza tym kraj komunistyczny, sąsiadujący ze Związkiem Radzieckim, o ile nie miał miliarda mieszkańców, mógł sobie pozwolić tylko na grymasy, a raczej na przedrzeźnianie Rosjan. A taka polityka po pewnym czasie, z racji swej jałowości, nuży społeczeństwo i wywołuje wzrost niezadowolonia. Już w mojej dekadzie Rumuni mieli dosyć swego Causescu, mimo że od czasu do czasu wspominał w swych przemówieniach o Mołdawii. Ja z natury rzeczy musiałbym w takiej sytuacji podsycać sentymenty wschodnie. Byłaby to więc sytuacja trochę bez wyjścia. Ponadto gospodarczo byliśmy w zdecydowanie gorszej sytuacji. Za naszą hardość, na przykład, dostawaliśmy od radzieckich towarzyszy mniej ropy niż Czechosłowacja, NRD czy Bułgaria, mimo że ludności mieliśmy od dwóch do czterech razy więcej niż każdy z tych krajów. My, oczywiście, w takiej sytuacji mamy jedno rozwiązanie: oglądamy się na Zachód, żeby nam dał. Ale co dał Zachód Causescu poza tytułem szlacheckim? Niewiele. Nam Zachód dawał chętnie kredyty, a właściwie nie dawał, lecz sprzedawał, bowiem w czasie recesji pieniądze były tanie, a pożyczka Polsce, wypróbowanemu sojusznikowi Związku Radzieckiego, zdawała się być dobrym interesem. Dziś, gdy pożyczanie Polsce nie jest dobrym interesem, mimo że mają oczekiwaną i wyśnioną rząd „Solidarność”, z każdym dolarem się droczą, zanim go nam pożyczą.

— **Ciekawe, że chętniej nam pożyczali wtedy, gdy z tych dolarów partia plotła sznur, na którym chciała kapitalistów powiesić.**

— Bo dzisiaj jesteśmy słabi, a słabych się lekceważy. Ponadto „Solidarność” coraz bardziej jest traktowana jak Murzyn, który zrobił swoje.

— **Czy nie zbyt daleko odbieśliśmy od sławnego zapisu konstytucyjnego z 1976 roku?**

— Wracając do tamtej sprawy, jeszcze raz podkreślam, że popełniłem błąd, ustępując pod naciskiem kolegów, skłaniających mnie do przyjęcia ich stanowiska.

— **Kogo Pan ma na myśli?**

— Nie będę wymieniał nazwisk. Są jeszcze bardziej przegrani, bo i tak jest im ciężiej niż mnie żyć z kacem moralnym za przeróżne święstwa, które popełnili nadaremno. A poza tym, skoro zgodziłem się z ich argumentacją, nie będę dziś krył się za ich plecami. Powtarzam raz jeszcze, że w czasie sporów wokół tego zapisu w Konstytucji wielkie wrażenie zrobił na mnie list Władysława Bieńkowskiego. Do dziś żałuję, że go nie posłuchałem i tak jak w sprawie amnestii dla ofiar Ursusa i Radomia czy dla „Korowców” nie podjąłem samodzielnie decyzji nie oglądając się na nikogo, no, ale stało się!

— **Rzeczywiście, żal... Powróćmy teraz do granic naszej suwerenności. Niech Pan powie, ile stanowisk w państwie było w nomenklaturze komitetu politycznego Państw Stron Układu Warszawskiego?**

— Takich stanowisk w ogóle nie było. Byliśmy w pełni suwerenni w wyborze towarzyszy na centralne stanowiska.

— **Nie wierzę!**

— Nie jest to kwestia wiary. Po prostu Biuro Polityczne nie musiało się z nikim konsultować w wyborze towarzyszy czy do rządu, czy do władz partyjnych.

— **Dlaczego więc po Warszawie krążyły uporczywe plotki na ten temat?**

— Proszę pana, w Warszawie chętniej się plotkuje niż pracuje. Może warszawiacy zbyt dobrze pamiętają stare czasy. W epoce stalinowskiej Josip Wisarionowicz dyktował Bierutowi skład Biura Politycznego. Ponadto doradcy radzieccy, głównie w wojsku i Bezpieczeństwie, czuwali nad właściwą obsadą personalną dowódczych stanowisk. To wszystko skończyło się w Październiku. Gomułka podpisał z Rosjanami doprawdy przełomowe porozumienie, które uczyniło Biuro Polityczne i pierwszego sek-

rzem został Pan bez uzgodnienia z Moskwą?

— Bo tak rzeczywiście było. Co wcale nie oznacza, że Rosjanie mieli mnie z tego powodu źle przyjąć. Breżniew rozmawiał ze mną poprzednio kilkakrotnie i towarzyszy Gierek wydawał mu się dobrym komunistą. Ponadto w czasach burzy i naporu, a tak było w trudnych dniach grudniowych, nie było czasu na żadne uzgodnienia.

— A więc jednak powiedział Pan: uzgodnienia.

— Gdy chodziło o zmianę towarzysza Gierka, to Kania, jak panu mówiłem, a słyszałem to od Grudnia, uzgodnił to z Andropowem w czasie spotkania z nim na Białorusi.

— Czyli konsultował się ze swym odpowiednikiem.

— W jakimś sensie było to logiczne, że człowiek nadzorujący Bezpieczeństwo konsultował to z osobą, z którą stale od lat współpracował. Gdyby Olszowski, na przykład, przeprowadzał w tej sprawie konsultacje, to przeprowadzałby je najprawdopodobniej z Gromyką.

— A więc do zastąpienia Pana niezbędne były uzgodnienia czy konsultacje ze stroną radziecką?

— Gdy rzecz dotyczyła rewolucji pałacowej, następcy starali się zwykle asekurować w Moskwie.

— A bez tego byłoby to również możliwe?

— Oczywiście. Gdyby Kania zrobił to bez rozmowy z Andropowem, Rosjanie nie przystaliby w mojej obronie czołgów. Tym bardziej, że mieli mnie już serdecznie dosyć. „Porozumienia gdańskie” stały im potężną kością w gardle.

— A zamiana Kani na Jaruzelskiego jak się dokonała? Czy też poprzedziły ją konsultacje?

— Tego już doprawdy nie wiem. Wtedy za sprawą obu panów byłem już bezpartyjny. Wszystko, co bym powiedział na ten temat, byłoby tylko gdybaniem. Sądzę tylko, że Radzieccy byli już solidnie zmęczeni Kanią. Został im zatem tylko Jaruzelski, jako ostatnia deska ratunku.

— A ministra obrony czy spraw wewnętrznych mógł Pan zmieniać według swego upodobania, nie oglądając się na Moskwę?

— Proszę pana, ministra spraw wewnętrznych zmieniałem w czasie swej kadencji dwukrotnie i nigdy nie pytałem o zgodę „Wielkiego Brata”.

„Wielki Brat”



nym?

— Wiem, że tak funkcjonował u Orwella. Natomiast w partii wymawiany był często nawet z sympatią. Dla wielu nie kojarzył się wcale z Orwellem, który w partii wcale nie był powszechnie znany, lecz stanowił prostą pochodną od powiedzenia, mającego pełne prawo obywatelstwa. „Radzieccy bracia” był to zwrot często spotykany w gazetach.

— **Na tym, między innymi, polegała kontrgenialność Orwella. Ale jest mi Pan jeszcze winien odpowiedź na pytanie o polską nomenklaturowość stanowiska ministra obrony narodowej.**

— Jak pan wie, tego stanowiska w czasie mej dekady nie obsadziłem nową osobą. Nie wyobrażam sobie, aby Radzieccy, gdybym takiej zmiany dokonał, interweniowali u mnie. Byłaby ona możliwa wtedy, gdybym, na przykład, ministrem mianował kogoś z polskich generałów będących na Zachodzie, a taka ewentualność, jak pan wie, nie wchodziła w rachubę.

— **W czasach, gdy generał Jaruzelski zastępował na stanowisku ministra obrony marszałka Spychalskiego, sługębna wieść głosiła, że Rosjanie byli bardzo zadowoleni z tej zamiany. Wysoce sobie bowiem cenili walory dowódcze i fachowość nowego ministra.**

— Jeśli za chwilę będzie mnie pan jeszcze przekonywał, że to generał Jaruzelski wygrał wojnę, a nie Eisenhower i Żukow, to doprawdy już nie uwierzę.

— **Był on równie bliski tego zwycięstwa co Breżniew.**

— Wie pan, ten ostatni przynajmniej walczył na wojnie w randze generała i zapisał się w jednym z ważnych epizodów frontowych, natomiast o zasługach wojennych naszego prezydenta jeszcze nie czytałem. Chociaż — kto wie, ponieważ jeszcze nie szykuję się do grobu, wiele zatem jeszcze mogę zobaczyć i usłyszeć.

— **Tak więc twierdzi Pan, że w latach siedemdziesiątych żadne stanowiska nie wymagały uzgodnień z radzieckim Biurem Politycznym?**

— Cóż poradzę, muszę pana rozczarować, nie przypominam sobie takiego faktu. Natomiast teraz zaskoczę pana; raz oni konsultowali pewne stanowisko za mną.

— ...???

— Po śmierci marszałka Jakubowskiego przyszedł do mnie z informacją nasz dzisiejszy prezydent i ładnie się zameldowawszy, jak to u niego

było w zwyczaju, poinformował mnie, że na stanowisko dowódcy Paktu Warszawskiego towarzysze radzieccy planują wysunąć generała Kulikowa. Spytałem ministra, kto to taki. Odpowiedział, że dobry frontowiec i wybitny dowódca. Po czym poinformował mnie, że melduje mi o tym fakcie, bowiem w najbliższym czasie będzie do mnie w tej sprawie dzwonił Breżniew.

— I zadzwonił?

— Zadzwonił następnego dnia.

— **W NATO takie zmiany są regulaminowe i odbywają się co kilka lat; w rotacjach na tym stanowisku uczestniczą nie tylko generałowie amerykańscy.**

— U nas było tak, jak pan usłyszał.

— **Jaką funkcję pełniła sekcja polska w KPZR?**

— Był to sektor praw polskich, a działał przy Wydziale zagranicznym KPZR. Każdy kraj socjalistyczny miał taki sektor, w którym pracowało trzech — czterech urzędników partyjnych. Ich zadaniem było koordynowanie wszystkich spraw polskich wewnątrz partii radzieckiej i dostarczanie szczegółowych danych członkom kierownictwa radzieckiego, zainteresowanym sprawami polskimi. U nas w Wydziale zagranicznym też było kilku ludzi, których zadaniem było zajmowanie się problematyką radziecką.

— **Z tym że nasz sektor nie miał żadnego znaczenia w Związku Radzieckim, natomiast podejrzewam, że rola sektora radzieckiego w naszym kraju była znaczna.**

— Zapewniam, że nie byli to wielkorządcy Polski. Przyznaję, że względów taktycznych uczyniłem z Kostikowa, czyli szefa tego sektora, przyjaciela Polski. Wolałem, żeby nas lubił, niż donosił ponad miarę, a w każdym razie — bez potrzeby. Wyjaśniałem mu problemy, jakie wówczas istniały, i dawałem do nich mój komentarz.

— **Za tę pańską taktykę zapłacił, zdaje się swoją karierą. O ile wiem, w Sierpniu usunięto go z pracy w Komitecie Centralnym.**

— Tak, słyszałem, że miano do niego pretensje, że nie przewidział Sierpnia i wydarzeń lata osiemdziesiątego roku. Z ich punktu widzenia okazał się nieprzydatny, nie ostrzegł ich bowiem na czas, na skutek czego nie mogli w porę zaprogramować odpowiedniej polityki wobec Polski.

— z pewnością. Rzeczywiście nie jestem jednak w stanie na to odpowiedzieć. Byłyby to tylko domniemywania. Wiem, że w Sierpniu za wszelką cenę chcieli nie dopuścić do powstania „Solidarności”.

— Czy w Polsce istniał wywiad radziecki?

— Jedną z centralnych postaci w ambasadzie był rezydent wywiadu radzieckiego. Jak pan się domyśla, nie zetknąłem się z nim oficjalnie, nie miałem ku temu okazji.

— Ale jak Rosjanie kontrolowali Polskę? Jeden kanał był oficjalny, a le znając ich podejrzliwość, musieli kontrolować życie w Polsce za pomocą różnych metod, z tym że w porównaniu do krajów zachodnich mieli w Polsce sytuację komfortową.

— Nie całkiem było tak, jak pan mówi, bo z tą działalnością nie mogli się afiszować. Przed Październikiem działali wprost i kontrolowali nas oficjalnie; po 56 roku musieli działać subtelniej. Sądzę, że głównych współpracowników rekrutowali spośród naszych stypendystów, kursantów, osób służbowo wyjeżdżających do Związku Radzieckiego. Jak ich angażowali, jak opłacali, tego nie wiem. Działalność ta nigdy nie przekraczała ram określonych przyzwoitością, dzięki czemu nigdy nie musiałem interweniować u Breżniewa. My, wiedząc o ich praktykach, staraliśmy się ludzi wyjeżdżających odpowiednio ustawić, uodpornić na spodziewaną indoktrynację. Ale z rutynowych, zwykłych szkoleń ideologicznych, partyjnych etc. w Moskwie korzystaliśmy w stosunkowo ograniczonym zakresie. Polska wykorzystywała te miejsca w minimalnym stopniu. Na ogólną pulę 100 procent miejsc przeznaczonych na szkolenie kadry z krajów socjalistycznych, myśmy partycypowali w 5–10 procentach.

— A niech mi Pan powie, czy na awanse, myślę w pierwszej kolejności o partyjnych, miały wpływ rekomendacje radzieckie?

— Jeśli chodzi o mnie, to raczej odwrotny. Zbyt jawne i wyraźne pochwały Radzieckich powodowały, że raczej starałem się taką karierę przeciąć niż popierać.

— Czy Olszowskiego przesunął Pan z funkcji ministra spraw zagranicznych z powodu pochwał Gromyki?

— Ta decyzja nie miała żadnego związku ze sprawami, o których mówiliśmy przed chwilą. Dzisiaj zresztą sądzę, że popełniliśmy błąd przesuwając go do spraw gospodarczych; raczej należało Stefana zostawić na poprzednim odcinku, bowiem ministrem spraw zagranicznych był zdecydowanie dobrym.

— **Niech mi Pan powie, jak Pan zwalczał radzieckie uprzedzenia do rolnictwa indywidualnego? Wiem, że ta sprawa była przez lata prawdziwą zadrą we wzajemnych stosunkach.**

— To prawda, tym bardziej że oni uważali, iż indywidualne rolnictwo bardzo wzmacnia Kościół katolicki. Uznawali, że Kościół i indywidualne rolnictwo są ze sobą zdecydowanie sprzężone. Czasem byliśmy w stanie zasiać co do tego w ich głowach wątpliwości. W każdym razie wszystkich przyjezdnych z Kraju Rad szokowały nasze stragany owocowo-warzywne, nasze targowiska. Pamiętam, na przykład, że córka Kosygina wyjechała pod wielkim wrażeniem obfitości naszych zieleniaków. Po powrocie do Moskwy tak entuzjastycznie o tym opowiadała, że aż ją ojciec ze względów taktycznych musiał strofować. Zresztą z naszymi chłopami zdarzały się Rosjanom prawdziwe zabawne incydenty. Chruszczow np. jako człowiek impulsywny i działacz starego typu, przywiązywał się do pewnych idei w sposób niemal mianiakalny. Znane powszechnie było jego umiowanie kukurydzy, widział w niej panaceum na wszelkie schorzenia radzieckiego rolnictwa. Kiedyś, składając wizytę w poznańskiej wsi, zrobił wśród chłopów swoisty plebiscyt na temat kukurydzy. Ponieważ Chruszczow był człowiekiem bardzo zabawnym i bezpośrednim, w pewnym momencie chłopci ośmielili się i z czasem nawet zapomnieli, w jakiej imprezie uczestniczą, i zaczęli się z nim wręcz kłócić. Chruszczow, wychwalając kukurydżę, ani myślał im ustępować, spór trwałby prawdopodobnie bardzo długo i zburzony tym samym zostałby porządek całego dnia oficjalnej wizyty, gdyby nie pomysł, na który wpadli chłopci. Postanowili sprowadzić krowę, aby wybrała, co jest lepsze: kukurydza czy lucerna. Chruszczow na taką zatwardziałość chłopów wielkopolskich machnął ręką i wyniósł się z ich wsi. Może w głębi duszy uznał wtedy, że na upór polskiego chłopca nie ma lekarstwa...

— **Gdyby miał Pan krótko scharakteryzować zasadnicze różnice między Chruszczowem a Breżniewem, jak by Pan je ujął?**

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Przede wszystkim dlatego, że Chruszczowa znałem bez porównania gorzej niż Breżniewa. Po drugie, znałem dwóch Breżniewów: jednego prężnego, operatywnego polityka, narzucającego swoje zdanie i styl pracy całemu kierownictwu radzieckiemu i drugiego Breżniewa — chorego, w jakimś sensie człowieka bezwolnego, jeśli nawet nie marionetkę, to z pewnością w znacznym stopniu figuranta. Porównanie pomiędzy pierwszym Breżniewem i Chruszczowem wypada raczej na korzyść Breżniewa, w drugim przypadku — na rzecz

— **Niech mi Pan powie, czy każdy wyjazd do Moskwy był dla Pana przeżyciem?**

— W jakim sensie?

— **W takim, w jakim przeżyciem dla podwładnego jest wyjazd do wielkiego bossa.**

— To pytanie, nie wiem czy ma pan tego świadomość, jest obraźliwe. W moich latach nie było tego typu podległości. To nie był układ taki, jaki istniał między władcą i wasalem. Mimo wszelkich ograniczeń naszej suwerenności, byłem przywódcą niepodległego kraju, z którym Breżniew musiał się liczyć. I on doprawdy mnie szanował i cenił. Jeśli mam być szczery, przynaję, że każdy wyjazd zagraniczny w charakterze oficjalnym był stresujący. Gdy samolot kołował na lotnisku i widoczny był już czerwony dywanik, trybuna, kompania honorowa, a na drzewach masztów łopotały na wietrze polskie sztandary, to niezależnie czy było to w Moskwie, Paryżu, Bonn, Waszyngtonie czy w Rzymie, odczuwałem emocje i wzruszenie. Niepokoiłem się, czy dobrze wypadnę, myślałem o tym, jak będą mnie widzieli inni. Przecież wiedziałem, że patrząc na mnie, wielu ludzi będzie myślało o Polsce, że będą mnie z nią utożsamiali. To było bardzo emocjonujące, ale także bardzo zobowiązujące. Gdy grano hymn polski, a ja stałem na płycie lotniska, to nie ukrywam, że kilka razy, nie wstydzę się tego, miałem łzy w oczach, a już z pewnością było tak w Brukseli i w Paryżu. W Brukseli, gdy stałem na płycie lotniska, przypomniało mi się całe moje życie...

— **A pierwsza wizyta w Moskwie?**

— Pierwsza wizyta była bez sztandarów i bez hymnu. Przyjeżdżałem tam bowiem kilka razy na krótko, jako członek kierownictwa polskiej partii.

— **A czy jest duża różnica między przyjazdem w charakterze wysokiej rangi działacza politycznego a głowy państwa? Formalnie głową państwa Pan nie był, ale w rzeczywistości był Pan tak przyjmowany ze względu na uzgodnione zwykle wymogi protokolarne.**

— Tak, formalnie miałem za każdym razem specjalną delegację Rady Państwa. Moja wizyta w Moskwie jako szefa partii nastąpiła wkrótce po Grudniu, odbyłem ją wspólnie z Piotrem Jaroszewiczem.

— **Jaki był wtedy Breżniew?**

— Przyjął nas bardzo kordialnie. Naprawdę odczuwał dużą ulgę z racji zakończenia kryzysu, a mnie był wręcz wdzięczny, że z moim przyjs-

ciem sytuacja w kraju się uspokoiła. Polska była za poważnym krajem, by niepokoje u nas nie spędzaly im snu z powiek.

— **Z pewnością wtedy całował się Pan z Breżniewem.**

— Nie pamiętam tego dokładnie, ale należało to do rytuału. Wiem, że ludzi to śmieszyło, ale dla Rosjan pewna wylewność jest sprawą naturalną. Ponieważ należało to do swoistego ceremoniału, nie widziałem powodu, by się z tego obyczaju wyłamywać.

— **Przeciwnie, sądzę, że brak pocałunków ze strony Breżniewa byłby świadectwem napięć politycznych pomiędzy naszymi krajami.**

— Ma pan rację.

— **Nie wiem, czy Pan wie, że po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację i po męczących rozmowach na Kremlu zmaltretowanych członków kierownictwa czechosłowackiego z radzieckim Biurem Politycznym, tuż przed momentem podpisania protokołów normujących czasowy, jak to się mawiało, pobyt wojsk radzieckich w Czechosłowacji, w pewnym momencie otworzyły się drzwi i do sali posiedzeń (z takim podłużnym stołem, znanym z telewizji), weszli fotoreporterzy i operatorzy telewizyjni i filmowi. I na dany znak, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, członkowie radzieckiego Biura Politycznego wyciągnęli ręce, każdy do czechosłowackiego polityka siedzącego *vis à vis*, i zaczęli ich całować. Po wyjściu operatorów wszyscy usiedli zmachani, jak po wykonaniu ciężkiej pracy.**

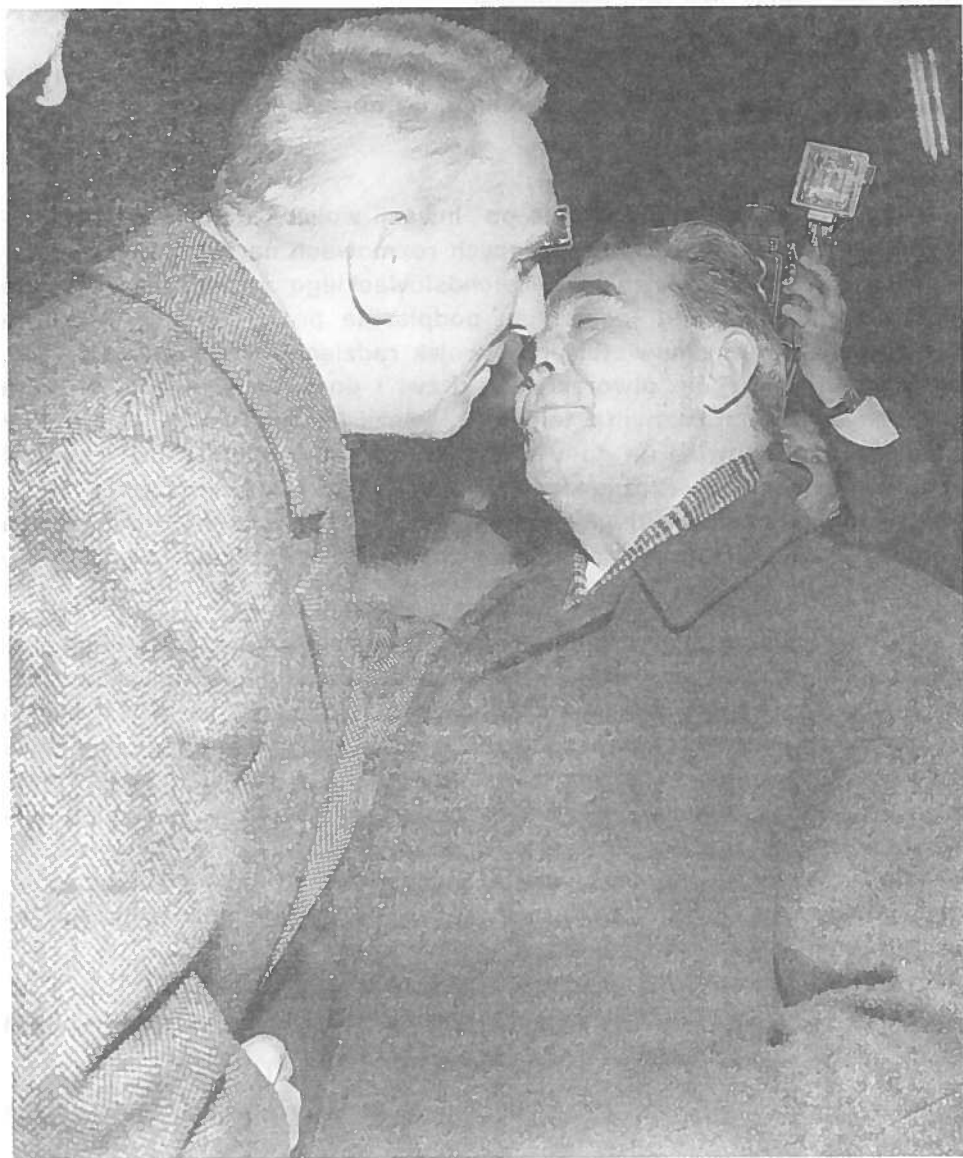
— Nie kpiłbym z tego, bowiem, dla społeczeństwa radzieckiego, zaniepokojonego wyprawą wojsk do Czechosłowacji, miało to ważne znaczenie symboliczne. Zapewniam pana, że wiele matek mających swych synów w wojsku, oglądając tę scenę otarło z rozrzewieniem oczy i zwyczajnie w wielu radzieckich domach przyjęto to z westchnieniem ulgi. Maskarada miała niewątpliwie coś z tragifarsy, była na swój sposób surrealistyczna, ale im była głęboko potrzebna.

Ten tragikomizm nabiera innego znaczenia, gdy uzmysłowimy sobie, że wkrótce po tej podniosłej uroczystości zaczęło się polityczne wykańczanie dopiero co obcałowywanych towarzyszy.

— **Wracając jeszcze do Pańskiej wizyty w Moskwie w styczniu 1971 roku. Jak wyglądał harmonogram takiego dnia?**

— Uroczysty przejazd przez miasto. zakończony przwiazdem do tak

Powitanie



— **Na Leninowskich Wzgórzach.**

— Tak, jak zwykle, potem realizacja zgodnie z protokołem ustalonego porządku dnia. Zaczynało się od złożenia wieńców w Mauzoleum Lenina.

— **Potem pewnie podejmował Pana Leonid Iljicz Breżniew w swoim gabinecie.**

— Nie pamiętam dokładnie.

— **Pytam tak szczegółowo, bo chciałbym, aby Pan opowiedział, jak ten gabinet wyglądał. Czy był monumentalny czy też skromny?**

— Rozczaruję pana, ale był nieduży. Miał 10–15 metrów długości, 4–5 szerokości, z dwóch stron drzwi, przed nim dwa przedpokoje. Niczego nie było tam nadzwyczajnego. Znajdowało się w nim popiersie i portret Lenina.

— **Portretu Stalina nie było?**

— Nie, działo się to już po wyprowadzeniu zwłok wodza z Mauzoleum.

— **Pytam tak ze względu na podejmowane wówczas próby rehabilitacji Stalina.**

— Może Susłow miał jakąś jego fotografię, nie wiem. Breżniew z pewnością tego portretu nie posiadał. Na biurku stało kilka bezpośrednich telefonów.

— **Jeden z nich pewnie do rozmów z Panem?**

— Nawet nie zapytałem, który to!

— **Niech mi Pan powie, dlaczego nie był to gabinet monumentalny? W niedawno pokazanym serialu o Mussolinim pokazano gabinet Il Duce: ogromny, jak sala gimnastyczna, a na końcu stało wielkie biurko. Podobny gabinet miał Hitler. Osoba wchodząca do takiego gabinetu, idąc do miejsca, w którym siedział gospodarz, miała czas uświadomić sobie swą małość.**

— Dlaczego na Kremlu gabinet sekretarza generalnego był skromny, nie wiem. Mogły być dwie przyczyny. Pierwsza, że w charakterze relikwi był tam zachowany gabinet Lenina, skromny i bardzo funkcjonalny. Przy skromnym gabinecie twórcy państwa nie można było, że tak powiem, zbyt się wypinać.

— **A druga przyczyna?**

mi, myślę oczywiście o łądaci, i jego władza była tak niekwestionowana wielka, że wszelkie jej podkreślanie stawało się zwyczajnie zbędne. Tylko że w tym gabinecie, Breżniew rzadko przyjmował gości. Rozmowę stale zakłócały bezpośrednie telefony, nie łączone przez sekretarki. Z tego powodu wątek rozmowy stale się rwał i dlatego chyba konferencje z reguły przeprowadzano w specjalnej sali generalnego sekretarza. Tę salę wszyscy na świecie dobrze znają, jest obfotografowywana każdego tygodnia z racji stałych tam wizyt gości z całego świata.

— **Czy pamięta Pan pierwszą rozmowę z Breżniewem?**

— Z pewnością dotyczyła Grudnia 1970 r. i sytuacji w Polsce, ale o czym była konkretnie — nie zeznałbym nawet u świętego Piotra, było to bowiem już tak dawno...

— **A ostatnią z nim rozmowę może Pan pamięta?**

— Nie odbywała się na Kremlu, lecz w Jałcie. Było to w sierpniu 1980 roku; rozmowa dotyczyła sytuacji strajkowej. Breżniew wyrażał wtedy swe głębokie zaniepokojenie strajkiem kolejarzy. Blokada tranzytowych linii kolejowych w Polsce była wydarzeniem, które wręcz nie mieściło mu się w głowie. Trzeba też przyznać, że wkrótce spotkały go dalsze niespodzianki ze strony naszego kraju.

— **Czy wszyscy członkowie kierownictwa radzieckiego wypoczywali razem?**

— Nie. O ile wiem Susłow, na przykład, upodobał sobie Picundę i tam zawsze wypoczywał.

— **Czy lubił Pan urlopy na Krymie?**

— To zależało od sytuacji politycznej: gdy nie była skomplikowana, można tam było wypocząć w dobrych, zapewniam pana, warunkach.

Rozdział piąty

Kulisy licencji i droga do nich

— Pańskie wizyty miały zawsze dwa cele; polityczny i gospodarczy. Porozmawiajmy o tym, jak przygotowywano te wizyty, w jaki sposób ustalano priorytety gospodarcze. Czyli — jak wyglądała kuchnia naszych kontaktów z zagranicą.

— Gdy Stefan Olszowski został ministrem spraw zagranicznych, powołał partyjno-rządowy zespół ekspertów, których zadaniem było przygotowywanie wizyt zagranicznych trzech osób w państwie: pierwszego sekretarza, przewodniczącego rady państwa i premiera rządu, następnie sporządzono jeszcze taki plan dla ministra spraw zagranicznych. Zespół ten przygotowywał plan naszych kontaktów zagranicznych na podstawie posiadanych już zaproszeń, jak również tworzył tzw. plan życzeniowy, a więc sporządzał listę krajów, z którymi powinniśmy nawiązać kontakty. Dzięki temu, wizyty te były, jak na nasze stosunki, dobrze i z wyprzedzeniem przygotowane. Każda wizyta miała swój pakiet gospodarczy i polityczny. Staraliśmy się, aby wizyty przebiegały według tych ustaleń.

— Jak dalece był przygotowany program gospodarczy?

— Nie sposób na to wprost odpowiedzieć, bowiem wszystko zależało od tego, jak dalece rozmowy wstępne bądź kontraktowe, były zaawansowane. Zdarzało się więc, że w rozmowie z gospodarzami zaczynałem jakiś nowy temat gospodarczy, finalizowałem rozmowy, bądź wręcz brałem już udział w podpisaniu kontraktu. Z reguły podpisywał go któryś z ministrów i przed wyjazdem kontrakt był już, co zrozumiałe, przygotowany. Generalnie, nigdy nie byłem Zosią Samosią, a więc nie podejmowałem decyzji, co kupić; zawsze decyzja należała do grona ekspertów. Nie uzurpowałem sobie absolutnie takich kompetencji, ograniczając się do roli czysto politycznej. Nawet gdy rzecz sam zapoczątkowałem, jak w przypadku telewizora, małego samochodu, autobusu czy Huty Katowice.

— Jak wyglądała, na przykład, sprawa podpisania kontraktu w sprawie „Berlieta”? Słuchałem opinii, że Ciopak, aby przynudzić się Fran-

Berliety



— Sprawę zakupu „Berlieta” przygotowywał przez dłuższy czas zespół fachowców. Zaraz po Grudniu, znając z autopsji nasze problemy z komunikacją autobusową na Śląsku, zaproponowałem rządowi radykalnie problem rozwiązać, zakupując licencje na dobry i sprawny autobus. Chodziło nam o dwie wersje autobusu; dla komunikacji miejskiej i międzymiastowej. Rozmowy rozpoczęliśmy w kilku krajach, głównie nasi eksperci toczyli je w Japonii, Włoszech, Francji, RFN i na Węgrzech. Japoński autobus był doskonały, ale był to — jak dla nas — pojazd zbyt zaawansowany technicznie. Miał tak bogate wyposażenie elektroniczne, że nie byliśmy w stanie szybko i tanio stworzyć prawdziwie masowego serwisu technicznego. Węgrzy, mający już wtedy osiągnięcia w produkcji Ikarusa, zaproponowali nam kooperację daleko nas niezadowolającą. Zasugerowali produkcję karoserii, natomiast silnik i wszystkie układy techniczne chcieli produkować sami. Taki nierównoprawny kontrakt nam nie odpowiadał; nie był korzystny finansowo i technologicznie. Włosi zaproponowali autobusy zbyt delikatne, które zwłaszcza w naszej strefie klimatycznej, nie zdałyby egzaminu.

— Tak więc oferta pozornie szeroka zawężyła się do „Berlieta”?

— „Berliet” miał u nas dobrą opinię, jest to zresztą autobus obecny we wszystkich miastach Francji i na nim opiera się komunikacja tak miejska, jak i dalekobieżna. Zaletą „Berlieta” było jeszcze to, że, jak orzekli nasi eksperci, można będzie w nim stosować z powodzeniem produkowane już u nas silniki na licencji „Leylanda”. Specjaliści ci przedtem, zapomniałem o tym powiedzieć, koncepcję zakupu samego „Leylanda” odrzucili, jako nieprzydatną dla nas. Zresztą trzeba przyznać, że wszystkie autobusy z czołowych fabryk światowych były przez pewien czas testowane w Polsce. Opinie przed podpisaniem kontraktu były więc sporządzone w sposób naprawdę rzetelny. W sumie, gdy w 1972 roku składałem wizytę na zaproszenie prezydenta Pompidou, kontrakt przygotowany przez fachowców był już zaparafowany, nie ja go zresztą podpisywałem, tylko minister przemysłu maszynowego. A potem stugębna, wieź niesie: Gierek zawinił, a w domyśle — musiał coś z tego mieć.

— W takie bzdury nikt rozsądny nie wierzył.

— W tej mojej winie jest tyle prawdy, jak w kolejnej bredni głoszącej, że moja żona jeździła do Paryża do fryzjera.

— Z tymi opiniami też się zetknąłem, sądzę, że nad rozpowszechnieniem tego typu wiadomości ktoś bardzo musiał pracować, bo do dziś spotykam ludzi, którzy daliby się przekonać, że Gierka... co tutaj... czekało

kiem naszej rodziny samochodowej?

— Autobusy te, jak na szczupłość naszego parku maszynowego, były trochę skromnie obliczone: na 70–80 osób i na tyle silnik „Leylanda” wystarczył. Tymczasem u nas obciążenie autobusów było dwa razy większe, bo woziły w godzinach szczytu około 150 osób. Na takie obciążenie nikt ich w fabryce nie konstruował. W rezultacie psuło się i nadwozie i silnik.

— **Z tego wynika, że po naszych ulicach i szosach powinny jeździć autobusy produkowane u kowala, najlepiej z blachy pancerniej.**

— W każdym razie powinny być specjalnie projektowane na nasze obciążenia i na nasze drogi. Ale to już, proszę pana, należało do ekspertów, a nie do pierwszego sekretarza. Ponieważ wiedziano, że Gierek był u „Berlieta”, więc on zawinił. W czasie tamtej wizyty bardzo o spotkanie ze mną zabiegał szef koncernu Renaulta. Francuzi bardzo się wtedy interesowali sprzedażą Polsce modelu samochodu małolitrażowego — podobno był lepszy od „126” — nie chcąc jednak decydować o ewentualnym wyborze licencjodawcy, odesłałem Francuzów do ekspertów. Jak się dowiedziałem, oferowane przez nich warunki kredytowe, rzecz nie bez znaczenia przy podpisywaniu kontraktu, były mniej atrakcyjne od włoskich i tak pozostaliśmy przy ofercie „Fiata”. Ale trzeba wiedzieć, że w tamtych latach — dosyć masowych zakupów nowoczesnych technologii — mogliśmy kupować tylko licencje już wdrożone, a więc w dniu podpisania kontraktu spóźnione w stosunku do najnowszych rozwiązań o co najmniej 5 lat. I druga sprawa, istotna dla tak zwanych wdrożeń kupowanych technologii. Z reguły kupowaliśmy licencję niepełną, jak to się mawia: niekompletną. Kupując nowoczesny sprzęt, zlecaliśmy naszym konstruktorom zadanie dodatkowego rozwiązania od kilku do kilkunastu tematów. Od ich realizacji zależało następnie wdrożenie licencji.

— **Czym była podyktowana ta oszczędność?**

— Właśnie oszczędnością, a więc chęcią kupowania jak najtaniej. Może gdybyśmy w naszej filozofii zakupu nowych technologii zdecydowali się na zakup zakładów jak to się mawiało „pod klucz”, byłoby lepiej. Drożej, ale lepiej, bowiem produkt końcowy nie byłby po drodze spaprany. Wie pan, mamy w kraju wiele wydziałów politechnicznych, setki instytutów naukowych, tysiące inżynierów, a czy pan wie, ile Polska w tamtej dekadzie wyprodukowała patentów o znaczeniu światowym? Tylko dwa. Chyba pan przyzna, że to niewiele jak na nasze w sumie dobre samopoczucie i mniemanie o polskich uzdolnieniach.

— **Na czym polegała batalia o polski telewizor kolorowy? Wspominał**

Pan o tym w poprzedniej książce, lecz nie było miejsca na szersze zaprezentowanie sprawy.

— Na początku dekady lat siedemdziesiątych postawiłem przed naszymi specjalistami zadanie wyprodukowania polskiego telewizora kolorowego. Rosjanie, gdy tylko się o tym dowiedzieli, złożyli ofertę wspólnej produkcji ich „Rubinów”. Były to jednak telewizory lampowe, bardzo nie-nowoczesne. Gdy przeprowadzono u nas ich ekspertyzę, okazało się, że wszystkie przeciętne telewizory wielkich firm europejskich — nie mówiąc już o japońskich czy amerykańskich — są o całą generację nowocześniejsze. Tak więc mimo objawianego przez nich niezadowolenia podziękowaliśmy pięknie za ofertę naszym przyjaciołom i zaczęliśmy poszukiwać partnerów na Zachodzie. Wszystkie jednak kontakty z producentami europejskimi w RFN, Francji, Anglii, nieodmiennie prowadziły do Ameryki.

— Wszyscy korzystali z licencji amerykańskich?

— Tak, i mimo dobrych chęci bali się zdrzeć z Amerykanami i nieodmiennie odsyłali nas do nich. Chodziło o najnowocześniejsze rozwiązania stosowane w kineskopach, które były objęte najściślejszym embargiem NATO. W tej sytuacji postanowiliśmy nawiązać bezpośredni kontakt z Amerykanami. Świetna okazja, jak pan wie, nadarzyła się w czasie wizyty w Warszawie w roku 1972 prezydenta Nixona.

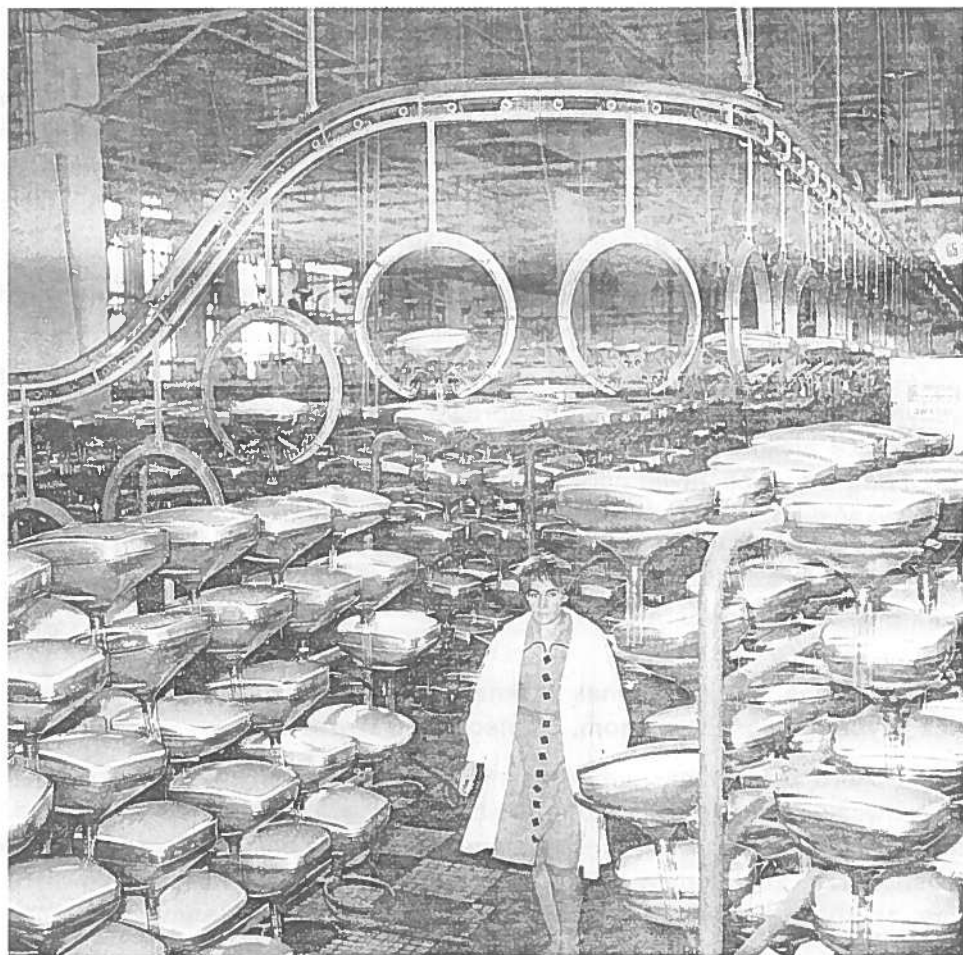
— Nixon, jak już Pan wspominał, nie był zainteresowany rozmowami gospodarczymi.

— Właśnie, przez to zapisał się nie najlepiej w mej pamięci. Zabiegał jedynie o spektrum polityczne, o oprawę propagandową i pokazanie Rosjanom, że nic nie jest dane na zawsze i pewnego dnia oni, Amerykanie, też będą mogli postawić nogę w tej części Europy. Jak zwykle w polityce amerykańskiej, Polska była dla nich tylko elementem gry. Słowa wypowiedali w Warszawie, ale myśleli tylko o ich odbiorze w Moskwie. Godziłem się na to, bo — jak już wspominałem — podnieśliśmy dzięki takim wizytom prestiż naszego kraju.

— Nixona wkrótce jednak połknęła afera Watergate i jego następcą, też chyba na złość Rosjanom, przyjechał do Warszawy.

— Ford był jednak nam znacznie bardziej przychylny. Był po prostu życzliwszy Polsce. Ale na moje prośby w sprawie kineskopów elegancko i grzecznie, jak mógł, tak się wykręcał. Nadużywając jednak trochę praw gospodarza, zdołałem w końcu wycisnąć z prezydenta Forda zobowiązanie, że zbada wczepotrobie sprawę na powrocie do Stefana Ziadr...

Świat w kolorach



— **Dlaczego Pan tak się uparł, aby w Polsce produkować telewizory kolorowe?**

— Były dwa powody. Pierwszy, bo chciałem, aby w naszym kraju rozwinęła się elektronika, wiedziałem bowiem, że taki telewizor będzie dla tej dziedziny prawdziwą lokomotywą, a po drugie, chciałem Rosjanom pokazać, że Polacy, jak się uprą, to postawią na swoim. Z Breżniewem, który zapewniał, że nam się nie uda kupić licencji od Amerykanów, niemal chciałem się założyć, że potrafimy to przeprowadzić. Po prostu, panie Januszu, wzięłem sobie na ambit.

— **I co, jaka przyszła odpowiedź od prezydenta Forda?**

— Po trzech miesiącach na adres ministerstwa odpowiedział nie prezydent Ford, lecz sekretarz stanu Kissinger. Jak pan się domyśla z tego, że list nie był adresowany do mnie, odpowiedź była negatywna. Mimo to ja zagiąłem parol i postanowiłem raz jeszcze przypuścić atak, przy okazji tym razem wizyty w Stanach Zjednoczonych.

— **Do wizyty doszło wkrótce?**

— Tak, należało się spieszyć, bo zbliżały się wybory, a prognozyki dla prezydenta Forda, jak pan pamięta, były niekorzystne. W czasie pierwszej rozmowy z prezydentem nawiązałem do naszej rozmowy w Warszawie i jego obietnic mi złożonych, że zrobi wszystko, co będzie mógł, aby załatwić sprawę po naszej myśli. Trzeba przyznać, że w tej rozmowie wykorzystałem fakt, że było to nasze już drugie spotkanie. Między politykami bowiem, musi pan wiedzieć, w razie częstych spotkań wytwarza się szczególna więź. Niech pan spojrzy na zdjęcia robione z okazji spotkań uprzemysłowionej siódemki. Mężowie stanu, którzy uczestniczą w tych spotkaniach, są nie tylko rozluźnieni, ale mimo wielu przeciwności, jakie niewątpliwie często ich dzielą, sprawiają wrażenie zgranej paczki.

— **To prawda, że ich *image* robiony jest znacznie lepiej niż przeciwnej strony. Panowie, myślę o Pakcie Warszawskim, do zdjęć zasiadaliście za stołami, które was zdawały się chronić niczym samochody pancerne, nie wspomnę już o waszych śmiertelnie ponurych minach. Niech Pan mi powie, dlaczego nie chcieliście fotografować się grupowo?**

— Sądzę, że obawiano się spraw proceduralnych. Nie wiadomo byłoby, jak mielibyśmy się ustawić; według wzrostu, wielkości kraju czy alfabetycznie? Wolano tego nie tykać i tak pozostały stoły, które przeżyły mnie i przeżyją już pewnie sam Pakt Warszawski.

szalę na naszą stronę?

— Z reakcji Forda, który wyraził wobec Kissingera zdziwienie z niezalutwienia sprawy, wynikało, że Ford polecił mu nie dawać definitywnie negatywnej odpowiedzi. W tym momencie prezydent poczuł się trochę jak uczeń, który nie odrobił lekcji. I tym razem już nie zwlekał, nie zwracał się do kolejnej grupy ekspertów, lecz dał mi jasną, pozytywną odpowiedź. Prosił tylko, abyśmy nie udostępniali tej licencji naszym sojusznikom. Oczywiście w pierwszej kolejności miał na myśli Związek Radziecki.

— A był Pan w stanie, z otwartym czołem, złożyć takie oświadczenie? Dosyć powszechna plotka głosi, że w Pańskiej dekadzie wiele licencji kupowano z myślą o Rosjanach, którzy tylko za naszym pośrednictwem mogli je uzyskać.

— Panie Januszu, jest to wierutna bzdura, która zdrowo mnie irytuje. Mogę pana zapewnić, że Polska za moich czasów nie przekazała żadnej zastrzeżonej licencji do Związku Radzieckiego.

— A jest Pan w stanie wykluczyć nieformalne przekazanie takich licencji, przez ludzi podstawionych i współpracujących z radzieckim wywiadem gospodarczym?

— Za to, oczywiście, głowy dać nie mogę. Ale nie mogę też odpowiadać za słońca. Jeśli bowiem takie fakty miały miejsce, to tylko w ten jednoznaczny sposób mogę je określić. Natomiast powiem panu, jako przykład, że gdy drogą nielegalną (o czym jeszcze później opowiem), uzyskaliśmy trzecią generację układów scalonych, to Rosjanie o tym dowiedzieli się dopiero wtedy, gdy produkcję owych elementów już w pełni wdrożyliśmy. A układy te miały dla nich wręcz strategiczne znaczenie i bardzo byli zainteresowani ich uzyskaniem. Tak więc, jak pan widzi, wywiad radziecki, wbrew temu, co się sądzi, nie był znowu u nas taki wszechwładny.

— A jak zareagowali radzieccy przywódcy na wiadomość, że Polska mimo wszystkich trudności uruchamia jednak produkcję bardzo nowoczesnych kineskopów do produkcji telewizorów kolorowych? Czy Breżniew Panu gratulował, czy zlorzeczył?

— Breżniew, sądzę, nawet o tym się nie dowiedział. Było to już w okresie znacznego pogorszenia się jego stanu zdrowia. Natomiast ich minister przemysłu elektromaszynowego oświadczył naszym ministrom: „Jeśli sądzicie, że będziecie te telewizory sprzedawali w naszych krajach, to się mylicie. Prędzej udławicie się nimi, niż ktoś od was kupi ich większą partię”.

— **Czy to pana zirykowało?**

— Raczej uznałem, że mimo całej arogancji i imperialnej buty, jego deklaracja nie miała specjalnego znaczenia, bowiem podpisaliśmy kontrakt, który w całości mieliśmy spłacać kineskopami. A reszta miała być z zyskiem sprzedawana na Zachodzie. Łącznie mieliśmy produkować dwa rodzaje kineskopów po 600 tysięcy sztuk, z czego jedna czwarta szła na spłaty, a jedna czwarta miała być sprzedawana przez Amerykanów na nasze konto. 600 tysięcy kineskopów miało pozostawać w kraju.

— **Na sprzedaż takiej ilości nie można było chyba w pełni liczyć?**

— Toteż uważałem, że mimo radzieckich zapewnień, będą je od nas z pocałowaniem ręki kupowały głównie kraje socjalistyczne, jak również mniej rozwinięte zachodnie. Zresztą, wie pan, najpierw trzeba troszczyć się o dobry towar, a gdy jest on już rzeczywiście dobry, to potem nie ma problemów ze sprzedażą.

— **Jak produkcja ta została uruchomiona? Były, zdaje się, znaczne problemy?**

— Przede wszystkim były problemy z uzyskaniem bardzo wysokiej, amerykańskiej jakości. Skoro bowiem kineskopy te, a przynajmniej ich część, miały być sprzedawane tak zwaną drogą samospłaty jako telewizory amerykańskie, musiały być jakościowo wręcz doskonałe. Dlatego też w kontrakcie Amerykanie zawarowali sobie prawo do kontroli całego procesu produkcji, a w fazie wstępnej — jej wdrożenia. Ponieważ, jak pan wie, fabryka kineskopów została zlokalizowana w Iwicznej, więc w jej okolicach, konkretnie w Grabowie, ulokowaliśmy amerykańskich specjalistów wraz z rodzinami. Gdy jedzie się obecnie w stronę Piaseczna przedłużoną Puławską, to przed Pyrami, po prawej stronie, widać te domy, w których dziś, co zrozumiałe, nie mieszkają już Amerykanie; wykupili je nasi ludzie. Wprowadzenie tej technologii było bardzo skomplikowane, była to bowiem po prostu, jak na koniec lat siedemdziesiątych, przodująca technologia w przodującej dziedzinie techniki.

— **Słyszałem, że mieliśmy ogromne trudności z uruchomieniem pierwszej linii produkcyjnej. Koledzy dziennikarze opowiadali mi, zresztą było o tym swego czasu w Warszawie głośno, że aby dotrzymać terminu uruchomienia produkcji — a uroczystość otwarcia zaszczyć miał premier — zmontowano pierwszą linię produkcyjną tylko na pokaz, aby widział ją Jaroszewicz i oko kamery. Następnego dnia po otwarciu wszystko rozmontowano. Prawdziwe uruchomienie produkcji nastąpiło znacznie**

rykańscy technicy i konstruktorzy byli tak czuli na wdzięk polskiego premiera, by uczestniczyć w tego rodzaju szopce. Wiem natomiast, że Iwiczna miała ogromne problemy z uzyskaniem odpowiedniej jakości szkła niezbędnego do produkcji tak doskonałych kineskopów. Przy okazji tego telewizora musiano bowiem rozwiązać aż 17 skomplikowanych problemów produkcyjno-technologicznych. A wszystko dlatego, że nie kupowaliśmy, jak już panu tłumaczyłem, zakładów „pod klucz”.

— **À propos owych potiomkinowskich tradycji; chyba Pan się zgodzi, że w Polsce rozwinęły się one dopiero w minionej już epoce socjalizmu realnego. Czemu Pan to przypisuje?**

— Jeśli takie fakty miały miejsce, a nie mogę temu przeczyć, brały się z tego, że komuniści chcieli Polskę unowocześnić szybciej i lepiej niż było można. A wiadomo, że gdy człowiek chce zbyt wiele naraz, to dużo przy tym traci.

— **Dlaczego jednak faktów tego pokroju zanotowano więcej za Pana czasów niż w epoce pańskiego poprzednika?**

— Co też pan mówi! Za moich czasów po prostu niezwykle dużo zbudowaliśmy nowych, bardzo nowoczesnych zakładów. Ale zapewniam pana, że potiomkowszczyzny w tym nie było.

— **Ale dlaczego jakość tego, co zbudowano, była nie najlepsza?**

— Jak to: nie najlepsza?

— **Zatrzymajmy się na budowach drogowych. W samej Warszawie Trasę Łazienkowską już remontowano, to samo dotyczy okolic Dworca Centralnego. Na magistrali Katowice–Warszawa, na odcinku Piotrków–Częstochowa poprawiano już nieomal wszystkie wiadukty.**

— Z tym pytaniem niech pan się zwróci do kierowników budów, do tych, którzy te trasy i dworce budowali, a nie do Gierka. Metoda obwiniania o wszystko Gierka jest wręcz nieznośna, nie uważa pan? O mnie natomiast nie pamięta się wszędzie tam, gdzie coś się udało. Czy pan wie że ja do dziś nie zostałem zaproszony do warszawskiego Zamku? A przecież na decyzję o jego odbudowie wywarłem decydujący wpływ. Jak dziennikarz powinien pan wiedzieć, że przed Grudniem, a więc przed objęciem przeze mnie funkcji pierwszego sekretarza, na nazwę „Zamek Królewski” w Warszawie był zapis cenzuralny. O odbudowie tego symbolu państwowości polskiej Gomułka zabronił pisać i mówić. Teraz zamek ma wielu, wielu ojców, tylko o Gierku nikt nie pamięta.

— Przyznaję, że to obyczaj naganny, rodem ze Wschodu. Ale przecież taka postawa to dzieło nie społeczeństwa, tylko pańskich najbliższych towarzyszy partyjnych z Politbiura: Kani i Jaruzelskiego. Skoro Pan ich tak wychował, to musiał Pan ponieść tego konsekwencje.

— Stanowczo protestuję przeciwko nazywaniu mnie wychowawcą obu tych panów.

— Zgoda, powróćmy wobec tego do efektów gospodarczych Pańskiej polityki zagranicznej.

— Jeszcze jedno zdanie o kineskopach z lwicznej. Pragnę pana zapewnić, że Polska zrobiła na tej inwestycji dobry interes, mimo że program ten po moim odejściu został okrojony. A nasze licencje *know-how* zakupione za ciężkie pieniądze na Zachodzie zostały za bezcen, albo i za darmo, udostępnione innym krajom socjalistycznym. Zapewniam pana, że oni nam takich prezentów nie robili. Ale, niestety, zbiegło się to z przyptywem ideologicznych uczuć moich następców w stosunku do całej Wspólnoty. Zwracam pańską uwagę także i na to, że po Sierpniu wielu dziennikarzy, a także działaczy partyjnych głosiło, że Gierek zamiast zakupić coś bardziej krajowi potrzebnego, wymyślił sobie telewizory kolorowe, jakby mało było nam czarno-białych.

— Przyjaciel Kani, mianowany wkrótce po Sierpniu szefem telewizji, pomstował na telewizję kolorową, jako na przejaw fanaberii, i wzdychał do czarno-białej.

— Niestety, panie Januszu, muszę dziś przyznać, że gdyby zwyciężyły takie poglądy, Polska przemieniłaby się w kraj siermiężny, odwrócony tyłem do nowoczesności. Jak można nie dostrzegać, czym dla Polski był tak wielki zastrzyk nowoczesnej technologii, jak produkcja kineskopów należących wówczas do najlepszych na świecie?

— Tego doprawdy nie rozumiem.

— Jeszcze kilka lat po Sierpniu tak Węgrzy, jak Jugosłowianie czy NRD — modernizowali w oparciu o nie swe telewizory, montując w nich nasze kineskopy. Niech pan mi wierzy, że w latach siedemdziesiątych elity innych krajów socjalistycznych zazdrościły nam tego bezprecedensowego w skali europejskiej zastrzyku nowoczesnej technologii. W wielu dziedzinach zdobyliśmy wtedy przyczółki techniki wprost XXI wieku. Ale, wie pan, na czym polegało nasze strukturalne zacofanie w stosunku do tak wspaniale rozwijających się krajów Dalekiego Wschodu? Japończycy, gdy kupowali jakieś licencje, a zakupili ich w latach pięćdziesiątych bez

go, ani rządu. Teraz mówię o tym, że źle robiliśmy nie kupując całych zakładów „pod klucz”. Ale, niech pan zrozumie, że wtedy tak czyniliśmy nie tylko ze względów oszczędnościowych, lecz również chcieliśmy dać naszym inżynierom i technikom pole do popisu, chcieliśmy, aby wraz z zakupem nowych technologii rozwijali się również oni sami. I naprawdę uważam, że temu rozumowaniu trudno coś zarzucić.

— **Widocznie Polacy nie nadają się do gospodarki kolektywistycznej. Nasz indywidualizm wymaga innych form działania.**

— Niedługo będziemy mogli sprawdzić empirycznie, czy ma pan rację.

— **I ja tak sędzę. Ale bajkowe kariery niektórych naszych rodaków, zbiegłych z Polski Ludowej za granicę, jak na przykład Kudelskiego, świadczą, że gdy pracują na swoim, są wydajniejsi i efektywniejsi.**

— Ale przecież wszyscy w Polsce byli na swoim.

— **Spółeczeństwo uważało, że kraj nie jest jego własnością, tylko biurokracji partyjnej i rządowej.**

— Biorąc poprawkę na ową biurokrację uważam, że było to lepsze niż być w rękach obcego kapitału, do którego teraz jak oszalali tak masowo wzdychają moi rodacy. Przedtem wszystko, co zbudowaliśmy, pozostawało nasze, polskie.

— **Niestety, nie budowaliśmy dobrze.**

— Jak dalece stawialiśmy na naszą kadrę techniczną, świadczy przykład licencji traktorów „Massey-Ferguson”. Wprowadzenie tej licencji wymagało rozwiązania aż prawie stu czterdziestu dodatkowych tematów, od ich wdrożenia zależało uruchomienie produkcji ciągników. Ale, tak à propos, chcę panu powiedzieć, że dziś żałuję, iż będąc u kanclerza Schmidta, nie skorzystałem z zakupu licencji traktora enerefowskiego. Miał on niezwykle bogate oprzyrządowanie, bezcenne wręcz przy pracach polowych.

— **Skoro był lepszy, dlaczego Pan tego nie zrobił?**

— Podkreślałem wielokrotnie, że ja tylko przecierałem ścieżki i tworzyłem korzystny klimat do zakupu licencji, do uzyskiwania kredytów. Ukonkretnienie tych decyzji politycznych, ich realizacja należała już do fachowców. Hasło: „Rząd rządzi, partia kieruje” nie było martwym hasłem.

W Ursusie



— **Czy traktor racnowcy uznali za lepszy?**

— Za lepszy, z racji między innymi wspaniałego osprzętu lub, powiedzmy, dodatkowego wyposażenia, uznano traktor niemiecki.

— **Dlaczego wobec tego nie zakupiliśmy tego traktora?**

— W Biurze Politycznym powstały opory przeciwko temu, by Niemcy modernizowali nam rolnictwo.

— **To trochę w stylu: nie będzie Niemiec pluł nam w twarz.**

— Nie były to argumenty merytoryczne, ale opory były tak jednoznaczne, że ustąpiłem. Po ugodzie z kanclerzem Schmidtem w Helsinkach nie chciałem wykonać kolejnego posunięcia, po którym okrzyknięto by mnie filogermanem.

— **Pan wybaczy, nie chcę być brutalny, lecz to było Pańskie Biuro Polityczne i jego skład, jakkolwiek by na to patrzeć, obciążał w pierwszej kolejności Pana.**

— W *Przerwanej dekadzie* wyjaśniałem panu, że nie byłem pomazańcem Bożym i skład tego Biura, choć w znacznej mierze zależny ode mnie, był jednak przede wszystkim wypadkową układu sił w partii. Nad tym układem, a więc realiami, nie mogłem przechodzić do porządku dziennego. Gdybym tak robił, byłbym prawdziwym głupcem. Ponadto, mimo że miałem przemożny wpływ na wynik posiedzeń, a więc również i uchwał tegoż biura, nie mogłem podejmować decyzji wbrew niemu.

— **Czy tym samym, a więc oporami ideologicznymi i nacjonalistycznymi należy tłumaczyć brak innych spektakularnych zakupów licencji z Niemiec w latach siedemdziesiątych? Myślę między innymi o autobusach i samochodach.**

— Z pewnością taka właśnie postawa Biura, ale nie tylko Biura, lecz i całego społeczeństwa, miała na to istotny wpływ. Po prostu trzeba uznać za fakt oczywisty i ewidentny głębokie wówczas obawy przed Niemcami, a co za tym idzie — niechęć do nich. Społeczeństwo, mówiąc wprost, musiało przeżyć kociokwik lat osiemdziesiątych i rządy ówczesnych władz prowadzące do powszechnego zubożenia, aby stało się zdolne inaczej spojrzeć na Niemców. Dziś to z pewnością ma miejsce. W kąć poszły, przynajmniej w znacznym stopniu, urazy, a w oglądzie Niemców, zwłaszcza przez młode pokolenie, decyduje materialna prosperity naszych zachodnich sąsiadów.

— **I stąd, wracając do lat siedemdziesiątych, brał się nieudany, w dość powszechnym odczuciu, zakup traktorów angielskich.**

— Absolutnie nie zgadzam się z pańską opinią, bowiem „Masey-Ferguson” to niewątpliwie traktor nowoczesny, a jego wyprodukowanie stanowiło ewidentny postęp w stosunku do traktorów produkowanych poprzednio w Ursusie. Był to skok, który można porównać do zastąpienia na Żeraniu produkcji „Pobiedy” polskim „Fiatem 125-p”. Inna sprawa, że było to przedsięwzięcie gigantyczne, bezspornie większe od produkcji samochodu średniolitrażowego, i jego wprowadzenie do produkcji przebiegało niezwykle opornie.

— **Zgadzam się, że licencyjne traktory angielskie są o klasę lepsze od swych poprzedników, ale ustępowały z kolei, jak sam Pan powiedział, traktorom niemieckim, których nie zakupiliśmy z racji oporów nacjonalistycznych kilku panów z Biura Politycznego. A warunki finansowe Niemców były lepsze czy gorsze od angielskich?**

— Licencja również była kredytowana, a które warunki lepsze — nie potrafię już dziś odpowiedzieć. Nie wykluczam, że dzięki poparciu rządu federalnego Niemcy mogli nam nawet oferować lepsze, a w każdym razie nie gorsze warunki.

— **Zwyczajnie żal!**

— I ja tak myślę, zwłaszcza z perspektywy czasu. Ale do oceny owej decyzji niezbędne jest uwzględnienie tamtych kryteriów i ówczesnych poglądów, i to nie tylko polityków, lecz i społeczeństwa. A społeczeństwo, musi pan wiedzieć, nie chciało absolutnie żadnego uzależnienia się Polski od Niemiec. A za krok w tamtym kierunku uznano by zakup tak znaczącej licencji.

— **Ale tego typu względy nie były już tak istotne przy opracowywaniu programu gazyfikacji węgla.**

— W tej dziedzinie Niemcy są najbardziej zaawansowani na świecie, poza tym usłyszałem o sprawie w czasie oficjalnej wizyty w RFN od prezesa koncernu Kruppa, pana Beitza. Informacja a tym, że Niemcy gazyfikują węgiel na skalę techniczną, bardzo mnie zainteresowała. Polski węgiel, szczególnie w Zagłębiu Jaworznickim, jest bardzo zasiarczony. Mimo że zalega płytko pod ziemią, bo ledwie 200–400 metrów, dzięki czemu jest stosunkowo tani, jest niechętnie kupowany; jego zasiarczenie jest bowiem szkodliwe dla środowiska. W zagłębiu tym zalega kilka miliardów ton takiego węgla, więc jego gazyfikacja leżała i leży w najgłębszym interesie Polski. W procesie gazyfikacji mieliśmy otrzymywać prócz ciekłego

— **Czy gazyfikacja miała się odbywać pod ziemią?**

— Nie. Węgiel, po wydobyciu spod ziemi, wędrowałby taśmociągami do specjalnej fabryki i tam podlegałby kompleksowej gazyfikacji. Odbywałoby się to bez skażenia środowiska. Każda tona węgla byłaby maksymalnie wykorzystana, a jej wartość globalna miała być kilkakrotnie wyższa od wartości, jaką ma sam węgiel, wydobyty spod ziemi.

— **Czy była to metoda sprawdzona?**

— W ramach porozumień i kredytów uzyskanych na ten cel dostaliśmy od Kruppa urządzenie do eksploatacji złoża w skali półteczniczej. Zainstalowaliśmy ją w kopalni „Janina”, w Brzeszczach. Wstępna eksploatacja miała dostarczyć naszym inżynierom niezbędnych doświadczeń, a także miała służyć zwyczajnemu sprawdzeniu całej koncepcji. Brak kontaktów z RPA uniemożliwił bowiem przyjrzenie się pracy tych urządzeń, jak również sprawdzenie ich efektywności.

— **Dlaczego jednak nie doszło do wdrożenia tej technologii na szerszą skalę?**

— Nasi handlowcy z Ministerstwa Handlu Zagranicznego, znaleźli jeszcze poza Kruppem drugą firmę zainteresowaną tym zagadnieniem i, szczerze mówiąc, zaczęło się istne polskie piekiełko. MHZ było za jedną koncepcją, a górnictwo za drugą. Zaczęła się typowo polska walka na koncepcje na opracowania. Wciągnięto w nią naukowców z instytutów branżowych z Polskiej Akademii Nauk. Towarzysze z rządu zajmujący się tym problemem w żaden sposób nie mogli dogadać się z obiema spierającymi się grupami, a tym samym nie mogli podjąć decyzji. I tak czas płynął na bezowocnych swarach. W Polsce zresztą za zaniechanie jakiejś sprawy nikt z reguły nikogo nie obwinia, gorzej, gdy zaczyna się konkretne działania, wtedy o krytyków jest niezmiernie łatwo; nie sieją ich, ale zawsze ich pełno.

— **I tak koncepcja upadła?**

— Nie, nie upadła, ale trwała w swoistym zawieszeniu. W czasie mej wizyty w Republice Federalnej Niemiec w sierpniu 1980 roku, wizyty, do której z wiadomych powodów nie doszło, chciałem sprawę gazyfikacji pchnąć z martwego punktu i miałem na ten cel obiecane od Niemców duże środki. Bardzo mi zależało na realizacji tej koncepcji, nadałaby bowiem nowy impuls naszemu kopalnictwu węgla. Dziś, gdy modne są przedsięwzięcia gospodarcze z kapitałem mieszanym, proponuję powrócić do sprawy. Dla zagłębia jaworznicko-mikołowskiego jest to chyba obecnie jedyna szansa nie tylko rozwoju, lecz nawet przetrwania. Wyz-

nam szczerze, że wśród niezrealizowanych zamierzeń gospodarczych, ta koncepcja leżała mi szczególnie na sercu. Potrzeba jej wprowadzenia z każdym rokiem jest coraz bardziej i bardziej widoczna.

— **Dlaczego nie doszło do zakupu licencji małych samochodów dostawczych z Ameryki?**

— Myśli pan o tak zwanych pick-upach koncernu „General Motors”?

— **Tak. Słyszałem, że w połowie lat siedemdziesiątych rozmowy na ten temat były mocno zaawansowane, a potem rzecz cała zupełnie się rozmyła.**

— W czasie mojej wizyty w USA koncern „General Motors” złożył ofertę zbudowania w Polsce wielkiej fabryki samochodów dostawczych. Brak tych samochodów na rynku krajowym był wielce dotkliwy. Próbowa-
liśmy go zaspokoić nieudaną, acz sympatyczną próbą uruchomienia produkcji „Tarpana”. Amerykanów interesowała bardzo duża fabryka o produkcji rocznej przeszło 150 tysięcy wozów. Tyle w każdym razie chcieli ich dostać na swój rynek. By zaspokoić krajowe potrzeby, produkcja musiałaby wynosić co najmniej 200 tysięcy pojazdów. Byłyby to chyba największe tego typu zakłady w Europie. Przedsięwzięcie miało więc być gigantyczne, a kredyty musiałyby wynosić co najmniej miliard dolarów. Zastanawiając się nad lokalizacją fabryki w Polsce, Amerykanie podkreślili dobry stan naszych kadr technicznych, technologiczne zaawansowanie kraju i coś, co dziś zabrzmiałoby humorystycznie: brak strajków i stabilną sytuację polityczną. Koncepcja, o ile się nie mylę, upadła po strajkach czerwcowych 1976 roku.

— **A jak wyglądała sprawa zakupu licencji „malucha”?**

— „Maluch” należał do tych spraw, które chciałem załatwić szybko. Jeszcze jako sekretarz na Śląsku myślałem o tym, by uruchomić produkcję samochodu małolitrażowego. Kwestię zakupu licencji postawiłem też na porządku dziennym, z chwilą gdy tylko udało nam się zażegnać strajki i przyjąć strategię przpieszonego rozwoju kraju. Lansując koncepcję produkcji w Polsce samochodów małolitrażowych, stałem na stanowisku, że należy w naszym kraju, zgodnie z duchem czasu i zapotrzebowaniem społecznym, rozwinąć masową motoryzację. W tym celu Biuro Polityczne poleciło wyspecjalizowanym agendom rządowym przeprowadzić za granicą rekonesans finansowy i techniczny. I tak stestowano u nas wszystkie bez mała produkowane wówczas samochody małolitrażowe. Po dosyć dużych wahaniach wybór padł na „Fiata”. „Fiat”, trzeba przyznać, zaproponował nam samochód nowoczesny, przystosowany do warunków motoryzacji

— O ile się nie mylę, głównie marki Renault. Na wyborze zaważyły dwa czynniki: dobre warunki finansowe i długie polskie tradycje współpracy z firmą z Turynu.

— **Dlaczego zdecydował się Pan na budowę fabryki w Bielsku i Tychach?**

— Region śląski jest w pewnym sensie chory na węglowo-stalową monokulturę. Stałem na stanowisku, że wykorzystując dobry, przemysłowy stan techniczny kadr pracujących na Śląsku, należy w tym regionie mocniej postawić na przemysł maszynowy. Sądzę, że było to właściwe posunięcie i lokalizacja właśnie tutaj produkcji tego samochodu znakomicie się sprawdziła. Mały „Fiat” okazał się znakomitą inwestycją. Zakłady sploty się bardzo szybko i ze wszystkich zagranicznych fabryk „Fiata” najszybciej uzyskały pełną moc produkcyjną. Były po prostu potwierdzeniem trafności przyjętej koncepcji gospodarczej.

— **Moim zdaniem jednak ta licencja, jak i wiele jej podobnych potwierdziła, że Polacy nie potrafią wykorzystywać licencyjnej produkcji jako mechanizmu samonakręcającego dalszy rozwój różnych dziedzin gospodarki. Japończycy, nim uruchomili produkcję samochodów, zakupili dwie czy trzy licencje i na tej podstawie wyprodukowali ten czwarty, własny samochód. I tak urodziło się dzisiejsze mocarstwo motoryzacyjne. U nas natomiast tłuczemy jeden model dopóty, dopóki nie zdekapitalizują się, jak w przypadku dużego „Fiata”, tłocznie do produkcji karoserii, a nawet jeszcze dłużej...**

— Przykład jest trafny, choć bolesny. Ale wróćmy do małego „Fiata”. Gdy byłem we Włoszech w 1977 roku na zaproszenie rządu włoskiego, odwiedziłem Turyn i złożyłem wizytę prezesowi „Fiata”. W czasie rozmów ustaliliśmy, że w początku lat osiemdziesiątych uruchomimy w Bielsku i Tychach produkcję „Pandy”, samochodu znacznie nowocześniejszego i bogaciej wyposażonego od „sto dwudziestki szóstki”. Równocześnie w fabryce trwały prace nad „Beskidem” i jest dla mnie rzeczą jasną, że na bazie „malucha” i „Pandy” zrodziłyby się z czasem prawdziwie polski samochód, w którym zostałyby wykorzystane rozwiązania dwóch poprzednich. Tak samo zresztą, jak modernizacja autobusów marki „San”, do dziś produkowanych w znacznych chyba ilościach, była nie do pomyślenia bez zakupu licencji „Berlieta”. Jeśli już jesteśmy przy motoryzacji, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że „Polonez” był pomyślany jako samochód, który dzięki przekształceniom i dalszej modernizacji — a jego produkcja została uruchomiona w 1978 roku — stałby się z czasem prawdzi-

Epoka motoryzacji



głupi bądź ograniczeni, by nie rozumieć, że licencja jest środkiem do celu, a nie celem samym w sobie. W wielu też dziedzinach licencje spełniły swą funkcję z nadatkiem, w innych wprowadzenie ich przyniosło tylko połowiczne efekty. Prawdziwą natomiast tragedią dla polskiej gospodarki było załamanie lat osiemdziesiątych, stan wojenny i gospodarka komisarzy. Na przykład przyznaję, że nasza modernizacja telefonów, mimo zakupu licencji central telefonicznych, była niedostateczna, ale jakże nazwać przecinanie wiązek kabli telefonicznych siekierami, aby o jednej porze przestała działać łączność telefoniczna w związku ze stanem wojennym. W Warszawie łączność do dziś nie zdołała powrócić do poziomu stanu poprzedniego.

— Czy głównym efektem Pańskiej wizyty we Włoszech miały być wstępne rozmowy na temat zakupu licencji „Pandy”?

— Moja wizyta miała przede wszystkim cele polityczne. Pozwoli więc pan, że na chwilę zбочę z tematu i zatrzymam się na tej sprawie. Wizyta ta miała dwa ważne aspekty. Umacniała nasze związki z Włochami — państwem zawsze nam przyjaznym, w którym mogliśmy liczyć na zrozumienie naszych pryncypiów politycznych. Drugim ważnym aspektem wizyty było moje spotkanie z papieżem Pawłem VI. Przed wizytą państwową prosiłem Stanisława Trepczyńskiego, wówczas naszego ambasadora przy Kwirynale, o skontaktowanie się z Sekretarzem Stanu Stolicy Apostolskiej. Chodziło o sprawdzenie, czy papież Paweł VI byłby skłonny mnie przyjąć. Arcybiskup Agostino Casaroli przekazał odpowiedź, że „Pan Gierek będzie osobą mile widzianą przez Ojca Świątego”. Po takiej informacji mogłem złożyć wizytę w Watykanie. Musi pan bowiem wiedzieć, że papież nie wystosowują do nikogo oficjalnych zaproszeń. Zaproszenie może być co najwyżej przekazane w taki właśnie, dosyć enigmatyczny sposób.

— Od Pańskiego tłumacza, obecnego przy spotkaniu z Pawłem VI, słyszałem, że rozmowa miała nadzwyczaj przyjazny charakter i trwała blisko godzinę, co nadało jej specjalnej wymowy politycznej. Ponadto Pański tłumacz powiedział mi, że wszedł na papieskie pokoje jako ateista, a opuszczał Watykan jako człowiek wierzący. Wspomniał, że był zaskoczony Pańską otwartością w rozmowie z głową Kościoła katolickiego i prezentacją prawdziwie polskiej, a nie komunistycznej racji stanu.

— Panie Januszu, w czasie tamtej wizyty występowałem — przynajmniej we własnym odczuciu — nie tyle jako komunista, co przede wszystkim przywódca narodu polskiego. I z tej racji prezentowałem polskie racje i polską argumentację. W czasie rozmowy dokonałem też pierwszego kro-

ku na drodze prowadzącej do ponownego nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Watykanem. Wkrótce też naszym przedstawicielem przy Stolicy Apostolskiej, jeszcze nie w randze ambasadora, został Jerzy Kuberski. Był to krok o dużym znaczeniu międzynarodowym, istotnym tak dla Polski, jak również dla Watykanu. Wyrazem szczególnej sytuacji wytworzonej po mojej wizycie, był charakter przyjęcia dyplomatycznego, wydanego przeze mnie na zakończenie wizyty w Rzymie. Nie skłamię, jeśli powiem, że purpura była kolorem dominującym na przyjęciu. Przyszło kilku bardzo znaczących kardynałów z Kurii rzymskiej, jak również i kardynał Wyszyński oraz kilku polskich biskupów.

— **Czy musiał się Pan z tej wizyty tłumaczyć Breżniewowi?**

— Pańskie pytania, wybaczy pan, są chwilami doprawdy obsesyjne. Jak mam panu wyjaśnić, że ze swoich kroków politycznych nigdy nie musiałem się tłumaczyć radzieckiemu przywódcy. Przy wszelkich próbach tworzenia takiej sytuacji swoją jednoznaczną postawą starałem się, aby Breżniew stracił na to ochotę. Tak było, jak pan wie z *Przerwanej dekady*, i w przypadku pretensji Breżniewa o pokojowe załatwienie sprawy strajków na Wybrzeżu, jak i w okresie rozważania wizyty papieskiej w Polsce. Nie przeczę, że Rosjanie przepytali na tę okoliczność moich współpracowników i mogli to być zarówno współpracownicy wysokiego szczebla, jak i całkiem niskiego. Ale sposób rozmowy czy ich układność zależały już tylko od charakteru tych współpracowników, a więc od nich samych. Ceausescu rozwiązał ten problem zakazując obywatelom swego kraju kontaktowania się z cudzoziemcami. Zapewniam pana, że to represyjne i kuriozalne, jak na dzisiejszy świat, zarządzenie, było wymierzone w pierwszej kolejności przeciwko radzieckim. Ja, proszę pana, z powodów wyłuszczonych powyżej, nie mogłem się kryć za taką gardą. A więc musiałem wkalkulować poniekąd w ryzyko zawodowe również zwykły serwilizm ludzi z elity politycznej wobec tak zwanego „Wielkiego Brata”.

— **I w poprzedniej książce, i w obecnej rozmowie wielokrotnie zwracał Pan uwagę na czynniki presji gospodarczej, stosowane wobec nas do osiągnięcia celów politycznych. Czy mógłby Pan z tego punktu spojrzeć na całokształt kompleksu paliwowego?**

— Dostawami ropy i gazu, najbardziej ekonomicznych, a zarazem najbardziej bezpiecznych w dzisiejszych czasach nośników energii, towarzysze radzieccy stale trzymali Polskę w szachu. Ich polityka w tym względzie była wobec Polski jednoznacznie dyskryminująca. Podawałem już te liczby, ale jeszcze raz je przypomnę: ropy sprzedawali nam znacznie mniej niż NRD czy Czechosłowacji, a niemal tyle samo co Bułgarii, mają-

nie za pieniądze, lecz za ruble transferowe.

— Zgoda, ale wszelkie ze strony Polski próby wprowadzenia wewnątrz RWPG monety wymiennej, Rosjanie z całym cynizmem torpedoowali. Dla nich ten układ był wygodny, bo dzięki niemu trzymali nas w szachu. Na temat ropy wiele rozmów prowadził z nimi Gomułka, prowadziłem i ja, ale wszystko na nic. Wiedzieli, że dzięki ropie ograniczają nasz rozwój i jak najbardziej im to odpowiadało. Gomułka, jak w przypowieści o dobrym carze i złym urzędniku, poszedł nawet raz do Breżniewa ze skargą na ministra przemysłu paliwowego i dobry Breżniew tego z życzliwością wysłuchał, ale Polska i tak nie dostała ani tony ropy więcej. W latach siedemdziesiątych zaczęliśmy nerwowo poszukiwać innych źródeł, tym bardziej że nasi sąsiedzi wprowadzili na ropę ceny kroczące. Budowę rafinerii gdańskiej i ropociągu z Gdańska do Płocka odczytali prawidłowo; jako próbę poszukiwania przez nas alternatywnych rozwiązań. Z naszym ministrem energetyki i górnictwa jego radziecki odpowiednik odbył nawet zgryźliwą rozmowę; wyznam, że nie zrobiło to na mnie specjalnego wrażenia. Będąc u prezydenta Forda zwróciłem się do niego z prośbą o przekazanie nam map satelitarnych Polski. Liczyliśmy, że dzięki nim uzyskamy pełną informację o naszych potencjalnych zasobach naftowych. Mapy te, gdy je przestudiowaliśmy (wkrótce po Amerykanach dali nam swoje mapy również Radzieccy), wykazały niezbitcie, że wielkiej ropy u nas nie ma. Jeśli nawet jest, to umiejscowiona w bardzo głębokich pokładach, poniżej trzech tysięcy metrów. Po pewnym jednak czasie jeden z wielkich koncernów amerykańskich zaproponował nam głębokie wiercenia w zagłębiu staropolskim, czyli na rzeszowszczyźnie.

— Dziwne, ale nigdy nie słyszałem o ponownych wierceniach w tym regionie, a już na pewno polsko-amerykańskich!

— Rzeczywiście nie mógł pan o nich słyszeć. Amerykanie zaproponowali nam przeprowadzenie tych wierceń na zasadzie fifty-fifty i pięćdziesiąt procent wydobytej ropy będzie należało do nich, a więc baryłka za baryłkę. Byliśmy w potrzebie i w związku z tym mieliśmy zamiar podjąć współpracę, ale wtedy Radzieccy założyli swoje veto. Oświadczyli, że nie mogą się zgodzić na wpuszczenie amerykańskich firm w pobliże swoich granic, które w takiej sytuacji z pewnością podlegałyby imperialistycznej infiltracji wywiadowczej.

— **Co za tupet! Wprost szokujący, gdy się zważy, że w Jalcie Stalin był skłonny ustąpić z Borysławia i Drohobycza, o ile by Roosevelt mocniej go przycisnął. A z drugiej strony, czemuście, myślę o partii i rządzie, poinformowali ich o tym?**

— Panie Januszu, nie musieliśmy ich o tym informować, sami o tym doskonale wiedzieli. Czy pan wie, że u siebie, w Klarysewie, nigdy nie prowadziłem poważnych rozmów w mieszkaniu, lecz zawsze w ogrodzie? Szef mojej ochrony, pułkownik Chełmiński, powiedział, że nie może dać głowy za brak podsłuchu w Klarysewie.

— **Czy to nie szokujące?**

— Panie Januszu, polskie wybicie się na niepodległość to nie sprawa krasnoludków, lecz zwieńczenie długotrwałego procesu, w którym dokonania moje i mojej ekipy są prawdziwym krokiem milowym w tym kierunku. Kto tego nie docenia lub udaje, że nie rozumie, ten, mówiąc językiem Zagłoby, jest kiep i tyle.

— **Ale ustąpił Pan pod naciskami radzieckimi i nie podpisał kontraktu z Amerykanami na wiercenia w Krośnieńskim!**

— A czy oni, Amerykanie, sprzedaliby nam na dogodnych warunkach 14 milionów ton ropy? Nie miałem co do tego złudzeń. Czym innym, proszę pana, było składanie wizyty w Polsce, jak czynili to Nixon, Ford i Carter, a czym innym za Breżniewa włożenie z kopytami do tak zwanej strefy interesów bezpieczeństwa Związku Radzieckiego. A za taką strefę od czasu wojny uważali Rosjanie obszar naszego państwa. I na wycofanie się z tej strefy za Boga się nie zgadzali. Trzeba było aż pierestrojki, piątej generacji komputerów i rewolucji elektronicznej, by zrozumieli, że trzymanie nas w żelaznym uścisku jest tylko przejawem myślenia kategoriami XIX wieku. W sumie polityka ta doprowadziła do ruiny potencjalnie najbogatszy i największy kraj świata.

— **W kontekście tego, co Pan mówi, dokonana przez Kanię próba obrony przed Gierkiem towarzyszy radzieckich, którzy, jak on twierdzi, zawsze byli przyjacielscy i zawsze szli nam na rękę, jest swoistym kuriozum.**

— Tak jak kuriozalna jest cała linia jego obrony. Passus dotyczący Breżniewa — to typowe dla niego (znam przecież Kanię jak zły szeląg) asekuracyjne pociągnięcie. Gdyby tak Gorbaczowowi nie powiodło się...

— **Jakże zabawna w tym kontekście jest linia obrony „Polityki”. Przecież dziennikarze tego tygodnika wychodzą wręcz ze skóry, aby w opinii publicznej Panu zaszkodzić. Każdy „skrzywdzony” może liczyć na ich życzliwość, tj. druk listu, którego treść godziłaby w Gierka.**

— Wie pan, skomplikowane łamańce polityczne tego pisma są nie do

zmuszeni zostaliśmy do rezygnacji z interesującej nas oferty amerykańskiej.

— **Do poszukiwań pozostał więc Bałtyk?**

— Nie tylko Bałtyk. Nie można wykluczyć istnienia ropy poniżej 3 tysięcy metrów na niżu polskim. Zdjęcia satelitarne są bowiem pewne tylko do tej głębokości. Trzeba też pamiętać, że w analogicznych warunkach geologicznych Niemcy w RFN wydobywają 10 milionów ton. Tyle że wiercenia prowadzą na sprzęcie amerykańskim, który jest niezmiernie drogi. Z dwójga złego zdecydowaliśmy się na wiercenia na Bałtyku. Są one, co prawda, jeszcze droższe, ale mapy sugerują, że jest tu ropa poza wszelkim, że się tak wyrażę, ryzykiem.

— **Dlaczego jednak zdecydowaliśmy się na wspólne wiercenia z Rosjanami i Wschodnimi Niemcami?**

— Wyznam, że mimo pozornej niższki kosztów — dzielone są bowiem pomiędzy trzy strony — zdecydowaliśmy się na to nie bez oporów. Niech pan pamięta, analizowałem już tę sytuację powyżej, że jesteśmy uzależnieni od radzieckich dostaw ropy. W latach siedemdziesiątych, było to uzależnienie 80-procentowe. Brak układności wobec nich mógłby, moim zdaniem, zostać wykorzystany przez Radzieckich w sposób dla nas szkodliwy. Tytułem retorsji, tłumacząc się brakiem ropy, ujęliby, na przykład, że swego wolumenu dostaw dla Polski, powiedzmy, 2 miliony ton. Taka taktyka, o ile by ją przyjęli, byłaby dla nas zabójcza. Nie moglibyśmy równocześnie importować kilku milionów ton zboża i ropy. Dlatego też musieliśmy przystać na tę spółkę. A wnieśliśmy do niej oprócz 500-kilometrowego wybrzeża, wieżę wiertniczą za 50 milionów dolarów, zresztą jedyną wieżę, jaką ta spółka dysponuje. Jakie są efekty Petrobalticu, nie wiem. Jak słyszałem, przez dziesięć lat przedsiębiorstwo Petrobaltic nie zapewniło Polsce większej ilości ropy...

— **À propos serwilizmu. Chcę Panu powiedzieć, że w latach osiemdziesiątych KPZR była już nawet zapraszana do współredagowania naszego programu telewizyj!**

— Co pan powie?

— Niech Pan sobie wyobrazi, że w Telewizji przedsiębiorczy Lew Rywin — wówczas dyrektor Agencji „Poltel”, zakupił za 5 tysięcy dolarów „The Day After”, głośny film z gatunku science fiction o okolicznościach wybuchu wojny atomowej. Film taki w owych latach nie mógł być jednak emitowany bez zgody KC PZPR. Sekretarz propagandy jako człowiek

prawdziwie ideowy, uznał, że jego szczebel jest za niski by mógł decydować o emisji takiego filmu. Postanowił więc zasięgnąć rady towarzyszy w Centrali i zadzwonił, jak mi mówiono, do Arbatowa, głównego eksperta w KC KPZR od spraw amerykańskich, pytając go wprost czy wyświetlenie takiego filmu w polskiej telewizji nie byłoby politycznym błędem. Na to Arbatow miał odpowiedzieć, że jest to Wasza sprawa i Waszego KC. I tak towarzysz sekretarz stanął w punkcie wyjścia. Film z całą pewnością nie ujrzałby w Polsce światła dziennego, gdyby nie interwencja zrozpaczonego Rywina, któremu groziły poważne konsekwencje za wsadzenie na półkę filmu za 5 tysięcy dolarów. Na jego prośbę, przyjaciel wydrukował w biuletynie Interpressu, prenumerowanym przez całą prasę terenową, informację, że Telewizja Polska za kilka dni wyemituje głośny film amerykański o wybuchu trzeciej wojny światowej. Informację tę opublikowały skwapliwie wszystkie gazety terenowe; w tej sytuacji sekretarzowi nie pozostało już nic innego, jak wydać zezwolenie na emisję filmu. I tak wszystko skupiło się na Januszu Kasprzyckim, który pracował wtedy w Interpressie, uznano go za winnego i za karę wylano z pracy...

— Widzi Pan, brak poparcia wewnętrznego i nieufność społeczeństwa pchały władzę w objęcia radzieckie. Zasada divide et impera ma ciemne strony.

— Powróćmy jednak do meritum naszej rozmowy. Chyba próby uniezależnienia się od radzieckich dostaw ropy naftowej nie prowadziły jedynie do konstatacji, że krajowe źródła ropy są kompletnie wyschnięte?

— Staraliśmy się zdobyć niezależne źródła zaopatrzenia w naftę na Bliskim Wschodzie i w Północnej Afryce. Niestety, próby te były nieudane. I w Libii, i w Iraku zostawiliśmy wiele pieniędzy, bowiem w tych krajach chcieliśmy ropę kupować nie za pieniądze, lecz za nasz sprzęt wojskowy bądź budowę gotowych obiektów. Ale tego typu inwestycje były źle rozliczane, a także źle przez nich traktowane. Efekty poszukiwań były dosyć mizerne, znacznie mniejsze od spodziewanych...

— Dotychczas mówiliśmy o tradycyjnych źródłach uzyskiwania nowoczesnych rozwiązań technicznych. Jak Pan sam jednak przyznał, zacofanie technologiczne większości w ten sposób kupowanych produktów było zawsze kilkuletnie.

— Chyba źle mnie pan rozumiał. Nie myślę bowiem o zacofaniu technologicznym kupowanych licencji, lecz raczej o tym, że kupowaliśmy produkty już sprawdzone, a nawet wypróbowane, lecz nigdy nie mieliśmy

na naszym rynku za co najmniej trzy lata, a przez ten czas nasi konkurenci wprowadzą na rynek coś nowego. Czyli, jakkolwiek by patrzeć nasze zacofanie musiało obejmować niemal jedną generację.

— **Nie było sposobu na przeskoczenie tej przeszkody?**

— Jedynym sposobem mogło być tylko szpiegostwo przemysłowe. Rzecz znana w całym świecie. Na Zachodzie walka toczy się nie tylko między państwami, lecz również między koncernami, a często nawet między drobnymi zakładami. Dlatego mówię o tym nie rumieniąc się, bowiem przy obecnym rozwoju technologicznym zawsze będą tacy, którzy szpiegostwo przemysłowe potraktują jako stały element gry, pozwalający pokonać bariery technologiczne. Naszym największym sukcesem w tej dziedzinie był zakup, poza ograniczeniami wynikającymi z zakazów podyktowanych względami strategicznymi, całej technologii produkcji układów scalonych trzeciej generacji.

— **Czy mam to rozumieć tak, że wykradliśmy technologię produkcji tych układów?**

— Nie, to nie była kradzież, ale raczej obejście przepisów. Po prostu nasz wywiad znalazł firmę na Dalekim Wschodzie, skłonną sprzedać nam za odpowiednio wysoką kwotę technologię produkcji układów scalonych wraz z rysunkami technicznymi i wszystkimi tajemnicami produkcyjnymi. Ja osobiście, co zrozumiałe, bezpośrednio się tym nie zajmowałem. Koledzy pracujący nad realizacją całej koncepcji mieli niemałe kłopoty, a także przeżyli wiele emocji. Pierwszą sprawą była konieczność podjęcia decyzji o wydaniu dużych sum w dolarach, bez żadnej gwarancji, bez żadnego kontraktu. U nas takie decyzje są niezmiernie sformalizowane, a tutaj rzecz cała rozgrywała się poniekąd na słowo honoru. Dalej, pełna wpłata przewidzianych milionowych kwot dolarowych musiała być dokonana po pierwszej dostawie, że się tak wyrażę — sekretów technologicznych, a miały być trzy takie transporty. Warunki były więc bardzo niedogodne, lecz nie mogło być lepszych, bowiem nasi partnerzy nie chcieli ich zmienić, motywując swoją postawę względami bezpieczeństwa. Ponadto, co nie mniej ważne, dokumentacja była przez nas kompletnie nie sprawdzona. Jej weryfikacja mogła nastąpić jedynie w Warszawie, a więc praktycznie po zakończeniu całej transakcji. Ryzyko osób podejmujących decyzje i swym podpisem uruchamiających milionowe środki dolarowe było więc niezwykle wysokie, wręcz spektakularne.

— **Sądzę, że skoro cały kontrakt opierał się na zaufaniu, to w razie błędu, którego nie można było przecież wykluczyć, nie stałby się przyczyną wielkiej afery.**

— Zgoda, nie wnosilibyśmy pretensji do określonego wicepremiera, znając całe dossier sprawy. Ale czy wyobraża pan sobie, co by się, nie daj Boże, działo z delikwentem po Sierpniu, zwłaszcza jeśliby się okazało, że to człowiek bliski Gierkowi? Jestem pewien, że zrobiono by z tej sprawy „pokazówkę” na cały kraj, eliminując sprawy niewygodne ze względów wywiadowczych i politycznych, a cały kontrakt określono by jako małwersację stulecia.

— **Szczęśliwie nic takiego się nie stało i Polska, ku powszechnemu zaskoczeniu, uruchomiła jako pierwsza w Europie Wschodniej produkcję układów scalonych trzeciej generacji. Jak natomiast wyglądały kulisy całej operacji?**

— Nasz wywiad, i to wywiad MSW — bo nie wiem, czy pan wie, że mieliśmy dwa niezależne wywiady: jeden wojskowy i drugi podlegający Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, a także kontrwywiad, operujący głównie w kraju — otóż wywiad MSW uzyskał znakomite kontakty z jedną z firm w tamtym rejonie świata. Jego zadaniem było zdobywanie najnowocześniejszych technologii, objętych zachodnim embargiem. A na liście towarów objętych owym embargiem, były setki jeśli nie tysiące najnowocześniejszych technologii. Amerykanie, znając ogromną dysproporcję pomiędzy poziomem technologicznym krajów Zachodu i Wschodu, słusznie założyli, że w tej właśnie dziedzinie rozegra się decydujący pojedynek pomiędzy oboma systemami.

— **Ja w tej dziedzinie, a nie jestem tu oryginalny, upatruję głównej przyczyny klęski realnego socjalizmu. Dziwię się jednak, że w Biurze Politycznym partii i na posiedzeniach Doradczego Komitetu Układu Warszawskiego nie biliście z tego tytułu na alarm. Przecież z punktu widzenia ideologii marksistowskiej, głównym miernikiem słabości bądź siły każdej formacji społecznej była zdolność do rozwijania sił wytwórczych. A przecież wszelkie patenty, ich jakość i liczba są tego rodzaju najlepszym miernikiem.**

— Analiza taka nie mogła być w naszych krajach przeprowadzona w sposób bezstronny z powodów czysto dogmatycznych. Jako hurra optyści nie mogliśmy przecież kwestionować samej doktryny. Podanie natomiast wprost, bez obstępów, że system nasz nie uruchamia w sposób właściwy bodźców służących wynalazczości, zostałoby uznane za czysty rewizjonizm. A rewizjonizm od zarania ruchu komunistycznego był grzechem śmiertelnym wobec doktryny.

— 'Uważam, mimo wszystko, że nie była to działalność naganna, myśmy bowiem chcieli zachodnią technologię kupować drogą oficjalną. Nie sprzedawanie nam jej było, jakkolwiek by na to patrzeć, aktem wrogości. Zresztą na usprawiedliwienie, chociaż nie uważam tego za grzech, mógłbym dodać, że w podobny sposób penetrowano i nasz rynek, tylko że ich operacje miały charakter stricte wywiadowczy, myśmy natomiast prowadzili operacje handlowe. To znaczy, wywiad wyszukiwał partnera, jakąś firmę skłoną do sprzedania technologii, a myśmy potem słono za taką transakcję płacili, ponosząc przy okazji ogromne ryzyko. Tak więc z punktu moralnego nie była to wcale operacja tak dwuznaczna, trudno ją bowiem określić jako czyste szpiegostwo. Ponadto restrykcje, COCOM o których mówimy, z reguły narzucano krajom Zachodu siłą i groźbą przez silniejszego partnera, jakim były Stany Zjednoczone. Dlatego też nasze próby penetracji rynków zachodnich natrafiały, mówiąc szczerze, na przyjazny grunt. Trzeba wziąć tu poprawkę na naturalny antyamerykanizm naszych kontrahentów i brak identyfikacji z polityką USA. Ten brak identyfikacji był mocniejszy, gdy w rachubę wchodziła Polska, wobec której nie mają żadnych uprzedzeń.

— **Powiedziałbym wręcz, że nie mają o nas żadnego pojęcia i wyciajnie nas nie znają.**

— Otóż to! Opory firmy dalekowschodniej przed sprzedażą nam trzeciej generacji układów scalonych sprowadzały się głównie do lęku przed konsekwencjami prawnymi całej operacji. Z tego lęku wynikły też ogromne trudności techniczne. Niezbędne do produkcji owych półprzewodników urządzenia, osprzęt, rysunki techniczne, itd. itp., zostały nam przekazane w trzech ratach na pełnym morzu.

— **Podaje Pan gotowy scenariusz sensacyjnego filmu szpiegowskiego!**

— Rzeczywiście, gdy mi o tym mówiono, wyglądało to na opowieść filmową. Było to dla moich towarzyszy podwójnie sensacyjne i stresujące, dlatego że pierwsza dostawa, z punktu widzenia walorów produkcyjnych, była mało istotna; o powodzeniu całego przedsięwzięcia decydowała trzecia dostawa. A została nam przekazana przez pośrednika również na morzu.

— **Czy nie była to przesadna ostrożność ze strony firmy oferenta?**

— Tego nie wiem. Sądzę, że obawiali się nie tylko swojego wywiadu, lecz również i amerykańskiego.

— **Ile to kosztowało?**

— Nie wiem, ale wydaje mi się, że rachunek opiewał na wiele milionów dolarów.

— Czy Rosjanie zrefundowali nam te koszty?

— Pan żartuje. Rosjanie od nas trzeciej generacji nie dostali, przynajmniej tak długo, jak długo ja byłem na stanowisku pierwszego sekretarza. Ponadto niech pan pamięta, że dostawcy domagali się od nas, abyśmy technologii układów scalonych nikomu nie odstępowali.

— A takie żądania, znając kulisy sprawy, można było serio zgłaszać?

— Nie należy na to wrzucać ramionami, tak jak pan to teraz robi. Przedstawiciele firmy współpracującej z nami obawiali się, że gdyby te układy trafiły do Rosjan, Amerykanie dowiedzieliby się o tym aż nazbyt szybko. Ponadto, solidne wywiązanie się ze wszystkich złożonych zobowiązań stwarzało nam szansę na przyszłość. Mogliśmy po prostu liczyć, że taką samą drogą kupimy jeszcze inne interesujące nas wynalazki, i to nie tylko od tej właśnie firmy.

— Niech Pan mi powie, jaką drogą trafiały kredyty do Polski. Czy w większości szły przez Pańskie ręce?

— Panie Januszu, od wszystkich tych spraw, od szczegółowego załatwiania kredytów były zespoły ekspertów. Ja tworzyłem tylko korzystny klimat polityczny do uzyskania kredytów. Uzyskiwałem, że tak powiem, zgodę ramową z określeniem celów, na które te kredyty przeznaczano.

— Czy zdarzało się, że kredyty szły potem na coś zupełnie innego?

— Tak, czasem tak było. Wspominałem już panu, że pieniądze uzyskane z RFN na gazyfikację węgla nie zostały wykorzystane z powodu niemożności dogadania się między sobą naszych ekspertów. Gdy ta patowa sytuacja przedłużała się i zagrażała nam blokadą konta, przyznaję, że niezgodnie z ustaleniami, wykorzystaliśmy te pieniądze — a było tego, kilkaset milionów marek — na modernizację kolei. Sądzę, że właśnie dzięki tym kredytom może pan teraz podróżować pociągami z Krakowa i Katowic do Warszawy niepełne trzy godziny.

— A nie poszły te pieniądze na budowę szerokotorowej magistrali węglowej od granicy radzieckiej do Dąbrowy Górniczej?

— Magistralę budowaliśmy w znacznym stopniu z kredytów radzieckich. Nie wiem, czy pan wie, że gdybyśmy nie podjęli decyzji o budowie Huty Katowice, niewykluczone, że Rosjanie wymusiliby na nas udział w budowie wspólnego RWPG-owskiego giganta metalurgicznego w Worone-

mą. Po pierwsze, oni dobrze liczyli, a więc nie mamy się co oszukiwać: liczyli do siebie, a nie od siebie; po drugie — po pewnym czasie inwestycje stawały się ich własnością; po trzecie — w sytuacjach kryzysowych, mogli zawsze odpowiedzieć na naszą prośbę, że zawieszają dostawy z powodu wielkiej awarii bądź podobnego zrządzenia losu. Oczywiście skłonność do takiego kręcenia nie jest tylko cechą radziecką, jest to cecha zwyczajnie ludzka.

— **Niesolidność?**

— No, powiedzmy skłonność do niesolidności.

— **Czy miał Pan z nimi wiele takich doświadczeń?**

— Wie pan, myśmy za Bugiem prowadzili ogromne budowy rurocią-gów gazu i ropy. Wiele odcinków zostało przez nas kompletnie wybudowanych „pod klucz”. Byliśmy w tej robocie najsolidniejszym partnerem. Czy mogę powiedzieć, że te inwestycje zwolniły nas od trosk surowcowych właśnie o naftę czy gaz? Oczywiście, że nie. Niech pan zresztą pomyśli, jakie kłopoty przeżywają dziś Czesi, Węgrzy czy Bułgarzy z powodu nagłego zmniejszenia dostaw ropy. Podobno jest to spowodowane kampanią żniwną, która, jak wiadomo, jest tam niezwykłym ewenementem. Przed nimi jeszcze wiele doświadczeń — myślę o pozostałych krajach postsocjalistycznych — które były już naszym udziałem.

— **Mając to wszystko na względzie, wolał Pan budować Hutę Katowice w Polsce?**

— Oczywiście, wolałem zwiększać inwestycje w Polsce, a nie u sąsiadów. Cokolwiek by mówić, ta huta, dziś już spłacona eksportem na Zachód, jest nasza i stanowi o naszym potencjale przemysłowym. Choć obecnie pewnie ją zreprzywatyzują i odstąpią znaczny pakiet akcji Niemcom czy Anglikom, krzycząc przy tym głośno *hosanna*, ale mimo wszystko ta huta jest nasza, a ja z powodu jej budowy nie mam zamiaru bić się w piersi.

— **Czy kredyty radzieckie na Hutę Katowice, podobno znaczne, ciążyą nam w bilansie płatniczym ze wschodnim sąsiadem?**

— Huta w przeszło dwudziestu procentach została skredytowana przez radzieckich towarzyszy, lecz, za moich lat, została w pełni spłacona. Jeśliby ktoś chciał mi jeszcze zapisać owe 6 miliardów rubli naszego obecnego zadłużenia na Wschodzie, to niech pan mu nie wierzy. To już sprawa lat osiemdziesiątych. Wracając do bilansu z Rosjanami, to chcę

panu powiedzieć, że oni jeszcze w 1981 roku, spłacając inwestycje wykonane przez Polskę na ich obszarze, dostarczyli nam przeszło milion ton ropy.

— **Ale budowa owej magistrali szerokotorowej Hrubieszów–Śląsk stanowiła element naszego uzależnienia od ZSRR.**

— Zależy jak się spojrzy na tę sprawę. Nie wiem, czy był pan kiedyś w Medyce i widział tę największą kolejową stację przeładunkową w Europie i na świecie? To doprawdy nieskończona liczba torów, górkek rozrządowych i tysiące dźwigów. Ta stacja, to prawdziwy węzeł gordyjski systemu komunikacyjnego między naszymi krajami. Aby wyprodukować dodatkowe, zaplanowane miliony ton stali i wywieźć miliony ton siarki, musielibyśmy chyba podwoić Medykę. Ale podwojenie wymagało nie tylko nowych torów, lecz przede wszystkim dźwigów, taśmociągów i zatrudnienia setek nowych ludzi. A co się tam dzieje w czasie mrozów! Codziennie rozgrywają się tam prawdziwie dantejskie sceny. Ponadto decydując się na rozbudowę Medyki, trzeba by wybudować specjalne tunele do rozmrażania rudy, a to zwyczajnie kosztowałoby miliardy. Dlatego bardziej nam się opłacało wybudować tę magistralę, która zresztą miała się zwrócić w stosunkowo szybkim czasie.

— **A nie była to inwestycja pod dyktando radzieckiego sztabu generalnego?**

— Zapewniam pana, że gdyby rzecz sprowadzała się jedynie do ich życzeń, to magistrała nigdy by nie powstała. Wybudowaliśmy ją dlatego, że wynikało to z rachunku ekonomicznego. Jeśli pan mi nie wierzy, to proszę sobie przypomnieć nasze inwestycje drogowe w tamtych latach. Ten sam radziecki Sztab Generalny domagał się szybkiej budowy dwóch autostrad na trasie wschód-zachód. Jedna miała prowadzić spod Przemyśla do Zgorzelca, a druga z Frankfurtu do Brześcia. Obie, patrząc z punktu widzenia naszej gospodarki, były, nie przeczę, potrzebne, szczególnie zaś trasa południowa. Tymczasem, zgodnie z priorytetem ogólnopaństwowym, wybudowaliśmy w moich latach trasę szybkiego ruchu z Warszawy do Częstochowy, następnie osiemdziesięciokilometrowe jej odgałęzienie z Sievierza do Tych i dalej do Bielska. Ponadto zbudowaliśmy, o ile pamiętam, czterdziestokilometrowy odcinek z Janek do Grójca. Gdybyśmy się więc zaparli i dali pierwszeństwo ich życzeniom, autostrada południowa byłaby już dawno gotowa. Nie jest to twierdzenie gołosłowne: wystarczy tylko zliczyć kilometry zbudowanych w tamtych latach dwupasmówek. Dlatego, wie pan, gdy słucham przeróżnych sądów, przytaczanych na podstawie wiadomości uzyskanych z piątej ręki, ogarnia mnie już nawet nie iry-

sem polskimi. Interesy wspólne natomiast jeśli były nie do odwołania — modyfikowaliśmy, patrząc na nie przez pryzmat naszych interesów narodowych i w końcu braliśmy je pod uwagę dopiero wtedy, gdy nam to pasowało. Kto tego nie rozumie bądź nie dostrzega, ten powoduje się, moim zdaniem, złą wolą.

— **Ale słyszałem, że radziecki Sztab Generalny planował z czasem przedłużenie tej magistrali ze Śląska do NRD.**

— Co się pan, za przeproszeniem, tak uczepił tego Sztabu? Wojskowi we wszystkich krajach są nienasycony i ich życzenia są nieskończenie wielkie, często rosnące w postępie geometrycznym, dlatego nie należy się tak obawiać ich roszczeń. A co im się śniło i co im w duszach grało po nocach, mogą tylko domniemywać. W każdym razie zapewniam pana, że za mojej kadencji ta magistrala nie zostałaaby przedłużona w żadnym kierunku...

Część druga

POLITYKA WEWNĘTRZNA

Rozdział szósty

Polityka kadrowa

— Nie wiem, czy Pan się ze mną zgodzi, ale uważam, że polityka kadrowa była Pańską najłabszą stroną. Twierdzę, że w niej należy szukać przynajmniej części niepowodzeń dekady lat siedemdziesiątych.

— Nim przejdę do odpowiedzi, pewna ogólna refleksja. Kadra lat siedemdziesiątych, ta polityczna, gospodarcza, administracyjna czy kulturalna była kadrą w sumie dobrą, przygotowaną, doświadczoną i ofiarną. Polska zawdzięcza jej wiele. Jej praca, zaangażowanie były podstawą dokonań tych lat. Ale jak zwykle w życiu zdarzały się wypadki bezideowości, karierowiczostwa czy prywaty, nie one jednak dominowały. Kierownictwo partii i kraju na początku lat osiemdziesiątych stworzyły klimat nagonki na tę kadrę. W swym egoistycznym amoku oczerniania lat siedemdziesiątych tępiono znaczną część kadr tego okresu. Jest to czarna karta naszych najnowszych dziejów. Sam stwierdzałem w *Przerwanej dekadzie*, jak narastała atmosfera intrygantstwa, karierowiczostwa, koteryjności w centralnych kręgach aparatu władzy. Tej strony naszego życia szeroko rozumiana kadra naszego państwa nie знаła i nie ją obwiniam odpowiedzialnością za to. A wracając do pańskiego pytania przypominam, że jeszcze w poprzedniej książce starałem się panu wyjaśnić, do jakiego stopnia byłem więźniem układów partyjnych, które zastałem po przyjeździe z Katowic w grudniu 1970 roku. W latach posierpniowych często myślałem, co bym zmienił, gdybym jeszcze raz miał to wszystko przeżyć. I wyznam panu, że doszedłem do wniosku pozornie zaskakującego, że w swej polityce kadrowej w zasadzie nie mógłbym niczego zmienić, o ile na stanowisko pierwszego sekretarza zostałbym powołany z Katowic.

— **Dlaczego?**

— Dlatego, że nie przywiózłbym ze sobą wagonu pełnego działaczy, którzy obsadziliby kluczowe stanowiska w państwie i w partii. Nie mogłem tego uczynić z powodów już wyjaśnionych poprzednio. Aby być sekretarzem całej partii i przywódcą całego narodu, nie mogłem wprowadzić

powołał Pan całkiem nowych ludzi? Przecież ludzie powołani przez Pana sprawili Edwardowi Gierkowi największy zawód. Główni pańscy adwersarze, może z wyjątkiem Moczara, byli właśnie Pańskimi nominantami. Dotyczy to tak Szlachcica, jak Babiucha, Kani czy Jaruzelskiego. Wszyscy oni przed Grudniem byli zaledwie członkami KC. Nie miał Pan przez całą dekadę swojego Kliszki, a więc człowieka bezgranicznie wiernego ale za to obdarzonego pełnią władzy. Wszyscy znawcy stosunków partyjnych są zgodni co do tego, że Kliszce nigdy nie zaświtała w głowie myśl o przejęciu władzy czy spiskowaniu przeciwko Gomułce. Natomiast Pański Franciszek Szlachcic ledwie został dźwignięty na drugie stanowisko w partii, już zaczął działać przeciwko Panu. Ale proponuję, byśmy do sprawy Szlachcica wrócili za chwilę, a teraz proszę mi powiedzieć: na czym polegał pucz Moczara?

— Proszę Pana, żadnego puczu Moczara nie było!

— **Opowiadano o jego spiskowaniu w Olsztynie?**

— To nieprawda. W poprzedniej książce mówiłem panu o tym, jak Moczar dystansował się do mnie i większości członków Biura Politycznego. Nie pojechał ze mną do Szczecina i Gdańska, odmówił wyjazdu na rozmowy ze strajkującymi włókniami w Łodzi. Okazał się po prostu zbędnym członkiem kierownictwa partyjnego. Sądzę, że boczył się na mnie o to, że to ja zamiast niego zostałem pierwszym sekretarzem. Jako polityk zachowywał się zwyczajnie głupio. Muszę natomiast powiedzieć, że był to okres bardzo intensywnej pracy wszystkich pozostałych członków kierownictwa partii. W tamtym okresie kolektywnie opracowywaliśmy koncepcje rozwojowe kraju i zwyczajnie nie stać nas było na utrzymywanie swoistego kibica w Biurze Politycznym. Dlatego też postanowiłem się go pozbyć z Biura Politycznego, pozostawiając w Komitecie Centralnym. Ten fakt jest chyba dostatecznym argumentem przeciwko temu, co pan mówi o rzekomym puczu. Gdyby coś takiego rzeczywiście miało miejsce, Moczar zostałby usunięty nie tylko z Biura Politycznego, lecz również z Komitetu Centralnego i Partii.

— **Ale zgadzając się na mianowanie Moczara prezesem Najwyższej Izby Kontroli nie wykazał się Pan przenikliwością. NIK pod batutą Moczara stała się prawdziwym gniazdem szerszeni.**

— Przyznaję, że moja pobłażliwość wobec Moczara okazała się ogromnym błędem, za który przyszło mi słono płacić. Był bowiem człowiekiem, który wywierał, zwłaszcza w pierwszym, posierpniowym okresie, przemożny wpływ na Kanię. Proszę pana, ja naprawdę chciałem stworzyć

nowe, bardziej kulturalne stosunki w partii. Chciałem nią kierować nie za pomocą krzyków, pogroźek i strachu. W jakimś sensie też pragnąłem, by polityk przegrywający, schodzący na zawsze z naszej sceny politycznej nie popadał w całkowite zapomnienie. Wtedy wydawało mi się, że towarzysze w partii zrozumieją właściwie ten mój gest. Z jednej strony był przecież objawem mej siły, a z drugiej służył za dowód, że nie trzeba z taką determinacją trzymać się kurczowo stołka. Miał to być, w moim odczuciu, krok w kierunku rzeczywistego zdemokratyzowania partii.

— **Powróćmy teraz do sprawy Szlachcica. W „Trybunie” przedstawił się jako Pański adwersarz, a niegdyś — były przyjaciel Edwarda Gierka, którym bardzo się rozczarował.**

— Jest to dla mnie przykra sprawa, bowiem przyznaję, że przez pewien czas byłem pod wpływem Franciszka Szlachcica. Musiałem z nim się rozstać dlatego, że doprawdy wszyscy w kierownictwie partii mieli go dosyć. Wszelkie sygnały, które otrzymywałem, dowodziły, że jeśli pozostawię go dłużej w kierownictwie partii, doprowadzi do skłócenia najbliższych mi ludzi. Zresztą o wyjątkowej konfliktowości charakteru Szlachcica, będącej, być może, ubocznym skutkiem ciężkiego wypadku samochodowego, który miał w 1971 roku, świadczy między innymi to, że po Sierpniu, mimo jego rozlicznych deklaracji, ani Jaruzelski, ani Kania, ani Rakowski nie byli skłonni wyciągnąć do niego ręki. I mimo wyraźnych ze swej strony starań, nawet jako „ofiara” Gierka, nie powrócił do KC, nie mówiąc już o ścisłym kierownictwie partii.

— **Mimo Pańskich obiekcji do omawiania sprawy Szlachcica, będę uparty i streszczę relacje, jakie miałem na temat Panów konfliktu.**

— Jeśli pan koniecznie chce, to proszę bardzo. Pozwoli pan tylko, że będę zgłaszał poprawki, gdy będzie pan odchodził od prawdy.

— **Zatrzymam się na dwóch faktach. Opowiedziały mi je dwie różne osoby. Pierwszy — dotyczy próby ewidentnego manipulowania Panem jako pierwszym sekretarzem. Miało to być chyba w 1973 bądź 1974 roku. Szlachcic, okopawszy się w Komitecie Centralnym, postanowił utracić premiera. A mówiąc precyzyjniej, postanowił Pana z Jaroszewiczem skłócić. Tu trzeba podkreślić, iż pozycja premiera w porównaniu z poprzednimi dekadami, w latach siedemdziesiątych niepomniernie wzrosła. Irytowało to wielu ludzi aparatu, w tym, oczywiście, także sekretarzy. Zatem pogorszenie się Pańskich stosunków z premierem miało być pierwszym krokiem do usunięcia Jaroszewicza. Szlachcic nakłaniał Pana do ostrego skrytykowania Jaroszewicza, ale gdy na kolejnym spotkaniu u Pana nie**

Samozwańczy Drugi



pod Pańskim adresem. Pan to przeciął mówiąc: „Nie jesteś jeszcze pierwszym sekretarzem, więc hamuj się, proszę, z wypowiedzianiem zbyt ostrych opinii”. Fakt ten osoby uczestniczące w zebraniu uznały za przejaw głupoty Szlachcica, a także dowód, że mocno już przeholował i, chcąc nie chcąc, wdał się z Panem w prawdziwą wojnę.

— Dokładnie tego faktu nie pamiętam, ale możliwe, że coś takiego miało miejsce.

— Rozżalenie Szlachcica, jak mi mówiono, miało wynikać z tego, że jako tak zwany drugi sekretarz...

— Samozwańczy!

— ... miał przez dłuższy czas, jak to się mawia, urabiać Pana przeciwko Jaroszewiczowi. Natomiast Pan wbrew jego oczekiwaniom nie postawił premiera na owym spotkaniu do tzw. „raportu” tylko przyjął za dobrą monetę jego wyjaśnienia. I zamiast ostrego spięcia premiera z pierwszym, odbyła się kulturalna rozmowa, zakończona wyjaśnieniem całej sprawy.

— Tej relacji powtarzam, nie jestem w stanie szczegółowo skomentować. A jaka była druga relacja?

— Druga również dotyczy Szlachcica, konkretnie — jego obrony na posiedzeniu Biura Politycznego. Autorem relacji jest jeden z protokolantów posiedzeń Biura. Ponieważ prosił mnie o nieujawnianie jego nazwiska, muszę dotrzymać złożonej mu obietnicy.

— Wobec tego słucham pana.

— Jesienią przed VII Zjazdem partii, gdy Franciszek Szlachcic został już przesunięty na bez porównania mniej liczące się stanowisko wicepremiera, odbywało się posiedzenie Biura, na którym zatwierdzano listę tak zwanych centralnych delegatów na Zjazd. Zwano ją listą Centralnego Aktywu Partii. Jak wiadomo, osoby te miały być wybierane z różnych województw. Posiedzenie, jak zapewniał mnie mój rozmówca, nazwijmy go panem „X”, miało być relaksowe, nie zaplanowano bowiem zbyt wielu punktów porządku dziennego. Dlatego też nie było dwóch czy trzech protokolantów, jak zazwyczaj, a jedynie on sam został wyznaczony do tej roli. Zatwierdzenie owej listy delegatów miało być tylko formalnością, bowiem jak zawsze wielokrotnie ją przedtem uzgadniano. Niespodziewanie jednak poprosił o głos Franciszek Szlachcic, który na tej liście nie figurował. Dla niego, jak i dla wszystkich zebranych było jasne, że oznacza to kres jego błyskotliwej w latach siedemdziesiątych kariery politycznej. Szlachcic, iak podkreśla protokolant posiedzenia, był wwiątkowo dohrze

aziar o swej aroazie zyciowej, zwracając uwagę na to, czego dokonał, a także na dozgonne, jak to określił, związki z partią. Przypomniał, że był delegatem na wszystkich, poczynając od pierwszego, Zjazdach partii i zwrócił się do kolegów z prośbą, by wybrali go również delegatem na VII Zjazd. Zapewnił, że nie będzie zabiegał o wybór do którejs z instancji partyjnych. Po Szlachcicu o głos poprosił natychmiast premier Jaroszewicz. Jego wystąpienie było jednoznaczne i filipiką odrzucił jakąkolwiek możliwość wyboru Franciszka Szlachcica na Zjazd. Oskarżył go wprost o intryganctwo i działalność na szkodę partii. Po wystąpieniu premiera, w zasadzie zamykającym Szlachcicowi drogę na Zjazd w charakterze delegata, o głos ponownie poprosił Franciszek Szlachcic. O ile poprzednie jego wystąpienie było bardzo pojednawcze, a nawet, jak mówił mój rozmówca — błagalne w tonie, to następne miało z gruntu inny charakter: było gwałtownym i pełnym determinacji atakiem na całą linię i program partii. I podobnie jak pierwsze było dobrze przygotowane. Najwyraźniej był to drugi wariant wystąpienia, z którym przyszedł Szlachcic na posiedzenie Biura Politycznego. Mój rozmówca był zdania, iż wielkim błędem Szlachcica było wygłoszenie na tym samym posiedzeniu obu przygotowanych wystąpień: drugie zdecydowanie bowiem psuło efekt pierwszego i podawało w wątpliwość jego szczerość. Szlachcic przemawiał przez kilkadziesiąt minut, słuchano go w milczeniu i z napięciem. Nikt mu nie przerywał, nikt nie wypowiedział półgłosem żadnej uwagi. Po nim zabrał głos Edward Gierek. Miał Pan wtedy polemizować ze Szlachcicem. Nie zgodził się Pan z żadną z tez wygłoszonych przez niego. A na koniec poprosił Pan o zabranie głosu kolejno wszystkich zebranych członków kierownictwa partii. Zgodnie też z obyczajem zlecił Pan memu informatorowi sporządzenie szczegółowego protokołu wszystkich wygłaszanych wystąpień. Jak bowiem „X” mi powiedział, na Pańskie życzenie posiedzenia Biura nie były ani nagrywane na taśmę magnetofonową, ani też szczegółowo stenografowane. Dla mego rozmówcy była to prawdziwa klęska, musiał bowiem teraz robić szczegółowe notatki, a później jeszcze dodatkowo je autoryzować. Zgodnie z Pana życzeniem zabrali głos wszyscy członkowie Biura. Wszyscy jednoznacznie, w mniej lub bardziej ostrych słowach nie zgodzili się ze Szlachcicem. Nie znalazł się nikt, kto by w minimalnym choćby stopniu go poparł lub zajął neutralne stanowisko. „X” podkreśla, że wystąpienia te zostały wygłoszone bez żadnych nacisków z Pańskiej strony. Był to, jak powiedział, jednoznaczny akt poparcia dla Pana, a zarazem całkowite potępienie Szlachcica. Podkreślił również, że posiedzenie miało charakter demokratyczny, a zważywszy okoliczności — nie było to wcześniej zaplanowane, można powiedzieć iż Szlachcic został potępiony na własne życzenie.

— Skoro już pan wyciągnął tę sprawę na światło dzienne, potwierdzam słowa pańskiego rozmówcy. Zapewniam pana, że nie miałem wobec Franciszka Szlachcica żadnych złych zamiarów. Po prostu bardzo mnie rozczarował. Jego postępowanie, jego intryganctwo i megalomania, poza wszystkim innym bardzo mnie osłabiały i nadwątlaly mój prestiż, wszyscy bowiem wiedzieli, że był moim człowiekiem, mającym swego czasu ogromny zakres władzy; podlegały mu w KC sprawy kadrowe i zagraniczne.

— Czyli był w jakimś sensie Pańskim Kliszką?

— Tak, w moich założeniach miał spełniać przy mnie tę funkcję, którą w swoim czasie przy Gomulce pełnił Kliszko.

— Chcę jeszcze Panu powiedzieć o dalszych losach owego „X”, bowiem są one pouczające i pozwalają na szersze skomentowanie wytworzonej wówczas sytuacji. Było bowiem rzeczą zrozumiałą, że owo niezwykle w sumie posiedzenie Biura Politycznego wywołało ogromne poruszenie w KC. Nie często bowiem na posiedzeniach Biura Politycznego zdarzało się, by ofiarą sporu padał członek ścisłego kierownictwa partii. Stąd, co zrozumiałe, informacje z owego posiedzenia były bardzo poszukiwane. Życie w KC kwitło, jak Panu z pewnością wiadomo na kilku poziomach. Politycznymi okruciami z posiedzeń Biura żyli ludzie pełniący w aparacie ważne, acz pomocnicze tylko funkcje. Ponadto informacja w politycznej działalności jest bezcennym towarem, zwłaszcza informacja poufna. Mój rozmówca z własnej, jak podkreśla, głupoty, podzielił się wiadomościami z tamtego posiedzenia z jednym z sekretarzy Babiucha, a ten doniósł o wszystkim swemu szefowi. Ponieważ „X” jest człowiekiem i inteligentnym, i dowcipnym, nie odmówił sobie przyjemności relacjonując owo posiedzenie — skomentowania co pikantniejszych szczegółów. Babiuch jak tylko usłyszał o wyniesieniu sekretów z posiedzenia kierownictwa, postanowił zrobić z tego wielką aferę. Jej ofiarą pozornie miał być mój „X”, ale w istocie rzeczy ostrze intrygi było wymierzone w kierownika Pańskiego sekretariatu, Waszczuka. On bowiem jako osoba z bliskiego otoczenia Edwarda Gierka, był niejako nietykalny, a nie lubił go Babiuch. Wszyscy wiedzieli, że na najbliższym Plenum Komitetu Centralnego planował Pan podniesienie Waszczuka w godności partyjnej o znaczący stopień: do funkcji członka sekretariatu. Tym samym Waszczuk stałby się członkiem kierownictwa partii, czemu Babiuch chciał zapobiec. I w takim właśnie momencie spadł mu wprost z nieba prezent w postaci niedyskrecji mojego rozmówcy. Ówże „X”, gdy o tym usłyszał, spanikował się solidnie bowiem nigdy nie chciał wpaść między żarna tak wielkich mocarzy.

posady szefa Kancelarii pierwszego sekretarza. Dlatego też na posiedzeniu Sekretariatu KC, na którym nie było już mego „X”, Babiuch nie tylko domagał się odsunięcia „X” od sporządzania protokołów, lecz również żądał wyrzucenia go z pracy w KC i skierowania jego sprawy do prokuratora. Domagał się również przyjrzenia się pracy towarzysza Waszczuka, który — jak podkreślał — wykazał się nonszalanckim stosunkiem do powierzonych sobie obowiązków. Tolerowanie w swym otoczeniu takich ludzi, jak „X”, miało być dowodem wręcz dyskwalifikującym szefa Kancelarii. Wszyscy teraz czekali na Pańską reakcję. Z największym niepokojem, ma się rozumieć, oczekiwał jej mój „X”. Do dziś też podkreśla swą wielką ulgę oraz wdzięczność, jaką odczuł do Pana, gdy okazało się, że Edward Gierek ma zupełnie inne zdanie na ten temat. Podobno miał Pan się wyrazić, że błędem mego „X” było niewątpliwie to, że paplał o posiedzeniu, ale, Pana zdaniem, nie było w tym z jego strony żadnej szczególnej złej woli, a jedynie, być może, pewna skłonność do sensacji. Zwrócił Pan też uwagę, że swą relację przekazał „X” nie komu innemu, jak odpowiedzialnemu pracownikowi Babiucha; jednym słowem sprzeciwił się Pan zwolnieniu mego „X”. W konsekwencji pozostał on na swoim stanowisku i w tym samym pokoju, tyle że bez konkretnej pracy. Nie protokołował już posiedzeń Biura, lecz jedynie — jak mówi — dłuwał w nosie i czytał gazety. Ta sytuacja miała trwać aż do dnia, w którym Waszczuk znajdzie dla niego jakąś posadę. Szef Pańskiego sekretariatu wołał już jednak nie tykać takiej wątpliwej osoby, jak mój „X” i nie wykluczone, że „X” przesiedziałby jeszcze kilka lat w KC niczego nie robiąc, gdyby sam sobie nie załatwił nowej posady.

— Muszę Panu powiedzieć, że słabo tę historię pamiętam. Przypomina mi się jak przez mgłę.

— Ale Waszczuka wówczas Pan nie awansował. Czyli Babiuchowa intryga powiodła się przynajmniej połowicznie.

— Wówczas chyba nie miałem jeszcze pewności co do awansowania Waszczuka. Zresztą uważałem, że szef Kancelarii nie powinien być członkiem kierownictwa partii. Gdy Waszczuk został sekretarzem na VIII Zjeździe, przestał być szefem mojej kancelarii. Jego funkcja była na poły funkcją techniczną, dlatego z pewnością nie byłem zwolennikiem szybkiego awansu. Opowieść pańskiego „X” dotyka ważnej sprawy, mianowicie roli tak zwanego aparatu w centrali. Ci ludzie, często zresztą niezwykle zapracowani, nabierali z czasem skłonności do intrygowania. Dla wielu tzw. „sekretarzy sekretarzy” intrygi były pasją, a zarazem specjalną pre-

mią za pracę bez początku i końca. Bo pracowali po kilkanaście godzin na dobę, spalali się w tej robocie niezmiernie, a jedyną nagrodą mogły być ewentualne awanse w hierarchii partyjnej. Awansowało jednak niewielu.

— **Pozornie też byli blisko ważnych spraw politycznych, ale tak naprawdę cała gra toczyła się poza nimi. Musiało to ich prowadzić do czystego cynizmu, bądź też swoistej politycznej schizofrenii.**

— Ja zawsze tych ludzi będę bronił, wykonywali bowiem najbardziej czarną pracę, a bez nich partia działałaby o wiele mniej efektywnie. Mając to wszystko na względzie, byłem bardzo umiarkowany w karaniu kogokolwiek.

— **I tu dochodzimy do bardzo istotnej sprawy. Pozwoli Pan, że przytoczę opinię przekazaną mi przez wpływowego niegdyś człowieka. Nie podaję jego nazwiska, bo prosił mnie o to. Pańska osobowość i cechy charakterologiczne (powiedział mi) sprawiły, że życie w tych latach nie było w Polsce trudne. Zdaniem wielu, był to najlepszy okres w całej historii Polski Ludowej. Mimo wszelkich uwarunkowań systemowych, mimo złych tradycji, pragnął Pan — w sposób autentyczny i szczery — poprawić życie w Polsce, uczynić je łatwiejszym dla wszystkich. Jako czynnik najważniejszy w Państwie, działał Pan mitygująco na swych współpracowników, bowiem w odróżnieniu od niektórych z nich, Edwarda Gierka nie pochłaniała gra polityczna, dla samej gry lecz cele nadrzędne, które starał się Pan osiągnąć.**

— Proszę pana, niewątpliwie polityka kadrowa była moją słabą stroną, ale sądzę, że była to słaba strona nie tylko moja, lecz również moich poprzedników, a także następców. I działo się tak chyba nie tylko w Polsce, lecz i we wszystkich krajach realnego socjalizmu. Polityka, jak wiadomo, niezmiernie ludzi spala, lecz u nas nie było od niej ucieczki. Na Zachodzie, jeśli komuś nie powiodło się w działalności politycznej, szedł do biznesu, do korporacji bądź zakładał coś własnego. Na nasze usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że za moich czasów w polskiej partii przegrani politycy z tak zwanego ścisłego kierownictwa funkcjonowali całkiem dobrze, a nawet wygodnie na obrzeżach establiszmentu. Klęska polityczna nie wiązała się z degradacją materialną czy stratą mieszkania. Za Gomułki ci przegrani szli na emerytury, czy w zupełną odставку — jak Zambrowski. Moi antagoniści natomiast — z całkiem różnych przyczyn, a więc zarówno Moczar, jak i Szlachcic — zostali kierownikami centralnych urzędów w randze ministerialnej.

— **To znowu miała Panu za złe opinia publiczna, zdecydowanie**

możliwość wymiany ekip.

— **Ale w czym Pan dopatruje się przyczyny tak zwanej negatywnej selekcji kadr w Polsce Ludowej?**

— Stanowczo nie zgadzam się z uniwersalnym charakterem tej teorii. Pan może mi dać z pewnością kilka przykładów potwierdzających ją, ja mogę postąpić odwrotnie. I ciekawe, że obaj będziemy mieli rację. Jeśli jednak w sumie zbyt wiele było przykładów negatywnych, to wynikały one z naszego grzechu pierworodnego. Nigdzie i nigdy na świecie nie udało się stworzyć systemu opartego nie na prawach społecznych, lecz na ideologii. Myśmy przy ocenie ludzi na plan pierwszy wysuwali kryteria ideologiczne, głosiliśmy też przez lata prymat ideologii nad gospodarką, i na tym polegął błąd.

— **Kogo wołał Pan mieć za współpracownika; człowieka posłusznego czy krnąbrnego, ale za to inteligentnego?**

— Wszystko zależałoby od potrzeby. Bywały sytuacje, w których w cenie byli krnąbrni, lecz inteligentni, a bywały takie gdy przede wszystkim potrzebni byli posłuszni i inteligentni. Jak się jest na szczycie piramidy, trudno wyrokować: tylko ci albo tylko ci. Poza tym, jak pan wie, wszelkie takie zabawy, jakie pan tu proponuje, są pożyteczne, zwłaszcza gdy się je traktuje relaksowo, ale nie można na nich budować niczego prawdziwie poważnego.

— **Słyszałem opinię, że wołał Pan mieć wokół siebie, wśród swych współpracowników klakierów i ludzi zdecydowanie Panu nadskakujących, miało to schlebiać Pańskiej próżności.**

— Jeśli chodzi o próżność, to mogę odpowiedzieć jedno. To ja pierwszy i jak dotąd chyba również ostatni spośród rządzących przywódców komunistycznych zabroniłem w dniach świąt państwowych wywieszać swoje portrety, nosić je w pochodach pierwszomajowych. Czy gdybym był bardzo próżny, wprowadziłbym ten obyczaj, a potem przestrzegał jego realizacji w sposób bardzo konsekwentny? Niech pan sobie przypomni te pochody, imprezy, święta pierwszomajowe, z milionami portretów Gomułki. Z każdej wystawy sklepowej spoglądał na pana kwaśno uśmiechnięty Wiesław. Sprawa druga; jestem jedynym przywódcą partii, który nie pozostawił po sobie tomów wystąpień „wzbogacających dorobek myśli marksistowskiej”. Ja, proszę pana, z obyczajem tym tak dalece walczyłem, że formalnie zabroniłem wydawać opasłe tomy przemówień Gierka i swoich współpracowników.

— Ale Pańscy współpracownicy lubili w przemówieniach powoływać się na Pańskie wystąpienia. Czy cytaty z Gierka w referatach członków kierownictwa partii były obowiązkowe?

— Panie Januszu, czy pan kpi, czy o drogę pyta? Nie było ani fizycznej możliwości wydania takiego polecenia, ani siły zdolnej do jego wyegzekwowania. Postawić z kolei żądania nie cytowania Gierka — nie mogłem, bowiem w przemówieniach wygłaszanych po jakimś ważnym plenum takie cytaty, z powołaniem się na referat Biura Politycznego, były zwyczajnie politycznie potrzebne. Poza tym takie żądanie byłoby swoistym przejawem kretynizmu politycznego. Zapewniam też pana, że nie zabiegałem o owe cytaty. Mam pełną świadomość, że fragmenty z Gierka pakowano do wystąpień publicznych często cynicznie, z myślą o zdobyciu mego poklasku. Czyniono to jednak, proszę pana, na wyrost. Zresztą taki Rakowski na przykład, gdyby pan napisał, że był moim klakierem, obraziłby się na pana albo poszedł z pozwem do sądu. A tymczasem w stenogramie z jego wystąpienia sejmowego z 24 czerwca 1980 roku, a więc tuż sprzed Sierpnia, w dwóch miejscach przeczytałem nie cytaty z siebie, lecz entuzjastyczne oceny mojej działalności. Oto, co mówił w Sejmie: *Komentatorzy zagraniczni zgodnie stwierdzają, iż w ostatnich miesiącach Warszawa przejawia niezwykłą wprost aktywność we wszystkich sprawach dotyczących zachowania polityki odprężenia, a szczególnie wznowienia twórczego dialogu między Wschodem i Zachodem. Powszechnie też podkreślają oni osobisty udział naszego przywódcy, towarzysza Edwarda Gierka w tej jakże korzystnej dla ludzkości polityce.* Czy pan uważa, że to ja kazałem mu pisać o sobie per „przywódca”? Pisał tak z potrzeby serca bądź jakiejś kalkulacji. Ale moja ocena jego osoby nie zależała od tego co mówił o mnie publicznie. Z drugiej strony, jak pań wie, takie właśnie postępowanie, pełne układności czy wiernopoddańczości wobec przywódcy, należy do swoistej liturgii wszelakiej władzy, wszystko jedno, czy pochodzi ona od Boga czy Marksa. Niech pan zauważy, ile przyjemnych rzeczy o sobie może się nasłuchać obecnie premier Mazowiecki. Czy w związku z tym zapyta go pan czy jest próżny i czy lubi pochlebców?

— Gdyby przegrał może byłoby to interesujące. Ale à propos cytatu z Rakowskiego, wyobrażam sobie, jak będzie tym zirytowany. Tak więc gwoli rozweselenia pana, a może i jego także, zacytuję autentyczną dykteryjkę o nieżyjącym już profesorze historii. Ten profesor, zresztą ujmujący człowiek, będąc jeszcze profesorem U. J. w Krakowie, jako członek egzekutywy partii dał koty z Drobnerem. On był z PPR natomiast Drobner z PPS, wydawało się więc, że mocniejszym araczem w zwarciu będzie pro-

rii, na którym przed stroną tytułową była wydrukowana dedykacja: *Mężowi opatrnościowemu Polski marszałkowi Józefowi Śmigłemu Rydzowi książkę tę dedykuje autor*. Autorem był, jak pan się domyśla, ów profesor, tyle że pod przedwojennym nazwiskiem. Profesor ów, po zobaczeniu w ręku Drobnera tej książki, wstał natychmiast z za stołu konferencyjnego i bez słowa udał się do zakładu zamkniętego dla psychicznie chorych. I trzeba przyznać, że znalazł tam schronienie i w miarę spokojnie przeżył czasy stalinowskie i po Październiku wrócił na Uniwersytet. A przecież tuż po wojnie tenże profesor, wiedziony proroczym instynktem, jeździł po bibliotekach i ze wszystkich znalezionych egzemplarzy pracowicie wycinał ową dedykację. Mimo to, jak Pan widzi, nie udało mu się uchronić przed wpadką. Czy pan żałuje, że Rakowski nie postąpił podobnie?

— On musiałby zniszczyć połowę egzemplarzy „Polityki”, a więc pisma, które swego czasu nie szczędziło mi komplementów...

— To prawda, lecz komplementujących Pana było zbyt wielu, by ekipa posierpniowa mogła z tego tytułu rozdzielać jakieś kuksańce. Ale à propos Pańskich publikacji. Twierdzi Pan, że nie ukazywały się książki z Pańskimi przemówieniami, a ja jednak mam taką książeczkę poświęconą sprawom wojska i obronności kraju. Jej tytuł: *Edward Gierek o wojsku i obronności*.

— Publikacja ukazała się w zamkniętym obiegu wojskowym, a wydała ją z inicjatywy, jakże oddanego mi, ministra Jaruzelskiego. Chętnie zresztą, jak pan tu widzi fotografował się wówczas ze mną. Gdy dowiedziałem się o tej publikacji, miałem pretensję do Jaruzelskiego, ale było już za późno. Mogłem co prawda wycofać książeczkę z bibliotek garnizonowych, ale przyzna pan, że byłby to krok nieco groteskowy. Książeczkę tę wycofano zresztą kilka lat później, chyba na polecenie zwierzchnika sił zbrojnych.

— Jeśli mówimy o tytule zwierzchnika sił zbrojnych, czy miał go Pan w swej kolekcji?

— Nie. Nigdy, proszę pana, nie byłem ani zwierzchnikiem sił zbrojnych, ani przewodniczącym Rady Obrony Kraju. Tę drugą funkcję za moich czasów pełnił Jaroszewicz. Jak więc pan widzi, z tą próżnością Gierka naprawdę nie było tak, jak niektórzy sugerują...

— Proszę mi powiedzieć, czy można mówić o istnieniu w swoim czasie dworu Gierka?

— W jakim sensie?

— Potocznym. Nie wiem, czy Pan na przykład wie, że znana i bardzo

ceniona książka Kapuścińskiego „*Cesarz*” poświęcona ostatniemu cesarzowi abisyńskiemu Haile Selassje była uważana w swoim czasie również za pamflet antygierkowski.

— Co Pan powie, ja miałem być tym cesarzem?

— **Adaptacja teatralna książki była grana w Teatrze Powszechnym w Warszawie, w późnych latach gierkowskich w atmosferze lekkiego skandalu. Proszę mi uwierzyć, całe środowisko warszawskie, nieźle się tym bawiło.**

— Widać każda rewolucja musi na miarę swej wielkości mieć swego Beaumarchais. A mówiąc serio, jaki ze mnie był cesarz? Mieszkałem w domu, w którym Tony Halik, jak sam pan powiedział nie chciałby mieszkać. Dostęp do mnie był bardzo łatwy. Nie byłem mściwy, i podwładnych nie karałem nawet za ewidentne błędy. Żałuję, że nie wiedziałem o tym wcześniej, bo z przyjemnością obejrzałbym taki pamflet, sądzę, że nieźle by mnie rozbawił.

— **Ale koterie intrygujące przeciw sobie, przyzna Pan, były prawdziwie dworskie.**

— Koterie i intrygi są tak stare jak ludzkość. Niech pan się dobrze rozejrzy wokół siebie, czyż nie ma ich w każdym zakładzie, redakcji, spółdzielni? Intryganctwo, koteryjność są immanentnie związane z wszelką, powtarzam, wszelką formą działalności ludzkiej. Rzecz znamienna, że ta forma działalności jest wręcz nienawistna wszystkim ludziom stojącym na czele owych organizmów. Mnie to bardzo nie odpowiadało, ale nie mogłem nic na to poradzić. A propos, pamiętam, z jakim przejęciem i oddaniem towarzyszył swym atlasowym głosem w ostatniej drodze Stalina jeden z ówczesnych lektorów kroniki. Cały swój talent i serce włożył w czytanie tych kronik; niemal łkał, że przestało już bić serce wodza. A jak stanowczo i bezkompromisowo domagał się kar dla zdrajców narodu i sługusów burżuazji — generałów Tataru, Kirchmajera, Hermana. Potępiał ich i karał, był bezlitosny. Tak jak bezlitosny stał się dla owych potwornych „sługusów komuny”, którzy dwadzieścia lat później czytali dzienniki telewizyjne... Czyż życie, Panie Januszu, nie jest swoistą groteską i kabaretem...

— **Dodałbym, że życie bywa często zdecydowanie złym kabaretem.**

— Od naszej ostatniej rozmowy, gdy tak otwarcie opowiedziałem o intrygach i rozgrywkach w kierownictwie partii, minęło osiem miesięcy, a życie dopisało do moich wyznań własny, i to zabawny komentarz.

— Sądzę, że w jakimś sensie uwierzyliśmy je takty, jakie ostatnio miały miejsce w naszym życiu politycznym. Cóż, my komuniści nie wymyślaliśmy sobie od głupich, przynajmniej z trybuny na posiedzeniach Komitetu Centralnego. Chociaż wyznam panu, mnie wcale to nie zgorszyło, więcej — uważam, że takie posiedzenie Komitetu Obywatelskiego, jak to o którym mówimy, oglądane w telewizji, można porównać do seansu terapeutycznego, po którym opadają emocje i nadchodzi czas refleksji. Takie publiczne połajanki chronią w jakimś sensie przed zbytnim zakłamaniem, które mi osobiście w naszym ruchu doskwierało. Dziś, z perspektywy czasu widać, że jedną z największych naszych słabości był brak mechanizmu, który umożliwiłby bezkonfliktowo wymieniać ekipy. Mówiłem już panu, że dzięki rodzinnym tradycjom byłem w głębi ducha pepeesiakiem i z pewnością gdyby nie emigracja w bardzo młodym wieku, zostałbym raczej członkiem PPS niż KPP. Przeciwnie nim zostałem członkiem partii polskich komunistów, wstąpiłem do Komunistycznej Partii Francji. Dlatego też zawsze żałowałem likwidacji PPS, bo do tego, w gruncie rzeczy, sprowadziło się zjednoczenie obu partii w 1948 roku.

— **W tamtym pamiętnym roku Komitety Centralne obu partii tak naprawdę nie miały wiele do powiedzenia. O wszystkim i to nie tylko w Polsce decydował Kreml.**

— W stalinowskim modelu socjalizmu istnienie jednej marksistowskiej partii klasy robotniczej, i to partii komunistycznej, było zasadą niepodważalną. Dotyczyło to i Polski, a w konsekwencji połączenia PPS i PPR. Sądzę, że historyczną zasługą polskich komunistów było to, że mimo wszystkich przeciwności stali się partią polską i z biegiem lat państwową *quasi* suwerenność zamieniliśmy w prawdziwą suwerenność i metodą faktów dokonanych nie dopuścili do stworzenia z Polski 18 republiki. Bo wiadomo, że na przełomie lat czterdziestych i później Stalin rozważał taki wariant. Chroniąc tożsamość narodową, popełniając przy tym mnóstwo błędów, doprowadziliśmy w końcu do sytuacji, że Polska ma szansę wybić się z powrotem na pełną suwerenność....

Przez lata uczyniliśmy niemało, w czym jest spory udział świata kultury, dla utrzymania naszej tożsamości narodowej. Doskonale wiedziałem, że indywidualne rolnictwo, aktywny społecznie Kościół są czynnikami służącymi tej tożsamości, a więc pośrednio i suwerenności. Dlatego w latach sześćdziesiątych nie odpowiadały mi bezsensowne walki władzy z Kościołem o rząd dusz. Obiektywnie osłabiało to nie tylko Kościół, lecz i partię. A ja, proszę pana, chciałem mieć silną partię i nie miałem nic przeciwko odczuwaniu oddechu Kościoła na swych plecach, bowiem podkreślało to naszą odrębność, wewnątrz obozu socjalistycznego. Wiele rozmawialiśmy o sprawach międzynarodowych, więc pan wie, że zapra-

szaleńca, że przyjechałem z całego świata, jeździłem do wielu krajów, aby wieść z sobą polski sztandar, aby oswajać inne narody z imieniem Polski, aby tworzyć mit Polski: kraju liczącego się w Europie i świecie. Ale jak ognia bałem się tego, aby nasze sprawy oddawać w cudze ręce. Wiedziałem, że tak naprawdę możemy sobie pomóc tylko sami.

— W świecie cynicznej polityki liczy się tylko siła. Trudno się więc z Panem nie zgodzić. Na swój sposób zdumiewa mnie jednak to, że żaden z krajów KBWE nie poparł prośby republik bałtyckich o uzyskanie statusu obserwatora na zbliżającej się konferencji. Nie uczynili tego również Amerykanie, którzy formalnie do dziś nie uznali inkorporacji republik bałtyckich do Związku Radzieckiego. Ile warte są te puste gesty, dowodzą właśnie fakty. I swoją drogą żał mi Estończyków, Łotyszów i nawet Litwinów. Ci ostatni bowiem, biorąc w prezencie Wilno z rąk Stalina w dniu 10 października 1939 roku, uwiarygodnili rzekomo narodowy i sprawiedliwy charakter zaboru połowy Rzeczypospolitej przez ZSRR.

— Wie pan, ja do spraw republik nadbałtyckich — nie mieszałbym się; zbyt wiele mamy swoich własnych spraw, by walczyć o innych. Przez sto z górą lat biliśmy się za cudzą wolność i nie najlepiej na tym wyszliśmy.

— Pozwoli Pan, że powrócę do wątku, który Pan przed chwilą zasygnalizował. Myślę o sympatiach do PPS. Czy nietaktowne będzie pytanie: dlaczego Edward Gierek, gdy został pierwszym człowiekiem w państwie, nie pomyślał o reaktywowaniu tej partii?

— Pytanie jest stosowne, umówiliśmy się przecież, że nie będzie tematów tabu w naszej rozmowie, ale wybaczy pan — biorąc pod uwagę realia — jest nieco infantylne. W tamtych latach Edward Gierek nie mógł nawet o tym śnić. Gdybym podjął jakieś konkretne kroki w tym kierunku, uznano by mnie za szaleńca. Poza tym musiałem wtedy walczyć o silną partię, albowiem tylko PZPR była wiarygodnym gwarantem naszej niepodległości. Uważam, że należało dążyć do ewolucji systemu i partii, by stworzyć sytuację, która pozwalałaby na bezkonfliktową wymianę ekipy kierowniczej. Gdyby w odpowiednim czasie komuniści polscy mogli dokonać takich przekształceń, komunizm w Polsce nie upadłby. Jeszcze dziś uważam, że kapitalizm nie jest dla nas dobry. Społeczeństwo zbyt przywiązało się do egalitaryzmu, by spokojnie mogło przyzwolić na szykujące się rozwarstwienie, bezrobocie i wszystkie plagi tamtego systemu. A kapitalizm ze wszystkimi swymi wadami, ale za to bez swych zalet — a na to się u nas zanosi — nie będzie przez to społeczeństwo przyjęty.

Dlaczego więc komuniści polscy nie dokonali takich przekształceń?

rozumienia dla tego rodzaju reform. Bardziej uwierzono w czołgi niż w głębokie przekształcenia systemowe.

— **To wtedy, w stanie wojennym, Olszowski powiedział w „Trybunie Ludu” na zebraniu partyjnym, że stan wojenny będzie trwał dopóty, dopóki społeczeństwo nie zapomni znaczenia nazwy „Solidarność”.**

— Jeśli to prawda, to się dziwię, bowiem Stefan był zawsze przenikliwym politykiem.

— **Dlaczego zatem przesuwiał go Pan kilkakrotnie ruchem konika szachowego, po politycznej scenie PRL? W grudniu 1970 został członkiem Biura Politycznego i kierował do VI Zjazdu propagandą i ideologią, po VI Zjeździe został ministrem spraw zagranicznych. Tam zaczął odnosić sukcesy, stał się nawet, jak mawiano, pupilkim Gromyki, w połowie drugiej dekady został przesunięty do spraw gospodarczych w partii. Tam popadł w konflikt z Jaroszewiczem i wraz z nim na VIII Zjeździe ustąpił z Biura Politycznego i został ambasadorem w Berlinie. A w sierpniu powołał go Pan ponownie w skład Biura Politycznego i sekretariatu KC.**

— Trochę pana nie rozumiem. Odkąd to kierowanie polityką zagraniczną jest sprawą mało cenną dla polityka? Ja, przeciwnie, uważam, że było to dla Stefana wyróżnienie. Pan wie, jak wielką wagę przywiązywałem do polityki zagranicznej. Musiałem mieć na jej czele człowieka inteligentnego i dobrze służącego Polsce. Uważam też, że ministrem był Stefan bardzo dobrym, dziś sędzę, że zabierając go stamtąd popełniłem błąd.

— **Dlaczego wobec tego przesunął Pan Olszowskiego do KC, do spraw gospodarki, na których się nie znał?**

— Dlatego, że chciałem, aby Jan Szydłak, jako mój bliski człowiek miał w rządzie pieczę nad sprawami gospodarczymi. Równocześnie uważałem, że sprawami gospodarczymi w partii powinien kierować ktoś z odpowiednim autorytetem, ktoś, kto będzie partnerem dla premiera. Cały czas chodziło o to, aby napełnić żywą treścią hasło: partia kieruje, rząd rządzi. Tymczasem w sprawach gospodarczych, w czasie całej dekady, trwała tendencja do skupienia całej rzeczywistej władzy gospodarczej w ręku rządu. Tendencja była generalnie słuszna, ale partia musiała zachować w tym okresie mocną pozycję kontrolną. Nie ma więc tu, jak pan widzi, żadnego szczególnego machiawelizmu.

— **A Tejchma? W Przerwanej dekadzie powiedział Pan, że cenil Józefa Tejchmę.**

— To prawda, jest to niewątpliwie prawy komunista i człowiek, który zawsze miał na względzie interes kraju: bardzo w nim to ceniłem.

— Dlaczego wobec tego nie wykorzystał Pan go właściwie?

— Proszę pana, nie jest to sprawa lepszego czy gorszego wykorzystania. Do VIII Zjazdu, a więc do stycznia 1980 roku, był przez całą dekadę członkiem Biura Politycznego, a więc miał ogromne szanse działania, i to na wszystkich płaszczyznach. Nasze Biuro Polityczne, wszyscy to przyznają, było najdemokratyczniej prowadzone w całym 45-leciu; każdy miał prawo się wypowiedzieć. Na każdym posiedzeniu pytałem pod koniec towarzyszy, czy któryś z nich chce zgłosić jakąś sprawę w wolnych wnioskach. Możliwości w tym względzie były nieograniczone, świadczy o tym chociażby omawiana tu przez nas historia dotycząca Szlachcica. Jak pan sam mówił, zabrał on wówczas głos dwukrotnie i na temat przez niego poruszony wypowiedzieli się wszyscy zebrani. Uderzyło pana w wypowiedzi „X” jednoznaczne potępienie Szlachcica przez wszystkich uczestników posiedzenia: było ono rezultatem postępowania Franka. Wszyscy mieli go po prostu dosyć i jego intryganctwem czuli się w jakimś sensie osobiście zagrożeni, dlatego przedtem, zanim ja zabrałem głos wypowiedzieli się wszyscy przeciwko niemu. Wracam do tej sprawy tak szeroko po to, aby mi pan uwierzył, że tak Tejchma, jak i każdy inny członek Biura, mógł wpływać na bieg spraw państwowych. Każdy z nich mógł wnieść pod obrady dowolną interesującą go kwestię.

— Trudno więc, Pana zdaniem, obwiniać Edwarda Gierka za brak aktywności poszczególnych członków Biura Politycznego.

— Z pewnością.

— Ale czy na zbyt małe wykorzystanie Tejchmy nie wpłynął fakt, że on będąc w jakimś sensie pomazańcem Gomulki stał się w ten sposób Pańskim potencjalnym konkurentem?

— Sądzę, że nie wywierało to większego wpływu na niego jak i na mnie. Ja, proszę pana, nie obawiałem się jego konkurencji. Tejchma jest bowiem bardziej człowiekiem refleksyjnym niż człowiekiem czynu. Do jego pozytywnych cech zaliczam wrażliwość na ludzką krzywdę. W czasie rokowań ze strajkującymi włókiarkami w 1971 roku był on tak przejęty dramatyzmem konfliktu, że nie mógł zabrać głosu na spotkaniu ze strajkującymi. Przyzna pan, że duża wrażliwość i uczulenie na ludzką krzywdę nie były dla komunistycznego polityka cechą bez znaczenia.

— Ale w praktycznym działaniu, nie mogła być chyba ceniona?

Familia?



być braćmi sjaamskimi, było nawet pożądane, aby się znacznie od siebie różnili.

— **Pańscy współpracownicy, z którymi rozmawiałem, zwrócili uwagę na znamieny dla Pana brak wścibstwa i podejrzliwości. Podobno nie miał Pan zwyczaju grzebać w teczkach personalnych swoich kolegów, czytywać ich życiorysy, nadstawiać ucha na plotki. Pod tym względem różnił się Pan podobno tak od swego poprzednika, jak i następcy.**

— Jestem człowiekiem raczej otwartym i życzliwym ludziom, nie ciekawiły mnie tak zwane brudy ludzkie. Może w sensie praktycznym było to niekorzystne, ale do rozmowy z osobami, których nie znałem poprzednio, niepotrzebne mi było policyjne dossier o nich.

— **Stąd wnoszę, że nie byłby Pan dobrym policjantem?**

— Raczej nie. Nie potrafię wyobrazić siebie w tej roli. Pamiętam, że zaskoczyłem swoich nowych współpracowników z tak zwanego sekretariatu pierwszego sekretarza, pierwszą podjętą przez siebie decyzją. Objąłem swój urząd w okresie choroby Władysława Gomułki. W jakimś więc sensie musiałem wkroczyć w jego prywatno-służbowy świat zajmując jego gabinet, biurko... Cóż nie chciałem tego robić w sposób arogancki, zmieniłem więc gabinet pierwszego sekretarza, a zajęcie się jego papierami zleciłem powołanej do tego celu komisji Biura Politycznego.

— **Co szczególnego znaleziono w tych papierach?**

— Komisja poinformowała mnie o znalezieniu szeregu istotnych dokumentów. Wśród nich, jak pamiętam, był szyfrogram do Kominternu informujący o wykonaniu wyroku na Mołojcu oraz list Władysława Gomułki do Nikity Chruszczowa w sprawie niemieckiej. Wszystkie znalezione dokumenty zostały przekazane do archiwum Komitetu Centralnego Partii.

— **Ludzie znający Pana z tamtego okresu, podkreślają, że na Pańskim biurku nigdy nie było stert papierów. Zawsze było wyczyszczone do cna.**

— Rzeczywiście, nigdy nie pieściłem papierów. Przekazywałem je według kompetencji odpowiednim towarzyszom. Zachowywałem dla siebie jedynie opracowania syntetyczne, natomiast sprawy drobne odsuwałem od siebie z całą stanowczością. Byłem szefem nie interesującym się szczegółami. Nie chciałem wiedzieć wszystkiego o wszystkim co dzieje się w państwie, gmachu KC i jakie są upodobania prywatne moich współpracowników.

— **Czy lubił Pan czytać donosy?**

ułamek prawdy. Uważałem, że do ich sprawdzania, studiowania, a także śledzenia są specjalnie do tego powołane służby. Człowiek kierujący państwem powinien być od nich wolny. Ten tryb działania proszę pana wypróbowałem i wypracowałem w najludniejszym i najbardziej uprzemysłowionym, a przez to najważniejszym w kraju województwie. Nie widziałem powodu, aby tam sprawdzone metody pracy zmieniać. Na Śląsku starałem się być gospodarzem i szefem zajmującym się najważniejszymi sprawami, dlatego zatem na bez porównania ważniejszym stanowisku miałem rozmieniać się na drobne.

— **Co poza stylem pracy, przeniósł Pan jeszcze z Katowic?**

— Sądzę, że jedną z najtrwalszych wartości wyniesionych przeze mnie z Katowic, była moja współpraca z Jerzym Ziętkiem. Rozumiałem się z nim doskonale i starałem się stworzyć mu właściwe warunki do efektywnej i wydajnej pracy. Tam nauczyłem się, że zarządzać krajem powinna administracja państwowa, natomiast partia powinna w tym pomagać, tworzyć dobry klimat polityczny i sygnalizować o istniejących zaniedbaniach bądź pojawiających się trudnościach. Myślę, że razem z Jerzym Ziętkiem stanowiliśmy najlepszy tandem wojewódzki w skali krajowej. Mieliśmy świadomość, że jedziemy na jednym wózku i niepowodzenie każdego z nas jest naszym wspólnym niepowodzeniem. Przyjaźń i wzajemna lojalność była podstawą naszych śląskich sukcesów. Mimo ogromnego scentralizowania gospodarki potrafiliśmy wygospodarować środki, które ze Śląska, w sensie zarządzania czyniły wyróżniający się region. Nasz tandem próbowano wielokrotnie poróżnić, w myśl zasady *divide et impera*. Cenię sobie to, że Jerzy nigdy nie dał się sprowokować i zawsze mi wierzył, tak jak ja jemu.

— **Chciał Pan z pewnością powtórzyć te zasady w Warszawie?**

— Oczywiście, ale było to zbyt duże gospodarstwo. Śląsk — dosłownie i w przenośni — trzymałem w ręku. Muszę panu powiedzieć, że przynajmniej raz w tygodniu wsiadaliśmy z Jurkiem koło piątej rano do dwóch różnych tramwajów i jechaliśmy w różne strony naszego zurbanizowanego województwa. W czasie przejazdów dowiadywałem się o życiu województwa więcej niż ze wszystkich gazet. Co najmniej raz w tygodniu spotykaliśmy się też z Jerzym na rozmowie, aby być na bieżąco ze wszystkimi problemami i wiedzieć dokładnie, czym on żyje, na co jego zdaniem należy zwrócić uwagę. Sytuację ułatwiało jeszcze to, że Śląsk, jak na polskie warunki, był wyjątkowo jednorodnym województwem, stąd zarządzanie nim było łatwiejsze, choć od problemów tu nagromadzonych można było dostać zawrotu głowy.

— **To ze Śląska przeniósł Pan do Warszawy styl owych gospodarskich wizyt. Zamyśl może i dobry, ale ich fatalną ocenę w świadomości społecznej zawdzięczamy telewizyjnym relacjom.**

— Zgadzam się z tym. Jeszcze gorszy wpływ wywarła tak zwana ochrona, czyli Biuro Ochrony Rządu. Oni to swymi rozlicznymi żądaniem, podyktowanymi troską o moje bezpieczeństwo, przyczynili się do wypaczenia charakteru tych wizyt. Początkowo owe wyjazdy stanowiły cenne novum, z czasem jednak zbyt się zrutynizowały. Każdy mój krok był wcześniej omówiony i przygotowany przez ochronę. W swych poczynaniach byłem często dosłownie paraliżowany. Nie mogłem niczego zrobić niezgodniwszy z nimi tego wcześniej.

— **I co, nic Pan nie zrobił w tej sytuacji?**

— Zmieniłem charakter wizyt na zapowiedziane i oczekiwane, a więc w samym założeniu przyjąłem, że gospodarze polityczni i administracyjni świadomie je wykorzystują, by pochwalić się swymi dokonaniem. Aby nie sprowadzały się wyłącznie do tego, ich program zależał także od moich życzeń, zgłaszanych wcześniej. Wyglądało to w ten sposób, że mój sekretariat przekazywał tematy, którymi byłem zainteresowany. Dzięki temu wizyty, mimo wszystko, odegrały jakąś pożyteczną rolę.

— **Czy nie sądzi Pan, że miały w sobie elementy potiomkinowskich eskapad?**

— Moim zdaniem nie. Gdybym kogoś złapał za rękę na takich praktykach, ostro bym się po nim przejechał. Wiem, że krążyły takie opinie o tych spotkaniach. Zapewniam jednak pana, że są niesprawiedliwe, większość z nich miała bowiem problemowy charakter. Gdy stało się to już praktyką, gospodarze województw przestali się tylko chwalić, a wręcz przeciwnie; zaczęli również zabiegać o rozwiązanie przeróżnych, często nabrzmiałych problemów. Tak więc jestem tego pewien, że owe potiomkinowskie akcenty stanowiły znikomy procent.

— **Czemu zatem zgodził się Pan na tak celebracyjne relacje z owych wizyt tak w telewizji, jak i w prasie?**

— Proszę pana, sprawa propagandy, patrząc z perspektywy czasu, jest niewątpliwie jedną z kluczowych dla oceny dekady. Z pewnością wiele na swym imażu przez tę propagandę straciłem. Przyznaję, że za bardzo ulegałem tym, którzy nią się wtedy kierowali. Ale chcę zwrócić uwagę, że według badań opinii publicznej, przeprowadzonych już po moim

wierzyła jednak telewizji i to pomimo kubłów pomyj wylewanych na nią w tamtym okresie. O tej milczącej większości, nikt nie może powiedzieć, że były to głosy które nie były istotne. Nie jest to bez znaczenia dla oceny skuteczności propagandy.

— **Faktem jest jednak, że właśnie propaganda w znacznym stopniu przyczyniła się do Pańskiej przegranej. Okazała się także nieskuteczna wobec wszelkich prób zażegnania strajków.**

— To prawda. Na nasze usprawiedliwienie, mogę tylko powiedzieć, że w tamtych latach dopiero uczyliśmy się telewizji. Niech pan zwróci jednak uwagę, jakie z tą telewizją ma kłopoty obecny rząd, gdy dysponując nią w pełni, usiłuje wykorzystać ją jako narzędzie w rozmowie ze społeczeństwem. Z tego można wnosić, że niełatwo znaleźć właściwy model prezentacji władzy przez środki masowego przekazu. Sądzę, że błędem w moich czasach było programowe, że tak powiem, wyeliminowanie z telewizji krytyki, w myśl zasady, że krytyka nie służy władzy. Dziś wiem, że w tamtych latach potrzebny nam był inny model telewizji, taki w którym krytyczne materiały spełniałyby funkcję sygnału ostrzegawczego zarówno dla władzy, jak i dla społeczeństwa. Uważam też, że nierozsądnie zgodziłem się na to, by kilka razy w tygodniu pokazywano mnie w telewizji. Błędna okazała się koncepcja rozmowy, za pośrednictwem telewizora, pierwszego sekretarza z aktywem gospodarczo-politycznym, a nie ze społeczeństwem. Poza tym wyznaczone proporcje czasu na antenie miały określić ważność osób i tematów.

— **Co to znaczy: rozmowa z aktywem polityczno-gospodarczym, a nie ze społeczeństwem?**

— Towarzysze kierujący propagandą uważali, że w grze politycznej uczestniczy w pierwszym rzędzie aktyw polityczno-społeczny.

— **A nie było to prawdą?**

— Proszę pana, wszędzie na świecie jest tak, że w polityce uczestniczą przede wszystkim elity. Społeczeństwo odgrywa ważną rolę w dniu wyborów i w czasie niepokoїв społecznych.

— **Tak, ale telwizja, chcąc nie chcąc, do gry politycznej wciągnęła najszerze masy. I tego ludzie kierujący propagandą, do końca nie zrozumieli?**

— Zgadzam się, ale niech pan spojrzy, jak telewizji uczą się obecni gospodarze Polski. Po pierwszym publicznym praniu brudów na zebraniu

OKP na następne spotkanie — o ile się nie mylę — nie zaprosili tak prasy, jak i telewizji.

— **Bolszewicy też na początku demagogicznie domagali się jawnej dyplomacji, a już ich następcy przekroczyli granice hipokryzji i obok paktów jawnych — zawierali tajne, z tajnymi klauzulami. Kreml do tajnych protokołów układu Ribbentrop–Mołotow przyznał się dopiero w roku ubiegłym, mimo że świat znał fotokopie układu od lat czterdziestych. Natomiast Fallin, dzisiejszy kierownik wydziału zagranicznego KC KPZR, jeszcze trzy lata temu zapewniał polskich historyków, że istnienie tajnych protokołów nie jest pewne.**

— Proszę pana, polityka generalnie jest brudną grą, gdy ocenia się ją według kryteriów moralnych. Niestety, politykom wystawia się oceny z efektów ich działania, a nie pragnień czy najszlachetniejszych wręcz zamierzeń. Dlatego ci, którzy sądzili, że z chwilą przyścia do władzy opozycji nastąpią czasy wielkiej moralnej czystości, bardzo, ale to bardzo się rozczarują. Pod Mławę obecny rząd posłał samochody pancerne już w dziesiątym miesiącu swego urzędowania, myśmy natomiast milicji użyli w Radomiu dopiero po pięciu latach. Niech pan mi wierzy, że dobrze życzę obecnej władzy, ponieważ dobrze życzę Polsce, ale ostrzegam, aby nie liczyć na cuda, bowiem ten rząd ich nie umie czynić, tak jak nie umiał tego również rząd komunistyczny.

— **Pozwoli Pan, że zmienię temat. Do dziś dziwi mnie, że Pan, będąc politykiem przywiązującym tak wielkie znaczenie do spraw zagranicznych, nie ułatwił sobie życia przyjęciem funkcji Przewodniczącego Rady Państwa. Brak tego stanowiska musiał Panu niezmiernie komplikować życie ze względów protokolarnych. Składając wizyty prezydentom, premierom czy kanclerzom był Pan dla nich formalnie tylko osobą prywatną. Nie miał Pan bowiem żadnej oficjalnej funkcji państwowej, poza mandatem poselskim.**

— Rzeczywiście tak sytuacja wyglądała w pierwszej połowie dekady, gdy nie byłem nawet członkiem Rady Państwa. Wtedy to, wyjeżdżając za granicę, brałem z Rady Państwa oficjalną delegację na piśmie, upoważniającą mnie do reprezentowania władz państwowych.

— **Czy nie było to aby dla cudzoziemców zabawne?**

— Realnych problemów ta sytuacja mi nie sprawiała, co najwyżej była kłopotliwa dla gospodarzy, którzy w jednym czy drugim przypadku musieli odpowiadać prasie, dlaczego pan Gierek jest przyjmowany z honora-

— **Czy państwo partycyzy dawali jakos do zrozumienia, ze chcieli zmiany tego statusu?**

— Nie, oczywiście takich sygnałów nie było, chociaż dla moich gospodarzy było to zazwyczaj niedogodne, bowiem musieli wyjaśniać oficjalnie mój status, a więc w praktyce potwierdzać kierowniczy charakter partii komunistycznej w naszych krajach. Chociaż przyznam, że ta sytuacja miała również swoje dobre strony.

— **Jakie?**

— Mogłem być zapraszany zarówno przez premierów, jak i prezydentów. Co też miało swoje praktyczne znaczenie.

— **W takim razie dlaczego zdecydował się Pan w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zostać członkiem Rady Państwa?**

— Ponieważ eliminowało to pewne niedogodności, jak na przykład konieczność brania owej delegacji zagranicznej. Ponadto dzięki temu miałem odtąd swój gabinet w Radzie Państwa, czyli w gmachu sejmu, w którym mogłem przyjmować przywódców państw przyjeżdżających do nas z Zachodu. Z przyjęciem Nixona były na przykład, pewne kłopoty formalne. Nie miałem żadnego gabinetu w sejmie, natomiast strona amerykańska zabiegała, by rozmowy między nami nie odbywały się w gmachu Komitetu Centralnego PZPR.

— **Jednym słowem, chodziło o zachowanie antykomunistycznego dziewictwa prezydenta. Prowadzę rokowania z Gierkiem, ale udaję, że rozmawiam z nim jako z osobą państwową, a nie partyjną.**

— Aż tak dalece bym tego nie interpretował. W każdym razie w drugiej części dekady rozwiązałem ten problem jak najbardziej bezboleśnie, aby nikogo nie urazić bądź nie pozbawić posady...

— **Gdy jednak inni przywódcy socjalistyczni, w tak zwanych bratnich krajach, objęli oficjalne posady szefów państw, nie poszedł Pan w ich ślady.**

— Nie było mi to do niczego potrzebne. Ponadto, jak panu już mówiłem, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych poważnie chorowałem i nie chciałem brać na siebie nowych obowiązków.

— **Czy mogły być aż tak wielkie?**

— Wbrew pozorom obowiązki reprezentacyjne są bardzo nużące i czasochłonne. Do tego dochodzą częste posiedzenia i wiele konkretnych spraw do załatwienia. Zapewniam pana, że solidne wykonywanie tej funkcji nie jest wcale zabawą.

— Mimo to w końcówce lat siedemdziesiątych rozeszły się plotki na temat Pańskich planów objęcia, od lat nie istniejącej już u nas, funkcji prezydenta państwa.

— To prawda, że w kręgach kierowniczych omawiano tę sprawę. Co prawda nigdy, na posiedzeniu Biura Politycznego, ale wielokrotnie dyskutowano ją na posiedzeniach różnych gremiów nieformalnych.

— **Z jakich przesłanek wychodzili inicjatorzy tego projektu?**

— Były one dwojakiej natury. Jedną była rozważana wówczas koncepcja zmiany rządów na tak zwane rządy personalne, co wyrażałoby się właśnie w osobie prezydenta. Powoływano się przy tym na model francuski, w którym, jak wiadomo, prezydent ma bardzo szerokie prerogatywy. Druga koncepcja zakładała jedynie zmianę personalną, a więc zachowanie urzędu Przewodniczącego Rady Państwa i powierzenie go Gierkowi.

— **Omówimy obie koncepcje?**

— Pierwszej nie pamiętam szczegółowo. Dzięki nowemu urzędowi prezydenta miała zniknąć dwuwładza w kraju, to znaczy premier zostałby podporządkowany w sposób konstytucyjny pierwszemu sekretarzowi, będącemu zawsze prezydentem. Jako prezydent przewodniczyłbym zatem posiedzeniom gabinetu, czyli mógłbym w sensie formalnym rządzić krajem. Tłumaczono mi, że byłaby to sytuacja znacznie porządkująca stan prawny. Ja, co podkreślam stanowczo, wcale się do tego nie paliłem, ale było rzeczą naturalną, że musiałem się oswoić z tą koncepcją, aby ją przyjąć bądź odrzucić.

— **W Biurze Politycznym musiał Pan natrafić na co najmniej jednego zdecydowanego przeciwnika. Myślę o ówczesnym Przewodniczącym Rady Państwa. Był chyba bardzo przywiązany do swej posady, skoro zdołał, mimo czasów burzy i naporów przewodzić przez 15 lat Radzie Państwa i służył za kłamrę spinającą różne epoki: lata gierkowskie z okresem odnowy i stanem wojennym. Jednym słowem — trwał jak opoka aż do 1985 roku i dopiero wtedy musiał ustąpić miejsca „godniejszemu od siebie”.**

— Ma pan rację, Henryk Jabłoński nie powitał tego projektu z zachwytem. Gdy go poinformowałem, że jest rozważana propozycja powołania nowego urzędu prezydenta, a urząd ten towarzysze proponują mnie, jego natomiast chcą desygnować na nową funkcję wiceprezydenta, Jabłoński odmówił. Oświadczył, że słyszał o proponowanych zmianach i uznał, że w nowej sytuacji nie będzie go to interesowało. Natomiast z przyjemnością.

Sekretarz z Prezydentem



— **Jak Pan na to zareagował?**

— Odpowiedziałem, że moja z nim rozmowa nie oznacza wcale bym za tą zmianą optował. Podkreśliłem, że nie jestem wcale zainteresowany sugerowanym rozwiązaniem. Mówię mu o tym, aby wiedział, że taka zmiana, przez część towarzyszy jest rozważana, a nie chciałbym, aby myślał, że jest to wymierzone przeciwko niemu czy przeprowadzone poza jego plecami. Nie jestem zwolennikiem — powiedziałem mu wtedy — rozwiązań, o których najbardziej zainteresowany dowiaduje się na końcu.

— **Powiedział to Pan niezwykle elegancko, sądzę, że trudno było Jabłońskiemu mieć o to do Pana pretensje.**

— Panie Januszu, ja to powiedziałem szczerze. Doprawdy nie czułem się na siłach podjąć obu funkcjom. Jak pan wie, chorowałem wówczas na gruźlicę, a następnie przyplątała się jeszcze zadawniona skolioza, która z wiekiem staje się coraz dokuczliwsza, i w związku z tym niespieszno mi było do nowych szczytów. Ponadto, jak zdołałem już chyba pana przekonać, nie należałem do kolekcjonerów najwyższych funkcji, nie pożerała mnie ambicja. Dlatego też zahamowałem dalsze prace, a także rozważania nad wprowadzeniem zmian, o których przed chwilą mówiliśmy.

— **A objęcie przez Pana tradycyjnej funkcji Przewodniczącego Rady Państwa też nie wchodziło w grę?**

— Z tych samych co poprzednio powodów nie chciałem absolutnie zostać Przewodniczącym Rady Państwa. Wie pan, nie wykluczam, że moi przeciwnicy, wówczas bardzo jeszcze układni i przyjaćielscy, chcieli, aby Gierek sam się ugotował od nadmiaru obowiązków. Może też liczyli na to, że uda się mnie odsunąć na bok, gdybym pełnił wyłącznie funkcję reprezentacyjną, natomiast sprawy partii przejęliby inni. O taki zamysł mógłbym śmiało podejrzewać na przykład Babiucha, ale po co? Przyjeliśmy zasadę, że będę mówił tylko o sprawach, których jestem absolutnie pewny.

— **Niech mi Pan powie, jak wyglądała sprawa przyznania stopnia marszałka Wojciechowi Jaruzelskiemu. Bodaj w 1979 roku obiegała Warszawę plotka, że zostaje on marszałkiem Polski?**

— Oficjalnie propozycja taka nigdy nie stanęła na porządku posiedzeń Biura Politycznego. Była jednak rozważana przez różne nieformalne gremia. Nie wiem, czy zabiegał o ten awans sam generał, czy też przyjaciele chcieli mu zrobić przyjemność. Nie wiem.

— **Ale przyjaźnie na tym szczeblu hierarchii władzy nie były chyba**

Piąty i Szósty



— Ma pan rację, że należały zdecydowanie do rzadkości. Za przyjaciela Jaruzelskiego uważał się na przykład Kania. Natomiast, moim zdaniem, nie była to prawdziwa przyjaźń, a raczej sojusz, który w efekcie przyniósł usunięcie Gierka. Ale nawet ten sojusz był podszyty fałszem. Kiedyś, na przykład, Kania przyszedł do mnie z kompromitującą, jego zdaniem, rewelacją. Była to informacja, że Jaruzelski pochodzi ze szlacheckiej rodziny. Ponieważ, jak już panu mówiłem, nie grzebałem się w życiorysach współpracowników, więc niczego na ten temat nie wiedziałem, nie miało to zresztą dla mnie żadnego praktycznego znaczenia. A Kania pokreślał, że generał zataił tę wiadomość, w jego aktach bowiem niczego na ten temat nie było.

— Sądzę, że tym razem Kania nie mijal się z prawdą. Owo szlacheckie pochodzenie było — moim zdaniem — jedną z przyczyn głębokich kompleksów generała. Potwierdził to swego czasu mój szef z redakcji „Kultury”, redaktor Dominik Horodyński, którego nie bez przesady określano czasem „czerwonym hrabią”. Ale prawdą było, że pochodził on z bardzo dobrej rodziny. Pewnego razu w okresie odnowy w 1981 roku, na jakimś przyjęciu w Urzędzie Rady Ministrów podszedł do premiera Jaruzelskiego i w rozmowie napomknął, że są dalekimi kuzynami. Na dowód tego powołał się, jak to zwykle bywa wśród arystokratów, na jakieś wspólne ciotki czy wujeczne babki. Po niewinnej skądinąd uwadze Jaruzelski wręcz spurpurowiał i przez zaciśnięte zęby wycedził: „To nieprawda”, po czym odwrócił się na pięcie i bez słowa pośpiesznie oddalił. Gdy usłyszałem o tej scenie, nie wątpiłem, że rzeczywiście musieli być spowitowaceni. Gdyby było inaczej, każdy na miejscu generała odpowiedziałby po prostu: „Pan się myli, panie redaktorze”. Albo — bardziej dowcipnie i w duchu komunistycznym mógłby powiedzieć: „Owszem, ale związki nasze polegały chyba na tym, że mój ojciec czy wujek trzymał strzemień pańskiego konia”. A generał zareagował jak człowiek w panice. Może wpłynęło to również na dalszą karierę Horodyńskiego, w stanie wojennym rozwiązano „Kulturę”, a on został zmuszony do przejścia na emeryturę, mimo że na IX Zjeździe był wybrany do Centralnej Komisji Rewizyjnej Partii.

— Zresztą, wie pan, generał to człowiek bardzo skomplikowany. Był największym introwertykiem spośród wszystkich ludzi, z którymi współpracowałem; przy tym człowiekiem głęboko urażliwym, zakompleksionym i horobliwie ambitnym.

— Nie wiem, czy Pan wie, że dzięki lekturze życiorysów Pańskich współpracowników, publikowanych w gazetach z okazji kolejnych zjazdów Partii, można było wydedukować, jaki kurs polityczny bierze całe. ...Kania



— Ale ja zawsze, proszę pana byłem synem górnika. Wracając jednak do zasadniczego wątku naszej rozmowy, miałem dosyć kłopotliwą sytuację, gdy przyszło rozstrzygać o stopniu marszałka dla generała Jaruzelskiego.

— **Skąd wziął się ten pomysł?**

— Już mówiłem, że nie pamiętam, choć rzeczywiście uważałem, że lepiej będzie, jeśli nasz polski minister obrony narodowej będzie miał stopień marszałka. Miałoby to pewne praktyczne znaczenie, bo przy Kulkowie — dowódcy wojsk Paktu Warszawskiego w stopniu generała — stroną polską reprezentowałby marszałek. A więc nie musiałby stawać przed nim na baczność. Ponadto dowartościowałoby to naszą armię.

— **Czy omawiał Pan z Jaruzelskim sprawę jego awansu?**

— Rozmawiałem z nim, ale w sposób niezobowiązujący.

— **Wiem, że w „Trybunie Ludu” przed 22 lipca 1979 roku, a więc w trzydziestą piątą rocznicę Manifestu Lipcowego, trzymano w pogotowiu wytrawione już zdjęcie Jaruzelskiego. A oni wiedzieli, po co takie przygotowania robia.**

— W sumie jednak Jaruzelskiego nie mianowaliśmy marszałkiem. Powiedziano mi, że byłyby z tego powodu duże kłopoty i niesnaski w wojsku. Od nominacji Spychalskiego, a więc od lat pięćdziesiątych chyba, byłaby to bowiem pierwsza nominacja marszałkowska w Wojsku Polskim.

— **Od Spychalskiego generał był chyba jednak lepszym wojskowym, a licznym oponentom zawiść by z czasem wywietrzała z głowy.**

— Pewnie ma pan rację, dość że generał pozostał jednak dalej tylko generałem armii.

— **Sądzę, że i z tego powodu zachował Pana we wdzięcznej pamięci. Może w tym fakcie należy szukać tak głębokiej do Pana niechęci?**

— Nie mogę tego wykluczyć, panie Januszu.

— **Z drugiej strony, czy nie był to z Pana strony przejaw niekonsekwencji, w sumie dosyć Panu właściwej. Jak wiadomo najgłębiej można zrazić drugiego człowieka nie spełnioną obietnicą. Ludzie bardzo mocno przywiązują się do obietnicy błyskotliwego awansu.**

— Niech mi pan wierzy, nie mówiliśmy o awansie wprost. To była tylko sugestia. Sprawa jak gdyby w toku załatwiania. Na marginesie powiem, że do dziś mam do siebie pretensje że zostawiłem mu za duża

partii. Chciałem, aby każdy czuł się pełnym gospodarzem na swym odcinku.

— **Prawda to i nieprawda, Łukaszewicz na przykład, miał w aparacie propagandy swoisty przekładaniec personalny. Szef wydziału prasy był przyjacielem Kani, natomiast szef wydziału kultury — zdaje się Babiucha, w każdym razie nie był człowiekiem Łukaszewicza.**

— Przyznaję, lecz wynikało to z tego, że na niższych piętach hierarchii wpływy starał się rozciągnąć Babiuch. Ja natomiast, bez wyraźnej przyczyny nie wtrącałem się w kompetencje innych sekretarzy. Uważam, że ta zasada była zdrowa i głęboko słuszna. Ale, jak to zwykle bywa, życie zweryfikowało wszelkie prawdy i zasady. W moim konkretnym przypadku wyszło na to, że każdą, najlepszą nawet regułę trzeba modyfikować i dopasowywać do konkretnych ludzi. Jeślibym miał sobie coś wyrzucać, to raczej nadmierną konsekwencję w przyjętych regułach polityki kadrowej niż niekonsekwencję, jak to pan sugerował.

— **Nie przekonał mnie Pan. Uważam, na przykład, że cała Pańska polityka w stosunku do opozycji była niekonsekwentna i pełna niejasnych meandrów. Przypomnę Panu najpierw początek dramatu. Po zajęciach radomskich i ursuskich, w 1976 roku, po których rząd wycofał się z podwyżek cen, zdecydował się pan na akcję represyjną wobec uczestników zamieszek, zamiast konsekwentnie ogłosić amnestię. Skoro bowiem kierownictwo partii i państwa anulowało podwyżki, należało również powiedzieć i „b” czyli zrezygnować z represji wobec tych, którzy spowodowali cofnięcie decyzji.**

— Mówiliśmy już na ten temat w *Przerwanej dekadzie*. Represje, a więc aresztowania demonstrantów w Radomiu czy Ursusie, były spowodowane nie protestem robotniczym, lecz aktami wandalizmu. Jak bowiem inaczej zakwalifikować zniszczenie i okradzenie przeszło stu sklepów w Radomiu, podpalenie Komitetu Wojewódzkiego partii oraz rozkręcenie szyn kolejowych na międzynarodowym szlaku PKP w Ursusie? Nie ma proszę pana, drugiego takiego rządu na świecie, który by tego rodzaju akty wandalizmu puścił płazem. Moje oburzenie spowodowały właśnie takie wydarzenia. Było to tym bardziej uzasadnione, że demolowanie sklepów i ulic nie było następstwem jakichś aktów przemocy ze strony milicji Wręcz przeciwnie milicja pojawiła się zbyt późno, gdy sklepy już splądrowano, a gmach partii podpalono.

— **Dlaczego wobec tego w rok później zdecydował się Pan na ogłoszenie amnestii i to bez uzgadniania tego kroku nawet z Biurem Politycznym**

Władza jest ciężarem, który nie należy dobrać sobie, lecz który należy dobrać dla siebie. Władza jest ciężarem, który nie należy dobrać sobie, lecz który należy dobrać dla siebie.

Pod ciężarem władzy



drugiej strony jednak przyczyny prawne, dla których ci ludzie zostali aresztowani, nie ustały?

— Zgoda, ale ja dostałem wtedy pełną informację na temat trybu represjonowania robotników i sposobów ich szykanowania. Uznałem, że są to metody naganne i należy z tym skończyć. Dlatego z okazji 22 Lipca został wydany akt amnestyjny, dzięki któremu wszyscy aresztowani powrócili do domów.

— Dlaczego wobec tego dwa miesiące wcześniej milicja aresztowała wszystkich bez mała „Korowców”, chyba poza profesorem Lipińskim i Jerzym Andrzejewskim? Na tej podstawie można domniemywać, że w czasie tych dwóch miesięcy zmienił Pan koncepcję swojej polityki wobec opozycji, jak i wobec całego splotu wydarzeń radomskich.

— Zmianę polityki, jak pan to nazywa spowodowało uzyskanie przeze mnie pełnych informacji na ten drażliwy temat. Właściwie stanąłem wtedy przed wyborem drogi: historycy niewątpliwie uznają ten moment za nader istotny dla przyszłości Polski. Jak panu mówiłem, obejmując w kraju władzę po Grudniu 1970 r., postanowiłem, że nasze państwo nie będzie państwem represyjnym, że musi stać się państwem prawa i porządku, że ludzie w naszym kraju nie będzie bić się na ulicach, ani tym bardziej do nich strzelać, i oto cała ta polityka, cała ta zasada postępowania została zakwestiowana przez wydarzenia w Radomiu i Ursusie. Uznając, że demolowanie sklepów i palenie siedziby władzy partyjnej, było głęboko niewłaściwe i naganne, musiałem zastanowić się, co dalej. Początkowo, zgodnie z kodeksem karnym, postanowiliśmy przykładowie ukarać winnych aktów wandalizmu, później, gdy otrzymałem niezbite dowody, że protestujący robotnicy byli nie tylko karani wyrokami sądowymi, lecz również represjonowani — między innymi na tak zwanych „ścieżkach zdrowia” — postanowiłem przeciąć ten węzeł gordyjski i wypuścić ich do domu. Stało się bowiem dla mnie niewątpliwe, że milicja i SB nie były całkiem w porządku. Przyjęte rozwiązanie było radykalne lecz, jak wkrótce to dostrzegłem, nie satysfakcjonujące obu stron. Dla jednych było zbyt liberalne, dla drugich za mało. W tej sytuacji uznałem, że należy wydarzenia podkreślić grubą kreską i zacząć rachunek od nowa. Co się tyczy „Korowców”, to skoro zwalnialiśmy robotników, musiałem także i ich zwolnić. Sądzę że posunięcia te ponad wszelką wątpliwość wykazały, że pogrudniowa ekipa, gierkowska ekipa, jak to się wtedy mawiało, nie będzie do upadłego broniła siebie i swojej władzy. Chcę żeby miał pan pewność iż byłem głównym rzecznikiem tej polityki i dla każdego człowieka myślącego politycznie stanowiło to dowód praktycznego wyznaczenia granicy samoobrony

władzy, poza którą władza ta nie była już skłonna się posunąć. Sądzę też, że bez tej amnestii nie byłoby Sierpnia i dalszych wydarzeń, które tak da-
lece zmieniły nasz kraj.

— **Taka polityka zmobilizowała dwa główne obozy dramatu do dalszych działań.**

— Tak, niewątpliwie. Dziś mam pełną świadomość, że to posunięcie, do którego autorstwa się przyznaję, zmobilizowało przeciwko mnie znaczne siły po stronie władzy, jak i również stało się sygnałem dla opozycji korowskiej, że wydarzenia nabierają teraz przyspieszenia, że należy dalej przyciskać Gierka i jego ludzi. Było to ryzykowne, nie zapominajmy bowiem, że możliwy był całkiem inny scenariusz wydarzeń. A mianowicie zaostrenie represji i siłowe spacyfikowanie opozycji, a władza byłaby, że tak powiem, obroniona.

— **Jak Zachód przyjąłby Pańską politykę?**

— Postawa Zachodu spowodowałaby załamanie się całej mojej linii politycznej. Gierek przestałby być wiarygodny dla krajów demokratycznych, czyli cały program polityczny zmierzający do wywalczenia Polsce większego zakresu suwerenności, ległby w gruzach.

— **Czyli stawką w grze były wszystkie wartości, które wniósł Pan po Grudniu do polityki partii.**

— Niewątpliwie tak, dlatego, szczerze mówiąc, nie miałem wyboru, skoro nie chciałem sprzeniewierzyć się samemu sobie. Dalszy bieg wypadków już znamy dokładnie z *Przerwanej dekady*; niepowodzenie gospodarcze końca lat siedemdziesiątych nie pozwoliło odwrócić fatalnych trendów w polityce gospodarczej i społecznej, a do tego doszło potęgujące się niezadowolenie aparatu partyjnego oraz aparatu represji. Wykorzystali to moi przeciwnicy w kierownictwie partii i zegar historii zaczął bić na zmiany...

„O odpowiedzialności Edwarda Gierka”

— Czy moglibyśmy porozmawiać teraz o sprawie z pewnością dla Pana drażliwej, lecz wymagającej wyjaśnienia: o kwestii odpowiedzialności Edwarda Gierka za kryzys polityczno-gospodarczy w Polsce?

— Zdaję sobie sprawę z naturalnej, ludzkiej potrzeby personifikacji winy i odpowiedzialności. Wina Gierka została określona przez partię, a następnie WRON. Partia obwiniła Gierka w swych dokumentach, WRON natomiast, internując mnie, uznał Gierka za osobę szczególnie niebezpieczną dla władz, a także szczególnie odpowiedzialną za kryzys. Do dziś jednak pozostaje dla mnie tajemnicą, jakim kryterium kierowano się oficjalnie. Dlaczego ci właśnie, a nie inni członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR, rządu i Rady Państwa znaleźli się na liście internowanych w charakterze już nie podsądnych, lecz wręcz winnych, pozostali natomiast członkowie Biura Politycznego wystąpili w charakterze sędziów. Przecież jedni i drudzy przez dziesięć lat zasiadali przy jednym stole, przy nim radzili i wspólnie podejmowali decyzje. Dalej, czym, na przykład, kierowano się, że za winnych spośród rządu uznano ludzi stojących na czele resortów przemysłowych, a nie na przykład handlu zagranicznego, finansów i inwestycji. Nikt dotychczas nie dokonał takiej analizy, nikt rzeczowo nie podzielił win i zasług. Nie uczyniła tego partia, bo już jej nie ma, niech więc takiej analizy dokona historia...

— A czy Pan osobiście poczuwa się do odpowiedzialności za kryzys tych lat?

— Przede wszystkim — jakich lat. Utało się w publicystyce i wystąpieniach publicznych obwiniać ekipę gierkowską za wszystko, co działo się w Polsce nie tylko w latach siedemdziesiątych, lecz także za załamanie gospodarcze lat osiemdziesiątych. Od odpowiedzialności za lata siedemdziesiąte się nie uchylam, ale stanowczo protestuję przeciwko jakimkolwiek próbom zrzucania na mnie odpowiedzialności za ogromne błędy popełnione w polityce gospodarczej i społecznej w latach osiemdziesią-

tych. W latach tych, pod względem gospodarczym, nie tylko zmarnowano dorobek lat siedemdziesiątych, lecz niemal cofnięto kraj do lat sześćdziesiątych. Jest to w sumie bezprecedensowy przypadek, nie mający w okresie powojennym sobie równych na całym świecie. Cały czas mówiłem i pisałem, w tym dwukrotnie z internowania do Jaruzelskiego, że za okres pełnienia obowiązków I sekretarza KC PZPR poczuwam się do odpowiedzialności za wszystko dobre i złe w naszym kraju. W systemie realnego socjalizmu odpowiedzialność pierwszego sekretarza była bowiem, odpowiedzialnością za wszystko.

— **Poczuwa się Pan do takiej odpowiedzialności pomimo tego, że nie kumulował Pan władzy?**

— Tak, mimo że w tych latach większa część władzy wykonawczej znajdowała się w rękach rządu, ja w sensie politycznym odpowiadałem także za rząd. Tak przynajmniej patrzyła na te sprawy opinia publiczna, a skoro ja nie prostowałem tych odczuć — nie mogę uchylać się od odpowiedzialności. Dla ludzi, dla społeczeństwa władzą w pierwszym rządzie było Biuro Polityczne i jego pierwszy sekretarz. W moim odczuciu odpowiedzialność polityczna, to odpowiedzialność szczególna, z niej bowiem wynikała możliwość szerokiego wpływu na podejmowane decyzje, lub nawet możliwość podejmowania osobistych decyzji. Dlatego mówię o globalnej odpowiedzialności i partii, i jej pierwszego sekretarza. Od tak pojętej odpowiedzialności nigdy się nie uchylałem. Natomiast broniłem się i bronię przed przypisywaniem mi odpowiedzialności za wszystkich i wszystko, co działo się bez mej wiedzy i mego udziału. Czyli uchylam się od odpowiedzialności za decyzje podejmowane na różnych szczeblach wbrew mnie i bez mojej wiedzy.

— **Czyli za siebiepaństwo różnych funkcjonariuszy, za złodziejstwa, za decyzje podyktowane prywatą bądź interesem grupowym, sprzecznym z interesem społecznym, Pan, w swoim przekonaniu, nie odpowiada.**

— Oczywiście, o ile ewidentnie złe decyzje na jakichś tam szczeblach, włącznie ze szczeblem centralnym, zostały podjęte poza mną bądź wbrew mnie, nie może to obciążać mnie personalnie. O kradzieżach, jeśli były, już nie wspomnę, bo to sprawa poza wszelką dyskusją.

— **A decyzje dotyczące zakupu, na przykład, złej licencji, takiej, za jaką uznano „Berlieta”, obciążają, w Pańskim odczuciu, Edwarda Gierka, czy też nie?**

— Gdybym ja wywarł presję na podpisanie tego właśnie kontraktu, byłbym nim niewątpliwie obciążony. Ale jak mogę ponosić winę za decy-

nych i wybór ze strony fachowców, a nie Biura Politycznego, padł na ten pojazd. Myśmy w kierownictwie partii tę decyzję tylko potwierdzili.

— I okazała się błędem. Właśnie z odpowiedzialnością wiążą się błędy. Co Pan może o nich powiedzieć?

— Błędy muszą być wkalkulowane w każde ludzkie działanie. Dlatego nie twierdzę, że nigdy nie popełniałem błędów tak ja czy Biuro Polityczne, którym kierowałem. Zgadzam się z tymi z mych korespondentów, którzy piszą do mnie, że błąd tkwił w polityce kadrowej partii. Zwróciłem na to uwagę w *Przerwanej dekadzie*, wróciłem też do tych spraw w poprzednim rozdziale. Dalej, błędem było nadmierne obciążenie dochodu narodowego inwestycjami i błędem było przekroczenie bariery bezpieczeństwa w zadłużeniu państwa. Z drugim i trzecim problemem staraliśmy się uporać podejmując tak zwany „manewr gospodarczy”. Uzyskaliśmy dzięki temu określony postęp. Był to postęp niepełny, ale ewidentny.

— Dlaczego wobec tego musiał Pan za te błędy zapłacić tak drogo?

— Proszę pana, nożyce pomiędzy oczekiwaniami społecznymi, a możliwościami państwa rozwarły się tak bardzo, że musiało dojść do eksplozji niezadowolenia. Jak tym niezadowoleniem manipulowano, mówiłem w poprzedniej książce. Niemniej jednak uważam, że za błędy polityk musi zawsze płacić swoim upadkiem bądź skrajną utratą autorytetu. To jest normalne i powiem nawet, że nie ma innego wyjścia. Z drugiej strony jednak uważam, że trzeba przyznać politykom prawo do błędu, bo poza papierem — przynajmniej w doktrynie Kościoła — nie ma nieomylnych ludzi na Ziemi.

— Przyznanie tego prawa, prawa do błędu, wiąże się z kulturą polityczną, a ta kultura nigdy nie była mocną stroną partii komunistycznych.

— Panie Januszu, mówiąc brutalnie albo siła polityczna, którą reprezentuje polityk, podziela jego prawo do błędu i ponosi tego kosztą wraz z nim, albo rozstaje się z tym politykiem. Takie jest prawo każdej partii. Chociaż są odstępstwa od tej zasady i one mnie najbardziej zdumiewają. Zdumieli mnie przywódcy partii, kiedy po klęsce wyborczej ubiegłego roku nie wyciągnęli z niej żadnych wniosków. W rezultacie za błędy wszystkie koszty zapłaciła partia, natomiast polityk nią kierujący i prowadzący ją do klęski, mówiąc nieco eufemistycznie — pozostał nadal na arenie politycznej.

— Tak więc godzi się Pan z ceną, którą przyszło Panu zapłacić za popełnione błędy?

Kolejny dzień strajku



służony, czy też nie — jest zawsze bolesny i gorycz po nim trwa długo. Charakter tego upadku zawsze zależy od kultury życia politycznego. Dlatego, żeby nie było niedomówień, stwierdzam kategorycznie, że nie miałem i nie mam pretensji do krytyki polityki lat siedemdziesiątych czy mojej osoby. Jest to normalny koszt jaki płaci się za wszelkie zresztą doświadczenia i postęp. Sam obecnie z tego prawa korzystam. Nie mogę się jednak zgodzić z haniebną, barbarzyńską metodą oszczerstw, obelg, prześladowań — do internowania włącznie. A jak nazwać zastosowanie wobec mnie zasady odpowiedzialności rodzinnej? Wielomiesięczne ciągnięcie po sądach moich synów, wyrzucenie z pracy mej siostrzenicy, szykanowanie synowej i żony? Od takiej praktyki był już tylko krok do zbrodni stalinowskich. To Stalin bowiem wprowadził zasadę wykańczania rodzin odsuniętych od łask polityków.

— **Więc wzorców takiego właśnie postępowania musimy jednak szukać w historii krajów realnego socjalizmu.**

— Zgoda, tylko niech pan zrozumie, że ja, bez przesady, całe lata poświęciłem na to, aby od tych nienawistnych wzorców, stanowiących najgorsze karty w dziejach ludzkości, bezpowrotnie odejść. Dlatego stosowanie ich było dla mnie i dla kraju szokiem, zwłaszcza gdy się zważy, że te mary z przeszłości wywoływali na polskiej scenie politycznej ludzie, z którymi pracowałem przez lata.

— **Toteż moim zdaniem, Gierka należy w pierwszym rzędzie obwiniać za politykę personalną, za tolerowanie w swym kręgu ludzi niekompetentnych bądź takich, którzy dla zachowania władzy zdolni byli do popełnienia każdego, największego nawet świństwa.**

— Niech pan się tak nie powtarza, a da mi skończyć myśl. Dla mnie było oburzające, że jeszcze do niedawna, bo do wyborów czerwcowych w ubiegłym roku, na Edwarda Gierka i jego ekipę można było napisać wszystko, co najgorsze. Nie było takich inwektyw pod moim adresem, których by władza nie połąknęła z najwyższym zadowoleniem. I nie czynili tego, podkreślam, opozycjoniści czy przeciwnicy polityczni, odwrotnie; działało się to z błogosławieństwem tych samych ludzi, którzy ze mną przez dziesięć lat zasiadali za jednym stołem podczas posiedzeń Biura Politycznego. Protestowałem pisemnie w listach z internowania do Wojciecha Jazuzelskiego. Wszystko na nic, moje prośby pozostawały, podkreślam raz jeszcze, bez odpowiedzi.

— **Równie skutecznie mógłby Pan bębnić grochem o ścianę.**

— Niestety, moje błędy były dla tej władzy jedynym alibi za totalną nieudolność, za zrujnowanie kraju, za nieosiągnięcie przez całe dziesięciolecie poziomu dochodu narodowego końca lat siedemdziesiątych. Podważenie krytyki Gierka byłoby przecież dla tamtej ekipy aktem samobójczym. Zresztą każda władza, gdy ma trudności, potrzebuje ciemnego tła. Nasza powojenna historia — to pod tym względem istny przekładaniec.

— **Zgoda, niech Pan zresztą zwróci uwagę, kto na Gierka rzucił się z pazurami po napisaniu *Przerwanej dekady*? Nie była to „Solidarność” bądź osoby z nią związane. Odpór zza politycznego grobu, po rozwiązaniu partii, dali Panu w pierwszym rządzie nowi socjaldemokraci.**

— Muszę się z panem niestety, zgodzić. Nie odmawiam prawa do błędu moim adwersarzom ani tym, którzy ponoszą odpowiedzialność za lata osiemdziesiąte ani tym, którzy założyli i realizują odmienny kierunek politycznego i społecznego rozwoju kraju po roku 1989. Życzę im tylko, by nie postąpiono z nimi tak jak ze mną, by na tym okresie skończył się barbarzyński, nieludzki obyczaj traktowania polityków jak śmiertelnych wrogów i to niezależnie od tego, czy sprawują władzę, czy są w opozycji, czy też są osobami poza wszelkimi układami.

Tragedia lat osiemdziesiątych

— **Proponuję, abysmy teraz porozmawiali o latach osiemdziesiątych. Interesuje mnie Pańska opinia o wadach i zaletach tego okresu.**

— Propaganda lat osiemdziesiątych bez żadnego zająknięcia związała kryzys tych lat z moim nazwiskiem. Zastanawiałem się, dlaczego część społeczeństwa zgodziła się na uczynienie ze mnie symbolu zła. Sądzę, że były po temu dwie przyczyny. Opozycji było to obojętne, natomiast partia chciała widzieć w Jaruzelskim opatrnościowego męża, swoiste światło w tunelu, a więc generalnie — wołała samookłamywać się, niż spróbować zrelatywizować błędy lat siedemdziesiątych. Mniej więcej w kilka miesięcy po moim odejściu nastąpiło gwałtowne załamanie produkcji. Można powiedzieć, że kraj jako taki stracił czynniki napędowe w gospodarce.

— **Faktem jednak jest, że najlepszym rokiem w historii gospodarczej Polski był rok 1978. W roku następnym, tj. w 1979, zarejestrowany został bowiem pierwszy w naszej historii spadek dochodu narodowego.**

— Mówiliśmy o tym dosyć szeroko w *Przerwanej dekadzie*. Spadek dochodu o dwa i pół punkta był efektem załamania zimowego, które praktycznie wyrwało z produkcji przeszło trzydzieści dni roboczych. Kataklizmu śnieżnego, który wtedy przeżyliśmy, nie wytrzymałaby bez strat żadna gospodarka zachodnio- czy środkowoeuropejska. Jak panu mówiłem, do odśnieżania szlaków kolejowych używaliśmy wtedy silników lotniczych, umieszczonych na platformach kolejowych i pchanych przed lokomotywami. Wszystkie pługii kolejowe wtedy zawodziły... Straty zaczęliśmy odrabiać w drugiej połowie roku, ale nie udało się nam uzyskać — przynajmniej w stosunku do roku poprzedniego — salda zerowego w przyroście dochodu narodowego. Rok 1980, jego pierwsza połowa, był już zdecydowanie dobry dla gospodarki, uzyskaliśmy wtedy dobre wyniki produkcyjne i bardzo dobre w eksporcie na zachód. Zresztą znamienne, że nawet w złym roku 1979 uzyskaliśmy 10 procentowy wzrost eksportu do strefy dolarowej.

— **Musiało się do odbić na zaopatrzeniu rynku krajowego.**

— To prawda, niczego nie ma bowiem za darmo. Chcę jednak zwrócić

uwagę, że gdyby tempo wzrostu gospodarczego pierwszej połowy roku nie zostało zakłócone w drugiej połowie roku 1980, do stycznia odrobilibyśmy z nawiązką straty poniesione na skutek zimy stulecia. Znamienne jednak, że pełne załamanie produkcyjne nastąpiło dopiero w IV kwartale roku 1980. Był to, jak oceniam, wynik ponownego rozgrzania atmosfery społecznej w kraju nową akcją strajkową, spowodowaną trudnościami stwarzanymi przez władzę przy rejestracji „Solidarności”. Największym błędem czterech posierpniowych miesięcy w roku 1980 było doprowadzenie do załamania wiary społeczeństwa w dobre intencje partii. Zamiast walczyć z opinią publiczną, partia powinna dokonać bilansu politycznego i wyznaczyć obszary, które świadomie oddaje społeczeństwu, czyli „Solidarności”. Tymczasem partia od początku zachowywała się jak przysłowiowy lis-przechera, nie miała zamiaru niczego „Solidarności” oddać, chciała ją tylko oszukać. Niech pan weźmie dziś do ręki materiały z oświadczonego VI Plenum KC PZPR. Dominuje w nich tylko ton rozliczeniowy z Gierkiem. Na tym Plenum nie było miejsca na refleksję, dyskusję o tym co robić w diametralnie nowej sytuacji kraju. Czyż to nie absurdalne?

— **Bo wówczas jeszcze nie zarejestrowano „Solidarności”?**

— Otóż to. Gdy się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć i dalsze litery alfabetu. Biuro Polityczne Kani zapomniało, że kto szybko daje, ten dwa razy daje. Natomiast kręctwo partii i władz złamało szanse na autentyczne porozumienie pomiędzy obiema decydującymi o przyszłości kraju stronami. Dało też, co gorsza, złudne — jak zweryfikował to 13 grudnia roku następnego — poczucie siły nowemu ruchowi społeczno-zawodowemu. Powstanie „Solidarności”, jej zarejestrowanie bodajże 15 listopada, nie było bowiem rezultatem dobrej woli władzy i pragnień społeczeństwa, lecz tylko aktem wymuszonym wcześniejszą akcją strajkową. W tym syndromie walki upatruję źródła późniejszej tragedii...

— **Jak ta sytuacja wpłynęła, Pana zdaniem, na gospodarkę?**

— Jak najgorzej. Jeśli przyjąć poziom roku 1978 za sto, to w roku 1979 i 1980 dochód narodowy obniżył się o 7,5 procent. Nastąpiła też zmiana nastrojów. Podniosła atmosfera euforii i wiary w lepszą przyszłość, której po podpisaniu „Porozumień sierpniowych” towarzyszyły obietnice nadrobienia strat spowodowanych strajkami, została zastąpiona przez niewiarę w możliwość skutecznego dialogu.

— **Czy gdyby pozostał Pan na czele partii, byłby Pan zdolny do prowadzenia polityki autentycznego porozumienia?**

ważnym i ważnym wystąpieniem sejmowym. Zachowałem do dziś kilka kartek przygotowanych wówczas. Pisałem wtedy wyraźnie, że jeśli chcemy być wiarygodni (myślałem o obozie władzy), musimy wystąpić z koncepcją lojalnej reformy kraju, która powinna nas doprowadzić do rzeczywistego pluralizmu, tak światopoglądowego, jak i związkowego, a w konsekwencji — również politycznego. Miałem świadomość, że od 31 sierpnia żyliśmy już w innej Polsce i tę Polskę trzeba od fundamentów zmienić. Uważałem jednak, że w modernizacji kraju partia powinna zachować inicjatywę. I jestem pewien, że wtedy jeszcze było nas na to stać — ale pod warunkiem, że chcieliśmy realizować podpisane porozumienia. Tymczasem nowe kierownictwo partyjne i państwowe było do tego zwyczajnie niezdolne. Władza nie zaproponowała społeczeństwu żadnego programu. I trzeba było dopiero tragedii grudnia 1981 roku, nowych ofiar, przelanej krwi, totalnego załamania gospodarczego, czyli straty całej dekady, aby władza, konkretnie ekipa generała Jaruzelskiego zrozumiała, że wprowadziła kraj w ślepy zaułek. Dziś osoby z tak zwanego obozu partyjno-rządowego narzekają na złamanie porozumień „Okrągłego stołu”. Ten stół był możliwy dziewięć lat wcześniej. Wtedy był jeszcze czas na trwałe posunięcie się na owej ławce rządowej, natomiast w roku 1989 rozmowom towarzyszyła już kompletna niewiara w zdolności samoreformowania się tak partii, jak i komunistycznego państwa. Po raz pierwszy w naszej historii spotkaliśmy się też z sytuacją, że wojska przegrały a na placu boju pozostał ich wódz, pozornie zwycięski, ale dziś nikt nie ma złudzeń, że było to również i wodza pyrrusowe li tylko zwycięstwo...

— Jak wobec tego skomentuje Pan teraz Pańskie dwa listy do generała Jaruzelskiego w których popierał Pan stan wojenny?

— Już panu mówiłem, że poparcie wynikało z braku wiarygodnych przesłanek na temat skali nacisku radzieckiego, a także z faktu, że brak rzeczywistego porozumienia między stronami konfliktu prowadził nas do zatraty zdolności do istnienia w formie państwowej. Zwyczajnie obawiałem się, że osiągniemy etap walki wszystkich, przeciw wszystkim. W tamtej sytuacji rozwiązanie to, a byłem wówczas internowany, pozbawiony informacji, kontaktów z niezależnymi ośrodkami, wydawało mi się po prostu mniejszym złem. Wkrótce jednak straciłem złudzenia, że droga ta może prowadzić nas dokądkolwiek. Była to typowa ślepa uliczka prowadząca głównie do ślepego zaułka.

— Czyli będąc na miejscu Jaruzelskiego, też wprowadziłby Pan stan wojenny?

— Nie, ja nigdy nie doprowadziłbym kraju do takiej sytuacji.

— Kiedy Pana zdaniem nastąpiło załamanie gospodarcze Polski?

— Już końcówka roku 1980 była alarmująca. O ile w 79 roku, na przykład, wydobyliśmy 201 milionów ton węgla, a do końca września wydobyć było jeszcze ponadplanowe, to jesienne załamanie spowodowało spadek produkcji o przeszło 6 milionów ton, a spadek eksportu 11,3 miliona ton. Do krajów zachodnich wyeksportowaliśmy wtedy o 4 miliony ton węgla mniej. Stanowiło to zmniejszenie naszego eksportu paliw do tej strefy aż o 25 procent. Natomiast w 1981 i 82 r. nastąpiło całkowite załamanie gospodarki. Jeśli bowiem przyjmiemy poziom roku 1978 za sto, to w roku 81 dochód narodowy spadł o 20 procent, czyli pod względem wolumenu produkcji, a więc dochodu narodowego, cofnęliśmy się do roku 1974. W roku 1982 dochód spadł o dalsze 3 i pół procenta.

— Potem nastąpiła poprawa

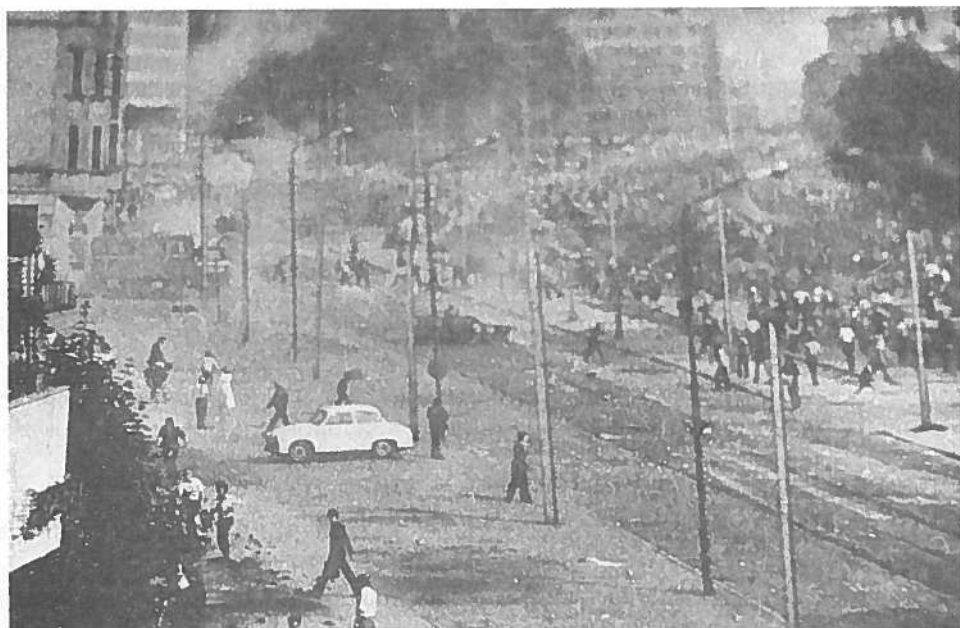
— Ale na jakim poziomie. W każdym razie w 1987 roku dochód wytworzony był w dalszym ciągu niższy od poziomu roku 1978 o całe 5 i pół procenta, a w stosunku do roku 1979 był niższy o całe 3 procent. Obliczenia moje opierają się na oficjalnych danych statystycznych, które były zresztą gmatwane i cudacznie przeliczane, władze bowiem chciały za wszelką cenę ukryć przed szeroką opinią publiczną pełną prawdę. Dowodzącą jednoznacznie ekonomicznej bezsilności ekipy stanu wojennego. W podziale dochodu narodowego na głowę ludności obraz ten był jeszcze bardziej tragiczny. W ciągu ośmiu lat o przeszło 3 miliony zwiększyła się bowiem ludność Polski, czyli na statystycznego mieszkańca kraju każda spożywana kromka była o przeszło 10 procent mniejsza niż w roku 1979, znacznie też mniejsza niż w strajkowym roku 1980. Miarę tej katastrofy gospodarczej podkreśla jeszcze nasza malejąca pozycja w produkcji światowej i europejskiej. Podczas gdy świat rozwijał się w tych latach znakomicie — przyrosty gospodarek zachodnich wykazały wzrosty roczne rzędu 2–4 procent — to Polska pod rządami wojskowymi nie stała w miejscu, lecz stale się cofała. Do końca rządów partii Jaruzelskiego kraj nasz nie osiągnął poziomu produkcji roku 1979, nie mówiąc już o roku 1978. Do tego trzeba doliczyć jeszcze nasze cofnięcie się cywilizacyjne. Wyrażało się ono między innymi spadkiem produkcji towarów podstawowych, niezbędnych do życia. Myślę o środkach czystości, o lekarstwach, o imporcie komponentów do produkcji nowocześniejszej żywności. Te dwie przyznawane wówczas kostki mydła na głowę ludności, brak elementarnych lekarstw, środków czystości itp. spowodowały, że kraj stał się brudny, ludzie niedomocy, nasze domy zakaraluzzone i zarobaczywione, wzrosła

chować władzę. Rząd arogancko potwierdzał, że „wyżywi się sam”. Realne zarobki ludności malały, ale powoływani z poboru do ZOMO młodzi chłopcy otrzymywali wysokie miesięczne pobory. Oburza to mnie dlatego, że było sprzeczne z całą moją filozofią sprawowania władzy, którą jak mi się wydawało wyznawało kierowane przeze mnie Biuro Polityczne. Bo jeśli ktoś łudzi się, że Gierek siłą nie mógł bronić swej władzy w roku 1980, ten się głęboko myli. Taka decyzja, w obronie socjalizmu, spotkałaby się z poklaskiem całej wspólnoty socjalistycznej. Breżniew, zapewniam, wycałowałby mnie wówczas mocniej i lepiej niż Jaruzelskiego w grudniu 1981 roku. Ja jednak sobie przyrzekłem, że dopóty, dopóki będę pierwszym sekretarzem, krew polska nie będzie się lała na ulicach polskich miast.

— **Propaganda lat osiemdziesiątych obwiniała jednak o stan gospodarki kraju pańską ekipę i Pana osobiście. Wielkie zadłużenie miało być przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.**

— Panie Januszu, żeby nie było złudzeń, handel kredytami jest stałym elementem współczesnej gospodarki światowej. Blisko 90 procent krajów świata jest zadłużonych. Zadłużone są i państwa, i miasta, i ludność. Długi są w dzisiejszym świecie elementem wzrostu gospodarczego; rzecz w tym, aby były dobrze wykorzystane. Nie byliśmy pierwsi wśród zadłużonych i nie ostatni. Największym dłużnikiem świata są Stany Zjednoczone — najbogatszy kraj na kuli ziemskiej. Gdy odchodziłem, nasze zadłużenie — według sprawdzalnych danych — wynosiło 17,6 miliarda dolarów, mówię o połowie roku 1980. Później to zadłużenie rosnęło na skutek zaniku naszej zdolności płatniczej oraz spiętrzenia się spłat. To spiętrzenie zaś było efektem słabości naszego systemu bankowego, który w odpowiednim czasie nie włączył alarmu. Ale nie w tym tkwiło źródło nieszczęścia. Według moich obliczeń, nasze zadłużenie musiało rosnąć jeszcze do połowy lat osiemdziesiątych, dopiero druga ich połowa miała przynieść jego istotne zmniejszenie. Warunkiem było jednak zwiększenie rocznego eksportu do 15 miliardów dolarów. Problem lat osiemdziesiątych polegał jednak na czym innym. Po pierwsze, Polska na skutek załamania gospodarczego stała się w kontaktach ekonomicznych z zagranicą partnerem niewiarygodnym, po drugie, po wprowadzeniu stanu wojennego ustały wszelkie powody, dla których z życzliwością traktowano życzenia polskiego rządu. O ile Polska Edwarda Gierka była partnerem traktowanym z sympatią, kraj nasz walczył bowiem o większe uniezależnienie od Moskwy, zabiegał o pokojowe współistnienie, czego wyrazem była nasza postawa wobec wkroczenia Armii Czerwonej do Afganistanu, i poważnie wywiązywał się z realizacji programu tak zwanego czwartego koszyka, to Polska stanu wojennego została pozbawiona klauzuli najwyższego uprzywilejowania w

Zadyma



wszystkich międzynarodowych organizacji zachodnich. A jej przywódca, stał się na dłuższy czas *persona non grata* dla zachodnich rządów oraz organizacji politycznych i społecznych. O ile więc w latach siedemdziesiątych świat zachodni chciał, aby Polska rozwijała się szybko, leżało to bowiem w interesie społeczności międzynarodowej, to w latach osiemdziesiątych te same rządy chciały i zabiegały, aby rząd Jaruzelskiego jak najszybciej upadł. Jeśli myślano nawet o pomocy dla Polski, to miała to być pomoc dla społeczeństwa nie dla państwa.

— **W warunkach kraju realnego socjalizmu przekazanie rzeczywistej pomocy społeczeństwu poza agendami rządowymi było jednak niemożliwe.**

— Przyznaję, lecz działo się tak tylko wtedy, gdy władza wykazywała złą wolę. Ja też oskarżam o to Jaruzelskiego, ale nade wszystko o to, że cynicznie myślał li tylko o zachowaniu władzy. Postępowanie kierownictwa państwa wobec zamysłów utworzenia Fundacji kościelnej na rzecz polskiego rolnictwa jest tego wymownym przykładem. Kościół postarał się, dzięki pomocy papieża, o wielkie, miliardowe sumy dla polskiej wsi. Kredytodawcy — fundatorzy stawiali tylko jeden warunek: pieniądze muszą trafić na wieś za pośrednictwem Kościoła, a nie państwa. I pomimo wygłodzenia kraju, mimo zwiększającego się z każdym rokiem obszaru nędzy Jaruzelski wołał, byśmy tkwili w tej nędzy po uszy, byleby nie musiał swej władzy na wsi dzielić z Kościołem. Wiedział bowiem, że ubocznym efektem tego zastrzyku finansowego byłby wzrost znaczenia proboszczów i wikarych, oni bowiem decydowaliby o rozdzielaniu kredytów, a więc maszyn, nawozów itp. Czyż trzeba bardziej jawnego dowodu na cyniczne traktowanie potrzeb polskiego społeczeństwa? W rezultacie miliardy gromadzone na naszą rzecz zostały wykorzystane gdzie indziej, a Fundacja, gdy wreszcie powstała, podjęła działalność w okrojonej i o wiele skromniejszej formie. Gdy weźmie się to wszystko pod uwagę, trudno się dziwić, że Polska owych lat nie mogła się rozwijać. Politycznymi sprawcami tych nieszczęść, zdaniem władzy, mieli być w pierwszej kolejności Edward Gierek, a w następnej „Solidarność”. Ale gdy chodzi o Gierka — dokonano tu swoistej i bezprecedensowej mistyfikacji.

— **O jakiej mistyfikacji Pan mówi?**

— Mistyfikacja polegała na tym, że władza, powiesiwszy na mnie wszystkie psy, zachowywała się tak jak gdyby z porzednią ekipą i jej polityką gospodarczą nie miała nic wspólnego. Ekipa Jaruzelskiego i inni udawali, że urodzili się wczoraj, i nie mieli nic wspólnego z „niegodziwościami” lat siedemdziesiątych. Za wszystko winny był Gierek i jego

ekipa, natomiast ci nowi ludzie władzy przyszli niewiadomo skąd. Miało to jednak, poza bezwstydem, inne skutki praktyczne. Władza samookłamywując się do cna postępowała tak, jak gdyby wszystko było jej wolno. Bo skoro przyszliśmy po pożarze, to musimy wszystko budować od nowa. Ja, na przykład, zanim miałbym wprowadzić kartki na żywność, spaliłbym się ze wstydu.

— **Jak to, za Pana czasów wprowadzono przecież pierwsze kartki, były to kartki na cukier.**

— Proszę pana, były to kartki na cukier w cenie 10 złotych 50 groszy za kilogram, ale mógł pan kupić tak zwany cukier komercyjny w cenie 26 złotych, w każdej ilości. Przyznaję, był to objaw naszej bezradności wobec konieczności podwyżek cen. Ale kartek na żywność nigdy bym za nic nie wprowadził, świadczyłoby to bowiem o moim totalnym bankructwie, dla Edwarda Gierka byłoby to polityczne samobójstwo. Ale nie dla nich, oni przecież byli nową, władzą. Tylko prywatnie między sobą narzekali, że Gierek przewrócił w głowie społeczeństwu, że teraz każdy robot chce mieć wszystko: mieszkanie, samochód, i jeszcze urlop nad Morzem Czarnym.

— **Przyznaję, sam słyszałem, jak jeden z wicepremierów z zaciśniętymi zębami skarżył się na prywatnym spotkaniu w czerwcu 1981 roku na Edwarda Gierka za to, że przewrócił ludziom w głowach.**

— Widzi pan, i na tym polegał paradoks, że lata siedemdziesiąte, tak bardzo zohydzone, były zarazem latami największego dobrobytu społeczeństwa polskiego, a ja byłem zakładnikiem wytworzonego wówczas stylu życia. Gdy mnie zabrakło i kilku jeszcze innych towarzyszy, okazało się, że jest źle i będzie jeszcze gorzej. A co gorsza, nikt nie zamierzał nawet zabiegać o to, aby zachować poziom lat siedemdziesiątych. Mimo że strajki toczyły się pod hasłami podniesienia stopy życiowej, a Rakowski w lipcu 1980 roku dawał w „Polityce” do zrozumienia, że gdy tylko zmieni się władzę na taką, która potrafi wykorzystać nasze bogactwa, to będzie nam dobrze, że ho, ho.

— **Czy nasza hossa lat siedemdziesiątych nie opierała się jednak na księżycowej ekonomii?**

— Proszę pana, popełnialiśmy błędy, ale w rezultacie mieliśmy nowoczesny park maszynowy, wielki przemysł, posiadaliśmy wielkie budownictwo mieszkaniowe i byliśmy zdolni do dalszego rozwoju. Mieliśmy prawdziwe fabryki mięsa. W ciągu tamtej dekady, przy nieporównanie wyższym spożyciu mięsa i jego przetworów, byliśmy zdolni do wyeksportowa-

porowie 1960 roku uzyskaliśmy — przy ówczesnym, wysokim spożyciu, nie uporządkowanych cenach, ogromnie rozwiniętym systemie socjalnym, masowych wczasach dla każdego (przeszło dziewięć milionów Polaków za granicą) — przeszło pół miliarda dolarów nadwyżki eksportu nad importem, a rok mieliśmy zamknąć nadwyżką przeszło miliardową, to przecież nikt mi nie powie, że nie wychodziliśmy na prostą. Gdybym dostał jeszcze od losu dwa czy trzy lata, mógłbym z pewnością udowodnić opinii publicznej, że nam się udało.

— **Obawiam się, że nikt w to Panu nie uwierzy.**

— To nie jest, proszę pana, kwestia wiary, bo mowa o faktach. Po Sierpniu mieliśmy jeszcze za miliardy komponenty niezbędne do produkcji przemysłowej. Dzięki temu niektóre dziedziny przemysłu maszynowego załamały się dopiero w 1982 roku. Zgoda, że nie odbyłoby się bez reform, ale wprowadzono by je stopniowo, a nie tak radykalnie jak dzisiaj. Nie wiem, czy pan ma świadomość, że pod względem spożycia, stopy życiowej, dzisiejsza Polska jest nieporównywalna w żadnym stopniu z Polską roku 1980. Obecną równowagę rynkową osiągnięto za cenę niewyobrażalnego wręcz dla mnie spadku spożycia. A zapewniam pana, że nie o Polskę nędzy, bezrobocia i kapitalizmu walczyli polscy robotnicy latem 1980 roku...

— **Tym sposobem wybiegamy już w lata dziewięćdziesiąte, a mieliśmy się skoncentrować na latach osiemdziesiątych.**

— Dobrze. Proponuję, abyśmy przyjrzeni się stratom moralnym, jakie ponieśliśmy wskutek polityki lat osiemdziesiątych. Podstawowa jednak strata, przynajmniej z mojego punktu widzenia polega na zupełnym obrzydzeniu klasie robotniczej i szerokim rzeszom społecznym socjalizmu. W tym też okresie załęgło się podejrzenie, że zgodnie z oświadczeniami naszych przeciwników, system socjalistyczny jest zupełnie niereformowalny. Sprzyjały temu, niech pan sobie przypomni, dwa tak zwane etapy reformy gospodarczej. Ich efektem był coraz większy bałagan gospodarczy, coraz bardziej wzrastające niezadowolenie społeczne. Jedynym rezultatem tych nieudolnych pseudoreformatorskich kroków była powszechna zatrać wiary w jakąkolwiek możliwość skutecznego działania kierownictwa państwowego, powołującego się na program socjalistyczny. Długo będziemy odrabiać opinię o Polsce i Polakach, jaka ukształtowała się w tej dekadzie w Europie i świecie. To przecież wtedy pojawił się obraz kraju rządzonego za pomocą pałki milicyjnej, gazu łzawiącego, karabinu i samochodów pancernych. To wtedy powstał obraz Polski — kraju księżobójców. To wtedy wreszcie Europa poznała nas jako domokrażnych i placoc...

wych handlarzy wszelkim towarem. Ile czasu przeminie, nim zatrze się ten okropny obraz Polski i Polaków...

— **Co Pan sądzi o polityce wstrzymywania w latach osiemdziesiątych inwestycji rozpoczętych jeszcze w dekadzie Edwarda Gierka?**

— Była to wielka tragedia i gigantyczne marnotrawstwo. Obiektywnie rzecz biorąc, ekipy stanu wojennego nie było jednak stać na realizację zaplanowanego przez nas programu inwestycji. Mimo to i tak mam ogromne zastrzeżenia, co do sposobu wstrzymywania owych inwestycji przemysłowych. Zatrzymanie jakiegokolwiek budowy wymaga planowego działania i dostosowanego do tego programu, o ile nie chce się wyrzucać pieniędzy w błoto. A tymczasem zmarnowano tyle dobra. Wiele ukończonych czy już zaawansowanych w budowie hal fabrycznych zamieniło się dziś w ruinę, która nie przedstawia żadnej wartości. Przecież każdą z tych inwestycji przygotowano z myślą o ogólnym bilansie krajowym i regionalnym; wiązały się z nią określone nadzieje całych społeczności. A tymczasem roztrwoniono je nadzwyczaj pochopnie. Być może był to efekt swoistego *schadenfreude*, które z myśleniem gospodarskim nie miało nic, ale to nic wspólnego. Z publikacji prasowych, dyktowanych czy zlecanych przez lokalne i centralne wydziały prasy partii, przezierała jakaś samobójcza satysfakcja, że oto zburzyliśmy kolejną nową rzecz, która się Gierkowi nie udała. Nie mogła się udać w warunkach straszliwego marazmu i zastoju.

— **Ale były próby ratowania niektórych inwestycji z pomocą kapitału państw socjalistycznych.**

— Głęboki kryzys Związku Radzieckiego, kryzys tak strukturalny, jak i finansowy, uniemożliwił w tej dziedzinie jakiegokolwiek działania. Ten sam kryzys spowodował, że Jaruzelski i jego rząd skazani na ostracyzm przez państwa zachodnie, nie mogli w żaden sposób odbić się od dna przy pomocy Breżniewa bądź jego następców. Dziś pięciomiliardowe zadłużenie Polski w rublach to świadectwo rozpaczliwego braku ze strony ekipy lat osiemdziesiątych koncepcji wychodzenia z kryzysu. Nasza gospodarka, ukierunkowana w latach siedemdziesiątych na współpracę z Zachodem, nie mogła się już przestawić na coś w rodzaju dodatku do gospodarki Związku Radzieckiego.

— **Pochodną załamania gospodarki był pogłębiający się kryzys polityczny. Program na „nie”, na rozbijanie struktur „Solidarności”, niczego nie rozwiązywał.**

— Jaruzelski nie był w stanie zaproponować społeczeństwu niczego

Tymczasem szeroko reklamowany program normalizacji sprowadzał się do tworzenia nowo-starych struktur. Front Jedności Narodu zastąpiony Patriotycznym Ruchem Odrodzenia Narodowego, CRZZ — OPZZ, SDP — SDPRL i tak dalej, i tak dalej. Brakowało mi w tym tylko nowo-satanej partii. Sądzę, że przeważył lęk, że nowo-stara partia będzie miała ledwie pół miliona członków. Zresztą pełnych danych na temat wystąpień z partii nigdy przecież nie publikowano. Mimo to wiadomo, że z partii w tym okresie ubył co najmniej jedna trzecia członków. Co prawda „partia była ta sama, ale nie taka sama”, niemniej jednak frazesy nie miały już żadnej siły sprawczej. W rezultacie po pierwszym roku stanu wojennego było już widać ponad wszelką wątpliwość, że król jest nagi i władza nie ma do zaoferowania społeczeństwu żadnego autentycznego programu. Jaruzelski jeszcze w pierwszych miesiącach stanu wojennego mówił na spotkaniach z załogami robotniczymi, że jest trudno, ale niebawem będzie lepiej. Potrzeba nam tylko czasu, zapewniał. Czasu miał nadto, lecz w żaden sposób nie potrafił go wykorzystać. Stąd brały się przeróżne, najczęściej ksenofobiczne kampanie. W sumie stan wojenny i pierwsze co najmniej sześć lat po nim — to swoisty remake historii Polski Ludowej z lat 48–70. A w propagandzie po starym szukano winowajców naszych nieszczęść i pierwsze wśród nich miejsce zajmowała oczywiście ekipa gierkowska. Skwapliwie szukano dowodów, które pozwoliłyby zorganizować swoiste igrzyska sądowe nad ludźmi Gierka. Po to na przykład przyspieszono proces Szczepańskiego, wnet jednak okazało się, że nie spełnia on oczekiwań, zdjęto więc w końcu ze Szczepańskiego i jego procesu światła reflektorów. Powołano Trybunał Stanu, aby sądzić przed nim ekipę gierkowską; gdy jednak okazało się, że internowani odmawiają wystąpienia w roli stada baranów przeznaczonych na rzeź, zrezygnowano czym prędzej z uruchomienia całej maszyny. Wolano nie ryzykować, zdarzało się już bowiem, że oskarżeni przy takich okazjach przemieniali się w oskarżycieli. I tak góra urodziła mysz. Równocześnie cały czas szczerzo konsekwentnie na „Solidarność”, w niej upatrując sprawcę co najmniej połowy naszych nieszczęść, co nie przeszkadzało wychwalaniu słuszności protestu sierpniowego, wymierzonego przecież w ekipę Gierka. Powoli Polska zamieniała się w prawdziwy kraj króla Ubu. Jednakże władza miała dwa mocne filary, na których się wspierała i przez długi czas zdawało się też, że to jej wystarczy do przetrwania. Tymi filarami było wojsko i ZOMO. I chociaż Jaruzelski dokonywał ekwilibrystycznych wysiłków w których hipokryzja walczyła o lepsze z tupetem, ale nie na wiele się to zdało. Niezwykłym jego wyczynem było złożenie kwiatów matce młodego hutnika zamordowanego w Nowej Hucie w czasie rozpędzania demonstracji antyrządowej. Nie wiem, na co liczył premier w mundurze idąc do domu żałoby? Kraj

przyjął to z niedowierzaniem i zgrozą. ZOMO, zapewniając w kraju spokój nie zapewniło jednak pełnych półek sklepowych, nie rozwiązało żadnego z problemów, które nękały Polskę ponieważ rozwiązać ich nie mogło.

— **Kiedy, Pańskim zdaniem, Jaruzelski przestawił ster swej polityki i został liberałem oraz zwolennikiem pluralizmu?**

— Bezapelacyjnie wiąże to z pierestrojką Gorbaczowa. Dopóty, dopóki żył Breżniew i jego duchowi następcy — Andropow i Czernienko, jego program był typowo dogmatyczny i nie było w nim miejsca na żaden pluralizm.

— **Czy nie sądzi Pan, że program ten podyktowali w pierwszym rządzie ludzie Kremla?**

— Sądzę, że generał — po tak efektownym rozbiciu „Solidarności” — miał bardzo wysoką pozycję w kierownictwie KPZR. Z ich punktu widzenia wszystko w Warszawie szło dobrze. Polska przestała flirtować z Zachodem i wreszcie wyrównała front w stosunku do pozostałych krajów socjalistycznych. Wartości socjalizmu, jak oni mawiali, zostały obronione, a Polska, jak zapewniał jej przywódca, stała się znowu niezawodnym ogniwem Układu Warszawskiego. Dlatego, jak sądzę, generał mógł liczyć na zielone światło z Kremla i dużą autonomię. Z obrotu sytuacji w Polsce członkowie radzieckiego Politbiura mogli być bardzo zadowoleni. Na przykład bardzo im musiała odpowiadać swoista polska wojna z Reaganem. Otwarciu lat siedemdziesiątych przyjmowali, w najlepszym razie, z ambivalencją i chociaż Breżniew nie czynił mi z tego tytułu zarzutów, z niższych, szczerbli słyszeliśmy nieraz różne uszczypliwości. Teraz nie mogło być o tym mowy. Dobre stosunki z Zachodem należały już do przeszłości.

— **Ale z drugiej strony czy postawa ta nie stała się dla nowej ekipy w Moskwie swoistym kamieniem u nogi w ich polityce światowej?**

— Niech pan nie zapomina, że był to okres, w którym podejmowano kolejne ofensywy Armii Czerwonej w Afganistanie, kiedy zestrzelony został, jako szpiegowski, pasażerski samolot południowokoreański, który zboczył z kursu gdzieś nad Sachalinem. Dlatego, moim zdaniem, w tych atakach odchodzenia od odprężenia, taką Warszawę, jaką prezentował Jaruzelski, bardzo dobrze tam widziano...

— **Czyli sądzi Pan, że na tak głębokie zmiany roku 1989, a przede wszystkim na „Okrągły stół” nie zdecydowałby się generał bez poparcia, bądź nawet więcej, pchnięcia w tym kierunku, ze strony Gorbaczowa?**

— Moim zdaniem tak. Jaruzelski, jako wielki kunktator, zdecydował

1988 roku, odleżała się do lutego 1989 roku. W sumie okres zastanawiająco długi. Do wspólnego siadania za owym stołem nie było natomiast specjalnie nowych impulsów strajkowych.

— **Czy Pańska supozycja podyktowana jest jakimiś szczególnymi informacjami?**

— Nie. Kieruję się analizą wydarzeń w krajach sąsiednich. Na jej podstawie dochodzę jednoznacznie do wniosku, że w roli siły sprawczej, również i u nas mogli wystąpić przyjaciele zza Buga. Jest to logiczne wewnętrznie spójne. Jednak słuszność tych sugestii może potwierdzić lub odrzucić tylko historia.

— **Ale czy nie dostrzega Pan powolnej, ale konsekwentnej ewolucji poglądów generała?**

— Ależ dostrzegam. Tylko krok tak gwałtowny w kierunku wyborów czerwcowych, oparty na radykalnej, jak na historię 45-lecia, ordynacji wyborczej, nie bardzo zgadza się z wrodzonym mu kunktatorstwem.

— **Może jednak ta zmiana poglądów jest logiczna. Jeśli bowiem próba rządzenia siłą i terrorem okazała się nieskuteczna, więcej — nie rokowała żadnego postępu, a Polsce groziło stoczenie się do roli swoistego skansenu europejskiego, rzeczą logiczną było zwrócenie się generała w kierunku koncepcji liberalnych.**

— Jeśli to prawda, to po co ta droga przez mękę, przez którą przeszliśmy. Po co lata zastoju ekonomicznego, utraty zdobytej pozycji ekonomicznej, społecznej, staczania się kraju do grupy państw nierozwiniętych. Mówiłem już panu o wielkim dystansie dzielącym nas od krajów wysoko rozwiniętych. W latach osiemdziesiątych nie było dziedziny, w której dokonalibyśmy postępu. Przecież to jest tragiczne. Niech pan pomyśli, z jak złego pułapu startujemy dzisiaj, jakże jest on zły w stosunku do końca poprzedniej dekady. Różnica jest tak drastyczna, że aż bolesna. Czyż nie lepiej było, mówię to całkiem poważnie, dokonać tej prawdziwej ugody społecznej w roku 1980, a nie 1989?

— **Ale czy to nie demagogia? Czy było to w ogóle możliwe w latach, gdy Kremlem rządili starcy, bardziej nadający się do kliniki geriatrycznej niż do pełnienia władzy nad połową świata?**

— Tego nie wiem, ale chciałbym poznać odpowiedź na to pytanie. Skoro jednak, proszę pana, było możliwe zawarcie przeze mnie tak daleko idącej i drastycznej umowy społecznej, jak „Porozumienie sierpniowe”, to kto wie, czy za cenę spokoju w Polsce Rosjanie nie byłiby w sta-

nie zaaprobować dalej idącego porozumienia, które nie dawałoby „Solidarności” władzy, ale za to istotny, zawarowany konstytucyjnie wpływ na nią. „Okrągły stół” w zamyśle strony rządzącej wcale nie miał być przecież kapitulacją tak zwanego obozu rządowego, lecz dopuszczeniem opozycji do parlamentu. Utrata władzy przez obóz Jaruzelskiego w tamtych dniach nikomu przecież nawet nie przychodziła do głowy. Tymczasem szokowy wybór, jak i swobodna gra sił w wyborach wewnątrz miejsc zawarowanych dla partii i jej sojuszników spowodowały, że stare struktury okazały się już niezdolne do dalszego rządzenia. Musiało się tak skończyć. Całe osiem lat — to okres pozorów i frazesów, a także tragedia starych pomyłek i nie wykorzystanych możliwości. Pozorowaniem rządów były decyzje w zasadzie nie realizowane, jak sławetny przegląd kadr i zarudnienia, a frazesami hasła o „świecie w tunelu” czy „wychodzeniu na przód”. Błędnie oceniono wyjście ze stanu wojennego, który nic niczego nie rozwiązał, lecz cały splot spraw skomplikował i tragicznie zaognił. Błędnie oceniono „Solidarność”, jej polityczne i ideowe nurty. Błędnie oceniono sytuację w kraju i w samej partii, w której w okresie wyborów kierownictwo nie miało już żadnego poparcia. W tej sytuacji nadzieje na sukces w wyborach musiały stać się tragiczną klęską. Większość społeczeństwa wolała każde inne kierownictwo od tego nieudolnego i nieefektywnego...

— **Mimo to, mimo trudności wyborczych partii, rzeczywista władza w rządzie Mazowieckiego zdawała się w dniach jego tworzenia pozostawać wciąż po stronie dawnego establishmentu!**

— Ależ oczywiście, w pełni z panem się zgadzam. Cztery kluczowe resorty: wojsko, MSW, handel zagraniczny i komunikacja pozostały w ręku partii z prezydentem w charakterze „gwaranta”. Był to układ nie zapoziwiający późniejszej katastrofy dawnego establishmentu. Sądzę też, że bóg ten miałby się do dziś nie najgorzej, gdyby nie zmiany w Czechosłowacji i NRD. Dopiero one, tak naprawdę, podcięły skrzydła ekipie Jaruzelskiego i spowodowały pełną erozję układu „Okrągłego stołu”.

— **Czy więc Pan uważa, że taka zmiana byłaby możliwa również w roku 1980 czy 81?**

— Oczywiście, że nie. Natomiast myślę o układzie, który wprowadzałby w Polsce, w miejsce stałej szamotaniny strajkowej, w miejsce opętańskich zapasów, rządy na poły demokratyczne, dające „Solidarności” możliwość rzeczywistej kontroli rządu. Byłaby to nowa w naszej strefie geopolitycznej opozycja, która poprzez sam fakt swego istnienia wzywiera-



Jacek Kuron — wielokrotny więzień PRL

WIARA I WINA

Donna Edwardo' Givkovi

*Jacek Kuron
luty 1990*

*Dziękuję Annie Dodziuk, Helenie Luozyno i Joannie Szczęsnej
za opracowanie książki, bez których uporu, energii i oddania
książka ta nie mogłaby powstać.*

J. K.

— I sądzi Pan, że bez doświadczeń tego dziesięciolecia, komuniści byliby zdolni do posunięcia się na owej ławie, zawarowanej dotąd dla pełnej, totalitarnej władzy?

— Tak naprawdę totalitarnej władzy nie było już w latach siedemdziesiątych i dlatego moje pretensje biorą się stąd że grupa rządząca nie dostrzegła potrzeby zmian rzeczywistych, a nie werbalnych. Przypomnijmy, jakie oferty składał społeczeństwu obóz rządowy w latach 1980–81. Były to prośby o spokój, o usprawniania produkcji, czyli o przyjęcie odpowiedzialności za władzę bez instytucjonalnych możliwości wpływania na nią. Ta sytuacja, ten brak elastyczności partii, spychał kraj w kierunku najgorszych rozwiązań. Niech pan zwróci uwagę, że ekipa Jaruzelskiego ani jej prominentni przedstawiciele do dziś nie przyznali się do popełnionych błędów, do tego, że ich linia polityczna była główną przyczyną radykalizacji mas, a w konsekwencji — stanu wojennego. Natomiast stan wojenny nie zniszczył, bo nie mógł zniszczyć „Solidarności”. Jej idea tak mocno zakorzeniła się w głowach młodych ludzi, że przetrwała stan wojenny.

— **Mówi Pan tak, jakby Pan był zwolennikiem „Solidarności”.**

— Moja sympatia i serce były zawsze po stronie mego obozu, ale dziś, analizując przyczyny dramatu polskich komunistów, muszę umieć spojrzeć prawdzie w oczy.

— **Ale czy są to przemyślenie ex post, czy próba odtworzenia stanu Pańskiego ducha w tamtych latach?**

— O spotkaniu ekspertów obu stron, próbie dogadania się w sprawach funkcjonowania państwa, chciałem powiedzieć w Sejmie w owym feralnym dla mnie dniu 6 września.

— **I zgłosiłby Pan tak dalece idącą propozycję bez akceptacji Biura Politycznego?**

— Niech Pan pamięta, że wiele decyzji dotyczących liberalnych posunięć, podejmowałem poza posiedzeniami Biura; dotyczyło to tak amnestii dla robotników Radomia i Ursusa, amnestii dla KOR, jak też amnestii dla szefa „Nowej”, Chojeckiego. Doprawdy, czas po Sierpniu pędził milowymi krokami i sprawą główną dla partii powinno być wówczas nie wzajemne wykańczanie się aktywu, czy mówiąc szerzej — establiszmentu partyjnego, lecz ratowanie kraju i ratowanie partii. Chciałem, w miarę swoich możliwości intelektualnych, zaproponować kilka rozwiązań, a byłyby one sugerowane przeze mnie w trybie dyskusyjnym. Po pewnym uspokojeniu

— **Gdyby KC odwołał Pana z funkcji pierwszego sekretarza?**

— Odszedłbym bez słowa.

— **Gdyby zachował Pana na najwyższej funkcji?**

— Po sierpniu 1980 roku uważałem, że widoczny gołym okiem entuzjazm społeczny, będący rezultatem porozumień z Gdańska i Szczecina, należy wykorzystać dla dobra kraju. Entuzjazm ten, myślałem, można by wprząc do budowy materialnych podstaw naszego wspólnego domu.

— **Jak Pan widzi i dzisiaj entuzjazm czy szerokie poparcie dla nowych władz, nie postawiły jednak kraju na nogi.**

— Dziś jest zupełnie nowa sytuacja. Społeczeństwo, nie pytane zresztą o to, zostało postawione wobec faktu likwidacji socjalizmu. W latach 1980–81, jeśli partia przyjęła koncepcję prawdziwego porozumienia, socjalizm w Polsce nie byłby zagrożony. Nie było bowiem jeszcze tej wszechobecnej w 1989 roku niewiary w system. Nie było niewiary w rozwiązania socjalistyczne. Uważam, że „Solidarność” mogła stać się ruchem socjalistycznym, zwróconym w stronę socjaldemokracji, lecz stojącym na gruncie społecznej własności środków produkcji. Dziś, gdy dokonaliśmy zwrotu w przeciwnym kierunku i w reprzywatywacji upatrujemy swoistego panaceum na naszą mizериę gospodarczą, wiem, że mój głos brzmi jak głos wołającego na puszczy. Chociaż mam pełną świadomość, że nie da się kijem zawrócić Wisły, uważam, że z czasem pewien nawrót do haseł czy programów socjalistycznych, jest wręcz nieuchronny. Musi minąć jednak nieco więcej czasu i musi do naszego myślenia — w miejsce gorących emocji — wkraść się chłodny relatywizm. Ideę socjalizmu skompromitowały u nas do reszty lata osiemdziesiąte, ale co one miały wspólne go z prawdziwym socjalizmem? Boję się jednak, abyśmy znowu nie obudzili się ze snu, do którego nas ukołysano ponownie nieprzystosowani do życia w nowej Europie. Niszczą nas ciągle swary. Ich pochodną jest namiętna walka z nomenklaturą która jest już wylewaniem dziecka z kąpielą. Wśród tych wyrzuconych jest wielu sprawnych menedżerów, którzy do skonałe mogliby w nowych warunkach prowadzić nasze zakłady pracy.

— **Jak Pan patrzy na rozpad partii, którą Pan przez dziesięć lat kierował? Czy nie odczuwa Pan czegoś w rodzaju *schadentfreude*?**

— Nic podobnego. Losy tej partii, choć jestem już poza nią od lat dziesięciu, żywo przez cały ten czas mnie obchodziły. Podkreślam też, że dopóty, dopóki ta partia istniała, nie zgodziłem się na opublikowanie naszej rozmowy, miejscami przecież bardzo gorzkiej. Uważam jednak iż kierownictwo partii porzuciło masy członkowskie w sposób, nie waham się

powiedzieć haniebną. Rozwiązano tę partię, nie pytając o zdanie jej członków. To prawdziwie swoista forma demokracji! Rozwiązanie się partii politycznej nie jest rzeczą nową, natomiast rozwiązanie się PZPR jest faktem unikatowym. Rozwiązano partię, która przez czterdzieści lat sprawowała władzę i nie dokonano żadnej istotnej oceny jej zasług i dorobku, jak też błędów i niedociągnięć. Rozwiązano, ją, ponieważ jak stwierdzono, wypełniła już swą misję. Jaką misję i w jakim stopniu? Partia może utracić władzę i wtedy przechodzi do opozycji, ocenia przyczyny swej klęski, wyciąga z niej wnioski i wypracowuje program dający jej szanse zwycięstwa w kolejnych wyborach. PZPR natomiast rozwiązano — bez oceny klęski wyborczej, bez oceny czterdziestolecia powojennego, pozostawiając ponad 2 miliony byłych członków partii bez odpowiedzi nawet na pytanie: dlaczego? Dziś wielu byłych członków PZPR ponosi tego konsekwencje i słusznie wnosi o to pretensje do „grabarzy” PZPR. Ci natomiast, trwoniąc kapitał tej partii, nie zdawali sobie sprawy, jak szybko może się przydać silna opozycyjna PZPR niezbędna do obrony interesów ludzi pracy. Podobnie zresztą jest z decyzją wprowadzenia do Polski kapitalizmu również bez pytania się o zgodę społeczeństwa. I w tym, i w tamtym przypadku o wszystkim za masy zdecydowały elity polityczne.

— **W Pańskiej wypowiedzi dostrzegam pewne elementy idealizmu politycznego. Mówi Pan tak, jakby rzeczywiście był Pan zawsze zwolennikiem rozwiązań demokratycznych. Komunistów tymczasem można posądzić o wszystko, tylko nie o skłonności demokratyczne.**

— I na tym polega jedna z wielkich tragedii tak zwanego realnego socjalizmu. Ta tragedia, to niezdolność naszej formacji ustrojowej do zerwania z autorytarną formą rządów. Każda partia komunistyczna z chwilą zdobycia władzy była — we własnym mniemaniu — smieniem, rozumem i wolą klasy robotniczej. Uzurpowała sobie prawo do najwyższej samowiedzy na temat tego, co dobre i co złe dla narodu i warstwy pracującej. Dziś widać dowodnie, że było to założenie nonsensowne i tragiczne zarazem. Stało się też przyczyną wielkiego dramatu ludzi związanych z ruchem komunistycznym. Uważam, że obecnie należy się masom członkowskim wielkie zadośćuczynienie ze strony byłych przywódców partyjnych. akkolwiek bowiem byśmy patrzyli na historię powojenną naszego kraju i a historię lat ostatnich, trzeba z całą otwartością powiedzieć, że błędy artii nie były błędami jej szeregowych członków, ale zawsze i przede wszystkim błędami kierownictwa partii. Ze swej istoty bowiem, z istoty entralizmu demokratycznego, partia komunistyczna była organizacją — cz wielomilionową, to jednak bezwzględnie podporządkowaną swemu kierownictwu. To podporządkowanie spowodowane do roli dogmatu czyniło z

zam, że obecne globalne rozliczanie się z członkami partii bądź obwinianie ich za winy popełnione przez ruch komunistyczny, jest głęboko niesprawiedliwe i nawet niemoralne. Współczuję głęboko setkom tysięcy byłych pezetpeerowców, pozbawionych dziś tak swej organizacji, jak i przywódców. Pozostawieni na rozdrożu historii samym sobie, przeżywają częstokroć głębokie rozterki wewnętrzne, rachują się ze swym życiem, nie znajdując często jego sensu. Towarzysze, chcę Was zapewnić, że nie macie powodów do wstydu, nie musicie wcale chodzić ze spuszczoną głową. Jestem bowiem pewien, że dobrze przysłużyliście się swemu krajowi i narodowi, mimo wszystkich błędów popełnionych w latach powojennych. Polska po wojnie musiała wejść, zrzuceniem wielkich potęg, na drogę socjalistycznego ludowładztwa. Mogła istnieć tylko jako kraj rządzący się doktryną marksistowską, a więc musiała być Polską Ludową lub Polską radziecką. Innej alternatywy nie było. Tylko jako kraj socjalistyczny mogła odzyskać Ziemię Piastowskie. Czy mogła się rządzić lepiej, oceni historia. Jestem jednak pewien, że w skomplikowanej sytuacji powojennej polscy komuniści poprowadzili swój naród w sposób najlepszy z możliwych i za pewniam, że zmarnowaliśmy wcale nie tak wiele szans. Jeśli dziś Polska wybiła się na pełną niepodległość, a miejmy nadzieję, że jest to wybitnie trwałe, jest w tym wielka zasługa członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Naszą zasługą jest nie tylko zachowanie i wzmocnienie naszej państwowości, ale także rozwój kulturalny i cywilizacyjny Polski. Choć wiele możliwości zostało zaprzepaszczone, to dzisiaj z jakże innymi mamy do czynienia jakością niż w latach bezpośrednio powojennych. W przeobrażeniu kraju wielkie, a nawet imponujące, gdy spojrzysz na naszą ojczyznę z perspektywy półwiecza — włożyliście swój trud i pot. chociaż wiele z naszych osiągnięć jest kwestionowanych, to jednak bez nich, bez społeczeństwa wykształconego, otwartego na sprawy kultury i nauki, byłibyśmy krajem bez porównania uboższym i nie wzbudzającym takiego, jak obecnie zainteresowania świata. Idee socjalizmu wcale nie niosły spustoszeń moralnych, komunizm nie był, jak dziś się to wmawia społeczeństwu, doktryną nihilistyczną. Socjalizm niosł na swych sztandarach hasła równości i sprawiedliwości społecznej. Te hasła zaszczerpięte zostały społeczeństwu, uczyniły z nas naród wrażliwy na równość, na sprawiedliwość społeczną. Te hasła, ta wrażliwość są naszym zbiorowym skarbem, winniśmy ich strzec, abyśmy nie przemienili się w społeczeństwo ksenofobiczne, kierujące się we wzajemnych kontaktach odruchami niechęci bądź wrogości. Sądzę, że powinniśmy bacznie spoglądać do tyłu, aby uniknąć popełniania błędów, które były naszym udziałem, a także aby skorzystać z doświadczeń pozytywnych. Podkreślając grubą kreską

jak mówił obecny premier, nasze czterdzieści pięć powojennych lat nie zapominajmy, że bez nich nie byłoby nas. Na współczesny wizerunek narodu składają się bowiem wszystkie nasze doświadczenia zarówno te dobre, jak i te złe. Gdy historia zabierze się do bezstronnego wyważania naszej przeszłości, nasz portret zbiorowy nie zostanie, jestem pewien, namalowany czarnymi barwami. Spotkamy w nim wszystkie kolory tęczy.

Rozdział dziewiąty

„Ustawianie Gierka”

— Szczególną karierę zrobiła Pańska krótka wypowiedź dotycząca Lecha Wałęsy. Zanim omówimy ją szerzej, krótki cytat: *Na posiedzeniach Biura, na przykład Kowalczyk, ówczesny minister spraw wewnętrznych przechwalał się, że Wałęsa jest jego człowiekiem. Dosłownie, nie żartuję. Dziś wiadomo, że był to absurd, ale wtedy nie było powodu nie wierzyć jego zapewnieniom.*

— Proszę pana, fragment ten oddaje atmosferę owych posiedzeń, pełnych spekulacji, a także niespokojnych i nerwowych. Jednoznacznie jednak, zgodnie z całą mą na ten temat wiedzą, odcinam się od prób — wiadomo, że opinie takie krążyły wśród aktywu partyjnego — podłączania Lecha Wałęsy do grupy prowokatorów MSW. Mój komentarz: *Dziś wiadomo, że był to absurd* jest jednoznacznym wykładnikiem mojej na ten temat opinii.

— Mnie też, wyznam, zdumiało manipulowanie, jakże dowolne, tym kilkoma zdaniem. Po prześledzeniu licznych wypowiedzi na ten temat doszedłem do wniosku, że wielu osobom zależy na sprowokowaniu zwrócenia Gierka z Wałęsą. Zaczniemy od Kani. W swej pokrętej i bardzo rozwlekłej wypowiedzi prasowej dla „Polityki” poświęca wiele uwagi temu epizodowi. Oto najistotniejszy, z mojego punktu widzenia, *passus*: *Podaj też, [chodzi o Edwarda Gierka — przyp. J.R.] powołując się na ministra spraw wewnętrznych, że i Wałęsa był człowiekiem tego resortu. Czy Edwardowi Gierkowi chodzi o to, by zaszczerpić podejrzenia, by pozostał jakieś piętno na Kowalczyku, czy na Wałęsie.*

— Otóż, panie Januszu, jest to klasyczny przejaw złej woli Kani. Niemożna bowiem snuć rozważań na temat moich intencji, jeśli się przy tym pominię moją opinię na temat absurdalności owych przechwałek eks-ministra. Przechwałki te były bardzo w stylu epoki. Służby specjalne w owych latach nie tylko ustami Kowalczyka wielokrotnie zapewniały, że całkowicie panują nad sytuacją i opozycję mogą przykryć czapkami, nie

mal na każde życzenie kierownictwa partii. Stąd ten cytat w książce, pomysłany przecież jako dowód aberracyjności tego typu zapewnień czy opinii. Ale, wie pan, na złą wolę nie ma sposobu. W gruncie rzeczy z jej przejawami też nie sposób walczyć...

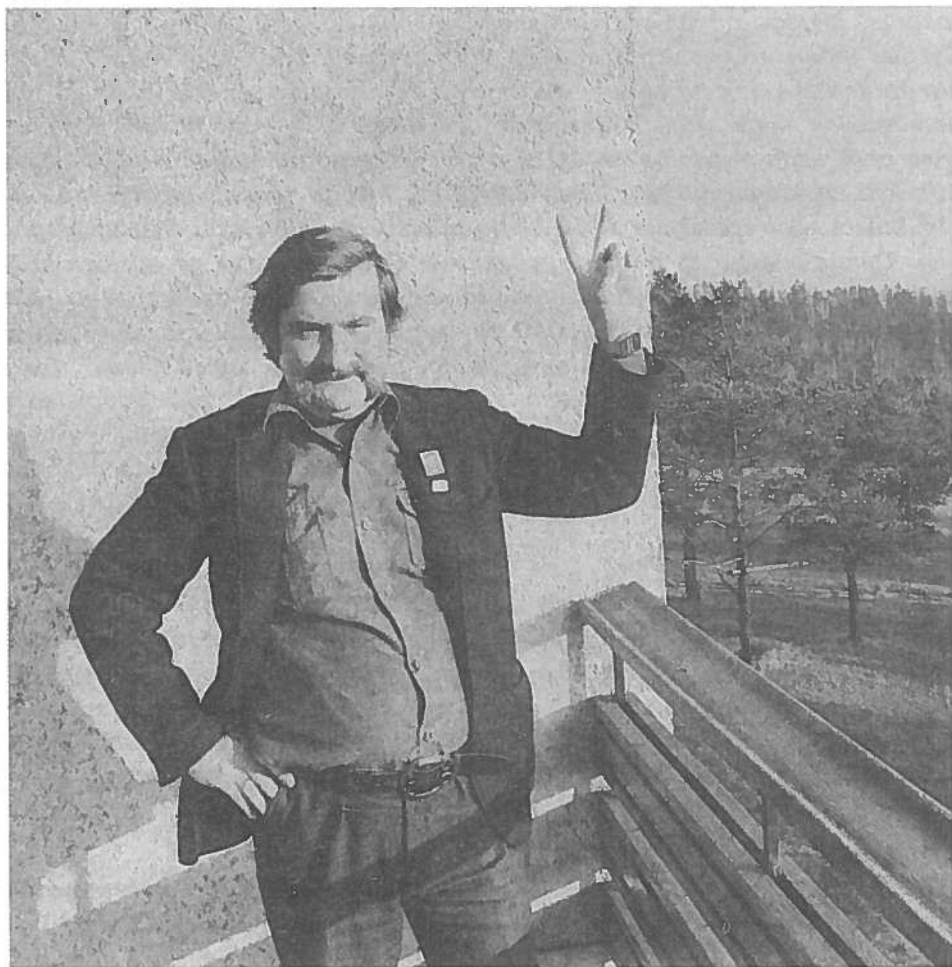
— Trudno się z tym nie zgodzić. Mnie jednak, wyznam Panu, zdumiało, że żadnym sensacji dziennikarzom udało się wyprowadzić z równowagi samego Wałęsę. W „Gazecie Gdańskiej” ukazał się wpis dokonany przez Lecha Wałęsę w egzemplarzu książki *Droga nadziei*, przeznaczonym dla Pana. Ponieważ ten wpis nie jest szeroko znany, pozwałam sobie zacytować go *in extenso* za „Trybuną Robotniczą” z Katowic, razem zresztą z komentarzem redakcyjnym. Wywiad-rzeka Janusza Rolickiego z Edwardem Gierkiem — powiedzieć można: spowiedź byłego pierwszego sekretarza KC PZPR zawarta w książce *Przerwana dekada* — zyskał rozgłos, jakiego chyba nie miała żadna inna pozycja wydana w Polsce. Był już jeden proces, zapowiadają się następne. Lud, czyli naród, rzucił się na książkę, jak na przysłowiowe świeże chrupiące bułki i płaci za nią horrendalne sumy, idące już nie w dziesiątki, a w setki tysięcy złotych. Owe polityczno-prywatne zwierzenia „pierwszego po Bogu” na pokładzie m/s PRL w latach 1970–1980 wywołały też swego rodzaju polityczną burzę, której echa rozlegają się w wielu miejscach dzisiejszej Rzeczypospolitej. Ostatnio echo to odbiło się także w Gdańsku. A to za sprawą krótkiego fragmentu książki, w którym Edward Gierek zwierza się: „Na posiedzeniach Biura, na przykład Kowalczyk, ówczesny minister spraw wewnętrznych, przechwalał się, że Wałęsa jest jego człowiekiem”. Owo kuriozalne zwierzenie nie mogło, oczywiście, pozostać bez odpowiedzi najbardziej zainteresowanego, czyli Lecha Wałęsy. Tym bardziej, że były sekretarz KC PZPR przesłał mu egzemplarz książki *Przerwana dekada*, z krótką adnotacją: „Panu L. Wałęsie — Edward Gierek. Katowice — kwiecień 1990 r.”

Jak ujawniła to ostatnio — za zgodą Lecha Wałęsy — „Gazeta Gdańska”, napisał on list do Edwarda Gierka, a uczynił to na pierwszych stronach egzemplarza swojej książki *Droga nadziei*. W liście tym naświetla to raz pierwszy — poza krótką dygresją właśnie w *Drodze nadziei* — epizod z lat siedemdziesiątych, który miał dalsze konsekwencje właśnie w sierpniu 1980 r. Warto chyba przytoczyć — za „Gazetą Gdańską” — treść tego listu, gdyż zapewne stanowić on będzie swego rodzaju przyczynek do naszych najnowszych dziejów.

„Szanowny Panie Gierek!

Dziękuję za Pańską książkę, odwzajemniam się swoją. Zawsze mówię, co myślę. Ja Pańska Dekada, tutaj tylko za sprawą Pana...

W Arlamowie



nie obwinienie. Oczywiście pytanie pozostaje, czy można to było zgrać. To jest ocena niejako w środku, pomiędzy komunistycznym panowaniem, tzn. Gomułka — Pan — Kania — Jaruzelski. Trzeba pamiętać, że ja byłem i jestem przeciwko komunizmowi. Ja nie oceniam komunistycznego sprawowania władzy w ogóle, tylko w tych warunkach Pański międzyczas. Co do Pańskiej sugestii: zaprzeczam, że byłem człowiekiem Kowalczyka (SB) Oświadczam Panu i zrobię to publicznie, jak będzie trzeba, iż nigdy nie byłem i nigdy na nikogo nie donosiłem do SB. Prawdą natomiast jest, że po pamiętnym „pomożecie”, którego ja byłem współautorem, kilkakrotnie przeprowadzono ze mną przesłuchania w Komisariacie i że mnie wyciągnięto tylko w kontekście politycznym a nie donosielskim. To miało miejsce tylko i wyłącznie w 1971 r. Szybko zorientowałem się, że nie dzieje to w odpowiednim kierunku. Zaniechałem wszelkiej dyskusji i działalności. SB dało mi spokój. Od 1971 do 1976 r. nie było żadnych przesłuchań ani kontaktów. W 1976 r. postanowiłem zawalczyć, co spowodowało zwolnienie mnie z pracy w Stoczni i postraszenie mnie przez SB. Ale wtedy odpowiedziałem: Jesteśmy po przeciwnych stronach. Ja będę walczył, Gierek nas oszukał. Potem powstał KOR i WZZ. Nauczyłem się postępować z SB i nigdy nie pozwoliłem sobie na współpracę z SB lub cokolwiek, co osłabiłoby naszą walkę o niekomunistyczną Polskę.

W sierpniu 1980 roku ludzie Kowalczyka próbowali wydobyć mnie ze stoczni pod pretekstem ważnych wozmów z Panem. Ja się zgodziłem. Oni zameldowali — myśląc, że uda im się mnie zastraszyć lub szantażować (tak przypuszczam). Natomiast ja po paru dniach zwłoki wzmacniając trajk wyprosiłem tych Panów ze stoczni. Tak to nie po raz pierwszy i nie ostatni rozegrałem partię pokera, Panie Gierek.

Życząc zdrowia, a historii ocenę. Wałęsa”.

— Wpis, przyzna pan, jest niezwykłym dokumentem. Mnie jednak zaintryguowała zła wola gazet cytujących wypowiedź Lecha Wałęsy. Bo przecież ten zapis wyglądałby całkowicie odmiennie, gdyby zaopatrzone go właściwym komentarzem, z którego wynikałoby, że Edward Gierek nie podąży przywódcy „Solidarności” o jakąkolwiek formę współpracy z milicją. Aby uzyskać tego typu moją wypowiedź, nie trzeba było zwracać się pytaniem telefonicznym do mnie, wystarczyło tylko uważnie odczytać to, co było napisane na kartach *Przerwanej dekady*. Tymczasem świadome pominięcie w komentarzu redakcyjnym owego zapisku — „Dziś wiadomo, że był to absurd” — czyni niezdrową sensację wokół Lecha Wałęsy, a wszystko gwoździ uatrakcyjnienia tekstu. Czy tak ma wyglądać walka wolnej prasy o Czytelników? Bo gdy Kania składa na mnie swoisty donos w tym przytoczonym artykule, to...

no stać na bezstronną i rzetelną relację.

— Ale to przecież nie jedyna forma ustawiania Gierka jako wygodnego chłopca do bicia. W artykułach poświęconych książce pojawił się także nurt szczególny, który, wyznam, wzbudził mój niesmak. Myślę przede wszystkim o sążnistych omówieniach *Przerwanej dekady* w „Polityce” „Rzeczpospolitej” napisanych przez Daniela Passenta i Dariusza Fikusa.

— Chociaż ostatnio poróżnieni, to przecież są, o ile się nie mylą chłopcami z tego samego boiska?

— Ma Pan na myśli ich wieloletnią współpracę w „Polityce”. To faktycznie znany. Mnie chodzi o tworzenie wokół Pana aury człowieka niewykształconego, nieoczytanego, jednym słowem, nieprzygotowanego do pełnienia w swoim czasie najwyższej funkcji. Ponieważ opinia Passenta i następni jego echa — Fikusa, jest pozbawiona jakichkolwiek dowodów, sprawi szczególnie przykre wrażenie. Bowiem o pewnych sprawach nie można dyskutować na takim „parterze”.

— Panie Januszu, nigdy nie udawałem, że jestem intelektualistą, nigdy też nie kryłem swego robotniczego rodowodu. Zawsze z dumą przyznawałem się do swego górniczego stanu. Do końca działalności politycznej uważałem się za górnika oddelegowanego do pracy partyjnej i politycznej. Fakt, że nie skończyłem uniwersytetu czy wybitnych szkół, nie oznacza, bym nie zdobył w swym życiu, jako samouk, dosyć dogłębnej wiedzy, i to tak historycznej, jak literackiej, socjologicznej czy ekonomicznej. Wyznam panu, że w swym życiu bardzo intensywnie pracowałem nad sobą. Wychowałem się w środowisku typowo górniczym, i to poza krajem. Język literacki nie był mi dany dzięki wyszukany dysputom. W domu na osiedlu mówiliśmy mieszaniną gwary śląskiej i zagłębiowskiej. Podłoga nie było z językiem francuskim. W młodości słyszałem wokół co najwyżej gwarę, czy raczej slang górniczy, używany przez zagranicznych robotników, sprowadzanych do Francji do najcięższej z najcięższych prac po ziemię. Pochlebiam sobie, że drogą usilnej pracy i we Francji, i w Belgii i później w Polsce, poznałem literacki język francuski, tak jak i polski. Będąc przywódcą partii czytałem i mówiłem czterema językami. Poza ojczystym jeszcze: francuskim, rosyjskim, niemieckim i flamandzkim. Najlepiej znałem francuski, natomiast w trzech pozostałych językach mogłem się porozumieć, a także czytać gazety. W rozmowach politycznych z regularnie korzystałem z tłumacza, ale znajomość języków oddawała mi, przynajmniej nieocenione usługi. Do moich codziennych lektur prasowych należały „Le Monde” i „Prawda”. Ponadto byłem gorliwym czytelnikiem paryskiej „Kultury”, jak również jej zeszytów historycznych. Jako działacz polityczny

ny reprezentowałem Polskę kilkadziesiąt razy poza granicami kraju i wyznam panu, że nigdy nie spotkałem się z opiniami, że czyniłem to źle bądź ze szkodą dla Polski.

— **Ja bym do obu tych wypowiedzi nie przywiązywał, na Pana miejscu, specjalnej wagi. Obaj panowie są w pierwszym rządzie frustratami, z zupełnie różnych zresztą powodów...**

— Może to i prawda, ale z ich wypowiedzi przebija pewien ton pogardy dla ludzi nie będących zawodowymi, że tak powiem, inteligentami, a to jest niebezpieczne. Fakt, że nic im nie grozi z mej strony, ale ten typ mentalności może Polsce przynieść jeszcze wiele złego, jeśli się rozpleni, a młodzi inteligenci mają do tego często naturalne skłonności, to kraj z pewnością więcej na tym straci niż zyska.

— **W sumie jednak powinien Pan na takie wypowiedzi wzruszać ramionami. W końcu większość omówień czy recenzji była wobec Pana nieprzychylna, czy wręcz wroga, a mimo to publiczność dokonała jasnego wyboru i opowiedziała się jednoznacznie za Pańską książką, a nie za ocenami Pańskich adwersarzy.**

— Z tą ostatnią opinią w pełni się zgadzam, a mimo wszystko chwila mi żal...

Gierek prywatny

Porozmawiajmy teraz o Pańskich prywatnych upodobaniach, o Pańskim życiu. Jak by Pan określił ewolucję swych upodobań i zainteresowań?

— Jako człowiek wyrosły w środowisku górniczym, jestem w jakimś sensie, że się tak wyrażę, jego produktem, ze wszystkimi jego wadami i zaletami. A więc przede wszystkim jestem człowiekiem niezwykle rodzinnym. W rodzinie szukałem najwyższych wartości, była ona dla mnie swoistym azyłem stabilizującym mnie wobec świata zewnętrznego. Rodzina dawała mi też — jeszcze jako dziecku — wzorce osobowe i siłę wewnętrzną. Zawsze, muszę panu powiedzieć, że przez całe swe życie, byłem dumny ze swej matki. Podziwiałem jej twardość i prawość. Moja mama miała życie bardzo ciężkie. Po śmierci ojca została sama z osieroconymi dziećmi, ja wtedy miałem lat cztery, a siostra dwa — mimo to dała sobie radę, pracując po dziesięć i więcej godzin dziennie. Przekazała mi też wizerunek ojca, jako człowieka prawego, z którego mogłem być tylko dumny.

— Czy ojczym zastąpił Panu później ojca?

— Mój ojczym, z którym, mogę powiedzieć, przyjaźniłem się, zaszczerpił mi ciekawość życia i świata. Był on, jak pan pamięta z poprzednich naszych rozmów, człowiekiem bardzo ruchliwym i, rzecz rzadka u górników, lubiącym zmieniać miejsce zamieszkania. Ta jego cecha, była dla mej mamy z pewnością bardzo męcząca, dla dzieci natomiast była zabawna, a nawet więcej — pociągająca. Antoni Jaros — mój ojczym, zaszczerpił mi swe dwie ważne cechy: poczucie godności i dumy tak narodowej, jak i zawodowej. Był, jak pamiętam, człowiekiem postawnym, spokojnym, ale nie dającym sobie w kaszę dmuchać. Jemu też zawdzięczam, że w Masywie Centralnym uczęszczałem nie tylko do szkoły polskiej, lecz również do francuskiej.

— **Czy wyróżniał się Pan jakoś wśród swych rówieśników?**

— Obracałem się, co rozumiałe, głównie w środowisku polskim, ale nie stroniłem też od mych rówieśników Francuzów. Ale książki czytałem początkowo głównie polskie, później także francuskie. Nie był to jednak Karol May. W bibliotekach polskich we Francji nie gromadzono bowiem książek obcych autorów literatury rozrywkowej bądź młodzieżowej, wyjątek czyniono jedynie dla niektórych pisarzy francuskich, o ile byli, rzecz rozumiała, tłumaczeni na nasz język. Z czasem obok książek, których chłonałem bardzo wiele, zwróciłem się w stronę działalności politycznej, a także w stronę sportu, a konkretnie piłki nożnej i boks. Oczywiście nie traktowałem go poważnie, dawał mi jednak pewne uznanie w środowisku, co — zważywszy na rozwój mych zainteresowań politycznych — nie było bez znaczenia. Przez pewien czas pasjonował mnie też teatr. Kółka teatralne; recytatorskie: były wówczas w środowisku młodzieżowym bardzo popularne. Młodzi chłopcy po ciężkiej pracy musieli coś robić z wolnym czasem. Nie mieliśmy żadnych przewodników po świecie kultury i musieliśmy sami sobie wytyczać drogę. Taki tryb rozwijania zainteresowań był jednak z pewnością bardziej interesujący, niż dzisiejszy sposób spędzania czasu — przed telewizorem.

— **Czym dla Pana było założenie własnej rodziny?**

— Potraktowałem tę sprawę bardzo poważnie. Dla górnika rodzina, troska o jej byt, jest najważniejsza. W moich czasach lekkoduch, który pozuciłby rodzinę, nie troszczyłby się o warunki życia swych dzieci, nie mógł absolutnie liczyć na akceptację swego środowiska. Dlatego, jak sądzę, rodziny górnicze są bardzo trwałe, a małżeństwa na ogół dożgonne. Małżonków z reguły rozdziela dopiero śmierć jednego z nich; w tamtych czasach była to zazwyczaj śmierć mężczyzny w wypadku kopalnianym. Ja też, jak pan widzi, zostałem wierny naszej tradycji górniczej i ze swą żoną Stanisławą, poślubioną w 1937 roku spędziłem wspólnie już 53 lata życia. Jak pan pewnie pamięta, założenie rodziny zbiegło się u mnie z dosyć uporczywą i trudną walką o pracę. Nie mogłem jej uzyskać w rodzinnym Zagłębiu, pojechałem więc szukać jej na obczyźnie, w Belgii. Nie zdaje sobie pan sprawy, jak ważne było dla mnie uzyskanie pracy. Bezrobotnie, proszę mi wierzyć, to największe przekleństwo, najgorsza rzecz, jaka może spotkać zdrowego, sprawnego człowieka. Dlatego gdy dziś zaczęliśmy wielkie koło i powróciliśmy w sprawach socjalnych do punktu wyjścia, napawa mnie to lękiem i smutkiem. W całej swej karierze politycznej zabezpieczenie ludzi pracy, przed losem bezrobotnego, traktowa-

liczniejszym, zdrowszym i lepiej wykształconym pokoleniom Polaków za pewnić miejsca pracy. Spełnienie tego obowiązku traktowałem, jak swój obowiązek. Na drugim miejscu stawiałem budowanie mieszkań, a na trzecim rozwinięcie produkcji przedmiotów trwałego użytku. Dążyłem do stworzenia w naszym kraju socjalistycznego społeczeństwa konsumpcyjnego...

— **Dlaczego będąc jeszcze na obczyźnie, w Belgii zdecydował się Pan na karierę działacza? Czy przesądziły o tym względy ambycyjne i chęć zrobienia tak zwanej kariery?**

— Proszę pana, ja pracę społeczną, a później zawodową, traktowałem jak powołanie. Tak było od najmłodszych lat, że w moim środowisku ludzie aktywniej żyli i pracowali społecznie. Dlatego, gdy po wyzwoleniu Belgii zaproponowano mi działalność polityczną na szczeblu lokalnym, jej podjęcie traktowałem jak naturalny obowiązek wobec przyjaciół i wobec naszej narodowej wspólnoty.

— **Ale z pewnością odrywało to Pana od rodziny?**

— Gdy byłem działaczem komunistycznym, czy polonijnym w Limburgii, jeszcze łatwo godziłem to z życiem rodzinnym. Dopiero po pewnym czasie działalność polityczna zaczęła mnie wsysać. Lecz nim się obejrzałem okazało się, że jestem, zdaniem moich przyjaciół i towarzyszy, im potrzebny. I tak niepostrzeżenie wciągnęła mnie w swe tryby polityka.

— **Czy żałował Pan kiedyś swojej nowej miłości?**

— Zbyt emfaticznie nazywa pan me związek z polityką. Ale jeśli szczerze mam odpowiedzieć na pańskie pytanie, muszę cofnąć się do dwóch wydarzeń w moim życiu. Pierwszym, był wymuszony na mnie przez warszawską centralę partii, powrót z Belgii do kraju. Po przyjeździe, gdy się okazało, że decyzja o ściągnięciu mnie do kraju opierała się na nieporozumieniu, poczułem się trochę jak „bezprizorny” i wtedy to oczywiście musiały nasuwać się myśli: po co ci to było, dlaczego dałeś się wciągnąć w tę kabałę?

— **A po raz drugi?**

— Po raz drugi załała mnie fala zniechęcenia i pewnego nawet żalu, gdy po wyjściu ze szpitala w 1980 roku zetknąłem się z efektami rozkręconej przeciwko mnie kampanii nienawiści. Wówczas zadawałem sobie pytanie: dlaczego ludzie tak bezkrytycznie wierzą we wszystkie te bzdury wypisywane w gazetach. Miałem żal za niestosowne do mnie pretensje. Gdy je zestawiałem ze swoimi intencjami, z programem, uważałem, że dzieje mi się krzywda.

— Ale to nie były tylko intencje, ale konkretne efekty tej polityki, której dobrodziejstwa, w mniejszym lub większym stopniu, odczuli wszyscy. Oczywiście, dziś można powiedzieć, że na mnie skumulowała się niechęć do systemu, że płaciłem za całe 35 lat. Ale ja, działając w ramach określonych struktur politycznych, działałem wewnątrz nich maksymalnie liberalnie i demokratycznie i dlatego miałem pełną świadomość, że ani ja, ani moja ekipa i całe dziesięciolecie nie są oceniane obiektywnie. Moje przebudzenie po chorobie było szokiem. Z czasem zrelatywizowałem wszystkie wydarzenia, rozgrywające się wokół mnie, ale przebudzenie było bolesne i wówczas w sposób naturalny musiałem zastanowić się nad sensem obranej drogi.

— **Do jakich doszedł Pan wniosków?**

— Uznałem mimo wszystko, że wybór był słuszny i że doprawdy nie zmarnowałem lat, w których przyszło mi prowadzić działalność publiczną i wpływać na losy regionu czy kraju.

— **W czasie naszej poprzedniej rozmowy uderzyło mnie Pańskie przywiązanie do rodziny, które objawiło się nawet w czasach aktywnej działalności politycznej. Czy w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, jako pracownik tak zwanego aparatu partyjnego, czy to w centrali, czy w Katowicach, był Pan rzeczywiście skłonny dla dobra swej rodziny odstąpić od kariery partyjnej i zrezygnować z pracy w aparacie?**

— Proszę pana, nie było w tym z mej strony żadnej kokieterii czy zagłania. Gdy uznałem, że jako ojciec rodziny nie mogę korespondencyjnie pełnić swych obowiązków, postanowiłem zrezygnować z pracy w aparacie partyjnym. Wolałem powrócić do Zagłębia lub na Śląsk i tam w kopalni pędzić normalne górnicze życie. Oczywiście, w moim rozumieniu rezygnacja z pracy partyjnej nie oznaczałaby wcale wystąpienia z partii. Moja decyzja, zgłaszana w sumie trzykrotnie, była moją wyraźną opcją na rzecz życia rodzinnego. Wiem, bo sprawdziłem to już, że gdy mówię o tych rozterkach czy wyborach, ludzie nie bardzo mi wierzą. Proszę jednak przyjąć do wiadomości, że nigdy nie pragnąłem kariery i w wielu momentach decydujących o moich awansach byłem niesiony trochę na fali, bez specjalnego z mej strony udziału bądź specjalnych zabiegów. Nie wierzy pan?

— **Przyznaję, że trudno w to uwierzyć.**

— Niech więc pan przypomni sobie kilka faktów. Jednym z sekretarzy komitetu wojewódzkiego w Katowicach w 1951 roku zostałem po perswa-

zynym zażegnaniu przeze mnie strajku na dole kopalni w Zagłębiu. Wyciągnięto mnie do realizacji tego zadania ze szkoły partyjnej w Warszawie. Zapewniam pana, że nie zabiagałem o to. Do Warszawy w 1954 roku na stanowisko kierownika wydziału ekonomicznego KC PZPR przeniósł mnie Bierut — wbrew mej woli i wbrew moim prośbom. Sekretarzem KC zostałem wybrany wiosną 1956 roku, mimo, że na posiedzeniu plenarnym KC prosiłem o niewybieranie mnie, tłumacząc się brakiem doświadczenia.

— **Widać taki pisany był Panu los w gwiazdach, a także wpłynęły na to Pańskie cechy osobowe.**

— Myśli pan, że byłem spolegliwym lizusem? Przeciwnie byłem kanciasty, a raczej po górniczemu chropowaty...

— **Proszę mi powiedzieć, czym jest władza i kiedy staje się ona narkotykiem?**

— Władza może być środkiem do celu, może też stać się celem samym w sobie.

— **Jak było z Panem?**

— Dla mnie była środkiem do celu. Trzeba jednak wiedzieć, że władza tworzy wokół człowieka pustkę. Ta pustka jest tym bardziej dokuczliwa, im większy jest zakres władzy. W pierwszym rządzie pustka wynika ze świadomości, że wszelkie kontakty z człowiekiem zajmującym najwyższą pozycję w państwie są mniej lub bardziej interesowne. To z kolei budzi podejrzliwość u osoby na szczycie. Przed tym należy się bronić. Ponadto człowiek władzy, chcąc nie chcąc, staje się tej władzy niewolnikiem.

— **Czy Pana to również dotyczyło?**

— Absolutnie tak. Z biegiem lat o tym, co dobre dla mnie, a co złe, stanowili oficerowie mojej ochrony. Gdy byłem jeszcze pierwszym sekretarzem w Katowicach, prawdziwie decydowałem o swych poczynaniach. Mówiłem już panu o moich i Jerzego Ziętka zwyczajach odbywania samotnych przejażdżek po miastach Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Ponadto, codziennie dla zdrowia chodziłem pieszo do pracy. Miałem też zwyczaj chodzenia z żoną do teatru, czy też do kina. W Warszawie wszystko, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmieniło się, i to zmieniło na niekorzyść. Po wyborze na pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego partii zamieszkałem przy ulicy Klonowej, w budynku rządowym nie opodal Belwederu. Do gmachu KC miałem stamtąd niedaleko, nic więc dziwnego, że postanowiłem chodzić codziennie pieszo na róg Alei Jerozolimskich i Nowego Świata. Pierwsza próba takiego spaceru

сноdniow, podążających w moją stronę, spychali z chodnika. Podobnie zachowywali się ochraniarze idący za mną. Była to, wyznam panu, czysta operetka. Gdy zorientowałem się, co się dzieje, przerwałem całe to przedstawienie.

— O tej, próbie nie słyszałem. W Warszawie, znany był tylko Pańsk spacer z gmachu KC na zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy na Foksal Szedł Pan, pamiętam, w towarzystwie Olszowskiego. Pokazywano ten przemarsz w dzienniku telewizyjnym.

— Panie Januszu, ta i inne próby pokazywnia czy szukania nowego stylu władzy, dowodziły tylko, jak trudno w sposób sensowny i zadowolający wszystkich pokonać ową barierę oficjalności, dzielącą rządzących od rządzonych. Wyznam, że po tym przedstawieniu, jakie zafundowała wówczas telewizja, odczuwałem niesmak i więcej już takich demokratycznych spacerów pod okiem kamery nie odbywałem.

— A propos owego zjazdu dziennikarzy: opowiem Panu, na czym polegała kierownicza rola partii w organizacji twórczej dziennikarzy. Otóż uczestniczyłem w tym zjeździe i kandydowałem w wyborach do Zarządu Głównego. Ponieważ brałem w wyborach udział po raz pierwszy, byłem wręcz zaskoczony ich demokratycznym charakterem. Poza tzw. Komisją — Matką, kandydatów zgłaszał kto chciał, wybory też były niezależne i w rezultacie w sposób naprawdę wolny wybraliśmy Zarząd Główny. Wśród wybranych znalazłem się również i ja. Zaciekawiony udałem się na pierwsze posiedzenie nowego Zarządu; odbyło się wieczorem, wkrótce po ogłoszeniu wyników wyborów. Do dziś pamiętam jak owe zebranie otworzył kierownik Wydziału Prasy Wiesław Bek, czyli nadzorca prasy z ramienia partii, i oświadczył, że w imieniu Frontu Jedności Narodu gratuluje wszystkim wyboru oraz proponuje, aby w skład Prezydium Zarządu Głównego SDP wybrać następujących towarzyszy. To powiedziawszy, wyjął z kieszeni kartkę i odczytał z niej nazwiska przewodniczącego SDP, jego zastępców, sekretarza i członków prezydium. Po tych wyborach czułem się jak lekko ogłuszony.

— Pewnie pan wówczas nie został wybrany?

— To prawda, ale kilka lat później, mimo że na zjazd Stowarzyszenia wybrano mnie ponownie delegatem, w posiedzeniach tego zjazdu już udziału nie wziąłem; uważałem, że kolejna szopka może odbyć się beze mnie. Czy nie uważa Pan, że takie formy „demokracji” i manipulowania środowiskiem dziennikarskim odbyły się później mocną czkawką partii i

nego był w równie demokratyczny sposób „wybierany” przez Pana?

— Jak wyglądała realizacja kierowniczej roli partii w środowisku dziennikarskim — nie wiem, bo tym się naprawdę nie zajmowałem. Wina za takie właśnie wybory, jak pan mówi, spoczywała na obu stronach, to znaczy wydziale prasy i środowisku dziennikarskim. Sądze, że mogliście się zdobyć na protest, na powiedzenie „nie”. Jeśli tego nie czyniliście, kierowaliście się najzwyczajniejszym oportunizmem, a ten oportunizm rozzuchwalał z kolei towarzyszy z wydziału prasy. Mogli to przecież i powinni robić inaczej: a więc zebrać partyjnych członków zarządu i uzgodnić z nimi wybór określonych dziennikarzy. Byłoby to prawdopodobnie bardziej pracochłonne i zajęłoby wiele czasu, bowiem kandydatury trzeba by uzgadniać, tłumaczyć, dlaczego wskazani są ci, a nie tamci towarzysze. Wybrali więc drogę na skróty i ta metoda, choć do czasu skuteczna, musiała, przynajmniej, rodzić frustrację. Gdy przyszedł czas próby, okazało się to dla partii kosztowne.

— A druga część pytania: czy również przed nowo wybranym Komitetem Centralnym pojawiał się Edward Gierek i odczytywał z kartki skład nowych władz partyjnych, a więc Biura Politycznego, KC i jego sekretariatu?

— Nie, tutaj nie było przedstawiciela Frontu Jedności Narodu. Najpierw odbywały się wybory pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego, a potem pierwszy sekretarz proponował wybór nowych władz partii.

— Kto, na przykład, proponował wybór Pana?

— Moją kandydaturę proponował najstarszy, cieszący się powszechnym szacunkiem, członek Komitetu Centralnego.

— Czy istniała, przynajmniej teoretycznie, taka możliwość, że mógł on zaproponować na pierwszego sekretarza nie pana, lecz kogoś innego?

— Teoretycznie taka możliwość istniała, lecz w całej historii, a zjazdów PZPR odbyło się jedenaście, nie zdarzył się taki przypadek. Ale w tej sprawie nie ma co ironizować. W każdej partii o wynikach wyborów na szczycie stanowi kierownictwo tej partii. I jest rzeczą logiczną, że przywódca prowadzący partię na Zjazd, zostanie na tym Zjeździe ponownie wybrany.

— Ale czy takie wybory, które wyborami w całym tego słowa znaczeniu nie były, przysparzały Pana o jakieś emocje?

— Oczywiście. To zawsze moment szczególny, kiedy władza leżała — jeśli nie na ulicy, to teoretycznie przynajmniej, spoczywała w teczkach kilkudziesięciu członków Komitetu Centralnego.

— **Ale teoretycznie możliwość zmiany pierwszego sekretarza, była bardzo nieskomplikowana. Dlaczego wobec tego nie zabezpieczył się Pan przed przewrotem, tworząc na przykład, obyczaj wyboru pierwszego sekretarza nie przez Plenum, lecz przez Zjazd?**

— Praktycznie nie miało to większego znaczenia. Niech pan sięgnie pamięcią wstecz i przypomni sobie, że Stanisław Kania, mimo że został wybrany pierwszym sekretarzem partii przez IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR, został pozbawiony swej funkcji trzy miesiące później, już nie przez Zjazd, tak więc nie tworzyło to dla niego żadnego, rzeczywistego zabezpieczenia. O pełnieniu tej funkcji, a więc władzy, stanowią bowiem nie najlepsze statuty czy przepisy prawne, lecz rzeczywisty układ sił w kierownictwie partii. Moja choroba, po sierpniu 1980 roku, tak fatalna dla mnie w skutkach, nie miałaby tego znaczenia rok wcześniej. Wtedy, zamiast komunikatu z pospiesznie zwołanego Plenum, czytałyby pan w gazetach życzenia dla mnie szybkiego powrotu do zdrowia...

— **Odeszliśmy jednak daleko od zasadniczego wątku naszych rozważań, powróćmy więc do życia prywatnego Edwarda Giereka. Czy nie za łatwo na początku swego urzędowania w Warszawie poddał się Pan życzeniom swojej ochrony? Czy nie mógł Pan im narzucić swego stanowiska i swoich życzeń? Przecież, patrząc całkiem trzeźwo, jest rzeczą aberracyjną, aby o trybie i sposobie życia pierwszego człowieka w państwie stanowili oficerowie jego ochrony, a nie on sam. W końcu Polska za Pana czasów była krajem spokojnym i na Edwarda Giereka, o ile wiem, nie było żadnych zamachów.**

— To prawda, że zamachów nie było, ale życzenia ochrony wszędzie i zawsze są przez przywódców państw respektowane. Trudno, proszę pana, nie uwzględnić argumentacji, że przez lekkomyślność narażam kraj na przesilenie. To nie żart; w kraju komunistycznym każdy zamach na przywódcę partii kosztowałby wiele, nie miałem co do tego złudzeń, również i społeczeństwo. Gdy ochrona oświadczała, że nie jest w stanie zapewnić mi bezpieczeństwa, jeśli będę chodził pieszo po Warszawie, nie mogłem udawać swawolnego Dyzia i nie zwracać na to uwagi. Ponadto dochodził jeszcze jeden element. Twarz moja była tak znana, że gdy kilkakrotnie próbowałem, na przykład, spacerować po Łazienkach, natychmiast wokół mnie gromadził się tłumek ciekawskich, którzy obstępowali

wieży z kości słoniowej.

— Z pewnością nie w wieży; światem, do którego mogłem się schronić, była tylko moja rodzina i ewentualnie kilka ośrodków wypoczynkowych Urzędu Rady Ministrów.

— Czy będąc na urlopie bądź w tak zwanym terenie, miał Pan stałą łączność z Warszawą, z całym krajem i światem?

— Tak, w każdym miejscu miałem stałą łączność telefoniczną. Ponadto stale w Warszawie czekał na mnie dyżurny helikopter, który w ciągu dwóch godzin mógł mnie z każdego miejsca w kraju przywieźć do Warszawy.

— Jak wyglądało Pańskie życie towarzyskie, jakie były Pańskie upodobania i rozrywki?

— Życia towarzyskiego, mówiąc szczerze, nie prowadziłem żadnego. To znaczy nie miałem stałego kółka brydżowego czy innego. Moje życie towarzyskie w każdym przypadku byłoby przedłużeniem polityki. Dlatego też zrezygnowałem z niego świadomie, na rzecz niekrępującego życia rodzinnego. Czas wolny, a miałem go więcej w okresie, gdy chorowałem, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, spędzałem głównie na czytaniu, spacerach, oglądaniu filmów z magnetowidu. Ponadto każdego dnia miałem ogromną porcję codziennych dokumentów do przeczytania. One zazwyczaj zamazywały też granicę pomiędzy czasem wolnym a czasem pracy.

— Jak zmieniło się Pańskie życie po zawale i VI Plenum partii?

— Zmiana była zasadnicza. Łatwiej powiedzieć, co się nie zmieniło. Przede wszystkim niejasny był mój status, byłem pozornie człowiekiem wolnym, a tak naprawdę podlegałem stałej kontroli. Aby nie narażać się na jakieś afronty, organizowane nie przez społeczeństwo, lecz władzę, zacząłem prowadzić bardzo nieruchliwy tryb życia.

— Czy miał Pan poczucie zagrożenia?

— Kilkakrotnie. Musiałem sobie bowiem zdawać sprawę, że niepomysłny dla moich następców obrót sytuacji politycznej może ich pchnąć w kierunku poszukiwania kozła ofiarnego.

— A czy poczucia bezpieczeństwa nie dawała Panu pewna charyzma Pańskiej byłej funkcji oraz spodziewane poparcie radzieckie? „Wielkiemu Bratu” nie mogło być przecież na rękę, aby Edward Gierek, do niedawna

Wieloletni ogrodnik w swoim ogródku. W tle widać budynek mieszkalny. W górnym lewym rogu widoczny jest napis: 'Wieloletni ogrodnik'.

We własnym ogródku



zieniu?

— Miałem pewną świadomość, że Rosjanie nie interesowali się moim losem. Dali wolną rękę moim następcom, a mnie w gruncie rzeczy traktowali jak renegata komunistycznego. Dlatego też Jaruzelski według swego widzimisię mógł mnie więzić w stanie wojennym. Inna sprawa, że moje i moich towarzyszy uwięzienie w grudniu 1981 roku, nie spotkało się ze spodziewanym odzewem społecznym. Nie zrównoważyło też internowania czołówki „Solidarności”. Pytał pan o stan mojego ducha w tamtym okresie. Cóż, wiedziałem że los mój zależy tylko od generała, stąd uczucie niepokoju, które mnie nie opuszczało. A prognoz nie mieliśmy dobrych. Byliśmy bowiem trzymani jak przestępcy i traktowani jak przestępcy.

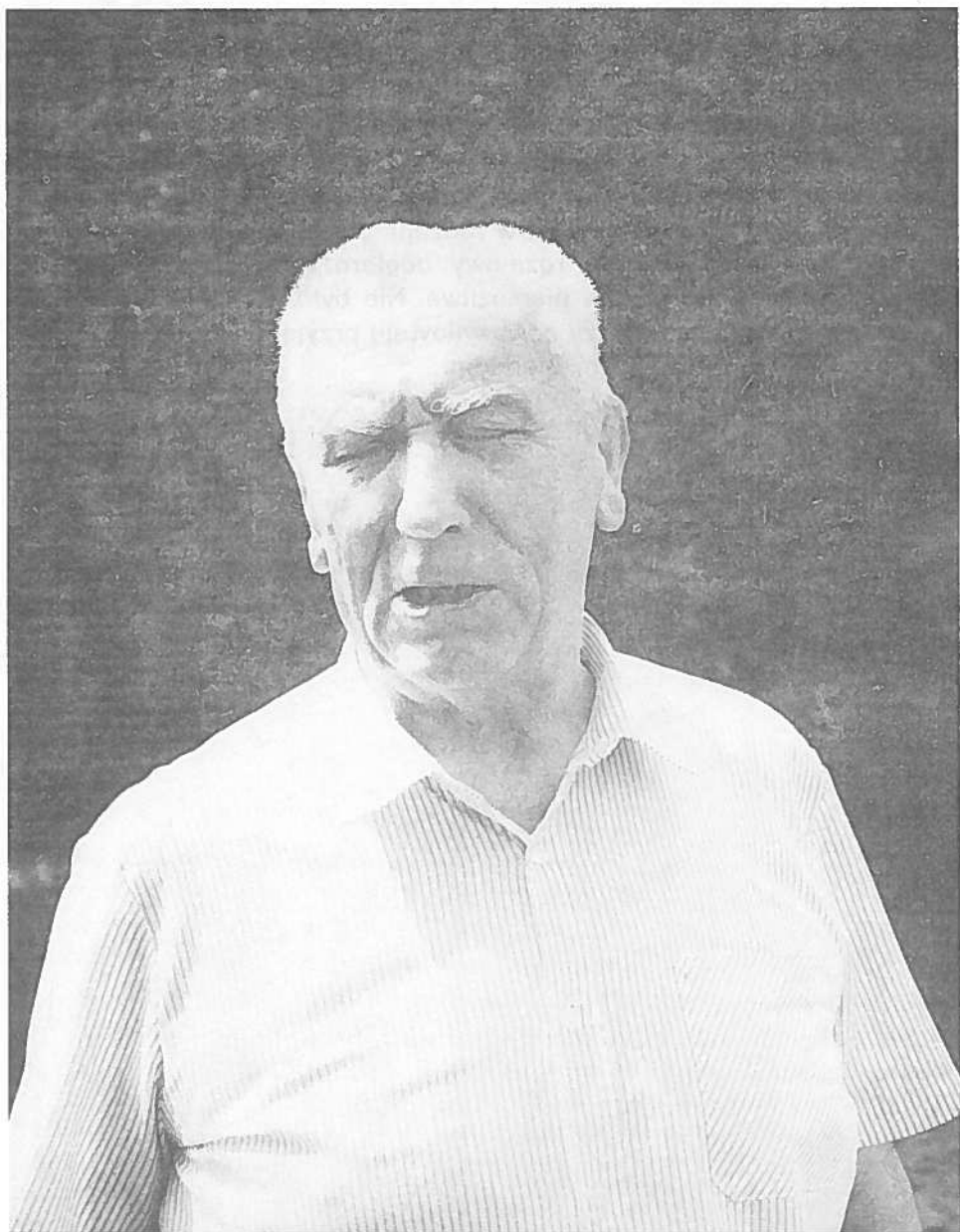
— A co było dla Pana najbardziej bolesne w czasie internowania? Czy nie doskwierało Panu również poczucie odpowiedzialności za los Pańskich współtowarzyszy niedoli?

— Nasze stosunki, przyznaję, były bardzo zróżnicowane, a wzajemne animozje bardzo dolegliwe. Miałem jednak świadomość, iż nasza wspólna przegrana jest rezultatem również i braku lojalności ze strony tam osadzonych. Trudno więc było mi się specjalnie obwiniać za przegraną. Do dokonania pełnej analizy tego, co się wydarzyło, niezbędny był dystans czasowy.

— Jak Pańskie życie zmieniło się po powrocie z internowania?

— Zasadniczo. Dobrze wiedziałem, że każdego dnia mogą do mnie ponownie zastukać panowie mundurowi i zabrać w niewiadomym kierunku. Prowadziłem więc życie na niby. Stale mnie inwigilowano, mój telefon był na podsłuchu. Osoby przychodzące do mnie zazwyczaj przed bramą legitymowano. Nawet moją siostrzenicę wypytywano, po co idzie do Edwarda Gierka. Konsekwentnie tworzone wokół mnie atmosfery zastraszenia. Dążono do odcięcia mnie od kontaktów zewnętrznych. Przed przyjazdem do mnie byłego kanclerza Schmidta odwiedził mnie również dziennikarz zachodnioniemiecki. W przededniu jego wizyty był u mnie jakiś pułkownik z MSW z Warszawy i próbował pouczać, jak powinienem z tym dziennikarzem rozmawiać. Wyznam panu, że zirytowałem się i mocno go zbeształem. Miałem też szczególne epizody z władzą. Jako zbowidowiec miałem, na przykład, wyjechać wraz z delegacją katowicką, na któryś z kongresów ZBOWID do Warszawy. Kilka dni przed kongresem odwiedził mnie wiceprzewodniczący ZBOWID w naszym województwie i prosił, abym zrezygnował z wyjazdu. Z tą sprawą zwracał się do mnie kilkakrotnie, a ja i jego, i jego mocodawców w Warszawie przez kilka dni trzyma-

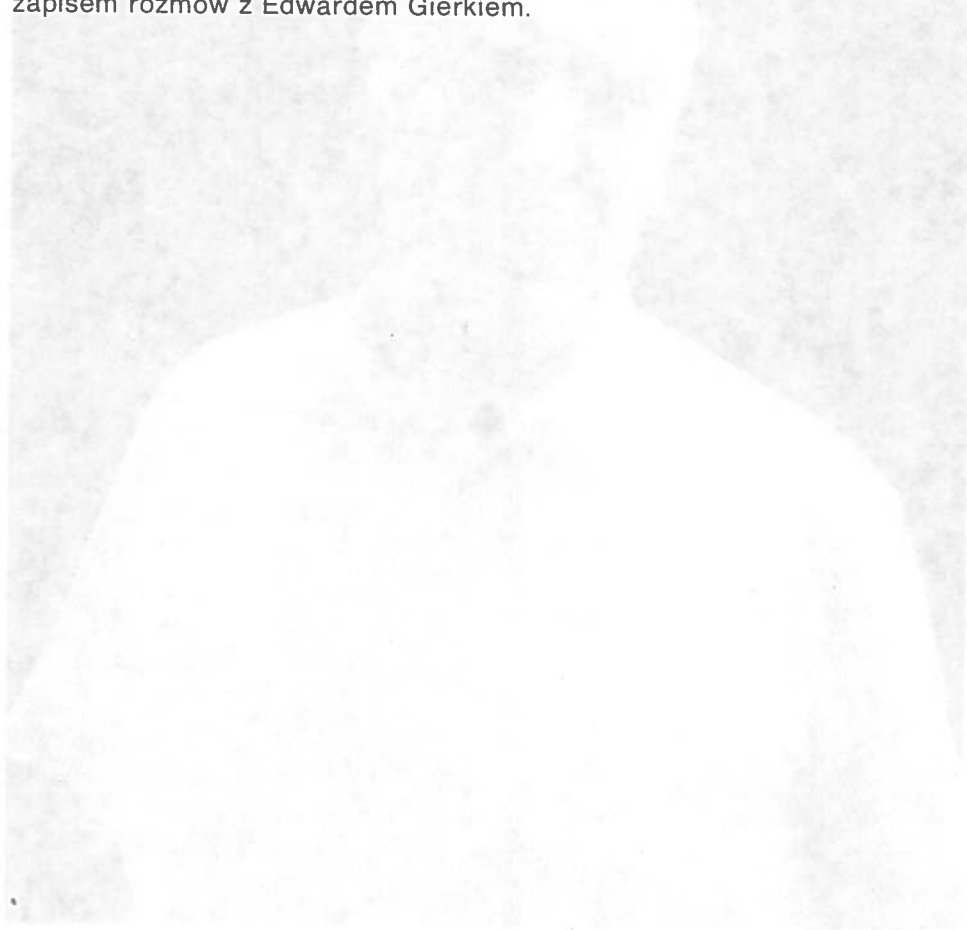
Edward Gierek dzisiaj



... poinformowałem organizatorów, że rezygnuję z uczestnictwa w Kongresie. Uznałem, że sprawa nie warta była zachodu...

— Kiedy skończyła się inwigilacja Pana? Jesienią ubiegłego roku, gdy odbywaliśmy nasze rozmowy poprzedzające napisanie *Przerwanej dekady*, nie byłem nigdy zaczepiany, nie odniosłem też wrażenia, że ktoś mnie śledzi.

— Rozmawialiśmy już po przełomie wyborczym, gdy sytuacja w kraju zmieniła się diametralnie. Wtedy też odetchnąłem bardziej swobodnie. W nowej atmosferze możliwe też było przeprowadzenie szczerzej rozmowy. Zawsze zdumiewają mnie pytania w rodzaju: dlaczego Gierek zdecydował się na przeprowadzenie tej rozmowy dopiero teraz. Ano dlatego, że wcześniej było to zwyczajnie niemożliwe. Nie było w Polsce takiego wydawnictwa, którego redaktorzy odważyliby się przyjąć maszynopis będący zapisem rozmów z Edwardem Gierkiem.



Końcowe refleksje polityczne

Dzisiejsza Polska, w swym kształcie geograficznym i etnicznym, jest i pozostanie dziedzictwem Polski Ludowej. Polska Ludowa, mimo swych wszystkich wad i popełnionych przez jej kolejne kierownictwa polityczne błędów, zapewniła narodowi byt państwowy, a państwu polskiemu podmiotowość polityczną na scenie międzynarodowej. Były to wartości najwyższe, o które walczyły całe pokolenia Polaków. Wszelkie obecnie podejmowane próby czynienia znaku równości pomiędzy Polską Ludową a XIX-wiecznym Królestwem Polskim, zwanym Kongresowym, są tendencyjne, dyktowane złą wolą i niezgodne z prawdą historyczną. Polska Ludowa mimo wszelkich rzeczywistych ograniczeń suwerenności państwowej, mających miejsce przede wszystkim w okresie przedpaździernikowym, była od początku swego istnienia pełnoprawnym członkiem wszystkich organizacji międzynarodowych, poczynając od Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jakie ten status państwa polskiego miał znaczenie, można sobie w pełni uświadomić, gdy porówna się go z powojennymi dziejami Litwy, Łotwy i Estonii. Narody tych państw, powstałych wraz z Polską na gruzach przedwersalskiego porządku, na skutek braku niepodległości straciły znaczną część swej substancji narodowej i poddane zostały dogłębnej rusyfikacji.

Komunistom polskim zarzuca się, że swą postawą i polityką dopomogli Stalinowi w zniewoleniu narodu polskiego. Prawda tymczasem nie potwierdza tych zarzutów. Stalin zniewolił Polskę przy pomocy Armii Czerwonej, oddziałów NKWD za milczącą zgodą zachodnich aliantów Polski. To oni bowiem — jeszcze na konferencji w Teheranie — wyrazili zgodę na oddanie Związkowi Radzieckiemu połowy jej terytorium. To oni, nie protestując, przyzwolili na bierność Armii Czerwonej w czasie Powstania Warszawskiego. To oni wreszcie zadrwili sobie ze świata, godząc się na haniebną sąd w 1945 roku w Moskwie nad wicepremierem Rządu Polskiego Stanisławem Jankowskim i ostatnim szefem Armii Krajowej, genera-

mia Krajowa była częścią sił zbrojnych Wielkiej Koalicji antyhitlerowskiej. Postawa Stalina w tym czasie bezspornie dowodziła, że nie zgodzi się nigdy na zainstalowanie w Warszawie rządu związanego z Zachodem. I gdyby nie rząd lubelski, utworzony przez komunistów polskich, Polska nie odrodziłaby się po wojnie jako państwo dysponujące wszystkimi formalnymi atrybutami stanowiącymi o prawnej niepodległości państw. Polemiści odpowiedzą, że to nieprawda, bo Zachód by się na to nie zgodził. Odpowiem jednoznacznie; to mrzonki! Zachód, i owszem, protestowałby, ale nie ruszyłby palcem w obronie naszej suwerenności. Skończyłoby się na formalnym nieuznaniu zaboru Polski i na antysowieckich demonstracjach w dniu dorocznego Święta Narodów Ujarzmionych.

Przez lata nasza historiografia obracała się w błędnym kole dwóch półprawd; jednej oficjalnej — krajowej, która głosiła, że wszystko w latach powojennych toczyło się wspaniale, i drugiej — emigracyjnej, która dowodziła że komuniści polscy byli sługusami Stalina wyzbytymi instynktu narodowego. Tymczasem nasz dramat mieści się pomiędzy tymi dwiema wizjami. I do jego zrozumienia nie wystarczy tylko nienawiść do Czerwonych. Po wojnie komuniści polscy, nie zawsze nie zrozumieni przez społeczeństwo, lekceważeni często przez komisarzy Czerwonej Armii podjęli próbę zdobycia akceptacji mas ludowych. Próba ta odbywała się w skrajnie niekorzystnych warunkach wewnętrznych i zewnętrznych, towarzyszyła jej aura wrogości ze strony inteligencji i drobnomieszczaństwa. W końcu jednak z władzy w znacznym stopniu narzuconej siłą, udało się nam przemienić we władzę akceptowaną przez społeczeństwo. Walce tej towarzyszył terror, nie obyło się też bez aktów niegodziwości i zbrodni. Ale zwycięstwo obozu władzy stanowiło warunek konieczny do wybicia się Polski na niepodległość, bowiem tylko silna socjalistyczna władza mogła odzyskiwać kolejne przyczółki, warunkujące nasz niepodległy byt państwowy. I ten proces, jego rozwój, wiąże się z ideami polskiego Października. One bowiem przyniosły Polsce w 1956 roku najdonioślejsze zmiany. Aby tak się stało, Polska musiała przejść przez okropności wojny domowej.

Jest jeszcze jeden aspekt, wiążący się z zasługami komunistycznymi dla Polski, aspekt, który będzie na zawsze stanowił o nieśmiertelności tej doktryny i idei w polskiej historii. Jest nim odzyskanie polskich Ziemi Zachodnich i Północnych. Churchill i Roosevelt bez oporów wyrazili zgodę na przyłączenie połowy terytorium Polski do Związku Radzieckiego, ale bardzo niechętnie godzili się na rekompensaty dla Polski na Zachodzie. W gruncie rzeczy ich zgoda dotyczyła jedynie przyłączenia do Polski całych Prus Wschodnich, Gdańska i okolic Łęborka, Górnego Śląska oraz Śląska Opolskiego po Nysę Kłodzką. Z tymi jedynie nabytkami, a więc

bez Wrocławia i Szczecina, byłibyśmy państwem kadłubowym o powierzchni nie przekraczającej 250 tysięcy kilometrów kwadratowych. Stalin, zabiegając o akceptację dla komunistycznej władzy w Polsce, a także dążąc do dozgonnego, aż po grób, związania Polski ze Związkiem Radzieckim, był skłonny naszą granicę zachodnią usytuować jak najdalej na zachodzie. Dzięki temu szczególnie, niepowtarzalnemu zbiegowi okoliczności, powróciliśmy do naszych historycznych granic, i to zarówno na zachodzie, jak i na wschodzie. Staliśmy się jednym z najbardziej narodowych państw w Europie i uzyskaliśmy wewnętrzne przesłanki do odrodzenia się po straszliwej wojnie.

Dlatego dziś jakże pochojne i wręcz niezrozumiałe jest rozprawianie się ze wszystkimi symbolami owych lat. Dla mnie, na przykład, 22 Lipca było świętem symbolizującym nie tylko narodziny Polski Ludowej, lecz także nasz powrót nad Odrę, Nysę i Bałtyk.

Dziś nowi władcy Polski rozliczają się z naszym dorobkiem, przekreślając w sposób bezpardonowy dokonania czasu powojennego. Tym błędem, w tym także i moim, poświęciłem wiele stron i wiele bolesnych uwag tak w *Przerwanej dekadzie*, jak również na kartkach tej książki. Ale przecież bez ich zrozumienia, więcej — akceptacji, nie pojmie się właściwie naszej przeszłości. Tę naszą Polskę skrwawioną i zrównaną z ziemią odgruzowaliśmy i odbudowywaliśmy niemal gołymi rękami. Dokonały tego całe pokolenia, w pierwszym rządzie chłopskie; ludzi wywodzących się z centralnej Polski, ale także znad Zbrucza, Narocza, Czeremostu. Te pokolenia bieżących, wygnańców, pogorzalców, dokonały rzeczy wielkiej: restytucji Polski w nowych i, choć narzuconych, to każdy to przyzna — lepszych granicach. Wraz z pracą tych pokoleń rósł kraj, zmieniała się mentalność społeczeństwa, zmieniał się też nasz poziom wykształcenia i kultury. Polska Ludowa dokonała rzeczy wielkich, przemieniła kraj analfabetów i nędzarzy w kraj ludzi wrażliwych na sprawy kultury, nauki, wrażliwych na hasła równości i sprawiedliwości społecznej. A równocześnie, krok po kroku, odzyskiwaliśmy nasz etos narodowy i nasze prawo do prawdy historycznej. Przekreślić tych lat nikt nie ma prawa i nikt nie ma prawa ich zafalszowywać w imię partykularnych interesów grupowych czy klasowych. Równocześnie dokonał się niemal cud: kraj skazany na zapomnienie, na zaturę, opuszczony przez sojuszników, w których imieniu i dla których rozpoczął swą wojnę o niepodległość i godność człowieczą, uzyskał znaczące miejsce w rodzinie narodów. Miejsce znaczące tak w życiu politycznym, jak kulturalnym, naukowym czy sportowym naszej planety. Nie plujmy na ten dorobek, na te dokonania, spróbujmy spojrzeć na nie bez nienawiści, bez uprzedzeń, aby sprawiedliwie oddzielić ziarno od plew. Historia jest nam, jak każdemu, narodem, naturą, kultu-

to jednak na statusie nędzarzy. Uczyńmy wszyscy, co możliwe, abyśmy nie byli, jak mówił poeta, pawiem narodów i papugą. Nie będziemy tacy gdy nie zatracimy niczego z własnej tożsamości. Stracimy ją natomiast niewątpliwie, jeśli będziemy tylko patrzyli w przyszłość, nie oglądając się na doświadczenia wyniesione z minionych czterdziestu pięciu lat. Świat nam bowiem rzuca wyzwanie, do którego nie jesteśmy przygotowani. Zawsze marzyłem, byśmy do Europy Ojczyzn, gdy dojdzie do ich połączenia, wkraczali jako kraj zamożny i potężny swymi dokonaniem w dziedzinie wytwórczości ludzkiej. Niestety, stało się inaczej.

W najbliższych latach najważniejsze dla nas jest zdobycie bezpiecznej pozycji wśród narodów świata i wydobyć się z wieloletniej mizerności gospodarczej. Nie ma poważniejszego narodowego zadania na dziś i jutro, jak rozwój gospodarczy kraju i stworzenie silnej ekonomicznie i nowoczesnej Polski. Pluralizm polityczny, ścieranie się różnych poglądów winno służyć realizacji tej idei. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, tego zadania nikt za nas nie wykona. O ile siłą nośną była idea wybitcia się na pełną suwerenność, to dziś siłą nośną społecznie musi się stać wybitcie na ekonomiczną i techniczną nowoczesność. W Europie — naszym wspólnym domu, nikt nam nie przyzna apartamentu za przeszłość czy historyczne zasługi. Tam czynsz płacony będzie zgodnie z prawami gospodarki rynkowej. Dla biednych poddasze, dla bogatszych pokoje i apartamenty. Do Europy wejść musimy po przezwyciężeniu marazmu gospodarczego z prężnie rozwijającą się gospodarką — o ile chcemy w niej zająć miejsce godne naszego narodu. Nie oznacza to wcale, że lekceważymy czy odrzucamy pomoc innych. Wręcz odwrotnie. Jeśli natomiast chodzi o bezpieczeństwo zewnętrzne, to nie uzyskamy go bez stworzenia nowych zasad bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. Te zasady mogą dziś być trwalsze i lepsze niż w minionych 45 latach, ale nie dokonają się bez znalezienia *modus vivendi* z głównymi adwersarzami światowej sceny politycznej. Mamy dziś szansę zbudować nasze stosunki na arenie międzynarodowej na zasadzie dobrego porozumienia tak ze Związkiem Radzieckim, jak i ze Stanami Zjednoczonymi. Dziś Europa chce się oprzeć na konstrukcji Paktu Północnoatlantyckiego. Jeśli Pakt ten nie przemieni się w organizację ogólnoeuropejską, to na pewno nie rozwiąże się w pełni, z jego pomocą, polityki bezpieczeństwa na naszym kontynencie. Tak jak Niemiec nie można zostawić poza nawiasem paneuropejskiej organizacji militarno-politycznej, jaką jest NATO, tak Związku Radzieckiego nie można wysadzić poza nawias Europy. Zbliży się bowiem dzień, gdy główne wyzwanie dla Europy nadejdzie nie ze strony Euroazji czyli Związku Radzieckiego, lecz ze strony Dalekiego Wschodu. Dzień ten nadejdzie wtedy, gdy Chiny wpręgą wrodzone talenty technologiczne i pracowitość ludz

Wschodu w rydwan najnowocześniejszej w świecie technologii japońskiej. Wtedy Związek Radziecki stanie się prawdziwą tarczą Europy. Im wcześniej Europa to sobie uświadomi, tym dla niej będzie lepiej. Wtedy też znacznie niebezpieczeństwo niemieckie, które ponownie zelektryzowało znaczne połacie naszego kontynentu. W skali makro Europa potrzebuje swego europejskiego Wschodu. Każdy to pojmie i zrozumie, kto na dzieje naszego kontynentu spogląda bez uprzedzeń. Lecz jest też skala mikro, skala dominujących partykularyzmów narodowych i państwowych. Z tego punktu widzenia, Europa Zachodnia przypomina dziś dawną Helladę, dumną ze swych dokonań, ale skazaną na upadek, na zniszczenie przez dookolny świat barbarzyński. Jeśli Europa Zachodnia zasklepi się w swym egoizmie i zazdrośnie będzie strzec swej zamożności i wyższości, jej obrzeża, w tym również i Polska, nie podniosą się z gruzów, ale też z pewnością nie pogodzą z przypisaną im w takim wypadku pozycją swoistego *Hintterlandu*. Powinniśmy to uświadomić Europie, jej egoizm jest bowiem niebezpieczny nie tylko dla nas i naszych wschodnich sąsiadów, lecz także dla niej samej. Jeśli więc nie powstanie amerykańsko-europejski realny plan pomocy, plan dzięki któremu nasza część kontynentu podpłynęłaby do jego części zachodniej, nie będzie w Europie spokoju a nagromadzone od lat przeciwieństwa spowodują eksplozję, która może przynieść ogromne szkody Europie i światu.

Zachód jest winien Europie Wschodniej, a w pierwszym rządzie Polsce, nowy Plan Marschalla nie tylko z racji zdrowo-rozśądkowo-ekonomicznych, lecz także moralnych. Do dziś świat nie tylko nie spłacił Polsce wielkiego moralnego długu lecz nawet o nim zapomniał. W tym miejscu pozwolą mi Państwo na dygresję historyczną. Wszyscy znamy kulisy i genezę drugiej wojny światowej, zbyt często jednak tłumaczymy pewne fakty opacznie. Plany Hitlera przedstawione są zazwyczaj jednostronnie, dostrzega się w nich słabą i okrażoną Polskę, skazaną na pożarcie przez potężnego sąsiada. Prawda jest bardziej złożona. Hitler bowiem do wiosny 39 roku snuł plany wciągnięcia Polski do paktu antykominternowskiego. Liczył na nasz potencjał ludnościowy i bitność żołnierzy. Jego plany rewindykacyjne wobec Polski były wówczas niewielkie, dotyczyły Wolnego Miasta Gdańska, którego Polska i tak nie posiadała, i szosy eksterytorialnej z Rzeszy do Prus Wschodnich. Były to więc żądania, w porównaniu do późniejszych, znikome. Za cenę tych rewindykacji, Hitler przed Beckiem, jeszcze 3 stycznia 1939 roku w Berscheshagen, roztrząsał miraż wielkich zdobyczy na Wschodzie. Zdawał sobie doskonale sprawę, że Polska jest kluczem do podboju bezkresnych równin Rosji Radzieckiej. Trzeba też oddać dziejową sprawiedliwość rządowi polskiemu i ministrowi Beckowi, że

sojusz z przeciwnikami klanu...
żało pokojowe zniewolenie Polski. Nie trzeba wiele wyobraźni, by sobie dośpiewać, jak potoczyłyby się losy świata w razie przystąpienia Polski do paktu antykominternowskiego. Tak więc w tamtym roku, to fakt bezsprzeczny, Polska w sposób decydujący wpłynęła na bieg dziejów ludzkich. Dzięki odważnej i straceńczej odmowie polskiego rządu świat nie przemienił się w faszystowską *Pax Germanica*. Ta właśnie odmowa Polski, dla Hitlera niespodziewana, skłoniła go do karkołomnego sojuszu ze Stalinem. W odróżnieniu od Becka Stalin skłonny był pójść na zbójcki układ z Hitlerem. Cenę za ten układ Hitler jednak zapłacił wysoką, a była nią zgoda na oddanie Rosjanom 51,5 procent terytorium Polski. Niespełne dwa lata później Hitler zaatakował Moskwę nie z linii Zbrucza i z okolic Mińska Litewskiego, lecz z linii Bugu i okolic Białegostoku. Był to ten przysłowiowy koński paznokiec, którego mu zabrakło, aby zdobyć Moskwę. Dzięki Polsce uratowała się Anglia; czas potrzebny na przetrwanie polskich zdobyczy Anglicy mogli wykorzystać na dozbrojenie. Z Polską historia obeszła się jednak najsrożej: najpierw dwie okupacje, wywózki do obozów w Rzeszy i na Sybir i kilkakrotne przetoczenie się walca frontowego. Gdy porówna się tę hekatombę ofiar z ceną, jaką zapłaciły narody współpracujące z Rzeszą hitlerowską, a myślę tu o Włochach, Francuzach, Węgrach, Rumunach, Bułgarach, Finach, czy Słowakach, widać całą skalę perfidii historii. Tego długu świat nigdy nie spłacił Polsce. Dla każdego myślącego człowieka jest oczywiste, że nasze „Nie”, w sposób zasadniczy wpłynęło na wielkość podbojów hitlerowskich. Nie wierzę też, aby w razie podboju przez Rzeszę Związku Radzieckiego, Amerykanie w późniejszej fazie wojny byłiby w stanie przeciwstawić się Hitlerowi. Ma więc dziś Polska prawo upomnieć się o należną jej pomoc, pomoc niezbędną do rozwinięcia naszej gospodarki i wyjścia z długotrwałego kryzysu gospodarczego. Podanie ręki krajom naszego regionu leży zresztą w interesie całej wspólnoty zachodniej. Pozostawienie nas samym sobie byłoby świadectwem zbrodniczej głupoty. Zbyt wielka różnica poziomów w rozwoju technologicznym i cywilizacyjnym, w samym centrum Europy musi się odbić rykoszetem na zamożności państw zachodnich. Stany Zjednoczone stać było na historyczną decyzję przyścia z pomocą zniszczonej wojną Europie. Pieniądze dano zwycięzcom i pokonanym. Dając tę pomoc, Ameryka stworzyła sobie zaplecze europejskie, dzięki któremu po latach mogła wygrać zimną wojnę. Dopóty, dopóki jednak z głębokich tarapatów nie zostanie wyciągnięta i druga część Europy, zimna wojna nie jest tak naprawdę wygrana; ona w każdej chwili może wrócić...

Jeśli zostaniemy pozostawieni samym sobie, a zamożne społeczeństwa jeszcze raz wykażą się egoizmem narodowym i klasowym, to naszą przyszłość historia namaluje w czarnych barwach. Zubożenie Polski jest

bowiem straszliwe. Spożycie spadło dziś o blisko 40 procent, moce przemysłu wykorzystywane są ledwie w połowie i obszary nędzy chwytają w swe macki coraz większe rzesze ludzi. Cierpliwość społeczeństwa jest z pewnością ograniczona, tym bardziej że jak dotąd nie została wykorzystana do wielkich zmian strukturalnych bądź jakościowych, dzięki którym pojawiłoby się jakieś światło w tunelu. Dziś GUS nie podaje informacji przekrojowych o skali spadku spożycia w Polsce. W ostatnim roku nożyce podatkowe zniszczyły rzemiosło, zahamowały rozwój zakładów, a zdeorientowane i poddenerwowane społeczeństwo oczekuje cudu. O cudzie, jak dotąd, nie słyhać. Następuje destabilizacja rolnictwa z upadkiem części gospodarstw, rośnie determinacja rolników. Coraz większe rzesze mych rodaków zirytowane są skalą dokonującego się rozwarstwienia. Te dwa kręgi — z jednej strony nowobogactwa, a z drugiej ubóstwa — mogą doprowadzić do eksplozji. Mówię o tym bez cienia satysfakcji czy jakiegokolwiek *schadenfreude*. Rzecz jest zbyt poważna, by można było mówić o niej spokojnie. Pragnę jednak zwrócić uwagę ludziom, którzy dokonują zmian strukturalnych w Polsce, że społeczeństwo nasze, choć nie lubi władzy socjalistycznej, jest przywiązane do haseł i programu socjalistycznego. Bo socjalizm to nie gmachy komitetów partii, lecz przede wszystkim program sprawiedliwości społecznej i równości. I niezależnie od błędów realizacyjnych, wiele programów, nawet nie spełnianych w pełni, było przez szerokie kręgi społeczne akceptowanych. Gdy więc pewnego dnia obudzimy się w kraju, w którym płatne będą wyższe uczelnie i szkoły średnie, w którym będą płatne lekarstwa i leczenie, kraju, w którym oddanie dziecka do przedszkola bądź wysłanie na letnie kolonie będzie wymagało wydania całej pensji, kraju, w którym młode małżeństwa nie będzie stać do końca życia na kupienie mieszkania — będzie to znak, że nasz rozwój nie jest właściwy. Moim zdaniem ci, którzy sądzą, że sama niechęć do elity komunistycznej, czyli tzw. nomenklatury wystarczy, aby w naszym kraju wprowadzić wilcze prawa młodego kapitalizmu, są w głębokim błędzie. Wiem, że à rebours ludzie dziś rządzący przeżywają podobne rozterki do tych, które mieli komuniści tuż po wojnie. Z cudzego było zawsze łatwiej dawać, i nieważne czy była to ziemia pańska oddawana chłopom, czy domy czynszowe oddawane ich lokatorom. Po prostu zawsze łatwiej jest zgłaszać program rewindykacyjny niż program pozytywny, zwłaszcza wtedy, gdy pusta jest kasa, a apetyty społeczne dalekie do zaspokojenia. Nie sprawia mi wcale satysfakcji fakt, że dzisiejsi posłowie senatorowie odbierają załogom robotniczym to, co było niekwestionowaną ich zdobyczą przed Sierpniem, mimo, że w tymże Sierpniu gromkim głosem wołali o kolejne 25 procentowe podwyżki, i to wszystkim po rów-

nie ukrywam, że uziwił mnie zapalenie się naszych reaktorów na drugą stronę Atlantyku. Przeskok od koncepcji państwa opiekuńczego do państwa na wzór Ameryki, które nie gwarantuje swym obywatelom niczego, a szermuje tylko hasłem: „bogaćcie się, bo z wami będzie bogaciło się państwo”, jest, moim zdaniem, zbyt radykalny. Zanim staniemy się Ameryką, nie powinniśmy zapominać o potrzebie rozwijania spożycia zbiorowego, bo ono stanowi najlepsze remedium na rozwarstwienie społeczne i ono najlepiej zabezpiecza warstwy mniej aktywne gospodarczo przed negatywnymi skutkami kapitalizmu.

Historia udzielała i udziela narodom wiele bolesnych lekcji. Nam Polakom zapisała na trwałe, że ilekroć byliśmy rozbici i swarliwi, traciliśmy wiele jako naród i państwo, kiedy zaś do tego dochodziła prywatna, stawaliśmy przed groźbą zagłady. Nie nawołuję do jedności pozornej ani za wszelką cenę. Pluralizm polityczny oznacza prawo do różnych poglądów i możliwość organizacji dla ludzi. Czyż jednak walka idei musi oznaczać walkę ludzi? Kultura polityczna społeczeństwa wyznaczać winna granicę owej walki. Wyznaczać je winien interes państwa i społeczeństwa. W naszej zaś sytuacji dyktuje on jedno — wszystkie zdrowe siły społeczne na wyrwanie kraju z mizerności gospodarczej, na przedstawienie Europie innego obrazu Polski i Polaków. Chcielibyśmy być krajem ludzi twórczej pracy, mądrej i racjonalnej gospodarki, ludzi łaknących nowoczesności — społeczeństwa różniącego się poglądami politycznymi, ale zjednoczonego w pracy dla siebie i kraju. Takiej Polski i Polaków pragnie Europa — takie oblicze naszego kraju i narodu potrzebne jest i nam dla odzyskania wiary w nasze narodowe wartości.

Piszę o tym, abyśmy nie zapominali o ideach zrodzonych przez myśl socjalistyczną. Wydaje mi się bowiem, że zbyt pośpiesznie i pochopnie zostały pochowane na komunistycznym cmentarzu. Wiem, że do czasu Komuny można nawet straszyć dzieci, ale wiem, że tylko do czasu, gdy strach przed nią zniknie co nam pozostanie... Czy wtedy znów zaczniemy swój taniec chocholi?

Dziękuję za rozmowę
Janusz Rolicki

Katowice–Warszawa maj–sierpień 1990 r.

Listy do Edwarda Gierka

Książka *Edward Gierek: przerwana dekada* spotkała się z bardzo żywym oddźwiękiem czytelnictwem. Świadczy o tym niezwykle wysoki, wręcz rekordowy, jak na polskie stosunki, nakład 900 tysięcy egzemplarzy oraz listy Czytelników, którymi został zasypany Edward Gierek. W zdecydowanej większości, w 99 bez przesady procentach są one dla byłego pierwszego sekretarza partii przychylnie. Oto ich wybór pozwalający się zorientować w charakterze nadesłanej korespondencji.

I jeszcze jedna uwaga: dysponując pełnym wykazem nazwisk i adresów nadawców poniższych listów, publikujemy je podpisując korespondencje inicjałami imienia i nazwiska oraz miejscem ich nadania. Nie mamy bowiem prawa narażać kogokolwiek na przykre konsekwencje, a mogłyby się one stać udziałem autorów listów do Edwarda Gierka. Wszystkim autorom listów tą drogą bohater *Przerwanej dekady* dziękuje za zainteresowanie i przesłane korespondencje.

„Pozdrawiam Pana i mówię Panu dzień dobry”

Po pierwsze muszę się usprawiedliwić. Mój list wysyłam do Pana o 10 lat za późno. Proszę mi wierzyć, tak bardzo chciałam do Pana napisać »wtedy«. Bardzo chciałam móc uścisnąć Panu rękę, podziękować za to, co zdołał Pan zrobić, i wyrazić swój żal, że już nie może Pan dalej działać. Wszystko, czego dorobiłam się w życiu zawdzięczam Pana dekadzie. Już za Pana sekretarzowania na Śląsku przyjechałam z województwa rzeszowskiego. Przyjechałam dostojnie z niczym, z dwojgiem małych dzieci, tobołkiem ciuchów i łóżeczkami dziecięcymi. Przeżyłam nieudane małżeństwo i tu, pod Pana opieką, zaczęłam wszystko od nowa. Złożyłam nową rodzinę. Dzięki pracowitości mojego męża i mojej oszczędności dorobiliśmy się mieszkania, w którym mieszkam do dzisiaj. Mimo, że jest w tak wyszydanych szarych blokach, jest wygodne, ładne, nigdy bym go nie zamieniła na inne. Kupiliśmy całe umeblowanie, sprzęt gospodarstwa domowego. Braliśmy wszelkie dostępne raty i pożyczki. Byliśmy ciągle zadłużeni, ale i tak starczało na zabawki i słodycze dla dzieci i, zapewniam Pana, że na jedzeniu nie musiałam oszczędzać. Dzieci corocznie wyjeżdżały na ferie zimowe i wakacje letnie. Przynajmniej poznały trochę kraj (a były na kolonii w Czechosłowacji i w NRD) i teraz będzie im może żej siedzieć w jednym miejscu, kiedy widzieli już morze i góry, i jeziora. Tylko my z mężem czekaliśmy, aż już przyjdzie moment na odpocznęk

Pan Edwardowi Gierkowi
z zaproszeniem do przemówienia

Adam Mickiewicz

20 V 30v.

**szanse
polskiej
demokracji**

chem. Zrobiliśmy nawet paszporty, aby wreszcie wyjechać na wczasy, i to od razu zagraniczne. I właśnie wtedy zabrakło nam Pana. Jestem tak rozżalona. Gdyby to Pan skazał nas na obecną vegetację, zrozumiałabym od razu i pogodziła się z tym. Wiedziałabym, że za te tłuste lata muszę teraz pocierpieć. Ale nie przez nich. Nie pogodzę się z tym. Byliśmy z mężem oboje bezpartyjni (...) Teraz ciągle słyszę, że największą zdobyczą jest to, »że nikt za mną z pałką nie chodzi« — to są słowa pana Wałęsy. Nikt mnie nie kontrolował, mówiłam i robiłam, co chciałam. Po co mi ta rzekoma wolność? Nigdy nie żyłam w ucisku... Teraz mam 40 lat. Dzieci już pracują, nie widzę dla nich przyszłości. Żyjemy tylko od wypłaty do wypłaty. Przestałam chodzić do fryzjera i kosmetyczki. Zwolniłam się z pracy, bo już nerwowo nie wytrzymałam otoczenia, które czuło się odnowicielami. Mąż zarabia coraz mniej. Zawsze pracował dużo w godzinach nadliczbowych i w dni wolne, a teraz nie ma tej możliwości. Nie wie, czy po 23 latach pracy w jednym zakładzie nie zostanie teraz zwolniony albo zakład nie zostanie zamknięty (...) Po przeczytaniu książki o Panu, mam teraz do Pana po raz pierwszy żal. Dlaczego Pan dał się tak podejść? Dlaczego patrzył Pan przez palce na podchody w Pana ekipie... Skrzywdził Pan nie tylko siebie, ale nas wszystkich. Z tym że ja dalej wierzę w Pana i tak będę wspominać te czasy i opowiadać wnukom jak wspaniale się żyło i komu to zawdzięczaliśmy. To był piękny i kolorowy kraj, ta Polska tamtych Pana czasów. Może Pan bez wstydu patrzeć wszystkim w oczy i mówić, że to była Pana zastuga. Życzę Panu dużo zdrowia. Mam nadzieję, że doczekam oficjalnych przeprosin Pana''. **E.S. Knurów.**

„Wielce Szanowny Panie Gierku!

W moim odczuciu jest Pan jedynym powojennym przywódcą Polski godnym szacunku i miana Wielkiego Polaka. Dzięki Panu Polska lat siedemdziesiątych stawała się gospodarczo niezależna od wschodniego sąsiada i była uznawana politycznie przez Zachód. Dzięki Panu zostały rozrudzone aspiracje narodu. Ludzie zobaczyli, że można żyć lepiej, wygodniej, nowocześniej, po prostu inaczej. Wszystko wtedy miało sens i każdy mógł mieć cele w życiu, które stawały się realne do osiągnięcia. Gdy analizuję z mężem i córką (20 letnią) ten okres naszego życia i porównuję go z latami osiemdziesiątymi, jawi się on jako okres słoneczny i pełen spełnionych oczekiwań. Natomiast dekada następną to mrok upokorzenia, destabilizacja i wewnętrzne rozterki. W Pana dekadzie była w narodzie niechęć do życia i działania, którą zmiążdżył generał. Dlatego też ucieszyłam się, gdy w Pana książce odnalazłam potwierdzenie odczuć co do tej osoby. Obwiniam go za zniszczenie gospodarcze kraju, za doprowadzenie narodu do obojętności, marazmu i niechęci do działania. Potrzeba będzie wielu, wielu lat do przywrócenia równowagi zarówno gospodarczej, jak też w psychice ludzi. Nie mogę pogodzić się z faktem, że to on piastuje urząd Prezydenta RP. Wielka szkoda, że zaprzepaszczone zostały te wszystkie szanse, jakie rysowały się przed Krajem w latach siedemdziesiątych... Proszę nie myśleć, że naród w ogólnej swej masie żywi do Pana niechęć. Naród jest Panu wdzięczny za chociaż jedną dekadę normal-

kiego stanu, a funkcjonujący system polityczny, nawyki ugruntowane przez 30 lat działania tego systemu, wyzwały w ludziach wszystkie najgorsze cechy. Proszę przyjąć wyrazy uznania i szacunku dla Pana osoby i poczynić. Pozostanie Pan zawsze w mojej pamięci jako człowiek pełen dumy narodowej, godności, ambicji i poświęcenia. Jako Wielki Polak i patriota. Pozdrawiam i życzę dużo zdrowia". **M.R., Łódź**".

„Szanowny Panie!

(...) Uważam, że zawdzięczam Panu dwie podstawowe sprawy, o których nie zapomnę i o których pamięć przekażę memu synowi, obecnie pięcioletniemu. Po pierwsze prawdę o tym, że za Pana kadencji nikt mi nie ubliżał, a gdy przyszedł czas próby, ogólnospołecznej, myślę o Sierpniu, nie zawiódł mnie Pan i nie pozwolił na przelanie krwi. Zarównocześnie, jak i późniejsze doświadczenia wskazują, iż było to, niestety, możliwe i »prostsze«. Dziękuję Panu za to. Po drugie mam świadomość, że w dużej mierze to, czym kraj dysponuje — choć jest to przecie hańbiąca bieda! — jest w dużej mierze, mówię bez przekory, Pana zasługą, pozytywnie w tym sensie, że gdyby nie polityka lat siedemdziesiątych to w ogóle nie byłoby czego zbierać... **A.D., Warszawa**".

„Szanowny Panie!

Proszę wybaczyć, że piszę do Pana i zabieram czas, ale właśnie za kończyłem przed chwilą lekturę Przerwanej dekady i jestem pod jej ogromnym wrażeniem. Sądzę, że Przerwana dekada jest najważniejszym dokumentem dla Polski powojennej i ruchu lewicowego. Pozostał też żal, że tak i dziś szanowany Człowiek, jakim jest Pan — nie zwrócił się w swoim czasie do społeczeństwa z pełną prawdą. Nie mielibyśmy dziś tej ogromnej nędzy w naszym kraju, kraju bez żadnej pozytywnej przyszłości dla szerokiej rzeszy społecznych... Wracając do głównej myśli, jaką pragnę Panu przekazać, potwierdzam przypuszczenie, że kampania przeciwko Panu miała charakter zorganizowany przez »współtowarzyszy«. Przypomnę nam sobie, że instruktorzy Karkoszki uczestniczyli w zebraniach wielkiej POP udzielając szerokiej »informacji« o Panu. Pojawiło się też wiele ulicznych potępiających Gierka, które, o dziwo, można było uzyskać w KC. Uczestniczyłem w IX Zjeździe i pamiętam doskonale, jak to panowie: Jaruzelski, Rakowski, Kania, Moczar i Jagielski przeciwstawiali się zaproszeniu Pana na salę obrad. Jak bardzo się starali, by salę przekonać, że nie jest Pan tu potrzebny. Podczas przerwy w obradach były nawet naciągane indywidualne w poszczególnych grupach delegatów. Ostatecznie Zjazd dał się omotać, a wynik jest znany (...) Moje środowisko, rodzina, znajomi wyrażają jednoznacznie opinię, że lata siedemdziesiąte, lata Gierka był najlepszym okresem w ich życiu. Zewsząd słychać takie sformułowanie: Ma Pan po stokroć rację twierdząc, że Polacy wcześniej czy później zwrócą się w stronę ideałów socjalistycznych. Bo to, co się nam proponuje dzisiaj i na jutro, budzi zgrozę. Mam 56 lat i nie o takiej Polsce marzyłem. Proszę mi wybaczyć, że podczas IX Zjazdu byłem przeciwko Panu. Ci wielu lat już tak nie jest. Składam Panu wyrazy dużego szacunku i uznania

nia. Życzę dobrego zdrowia i długich lat życia, które jest jeszcze ważne i potrzebne dla Polski. Oczekują ja i chyba cała Polska na dalsze Pana publikacje. Pozostają pełen szacunku" — J.S., Bydgoszcz.

Szanowny Panie!

(...) Wrzawa, a właściwie wrzask — i ataki na Pana, jakie rozpętały się po ukazaniu tej książki, ciągle jeszcze wskazują na Pańską siłę, gdyż — jak słusznie Pan zauważył — poprzednia nagonka na Gierka również spowodowana była strachem. Z wielką zachłannością przeczytałem tę książkę, z kilku zresztą powodów — jest Pan pierwszym byłem Pierwszym, któremu coś takiego opublikowano, mało tego — który zdecydował się opowiedzieć, jak to jest. — We mnie osobiście wspomniana pierwsza nagonka na Pana wyzwoliła wprost przeciwne od oczekiwanych efekty tzn. raczej żal i sympatię, tym bardziej iż nie myślałem, że będzie Pan miał kiedykolwiek jakąkolwiek szansę obrony. Notabene działalność propagandystów z Pańskiej ekipy w 1976 roku również wzbudziła we mnie wprost przeciwne uczucia, tyle że tym razem pojawiła się niechęć do Pana. Myślę, że to już wtedy ktoś zaczął »pracować« nad panem (...) — po trzecie: w Pańskiej dekadzie byłem już dorosłym człowiekiem (mam 35 lat) i dość pamiętam i atmosferę tamtych lat, i kawały, i rzeczy, których pojąć nie mogłem, a teraz rozumiem. — Po czwarte: byłem ciekaw, czy dostrzeże Pan swoje błędy i opowie również o nich, bo były to rzeczy dostrzegalne przez takich szaraczków jak ja. Szkoda, że tego Pan nie zrobił, rymo całkiem zrozumiałego subiektywizmu odrobina obiektywizmu (nieco większa) ogromnie zwiększyłaby siłę tej książki. I Pańską również. Jeszcze raz oozwałam sobie życzyć Panu oraz Pańskiej rodzinie dużo zdrowia i pomysłowości, jak również przesłać wyrazy sympatii" — M.S., Słupsk.

„Szanowny Panie I Sekretarzu,

Z uwagą przeczytałam pańską książkę i chciałabym się podzielić z Panem kilkoma moimi spostrzeżeniami. Dla informacji podaję, że mam 37 lat, wykształcenie wyższe i nigdy nie byłam członkiem żadnej partii ani „Solidarności«. Moja ocena wydaje się być obiektywna, gdyż nie mam żadnych przekonań ideologicznych. Interesuje mnie jedynie dobro mojej ojczyzny. Otóż Pański przekaz historyczny, bo tak go można chyba określić, est bardzo przekonujący i trzeba być ślepcem, żeby nie widzieć, że jest Pan patriotą i dobrym Polakiem. Osiągnięcia gospodarcze i socjalne Pańskiej ekipy są niezaprzeczone. Mogę jeszcze dodać, że Pańska polityka przyczyniła się znacznie do zurbanizowania polskiej wsi, czego Pan nie wymienił. Faktem jest również, że następna ekipa zmarnowała dużą część Pana dorobku. To są fakty i historia na pewno omeni to należycie, niezależnie od prób zniesławienia Pana. Jednakże, jeżeli chodzi o Pana ascynację socjalizmem jako systemem sprawiedliwości społecznej, to chciałabym zwrócić Pańską uwagę, i sądzę, że Pan sobie z tego zdaje sprawę, że ma on mało wspólnego ze sprawiedliwością. Stwarza on bowiem możliwość przedmiotowego traktowania ludzi.

lat tyko miszeryn i Polskę, to mówią to stręgę, ...
demdziesiątych, ogólnie cały nasz Blok jest o kilkadziesiąt lat zacofany w
stosunku do Zachodu. Porównanie gospodarcze obu systemów, niestety
jest dla socjalizmu niekorzystne. Gospodarczo i ekonomicznie system ten
skompromitował się w całej Europie Wschodniej i mimo Pana przewidy-
wań nie sądzę, żeby ktoś był na tyle szalony, aby chcieć do niego wrócić
w przyszłości (z wyjątkiem nurtu socjalnego, ale to już jest sprawa zwią-
zków zawodowych). Życzę Panu dużo zdrowia i wielu sukcesów i myślę, że
z taką światłością umysłu i inteligencji wypłynie Pan jeszcze na arenę po-
lityczną Polski. Dziękuję Panu serdecznie za książkę i czekam na następ-
ne. Łączę wyrazy szacunku" — **M.P.**, Warszawa.

„Drogi Panie E. Gierek.

Dziękuję Panu gorąco za książkę, którą przeczytałam jednym tchem
Cieszę się wreszcie, że może Pan się obronić, wyjaśnić szerokim kręgom
społeczeństwa, z kim Pan pracował i jaką ocenę wystawia Pan swoim
współpracownikom. Nie byłam nigdy członkiem partii, nie pełniłam nigdy
funkcji kierowniczej. Pracuję w szkole jako nauczycielka matematyki. By-
łam Pana entuzjastką. Duszą i sercem byłam oddana Pana poczynaniom
Jestem od 25 lat mężatką, 2 udane córki i wspaniały mąż, oczywiście pra-
cował w aparacie na Żoliborzu, później w KW. Skończyła się era Gierka
skończyła się kariera męża. Były różne szykany, oskarżenia, że córki
chodzą do kościoła, że praktykują. Na różnych zebraniach publicznie py-
tano męża, dlaczego żona nie jest członkiem partii. Wierzę, że Pana na-
stępcy chcieli i chcą dobrze dla Polski, ale byli wielkimi nieudacznikami..
Moje wtedy jeszcze małe córki leczyła p. dr Bohuszewicz — kierowni-
ca przychodni na Wiejskiej, wspaniała lekarz i człowiek. Po Pana odejściu
spotkałyśmy się przypadkowo na ulicy. Była też zszokowana postawą Ka-
ni i innych kolegów Pana. Twierdziła, że była w domu Państwa w Kłaryse-
wie, gdy któreś z wnucząt chorowało. Stwierdziła, że nie zauważyła n-
czego nadzwyczajnego, jak można tak wrednie kształtować opinię puł-
liczną? Proszę mi wierzyć, gdy na jednym z zebrań związkowych wzięła
Pana w obronę, wstała jedna z moich koleżanek i chciała mnie dźgnąć
nożem. Była członkiem partii, pozytywnym człowiekiem i jest dalej dobrą
moją koleżanką...”

T.P. Warszawa.

„Szanowny Panie Gierek!

... Zawsze darzyłem Pana sympatią, choć partii nienawidziłem. I cho-
Pan nie wierzy w istnienie Boga, to on jest i będzie dla Pana największą
nagrodą. Proszę się trzymać, jesteśmy z Panem!

Edward Gierek — przerwana dekada — jest potrzebną i b. dobrą
książką. Kupiłem ją za sumę, która za Pana dekady wystarczyłaby na
kupno Fiata 126 p!!! Mimo tego cieszę się, że ją posiadam". **J. Legnica.**

„Wielce Szanowny Panie Gierek!

Pozostając pod bezpośrednim wrażeniem tylko co przeczytanej książ-
zatytułowanej Edward Gierek — przerwana dekada niniejszym pragnę r

gorąco wyrazić Panu najwyższe słowa uznania za Pańską odwagę przedstawienia prawdy. Nie chcąc utopić w powodzi słów wyrazów sympatii dla Pana, proszę przyjąć ode mnie najserdeczniejsze życzenia dobrego zdrowia i wszystkiego najlepszego". **L.S.**, Brzeszcze.

„Szanowny Towarzyszu Gierek,

Serdecznie dziękuję ja i w imieniu moich kolegów »komuchów« za dostarczenie nam moralnego wsparcia co do przebytej drogi w szeregach PZPR i dalszej pracy. Zarówno ja, jak i moi towarzysze z »nomenklatury« jesteśmy opluwani za uczciwą pracę w okresie powojennym. Książka Towarzysza jest w cenie i chodzi z rąk do rąk. Prośba moja osobista i nie tylko, żeby Towarzysz napisał następną książkę, ponieważ to chyba nie wszystko, oczywiście o ile zdrowie i siły pozwolą. Z serdecznymi pozdrowieniami życząc dużo zdrowia." **A.K.** Choszczno.

P.S. Po wyborach, jeśli nie wyrzucą ze stanowiska, to może więcej napiszę, ale teraz nie jestem pewien czy te parę słów dotrze do towarzysza.

„Szanowny Panie Gierku!

... Przyznam się, że jeszcze nigdy nie czytałem żadnej książki tak jakiej. Muszę Panu powiedzieć, że wszyscy od dawna czekali na tę książkę. Ja osobiście byłem pewien, że Pan się kiedyś odezwie i że dojdziemy się prawdy. Ja chciałbym Panu podziękować za te dziesięć wspaniałych lat, które pamiętam jeszcze jako chłopiec. Obserwując obecną sytuację w Polsce wiem, że takie lata już nie wrócą, a szkoda. Ja nigdy nie byłem przeciwko Panu. Mimo młodego wieku, a mam 27 lat dzisiaj, orientowałem się doskonale w sytuacji i wiedziałem, co jest grane. Pańska książka jest potwierdzeniem mojej opinii i za to jeszcze raz Panu dziękuję. Mam do Pana jedną prośbę, mianowicie chciałbym bardzo mieć Pański autograf na tej wspaniale napisanej książce, chciałbym, aby Pan zgoził się na mój przyjazd do Pana i podpisał się na niej. Chciałbym Pana zapewnić, że nie jestem łowcą autografów, nie mam żadnego. Pan jest i będzie dla mnie zawsze ideałem prawdziwego Polaka i socjalisty. Wiem, że takich jak ja życzliwych Panu, jest większość Polaków. Proszę Pana o spełnienie mojej prośby i życzę Panu pełnej rehabilitacji przed narodem i zdrowia i pomyślności." Z poważaniem **K.G.**, Dąbrowa Górnicza.

„Szanowny Panie Edwardzie Gierku!

... Proszę się nie gniewać, ale modlę się o błogostawieństwo Boże dla Pana i całej Pańskiej rodziny. Chciałbym Pana prosić, aby Pan zechciał rzeczytać książkę pt. „A jednak Pismo Święte ma rację". Po przeczytaniu tej książki proponowałbym Panu przeczytanie Pisma Świętego"

„wiece szanowny Panie,

Jestem po niedospanej nocy spowodowanej zachłanną lekturą Pańskich wspomnień. Taka książka była bardzo potrzebna, wiele wyjaśniła co nie oznacza, że w stu procentach ze wszystkim zgadzam się, że podzielam każdy Pański pogląd w książce wyrażony (...). W latach siedemdziesiątych byłem działaczem Zrzeszenia Studentów Polskich. Pozwól sobie nie zgodzić się z Pańską oceną, że procesy zjednoczeniowe wywołane zostały przez działaczy tych organizacji. To właśnie Ciosek tłumaczył nam wtedy na zebraniu ścisłego aktywu ZSP Uniwersytetu Warszawskiego, że inicjatorem był (o ile dobrze pamiętam) Babiuch, który w ten sposób chciał przywrócić ZMP-owskie tradycje, wzorce swej młodości. Nie muszę chyba dodawać, że sugestia sekretarza KC (wtedy już chyba »drugiego po Bogu«) oznaczała decyzję. Ciosek wyjaśniał nam swą taktykę, mającą modyfikować koncepcję Babiucha, tak by możliwie najbardziej uchronić dotychczasowy kształt ZSP. Chcę przekazać Panu pewną informację krążącą po Warszawie tuż przed, a może tuż po IV Plenum. Szepczano mianowicie, że na ogrodzeniu Stoczni strajkujący wywiesili trzy portrety: Jana Pawła II, Wałęsy i... Kani. Czy słyszał Pan o tym? Jeśli nawet nie była to prawda, a tylko plotka, to przecież służyła określonej sprawie". **R.S.**, Warszawa.

„Szanowny Panie!

Fakt przerwania milczenia przez Sz. Pana (wywiad dla Rolickiego stworzył mi możliwość przekazania Sz. Panu swojego myślenia o EPOCIE GIERKA. Chcę na wstępie podkreślić, że w okresie sprawowania przez Sz. Pana władzy nie należałem do gremiów uprzywilejowanych i to, co chcę Panu przekazać, nie jest przysłowiową łzą krokodyla wylaną z powodu straty lukratywnej posady. Przez 28 lat byłem, najogólniej mówiąc, pracownikiem kultury. Obecnie jeżdżę taksówką, co dla mnie nie jest żadnym klasowaniem się, lecz świadomym wyborem swobody i niezależności. Najogólniej mówiąc, uważam Sz. Pana za praojca zmian, które później następowały i trwają do dzisiaj. W moim mniemaniu (i nie tylko) był Sz. Pan pierwszym Polakiem Europejczykiem, który próbował pokierować krajem we właściwym kierunku, którym obecnie wszyscy się epatują i uważają go za wielkie osiągnięcie dnia dzisiejszego. Zapominają jednak wszyscy o tym, że będąc w Warszawie, a nie na Kremlu, rozpoczął Sz. Pan dzieło, które dzisiaj się rozwija. Oczywiście cały szereg niedostatków działania w latach siedemdziesiątych na pewno jest faktem, ale więcej były one wynikiem realizacji Pańskich zamierzeń przez podwładnych jak sytuacji w całym Obozie, za którą odpowiedzialność ponoszą Sowietci. Breżniewem na czele. Próby Sz. Pana otwarcia Polski dla świata i świata Polsce na pewno nie umacniały Pańskiej pozycji na wszechwładny Kremlu preferującym hermetyzm Rosji i całego obozu. Mimo tej sytuacji rozpoczął Sz. Pan proces europeizacji Polski i Polacy jako jedyni w całym obozie jeździli gdzie chcieli i jak chcieli. Naszej pozycji zazdrościł na Czech, Niemiec, Rosjanin i wszyscy inni, bo dzięki Panu stawaliśmy się Ameryką Europy Wschodniej. Przypuszczam, że dla swoich odpowiedników w naszym obozie był Sz. Pan przez swoją politykę widocznym zagrożeniem.

Nie wierzę (i wielu ludzi także), że jest Pan autorem naszego zadłużenia. Po pierwsze: jeżeli pożyczam na jakąś inwestycję, muszę mieć czas na jej realizację, a później czerpanie zysków, które pozwolą ją spłacić. Po drugie: jeżeli ogrom inwestycji zlikwiduje możliwość osobistej kontroli, co w przypadku kraju i Pana pozycji Głowy Państwa tak było, to wykonawcą Pańskiej woli rekrutującym się z różnej maści grup interesów, nie zawsze zależało na zawsze zgodnym z Sz. Panem intencjami. W głupocie swej podcinali gałąź, która była fundamentem ich bytu, sądząc, że pną się w górę. Po trzecie, nie wiem jaki, ale na pewno był i duży udział naszego »Wielkiego Brata« w naszych długach, na którą to sytuację Sz. Pan na pewno nie miał wpływu w sposób znaczący. Stworzona przez Sz. Pana po raz pierwszy od 25 lat sytuacja musiała się zakończyć tym, czym się zakończyła. Krajowe karty i zagraniczni pseudooburzyci nie mogli Panu darować inności i prawdziwej wielkości. Nie mogli darować, że stał się Pan Osobistością wyrastającą nie tylko poza granice własnego kraju ale (i to było najgorsze) poza granice obozu. Uznanie dla OSOBOWOŚCI pod nazwą Gierek, objawiane i zawsze podkreślane przez wybitnych mężów stanu, było najlepszym dowodem pozycji, jaką Sz. Pan wykreował dzięki swej mądrości i umiejętności przewidywania. Zapomniał Pan jednak, że wszyscy żyjemy w »Polskim piekle«. Obrzydliwością są fakty krytyki Sz. Pana, i to przez ludzi, którym w latach siedemdziesiątych brakowało słów podziwu dla Pana. Chcę podkreślić, że to, co piszę, nie jest podyktowane jakimkolwiek interesem, lecz wewnętrzną potrzebą przekazania Czcigodnemu Panu (może nic nie znaczącej) opinii w temacie Gierek i jego epoka. Kończąc, życzę Czcigodnemu Panu dużo zdrowia, pomyślności oraz jak najmniej goryczy, bo Wielki Gierek nie został i nie zostanie pomniejszony przez zawistnych adwersarzy". T.P., Warszawa.

„Szanowny Panie!

Z zainteresowaniem przeczytałem pańską książkę — Przerwana dekada. Właśnie dzięki niej, przestał Pan być »papierową« postacią i stał się człowiekiem. Jaka szkoda, że na początku lat siedemdziesiątych nie podał Pan swojego życiorysu w taki sposób, jak w książce — widocznie taki był styl, że wszyscy przywódcy mieli podobne »bezpłciowe« życiorysy. Zawsze miałam sympatię do Pana, może dlatego, że mój ojciec (nigdy nie był komunistą, raczej anty) często powtarzał — Gierek to dobry gospodarz, gdyby on doszedł wyżej. Tata nie dożył grudnia, gdy Pan objął władzę (...) Nigdy specjalnie nie wierzyłam, gdy szeptano lub pisano, jak to Pan rozkradał i dokradał. Mogę za złe mieć Panu, że w 76 roku nie powiedział Pan prawdy o gospodarce — Pan pisze, co Panem kierowało, ale mnie to nie przekonuje. Za wielki plus u Pana uważam — to fakt, że na dowody osobiste można było wyjeżdżać do krajów socjalistycznych, i to były stosunkowo niedrogie wycieczki — dzięki temu zwiedziłam Bułgarię, Czechosłowację, Rumunię i NRD. Samochody też nie były za drogie — to też plus dla Pana. A największy plus to, że mogłam Pana lubić czy nie lubić — ale się nie bałam a niestety generalnie się raczej boję. ”

członkiem Prezydium MKZ gdańskiego, jednym z bliższych współpracowników i zwolenników Lecha Wałęsy. Oczywiście po 13 grudnia 1981 roku byłem internowany (Strzeblinek k. Wejherowa). Po wyjściu z internowania mimo oferty złożonej mi przez Bogdana Borusewicza nie podjąłem działalności w strukturach podziemnych. Materiału do przemyśleń nad tym, co przeżyłem, starczyło mi na całe 10 lat. Ich wynikiem jest książka (na razie w szufladzie) pt. Ścieżka nadziei. Byłem w przysłowiowym oku cyklonu — miałem okazję z bliska obserwować zachowania i postawy wszystkich bez wyjątku znanych postaci działaczy i doradców NSZZ »Solidarności«. W Urzędzie Rady Ministrów rozmawiałem z Kowalczykiem, Cioskiem, Jedy nakiem oraz Jagielskim, a także innymi prominentnymi wówczas członka mi strony rządowej.

Pańska książka jest faktem i działaniem politycznym — ja to tak od bieram. Jaki jest cel tego działania, trudno mnie akurat przesądzić. Tak czy inaczej, uważam za konieczne Pańskiemu otoczeniu i Panu osobiście powiedzieć, iż jest czas i potrzeba, aby zagrożona w swoim bycie »Solidarność« wracając do źródeł, czyli do Sierpnia 1980, zdobyła się na od ważny krok polityczny, a to oznacza ni mniej ni więcej, a podjęcie z Pa nem dialogu, bo to Pan w rzeczy samej jest symbolem prosperity, które obecna »Solidarność« pragnie dla społeczeństwa, ale nie umie jej zbudować dzisiaj i nie zbuduje jej sama jutro. To, co było dobre w Pańskiej de kadzie, trzeba koniecznie ożenić z etosem wolności obywatelskich, jak łączy się z »Solidarnością«. Jest szansa, aby koteriom »Warszawki« przeciwstawić górniczy trud Śląska i Zagłębia. Obok pana jest Alojzy Pie trzyk, może i inni byliby w stanie zrobić krok we właściwym kierunku. Ja za swej strony, nie należąc do święty Lecha, niewiele jestem w stanie zro bić. Niemniej jednak coś tam mogę, kogoś jeszcze spotykam, do kogo: mam jeszcze tzw. dojście. Za poważaniem" inż. **M.B.**, Gdynia.

„Drogi Panie Gierek!

Pańską książkę-wywiad kupiłem bez wahania, i to za duże, jak na mo ją kieszeń, pieniądze. Kupiłem ją, gdyż jestem partyjnym dzieckiem Pań skiego okresu. Do PZPR wstąpiłem w 1971 roku mając 22 lata. I choć dziś po 19 latach rozwiązano mą partię, to nigdy nie będę żałował, że do nie należałem. Tym bardziej, że przynależność do Polskiej Zjednoczonej Par tii Robotniczej w latach siedemdziesiątych dawała mi dużą satysfakcję, a przede wszystkim lata te były dla mnie osobiście i mej rodziny najbogatsze w sukcesy. Mój życiowy start w tamtym okresie był zdecydowanie lepszy od startu mych współtowarzyszy, którzy zaczęli dorosłe życie w latach osiemdziesiątych.

Książka jest bardzo interesująca i wiele nowych okoliczności z niej się dowiedziałem. W zasadzie to cały czas musiał Pan temperować swych przeciwników, zamiast całą energię poświęcić na kierowanie naszym kra jem. Tak dobre czasy już szybko nie wrócą, bo nie ma już w Polsce takiego Przywódcy jak Pan, który dźwignąłby ten kraj. A przede wszystkim, że by ludzi zachęcić do wytężonej pracy, która może nasz kraj dźwignąć. Pa miętam, kiedy na początku lat siedemdziesiątych ludzie z ogromną ochotą

szli do pracy i autentycznie byli w niej zaangażowani. Dziś etos pracy stracił wiele na swej wartości, a bez pracy Polska będzie się staczać w przepaść.

Dziś mam 41 lat, jestem inżynierem rolnikiem i zamiast pracować, to władza od 1 marca rozwiązała mój zakład, i co gorsza, nie martwi się, co dalej. Dokąd to wszystko zmierza, nie umiem sobie wytłumaczyć. Na koniec chciałbym Panu serdecznie jeszcze raz pogratulować tej książki, a wrzede wszystkim stylu kierowania krajem. Stylu dobrego, który dziś po atach jest szczególnie widoczny. Moje miasto Leszno nigdy by tak nie wyglądało, gdyby nie Pan". **Z.S.**, Leszno.

„Szanowny Panie Edwardzie!

Pozwoliłem sobie napisać parę słów do Pana po przeczytaniu Pańskiego wywiadu. Jestem Panu bardzo wdzięczny, że zdecydował się Pan na tak długim milczeniu na opublikowanie swoich wspomnień. Powiem Panu, że bardzo poruszyło mnie to, co Pan w nim przekazał nam, czytelnikom. Nie żałuję absolutnie 40 tysięcy, które wydałem na tę książkę. Szczególnie zgadzam się z Panem pod jednym względem, jeśli chodzi o przyszłość całego naszego kraju. Bardzo żałuję, że odrzucił Pan wszelkie propozycje powrotu do aktywnego życia politycznego. Myślę, że bardzo wielu ludzi w obecnym okresie odniosłoby się do Pana z szacunkiem i nie tylko pomogłoby osiągnąć należyte miejsce w Polskiej historii, ale odżywić skąpaną twarz.

Być może okazać się Panu dziwne, ale pisze do Pana obywatel tego kraju, który ma w tej chwili 24 lata i żadnych perspektyw na dalsze godne życie. Śmieszne i co najmniej dziwne okazują się wystąpienia teraźniejszych naszych przywódców. Tak jak Pan stwierdził na stronie 198, krótkowzroczna polityka i zapatrzenie na Zachód nie dadzą Polsce porządnego celu. Bardzo bym Pana prosił, o ile to jest możliwe, o kandydowanie do organów władzy. Zaręczam Panu, iż jest wielu takich ludzi, jak ja, którzy poprą Pana starania. Potrzebni są przecież ludzie oddani narodowi, nie goniący tylko za pieniędzmi. Za takiego Pana uważam..." **J.J.**, Osrowiec Świętokrzyski.

„Szanowny Towarzyszu Gierek!

Przez wiele lat czekałem, aż w końcu moje oczekiwanie ziściło się. Oto najbardziej wiarygodne źródło dało odpowiedź na te wątpliwości, które zrodziły się w połowie 1980 roku. Przerwana dekada wyszła na czasie, bowiem ludzie, którzy chcieli odnawiać PZPR i Polskę, doprowadzili do upadku systemu socjalistycznego, a upadek gospodarczy i społeczny pod ich »mądrym« kierownictwem osiągnął dno.

Lata siedemdziesiąte były najpomyślniejszym okresem w życiu Polski każdego Polaka. W okresie tym pracowałem w Komitecie Gminnym PZPR. Widać było rozmach, zadowolenie i rozbudzone aspiracje ludności. To właśnie w tym okresie ludzie byli rzeczywiście wolnymi. Na całym moim powiecie gołdapskim był tylko jeden pracownik SB, który zajmował się paszportami. W latach sześćdziesiątych było ich mrowie, a po 1980 je-

działał, to zbierano przeciwko niemu i fabrykowano obciążające materiały. Tak też postąpiono i z Wami...

Na nic są wywody Stanisława Kani zawarte w ostatnim numerze »Pomyśle«, jest to hipokryta i oszczerca (...) Towarzyszu Gierek! Znaczna część ludności nie wierzyła i nie wierzy tym wszystkim oszczerstwom, które po Waszym adresem wysuwała ekipa Kani i Jaruzelskiego. Dziękuję Wam za to wszystko, co zrobiliście dla mnie i mojej rodziny. Po Waszym odejściu nowi władcy tylko i wyłącznie zabierają, a tym samym pogarszają warunki życia i pracy". **N.L.**, Goldap.

„Szanowny Panie Edwardzie!

Mam lat 20, jestem studentem prawa. Właśnie przed chwilą skończyłem lekturę Przerwanej dekady — jest godzina 23.45. Książka bardzo mnie zainteresowała, jej treść naświetliła mi tę stronę państwa, której dotychczas nie znałem.

Był Pan przywódcą Polski w latach siedemdziesiątych, byłem wtedy małym chłopcem i, rzecz oczywista — polityką się nie interesowałem. Ale Mama zawsze mi powtarzała, że wychowałem się na sokach pomarańczowych i dlatego tak dobrze wyglądam! Czasy Pana rządów, dla mnie — to wspomnienie z dzieciństwa — wspomnienie właśnie owych soków — wspomnienie beztrudnych lat szczęśliwych i nic tego nie zmienia..." **M.R.**, Górz Wielkopolski.

„Szanowny Panie!

...W dniach, kiedy obejmował Pan najwyższy urząd w państwie, byłem w wojsku. Pan nie zdaje sobie sprawy, jaka była radość moja i moich kolegów. Utożsamiałem się z Panem jako osobą szczerą, reprezentacyjną, umiarkowaną, umiejącą trafić do przeciętnego szarego obywatela. W tym też czasie wstąpiłem do PZPR i zrobiłem to, powiem szczerze, nie dlatego, że program partii mi odpowiadał, ale dlatego, że w Panu widziałem gwarancję pomyślnego rozwoju kraju. Nie zawiodłem się. Widziałem, jak naokoło rosły domy, budowały się arterie komunikacyjne, widziałem, jak dla wielu ludzi były to lata błyskawicznego awansu społecznego. Czego więcej można było chcieć. Jedno, co Panu uciekło z pola widzenia, to fakt olbrzymiego rozpasania dygnitarzy lokalnych. To bardzo drażniło ludzi. Wiadomo, że fizyczną niemożliwością było mieć pod lupą każdego z pańskich odpowiedników lokalnych, ale błąd polegał na braku mechanizmów, które tę rolę spełniałyby kontrolną i dyscyplinującą (...) Z chwilą odejścia (usunięcia) Pana straciłem całkowite zainteresowanie życiem społeczno-politycznym, gospodarczym kraju. Nie interesuje mnie ani organizacja »Solidarność«, ani nowo utworzone partie polityczne. Zostałem wyprany z ideałów. Myślę, że moje pokolenie myśli podobnie. Jediną możliwością wyrwania mnie z tego letargu jest powrót Pana na arenę polityczną. Zdaję sobie sprawę, że Pańskie zdrowie jest skarbem bezcennym, a czynne uczestnictwo w życiu publicznym nadwerżyłoby go. Jednak może w ograniczonej, oszczędnej formie dałoby się pogodzić takie przedsięwzięcie?

Osobną sprawą jest sposób, w jaki z Panem postąpiono w dniu 5.09.1980. Nie chciałbym być wulgarny do tych osób, ale za takie rozwiązanie, jakie oni wybrali, zostali skreśleni w mojej ocenie jako ludzie wiarygodni. Było to największe świństwo, jakie można zrobić osobie, z którą się współpracuje i z której się wyrosło. Zdaję sobie sprawę, ile Pan musiał wycierpieć, kiedy próbowano Pana obciążyć za wszystkie niepowodzenia, kiedy Pana szykanowano. Jak można było nie dać Panu możliwości do wyjaśnienia stawianych zarzutów (bezpodstawnych i bzdurnych). Vyc się chce, jak sobie to wszystko wyobrażam. Mam jednak nadzieję, że ostaną za ten postępek należycie osądzeni.

Chcę tym listem dolożyć kroplę do świadomości Pana, że ludzi myślących podobnie, życzących Panu wszystkiego najlepszego i pamiętających o tym, że dzięki Pańskiej polityce ludziom w naszym kraju żyło się dostatnio jest bardzo dużo." **M.S.**, Sosnowiec.

„Szanowny Panie,

Jestem właśnie po lekturze Pańskich wspomnień. Cieszę się, że Pan przemówił! Nareszcie przerwana została niedobra praktyka — u nas — w myśl której politykom nie wolno zabierać głosu w swojej obronie. Więc jeszcze raz cieszę się! I cieszę się tym bardziej, że pierwszy przerwał milczenie właśnie Pan. A że są polemiki z Pańską książką? Niech będą! Dla jednych to plotkarstwo, dla innych aneks do historii, dla mnie zaś — dowód na naszą europejskość. Gratuluję odwagi! Szczerze!" **E.R.**, Warszawa.

„Szanowny Panie Edwardzie!

Piszę ten list do Pana będąc jeszcze pod dużym wrażeniem napisanej przez Pana książki. Jest ona rozchwytywana i stała się bestsellerem. Nie jestem związany z żadną partią, ale jestem działaczem gospodarczym i zakres mojej największej efektywności zawodowej przypadł na Pańskie dziesięciolecie, z czego jestem bardzo zadowolony i Panu serdecznie wdzięczny.

Panie Edwardzie, powód dla którego ten list jest z gatunku spraw delikatnych. Otóż czytając Pańską książkę odniosłem wrażenie, że pomimo niezwykłych Pana zdolności i ogromnej wiedzy gospodarczej i politycznej, powinien Pan również pogłębić wiedzę o Bogu.

Moim zdaniem człowiek, co tu ukrywać, o tak dobrym charakterze i tak nakomitym, ludzkim stosunku do życia, powinien odczuwać brak rozumienia zagadnień związanych z istotą Boga, pochodzeniem człowieka i w końcu przyszłym życiem..." **J.Ł.**, Zakopane.

„Szanowny Panie!

(...) Zawsze twierdziłem, a teraz jestem całkowicie przekonany, że nie był Pan i nie jest człowiekiem, który działał na szkodę narodu. Drogi Panie, to jest istna bzdura. To, co Pan opisuje o poczynaniach niektórych

że okres Pańskiej działalności na stanowisku Pierwszego sekretarza PZPR był okresem dla mnie (a mam już aż 49 lat) najszcześniejszym. Wtedy to otrzymałem upragnione mieszkanie, skończyliśmy z żoną technikum zaoczne, umebłowaliśmy się i mogliśmy odłożyć trochę grosza. Mogliśm również sobie zaplanować, co mamy zamiar sobie jeszcze kupić i kiedy to nastąpi. A teraz lepiej nie mówić. I jeszcze jedno: uważam, że dobrze Pan zrobił, że nie przyjął Pan oferty kandydowania w ostatnich wyborach. Bardzo trafnie Pan to wyczuł i opisał. Brawa! Aby wszyscy byli tak uczciwi, ale nie są!" **A.D.**, Warszawa.

„Szanowny Panie Gierek!”

Kupiłem przedwczoraj Pańską książkę za 75 tysięcy złotych i nie żałuję wydanych pieniędzy. Książka jest naprawdę bardzo ciekawa i powinna moim zdaniem, stanowić lekturę obowiązkową wszystkich, którzy chcą lepiej zrozumieć naszą złożoną rzeczywistość. Również i ja mam nadzieję, że nie jest ona ostatnim Pana słowem i będę z niecierpliwością czekał na kolejną:

Zgadzam się z Panem całkowicie, że Pańska dekada była najlepsza w całym 45-leciu, najbardziej efektywnym okresem. Wielu ludzi jest obecnie o tym przekonanych. Kryzys z sierpnia 1980 r., słuszny protest klasy robotniczej, jak się go przyjęło określać, był niczym w porównaniu z tym, co przyszło nam przeżyć w następnej dekadzie. Co ciekawe, kolejne ekipy rządowe ciągle zwały wszelkie niepowodzenia na Pana i Pańskie rządy. Wmawiano nam, że jest źle i musimy się męczyć, bo »Gierek źle rządził, rozkradł Polskę«, że żyliśmy na kredyt za pożyczone pieniądze. Tymczasem tak nie było i dopiero teraz się dowiedziałem, że Polska spłaciła w latach siedemdziesiątych aż 25 miliardów dolarów, aż się wierzyć nie chce...

Ciekawy jestem, kiedy wreszcie osiągniemy efekty gospodarcze i poziom życia z 1979 roku. Z tymi zaś, co najbardziej Pana krytykowali, besztali, sami kreując się na wielkich reformatorów i odnowicieli, stał się to, co było do przewidzenia i nikt lub prawie nikt nie będzie pamiętał Kani, Rakowskiego, ale Pana.

Uważam, że przed Trybunałem Stanu winien stanąć Jaruzelski, raz za wprowadzenie stanu wojennego, dwa — za doprowadzenie kraju do ruin gospodarczej nieproporcjonalnie większej niż w 1980 roku. Jeśli zaś zejdzie z areny politycznej w aureoli »Nieskalanego« wielkiego męża stanu — będzie to cud i obraza zarazem...

Życzymy Panu jeszcze wielu lat życia w zdrowiu i spokoju ducha **J.D.J. z rodziną, Busko-Zdrój.**

„Szanowny Panie!”

(...) Pracę zawodową rozpocząłem w 1968 roku, z przerwą na studia magisterskie 1971–76 i studia doktoranckie 1981–84. Epoka lat siedemdziesiątych była dla mnie okresem usamodzielniania się i kreacji. Dlatego też mam do niej osobisty stosunek i dlatego też oceny tych lat, jakie sporadycznie spotykam, nie są obojętne. Był Pan, Panie sekretarzu, dla mnie wzorem osobowym — człowiekiem, który miał wówczas spręczy-

waną koncepcję Polski, jej życia gospodarczego i społecznego. Obserwowałem jako młody technik, później inżynier, autentyczny rozmach w rozwoju kraju, gdzie odnalazłem siebie i odczuwałem wewnętrzną satysfakcję z pracy zawodowej, a wręcz radość kreacji, sens tworzenia nowych wartości. Pracowałem w przemyśle i czułem więź z ludźmi ze swojego otoczenia, z mojej grupy wiekowej właśnie z tytułu pracy i poniekąd wspólnego interesu grupowego. I nie funkcjonowało to w kategoriach drobnomieszczańskiej konsumpcji. Był to autentyczny entuzjazm i widziałem zmiany — jakim wtedy Polska podlegała (...).

Do Partii przyjęto mnie w 1974 roku, a ja widziałem sens tej przynależności. Zaskoczeniem był dla mnie sierpień 80. Nie dlatego, że zetknąłem się ze strajkami, z tzw. niepokojami społecznymi. Z tymi zjawiskami zetknąłem się w 68, 70 i 76 roku. Byłem zaskoczony milczeniem instancji i uwagami w stylu: »radźcie sobie sami«. W sierpniu byłem kierownikiem jednego z działów techniczno-produkcyjnych w Pafawagu. Nie dopuściłem do tak zwanego strajku — w moim dziale, a przynajmniej zachowywałem pozory pracy. Nie było to trudne. Ludzie za bardzo nie wiedzieli, o co chodzi, chcieli mieć spokój. Odniosłem wrażenie, że strajki zostały sprokowane przez instancje. Wyczuwało się też, że odbywają się jakieś centralne rozgrywki personalne. Najgorszym zaś było to, że po sierpniu nastąpił gwałtowny spadek produkcji z różnych zresztą powodów, braku materiałów i innych, ale tak naprawdę to głównie z powodu pustosłowia. Cała Polska bawiła się w uczone wywody, tylko że praca już wtedy nie miała sensu. Ja nie chciałem i nie umiałem udawać pracy; poszedłem na studia doktoranckie, to jeszcze miało sens. Na uczelni uwikłałem się w dyskusje, próbowałem cokolwiek tłumaczyć, szybko jednak spostrzegłem, że wygrywałem zawsze wtedy, gdz zadawałem interlokutorowi pytania (...) Na zebraniach partyjnych dominowało krytykanctwo wszystkiego do absurdu w stylu gania psa, że szczeka, kota, że miauczy, trawy, że zielona itp itd. Żadnego programu, żadnej koncepcji, jedna wielka paranoja. Dotyczyło to zarówno partii, jak i »Solidarności«.

Po wybuchu stanu wojennego, gdy już doszło do absurdu przemocy fizycznej wobec osób postronnych i przypadkowych — byłem w Politechnice Gdańskiej — gdy obserwowałem zezwierzęcanie się tak zwanego »ramienia partii« (ZOMO), zdałem sobie sprawę, że nie mogę być z bandytami w jednej partii i poprosiłem w styczniu 1982 roku o skreślenie mnie z niej. Wychowywano mnie na komunistę, a przez to rozumiałem wrażliwość na krzywdę ludzką, pracę organiczną i pracę dla Polski, którą rozumiałem jako centralny organizm, wspólny interes cementowany przez organizację ludzi świadomych, co nazywałem Partią. To w 1982 roku przestało istnieć. Nie byłem internowany, nie byłem pobity ani zatrzymany, ale czułem jedno wielkie zbrzydzenie do tego, co się działo. Zacząłem zazdrościć ludziom z »Solidarności« bo mieli cel, do czegoś zmierzali, mimo że nie rozumiałem tego celu, nie widziałem żadnego sensu w jednej zbiorowej destrukcji. Odnosiłem wrażenie, że jest to samobójstwo państwa.

Rzuciłem się w wir pracy, byłem rzemieślnikiem, nauczycielem, trochę pracowałem w przemyśle. często zmieniałem prace. W 1986 roku wwie-

inicjatywą utworzenia od podstaw przedsiębiorstwa państwowego przemysłu terenowego. Wojewoda dał mi wtedy 40 milionów zł i nominację. Zrobiłem z tego (luty 90) 2 miliardy złotych i zakład produkujący materiały budowlane, który zatrudnia 120 osób. Z początku roku obecnego zdałem sobie sprawę, że w regresie gospodarczym i ograniczeniach Balcerowicza — efektywne kierowanie przedsiębiorstwem państwowym jest bez sensu. Albo będę oszukiwał ludzi, albo państwo. Ukończyłem 3 fakultety (dodatkowo Akademię Ekonomiczną), mam specjalizację inżynierską I-stopnia jako organizator przemysłu, znam biegle języki obce — ale nie wierzę w cuda. Na moich oczach następuje rozwarstwienie ludzi, powstają fortuny krezusów i nędza pariasów, urąga to wszelkim formom przyzwoitości i sprawiedliwości społecznej. A wszystko jest celowe i kształtowane przez nową ekipę. Totalna wyprzedaż wartości, w tym moralnych. Dałem sobie spokój z dyrektorowaniem, utworzyłem ponownie przedsiębiorstwo prywatne i próbuję się uniezależnić. Ale mam świadomość, że skończyła się pewna epoka, że to już inny świat, że jest to dżungla, w której nie ma miejsca na humanizację, że jako Polska zeszliliśmy z mapy Europy, że jesteśmy zapleczem. I boję się, że proces destrukcji w konsekwencji obudzi niedźwiedzia, który w depresji, gdy będzie się bronić, bo będzie mu wszystko jedno, to będzie z tego kataklizm, po którym już nic nie będzie.

Miewałem w swoim czasie kontakty z aparatem i miałem świadomość istnienia świata intryg i plotek i pomówień. Było to żenujące, jednak traktowałem to wszystko jako margines aparatu. To bardzo źle, że idea, która legła u podstaw konstrukcji powojennej państwowości, nie potrafiła stworzyć mechanizmów eliminujących te patologie. Ale i też nie mogła. Zbyt zakorzenione były mechanizmy wprowadzone przez Stalina. Lektura ta uświadomiła mi — jak strasznie był Pan samotny, zwłaszcza w końcu lat siedemdziesiątych. Ale i widział Pan ten proces — gdy Gomułka został skazany na samotność... Ze wszystkich w minionym 45-leciu tylko Pan miał koncepcję, która była dalekowzroczna i Polsce służyła. I udało się ją Panu po gospodarsku, częściowo niestety, wdrożyć w życie. Był Pan jedynym, który nie stawiał na przetrwanie swojego ego. To wielka szkoda, że nie zrobił Pan od początku porządków w KC. Później już każdy Pański sukces powodował powiększenie ładunku zjawisk »tradycji aparatu«. Ja uważam, że był to jeden błąd. Nie wychował Pan sobie następców, młodych, którzy by przejęli pałeczkę. Stawiał Pan na przemysł, na politykę zagraniczną, a tam były młode nie skażone kadry, one przecież właśnie mogły być bazą, która by pozwoliła na kontynuację Pańskich idei (...).

Dzisiaj jest Pan dla mnie symbolem epoki nie dokończonej, która mogła być piękna. Żał mi, że podłość ludzka i małostkowość dzisiaj tyłu ludzi do nędzy doprowadziła. A zaczęło się we wrześniu 1980 r.

Panie Edwardzie Gierek — proszę przyjąć wyrazy mojego szacunku. W Pańskiej dekadzie nauczyłem się pracować. Jest to najcenniejszy dar. Że ta nauka trwała tylko dziesięć lat — dla mnie to przeciwność losu, na który nie miałem wpływu.

Życzę Panu zdrowia, radości z życia rodzinnego i świadomości satysfakcji z pracy, którą poświęcił Pan i swojej i naszej Polsce." **R.J.F.**, Wrocław.

„Szanowny Panie Edwardzie!”

Pozwoliłem sobie napisać Panie Edwardzie, proszę wybaczyć, ale jest to wyraz mojej i wielu moich przyjaciół sympatii do Pana. Był pan Wielkim Człowiekiem i historia oceni Pańskie lata. Te lata nie poszły na marne, wszyscy wiemy o tym. Trzeba być ślepym, żeby jadąc przez Polskę nie widzieć osiedli i całych nowych miast. Jestem z Dąbrowy Górniczej, Pan wie, jakie tam było dziadostwo, jak wyglądał Będzin, a teraz? Serce mnie boli, że ludzie potrafią być tak podli i nie pamiętają, jak żyli w latach, kiedy Pan był u nas sekretarzem początkowo, a później I KC, jak sklepy były pełne, był to mój najlepszy okres w życiu. Wakacje spędzaliśmy z mężem za granicą jeżdżąc motorem, można było sobie na wiele pozwolić. Dziś nie stać mnie na wczasy w Polsce. Trudno, żyć trzeba! Chcę, aby Pan wiedział, że prawie wszyscy ludzie, z którymi się stykam, mówią o Panu bardzo ciepło i co tu dużo mówić, tęsknią do lat siedemdziesiątych.

Pragnę, aby Pan był zdrowy i Pana Najbliżsi — życzę — tak bardzo chcę, aby Pan dożył jeszcze wielu, wielu radości, żeby gorycz była mniejsza. Zresztą Pan i tak wie, że do historii przejdzie Pan jako Wielki — mali i podli jak szumowiny zostaną zebrani i wyrzuceni — tak jest po każdej rewolucji...” R.J., Katowice.

Ten list miał kilku adresatów, jednym z nich, ale nie głównym, był Pan Gierek. Wśród adresatów na pierwszym miejscu figurował pan Leszek Miller — Sekretarz Generalny SDRP. Do niego też w pierwszym rządzie w dniu 4 kwietnia bieżącego roku zwracał się nadawca z Chorzowa, pan mgr L.Z.

„Szanowny Panie Sekretarzu, zwracam się do Pana w imieniu własnym oraz z upoważnienia moich przyjaciół, kolegów, górników KWK „Barbara-Chorzów”, by SDRP wystąpiła z propozycją wysunięcia kandydatury na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w osobie Edwarda Gierka.

Jesteśmy w pełni świadomi przedstawionej przez nas propozycji, że wzbudzi ona wiele kontrowersji i emocji w narodzie, ale jesteśmy przekonani o jej słuszności.

Pan Edward Gierek powinien powrócić na polską scenę polityczną.

Zgadzamy się z tym, że zmiany w Polsce są nieodzowne, jest to wymóg naszych czasów. Ale wraz z tymi przeobrażeniami, jakie zachodzą w życiu politycznym i gospodarczym naszego kraju, pojawiły się też tendencje niebezpieczne, które spychają nasz kraj w otchłań i niepewność jutra. Pogarszająca się sytuacja gospodarcza i ekonomiczna kraju, oddala szansę i perspektywę na poprawę swojego losu każdej polskiej rodzinie. Rośnie atmosfera przygnębienia i świadomość zagrożenia. To, co się dzieje, pogrąża nasz kraj w politycznym chaosie.

Kraj nasz jest teraz w potrzebie — większość obywateli czuje się oszukana. Ulice naszych miast stają się coraz mniej bezpieczne, wątpliwe stają się też gwarancje bezpieczeństwa zewnętrznego. W kraju zaczyna rządzić głupota — naród stracił rozum.

cieszy się w środowisku robotniczym naszego regionu niedoświadczonym powodzeniem, na pewno znaczna część społeczeństwa opowiedziałaby się za tym człowiekiem.

Osobowość Pana Gierka, autorytet i uznanie w społeczeństwie, a przede wszystkim realizm polityczny, jakim się kierował w życiu, dają nam jeszcze jedną szansę wyprowadzenia kraju na prostą.

Ma on jeszcze jedną zaletę, że potrafi zjednoczyć naród wokół celu nadrzędnego. Przecież ten człowiek, ten polityk otworzył Polsce drogę na zachód, umiał rozmawiać z Rosjanami, przystąpił do normalizacji stosunków państwo-Kościół. Na inne zmiany nie pozwoliły mu już realia ówczesnej Europy, a nade wszystko członkowie byłego aparatu partyjnego.

Jesteśmy przekonani, że Pan Gierek wróci do życia publicznego i jest to nasza nadzieja na Polskę jutra. Jeżeli więc Pan Edward Gierek zdecyduje się wrócić mimo swojego wieku i osobistych urazów, to jesteśmy gotowi uczynić wszystko, by doprowadzić właśnie jego do prezydentury. Jednocześnie zwracamy się do redakcji »Trybuny Robotniczej« o przeprowadzenie ankiety wśród mieszkańców naszego regionu, na ile osoba Edwarda Gierka zostanie zaakceptowana, by Mu powierzyć Urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Zgłaszamy też chęć wzięcia udziału w przeprowadzeniu ankiety oraz stworzenia biura wyborczego przy zaangażowaniu nawet własnych środków". **L.Z. Chorzów.**

Szanowny Panie Gierku!

Jestem pod wrażeniem niedawno przeczytanego Wywiadu rzeki i pragnę podzielić się z Panem kilkoma swoimi refleksjami. Zacznę od kilku słów o sobie. Jestem z zawodu art. plastykiem, swego czasu rysowałem do »T. L.«, jeszcze dawniej byłem członkiem ZMP, czego się nie wstydzę. Brałem udział nie w zadymach, lecz np, przy budowie warszawskiego ZOO (lata pięćdziesiąte). Nigdy nie byłem w partii. Mój ojciec był „wierzącym” komunistą, 3 lata więzienia bez wyroku, rehabilitacja, działka w Al. Zasłużonych (póki ich stamtąd nie zaczną usuwać). Osobiście uważam się za socjaldemokratę.

Wracam do tematu. Nie byłby Pan normalnym człowiekiem, gdyby nie próbował Pan ukazać się w możliwie najlepszym świetle — to zrozumiałe i wybaczalne. Sam zrobiłbym to samo na Pańskim miejscu. Moim zdaniem nie powinien Pan być pociągany do odpowiedzialności za cokolwiek innego niż błędna polityka personalna. Jestem do dzisiaj przekonany, że Pański program był absolutnie zdrowy ekonomicznie i racjonalny, a to że »nie wypalił«, to już zasługa Pańskiego »dworu« a po części i naszego w tak znacznym stopniu zdegenerowanego społeczeństwa. To był program dla społeczeństwa zdyscyplinowanego i odpowiedzialnego za los zbiorowy, a nie kariery indywidualne.

Pański program był jedną z przyczyn, które nakłoniły mnie do powrotu do Polski w 1975 r. po 6-letniej (nielegalnej zresztą) emigracji do USA. Mimo niespełnionych nadziei, do dzisiaj tego nie żałuję, ponieważ jestem na tyle Polakiem, że nigdy bym nie został stuprocentowym Amerykaninem. Poznałem ten kraj, jego ludzi, jego filozofię i styl życia, widziałem Pana w czasie Pańskiej wizyty w Pittsburgu. Podziwiam ich i wiele się od nich nauczyłem, ale nie wpadam z tego powodu w euforię i nie łudzę się

ani przez moment, że potrafią okazać nam przyjaźń czy pomoc bezinteresownie. Wciąż nie mogę pojąć bezmiaru naszej narodowej naiwności w tym względzie.

Mój stosunek do zachodzących zmian i tzw. nowej rzeczywistości nacechowany jest mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszę się, że wyrwaliśmy się z marazmu irracjonalnego doktrynerstwa, że otwieramy się na świat, na inicjatywę, wolny rynek, przedsiębiorczość (akurat nie moja „działka”) itp. Z drugiej strony z niepokojem patrzę na ten hurra-zwrot ku jakiemuś wczesnemu kapitalizmowi, bo na ten nowoczesny, oświecony po prostu nas nie stać. Nie chcę tracić nadziei, że to nasze wrodzone narodowe wahadło skrajności ustatkuje się wreszcie gdzieś bliżej rozsądnego środka. Inaczej grozi nam kolejna katastrofa, kolejne zepchnięcie do roli kolonialnego wasala, tyle że kogoś innego tym razem.

Duet Mazowiecki-Balcerowicz jawi mi się jako tandem chrześcijańskiego dewota z kapitalistycznym pragmatykiem tańczący pod dyktando obcych bankierów. Podobnie jak Pan obawiam się, że nowe Niemcy dokonają zaboru Polski, tyle że nie orężem, lecz pieniędzmi.

W bankach zachodnich widzę największych bandytów tego świata działających w majestacie prawa. Wszak spłaciliśmy nasz dług już co najmniej raz w całości, a jest coraz większy! Społeczeństwo amerykańskie poszłoby z torbami, gdyby ich banki pewnego dnia zażądały od każdego obywatela pełnego spłacenia jego zadłużenia. Przecież ich cała »prosperity« opiera się na stanie permanentnego zadłużenia wszystkich wobec wszystkich. Banki to superpaszożyty, które niczego nie produkują, a na wszystkim żerują.

Polska wielkodusznie uwolniła ich od spędzającej im sen z oczu „zmory komunizmu”, podała im bezpłatnie na półmisku cały blok wschodni, mają go bez wystrzału. Powinni nas za to ozłocić, zamiast handryczyć się o każdego zawszonego dolara naszego »zadłużenia«. Oto i cała hipokryzja tego »cudownego« Zachodu. Niestety, także cała głupota Polaków.

Nie potrafimy się dobrze sprzedać. Ale potrafimy się zaprzedać na cudzą łaskę i niełaskę, rozwalając choćby całą naszą strukturę obronną. Zapominamy, gdzie leżą nasze prawdziwe interesy. My chcemy »wykopać« Rosjan, a Amerykanie wołają kopnąć Litwinów niż Gorbaczowa. Bo oni wiedzą lepiej, gdzie leży ich interes.

Nie chcę Pana dalej zanudzać swymi wypocinami, zgadzam się jednak z Pańską prognozą, że nasz naród zatęskni jeszcze za (traconymi) »zdo-byczami socjalizmu« i to prędzej, niż mu się zdaje. Oby tylko ta tęsknota znalazła swój wyraz w postaci pokojowej i parlamentarnej.

Jeżeli bywa Pan w W-wie, serdecznie zapraszam do siebie, mam jeszcze duże i wygodne mieszkanie (nie wiem, na jak długo mi pozwoli pan B.), które zawdzięczam w pewnym sensie Pańskiej »epoce koniunktury« i mogąc w nim Pana gościć, spłaciłbym swego rodzaju dług. Nie mówiąc już, że byłbym zaszczycony.

Bezrobotnemu działaczowi politycznemu serdeczne pozdrowienia i życzenia zdrowia przesyła aktualnie prawie bezrobotny plastyk. C.N., Wa»
rszawa

W ostatnich dniach dostała się w moje ręce pańska książka, którą przeczytałem, jak to można określić, jednym tchem. I właśnie na tym tle powstała myśl oraz nieodparta chęć napisania do Pana tego listu. Nieodparta wprost chęć podzielenia się z Panem jako autorem moimi spostrzeżeniami, a właściwie nie tyle spostrzeżeniami, co odczuciami, jakich doznałem w wyniku tej pasjonującej lektury.

Jestem jednym z tych 700 tysięcy Polaków, który w wyniku barbarzyńskiej polityki Pańskich następców znalazł się najpierw na zachodzie Europy, a konkretnie w Republice Federalnej Niemiec, a następnie osiadł w USA.

Nie chcę i nie mogę polemizować z Panem na tematy związane z grą wewnątrzpartyjną, ponieważ, po pierwsze, nigdy nie byłem członkiem partii, a po drugie, nie zajmowałem nigdy wyższego stanowiska niż dyrektor administracji oświatowej — a to już za czasów junty generałów.

W czasie Pańskiej dekady tj. w roku 1971 ukończyłem Wydział Prawa na U. Warszawskim i jako młody prawnik pracowałem aż do roku 1980 w administracji gospodarczej, tj. w jednym z największych Zjednoczeń Przemysłu Maszynowego, a mianowicie Zjednoczeniu Przemysłu Lotniczego i Silnikowego PZL w Warszawie.

I tutaj muszę przyznać, że do roku 1976 byłem szczerze zafascynowany rozwojem gospodarki. Z każdym rokiem zakłady tego przemysłu jak i gałęzi kooperujących rozwijały się w sposób niesamowicie dynamiczny. W tym to właśnie okresie powstawały nowe uruchomienia, nowe typy samolotów i śmigłowców oraz całe, najnowocześniejsze linie technologiczne umożliwiające produkcję coraz to wyższych generacji silników i podzespołów. Wspomnę chociażby samolot agrolotniczy o napędzie odrzutowym, który zadziwił świat, albo silnik wysokoprężny (...).

Jestem w 100% z Panem zgodny. Nie tylko co do tego, że ekipa Kani i generałów doprowadziła do dna naszą gospodarkę i z kraju, który się rozwijał stworzono kraj nędzy, cwaniactwa i różnego rodzaju korupcji. Kraj rządzony przez ludzi skompromitowanych takich jak Jaruzelski, Siwicki, Kiszczak (...)

I teraz refleksja dotycząca Z. Zawodowego »Solidarność«. Nie muszę Panu przypominać, że w latach 1980-81 »Solidarność« jak to ona sama określała, walczyła o prawa ludzi pracy, o lepsze i wyższe zarobki, jednym słowem to ujmując, o poprawę bytu ludzi pracy. O to, by ludzie pracy ze swoich zarobków mogli zaspokoić swoje i rodzinne potrzeby. By ludzi pracy było stać na wyżywienie rodzin i na godny byt. To proszę mi powiedzieć, gdzie teraz jest ta »Solidarność«, teraz, gdy ludzie prawie przymierają głodem, gdy nie stać ich na zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Przecież »Solidarność« jako związek zawodowy powinien być powołany do ochrony ludzi pracy, do walki z bezrobociem, do walki o zabezpieczenie warunków socjalnych ludziom pracy. Tak jak to się dzieje na Zachodzie. Związek Zawodowy, który powinien walczyć o coraz to lepszy byt ludzi pracy, i to nie hasłami, a czynem. A to, co aktualnie dzieje się w kraju, jest właśnie odwrotnością tego, co powinien robić Związek Zawodowy. Czyli można stwierdzić, że Polska przeistoczyła się z monopolu władzy komunistycznej generałów w monopol władzy »Solidarność«, czyli przeszliśmy z jednej skrajności w drugą. Tak jak generałowie nie

znosili sprzeciwu i krytyki, tak i teraz »Solidarność« tego nie znosi. Związek pozostał tylko z nazwy Zawodowy, natomiast w działaniu jest to partia polityczna o skłonnościach dyktatorskich. Teraz »Solidarność« ma monopol na wiedzę, to »Solidarność« i tylko »Solidarność« wie, co najlepsze jest dla narodu. I jak tak dalej pójdzie, to trudno sobie nawet wyobrazić skutki tego działania.

Ale ja mam cichą nadzieję, że społeczeństwo się otrząśnie, i że realnie zacznie patrzeć na życie, a nie jak w tej chwili, w chwili nieuzasadnionej euforii, bo do euforii nie ma powodów.

Muszę w tym momencie zrobić porównanie i tak jak za Pańskiej dekady nie tylko nie było nędzy, ale większość społeczeństwa było stać prawie na wszystko, a właściwie każdy ze swoich zarobków mógł spokojnie się utrzymać. Wystarczyło popatrzeć na ulice polskich miast, jak ludzie chodzili ubrani — Europa w pełnym tego słowa znaczeniu — rozwój motoryzacji, a nie mówiąc już o polskiej wsi, gdzie jak grzyby po deszczu rosły nowe domostwa i zagrody.

To teraz widzimy sytuację odwróconą o 300%, tylko niewielką grupę ludności jest stać na wszystko — są to przeważnie spekulanci — natomiast znakomita większość społeczeństwa żyje na skraju nędzy. Myślę, że nie o taką Polskę chodzi polskiemu narodowi.

To, co Pan pisze na str. 191 swojej książki, stawia Pana w moich oczach, i nie tylko, ale również w oczach Polonii — tej nowej, po stanie wojennym — na najwyższym stopniu. Stopniu wspaniałego obserwatora i znawcy przedmiotu. Polska jest krajem ludzi wykształconych i w większości zdrowo myślących, a co zatem idzie, powinniśmy wypracować sobie własny model. Bo co dobre dla Amerykanów, Niemców, czy Włochów, to wcale nie oznacza, że jest to dobre dla Polaków. Różnimy się od tych narodów mentalnością i kulturą i wszystkie sprawy, tj. chciałem powiedzieć, modele czy rozwiązania przyjmowane od nich — mimo że tam zdają egzamin — u nas mogą nie mieć racji bytu. Uważam, że trzeba brać przykład z innych, ale nie bezkrytycznie. Wszystko to, co dobre, przyjmować i adaptować do warunków polskich, a także korzystać z własnych doświadczeń, by nie stać się, jak Pan to słusznie napisał, nie tylko pariasami czy kamykami w Europie, ale nawet drobnymi ziarenkami piasku, które nawet najmniejszy podmuch wiatru może znieść z powierzchni. Ciągłe dyskusje, wewnętrzne spory i brak konsolidacji już raz w naszej historii zniosły nas i wymazały z mapy Europy — Rozbiory. Myślę, że najwyższy czas, by ludzie zaczęli wyciągać lekcję z historii.

Na zakończenie chciałbym Panu naprawdę szczerze podziękować za wspaniałą nie tylko lekturę, ale i lekcję historii, którą powinien zaliczyć każdy Polak."

Z poważaniem **K.B.**, Detroit USA.

Listy te oddają ton wypowiedzi zawartych w korespondencji. Stanowią też w sposób całkiem niezamierzony swoisty awers gazetowych opinii zawartych w recenzjach i omówieniach *Przerwanej dekady*. Uważałem za słuszne zapoznać z nimi Czytelników drugiej części *Wywiadu-rzeki* Pana Edwarda Gierka. Okazuje się bowiem, że wraz z upadkiem komunizmu nie zginęła w Polsce swoista dwoistość opinii publicznej. W dalszym ciągu mamy do czynienia z opinią oficjalną wyrażającą zdanie ośrodków władzy i z opinią drugą, podpólną poniekąd, całkiem, jak w tym przypadku widać, nie korespondującą z krzepiącym zadowoleniem. Zwracam na to uwagę, bowiem polskie dewiacje nie są na ogół tymczasowe...

Janusz Rolicki

Nota o autorze — rozmówcy Edwarda Gierka

Janusz Rolicki — reporter i publicysta. Urodzony 1938 roku w Wilnie. Absolwent historii Uniwersytetu Warszawskiego. Reportażysta „Polityki” (1961–67); „Kultury” (1967–73). W latach 1973–80 organizator i pierwszy naczelny redaktor Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej, następnie dyrektor programowy i dyrektor generalny do spraw artystycznych PRiTV. Współautor programów telewizyjnych, m.in. „Tylko w niedzielę”, „Sam na sam”, „XYZ...”. W roku 1981 ponownie podjął pracę w „Kulturze”. 14 XII 1981 wystąpił z partii i nie zgodził się oddać weryfikacji dziennikarzy. W latach 1981–83 na urlopie wychowawczym. Od 1984 zatrudniony w „Interpressie-Filmie”. Od 1986 redaktor naczelny. Laureat wielu nagród dziennikarskich m.in.: Bruna, Prusa, Nagrody Ministra Kultury i Sztuki, Nagrody Prezesa PRiTV, „Złotego Ekranu”, „Drożdży” Polityki. Autor książek reportażowych *Brałem łapówki* 1966, *Z życiem pod pachą* Iskry 1968, *Przodem do przodu* Czytelnik 1972, *Kochana mano, wyrób mi alibi* 1976, *Nie tylko brałem* 1979, *Edward Gierek: Przerwana dekada* Warszawa 1990 oraz dwóch powieści *Dygnitarz* Czytelnik 1982 i *Prezenter* KAW 1990.

Prolog — Zamiast aneksu do *Przerwanej dekady*

Część pierwsza — Polska i świat

Rozdział pierwszy
O spiskowej teorii dziejów...

Rozdział drugi
Otwarcie na Zachód

Rozdział trzeci
Niemcy przede wszystkim

Rozdział czwarty
„Wielki Brat”

Rozdział piąty
Kulisy licencji i droga do nich

Część druga — Polityka wewnętrzna

Rozdział szósty
Polityka kadrowa

Rozdział siódmy
O odpowiedzialności Edwarda Gierka

Rozdział ósmy
Tragedia lat osiemdziesiątych

Rozdział dziewiąty
„Ustawianie Gierka”

Rozdział dziesiąty
Gierek prywatny

Zamiast zakończenia

Końcowe refleksje polityczne

Listy do Edwarda Gierka

Nota o rozmówcy Edwarda Gierka

STARBUCKS

REPLIKA

EDWARD GIERKEN - REPLIKA

Janusz Rolicki

EDWARD

GIEREK

EDWARD GIEREK - REPLIKA

GIEREK

REPLIKA

REPLIKA

prawda do końca...